

Linda Francis Lee

Karmazynowa Lily

Sophie poświęcam

Prolog

Tarrytown, Nowy Jork, 1896

Marzec 1886

Najdroższa Lily!

Krew się we mnie burzy, gdy widzę, jak ludzie, którzy nie tolerują kobiet twego pokroju, rujnują ci życie. Przekazuję ci zatem wszelkie moje dobra, abyś mogła zyskać wolność... i ofiarowuję ci dar, który tę wolność przypieczętuje.

Hawthorne

Lily Blakemore rozłożyła stary, pożółkły arkusik papieru, choć nie musiała tego czynić, by się dowiedzieć, jaką zawiera treść. Znała na pamięć każde słowo, każdą literę, każdy przecinek. Spokojnym ruchem dłoni odsunęła na bok arkusik, nie dlatego, że bała się go uszkodzić - w gruncie rzeczy po wielekroć chciała zniszczyć ów list, lękała się jednakowoż, iż powodowana nagłym odruchem podrze go na drobne kawałki, których potem nie zdoła złożyć w całość.

Usiłowała kpić z własnej głupoty - coś podobnego! Składanie do kupy skrawków papieru - zamknęła tylko jednak oczy i wzięła głęboki, kojący nerwy oddech.

Raine Hawthorne.

Minęło już tyle lat od czasu, gdy przekazał jej swoją ogromną fortunę wraz z kopią zaproszenia, jakie po je-

go śmierci rozesłano do znamienitości Nowego Jorku, zaproszenia na wspomnieniowe przyjęcie w jej rodzinnym Blakemore House na Manhattanie. Lily obiecała leżącemu na łożu śmierci Raine'owi, że owa uroczystość się odbędzie, nieświadoma była jednak tego, że ujawniony wówczas zostanie pośmiertny dar, jakim ją uszczęśliwił.

Dar.

Który na zawsze odmienił jej życie. Który sprawił, iż skazana została na banicję i znalazła się w Tarrytown, odległym o tyle godzin jazdy od jej domu na Manhattanie.

Mogła określić dokładnie moment, w którym jej życie radykalnie się zmieniło. Co do minuty. Było to dzieśnięć lat temu, 16 marca 1886 roku. Piętnaście po ósmej wieczorem. Pamiętała, iż stojący w holu Blakemore House zegar dziadka wydzwaniał właśnie kwadrans.

Zarówno na jawie, jak i we śnie wciąż miała przed oczami ozdobne wzory zagranicznej tapety, ciężkie aksamitne kotary, wiszące po bokach wielkich okien, a za nimi nocne niebo rozjaśnione srebrem gwiazd. Była to piękna noc - taka, której, jak orzekła w duchu, nigdy się nie zapomina. Dziwne, jak niektóre rzeczy sprawdzają się, choć w całkiem odmienny, niż mogła przypuszczać, sposób. Tej nocy nigdy nie zapomni, choć im więcej czasu dzieliło ją od niej, tym bardziej wolałaby o niej nie pamiętać.

Mogłaby opisać szczegółowo kryształowy kandelabr rzucający wokół złote światło oraz to, jak zmieniły się twarze ludzi zgromadzonych w salonie na wieść o owym darze - uprzedni wyraz szacunku zastąpiło oburzenie, które zmroziło oblicza obecnych niczym srogi powiew zimowego wiatru.

Dar wywołał skandal.

Och, Raine, pomyślała ze smętnym uśmiechem, potrząsając z lekka głową, zawsze wiedziałeś, jak skupić

uwagę wokół siebie. Gdybyś tylko mnie nie wciągał do swego planu. Każąc mi ujawnić twój dar. Powodując, iż wszyscy uwierzyli, że go zaakceptowałam. Czyniąc mnie współwinną własnej destrukcji.

Owego wieczoru przed dziesięciu laty przedstawiciele nowojorskiej elity stali oniemiałi, zszokowani, i dopiero po chwili rozległy się szepty. Każda z osób widziała odtąd w Lily wszystko, co najgorsze. Awanturnica, dawało się słyszeć wśród narastającego szumu wachlarzy. Zawsze taka była. Dzięki Bogu, że jej rodzice nie doczekali takiej hańby.

Na ustach Lily nie zagościł tej nocy uśmiech. Była zaszokowana jak wszyscy. Zaszokowana i dotknięta do żywego. Zraniona boleśnie. Lecz cóż mogła powiedzieć? Jak się bronić? Nie była awanturnicą. W żadnym razie. Chciała po prostu żyć. Pełnią życia. Radośnie. Ale nikt tego nie rozumiał, nigdy. Prawdę mówiąc, była już napiętnowana, zanim poznała Raine'a. Dopiero jednak oburzenie, jakie wywołał dar, rozwiązało języki przyjaciółom jej rodziny i mogli wreszcie powiedzieć, co naprawdę o niej myślą. I mówili - z perwersyjną satysfakcją.

W istocie rzeczy na długo przed tą nocą życie Lily legło w gruzach. Raine Hawthorne przypieczętował tylko jej los.

Scena ta wraziła się w jej umysł niczym dagerotyp i prześladowała ją w nieskończoność. Mijały lata, a ona wciąż powracała do tego obrazu, analizowała go na różne sposoby, dodając rozmaite zakończenia. Jak gdyby była to sztuka, której poszczególne sceny po wielekroć przepisywała na nowo. Lecz dagerotyp pozostawał ten sam, historia nie dawała się zmienić.

Od tej fatalnej nocy minęło dziesięć lat. Lily nie była już młodziutką panienką. Miała lat dwadzieścia dziewięć

i jak na te okoliczności urządziła się w życiu dość wygodnie. Przysięgła sobie, że nigdy już nie wróci do tego domu, do tych ludzi. I jak dotąd, dotrzymała przyrzeczenia.

Czasy się jednak zmieniły, pomyślała. Oto jutro jedzie do Nowego Jorku, wraca do Blakemore House.

Zapakowała do torby podróżnej ogromną ilość rzeczy, bez ładu i składu, względami praktycznymi w ogóle się nie kierując. Ciemnoniebieskie boa z piór, kilka brzęczących bransoletek, mnóstwo pantofli - uwielbiała pantofle - oraz cienką porcelanową filiżankę ze spodeczkiem; ze wszystkich posiadanych przedmiotów ten komplet ceniła najbardziej. Dostała go od matki, która z kolei otrzymała go od swojej - od pokoleń przechodził z matki na córkę. Taka tradycja. Ową porcelanę zapakowała szczególnie starannie. Resztę rzeczy prześle jej później.

Powóz zajechał przed dom. John Crandall zajął się wszystkim, wynajął powóz i stangreta, mimo iż twierdził, że Lily nie powinna wracać na Manhattan. Lecz przecież nie mogła postąpić inaczej.

Wzięła głęboki oddech i rozprostowała ramiona. Popatrzyła na człowieka, który po wybuchu skandalu okazał jej tyle życzliwości, i w duchu zadała sobie pytanie, jak będzie się czuła, obcując z innymi ludźmi. W Tarytown nie udzielała się towarzysko i przywykła już do samotnego życia. Wielką radość sprawiały jej długie spacerunki po okolicy. W tym leżącym na północy miasteczku nie było nikogo, z kim mogłaby się zaprzyjaźnić, ale spotykani na ulicach ludzie pozdrawiali ją serdecznie.

Na samą myśl o powrocie do miejsca, gdzie wypadła z łask swego środowiska, serce w piersi zaczynało jej łomotać, a żołądek podchodził do gardła. Nie bywała w towarzystwie od lat, mówiąc ściślej - od lat dziesięć-

ciu. Jej liczne podróże do odległych zakątków świata nie zapełniały rzecz jasna tej luki. Picie kawy z glinianych kubków na arabskiej pustyni w otoczeniu beduinów czy też spożywanie egzotycznych posiłków w afrykańskiej dżungli nijak się nie miało do celebrowania popołudniowej herbaty w salonach Manhattanu. Tak dawno w tym nie uczestniczyła, że nękała ją obawa, czy potrafi się odpowiednio zachować w eleganckim towarzystwie - jak ma siedzieć, co ma mówić? Czy zapamiętała cokolwiek z przeszłości?

Tak czy owak wraca do Blakemore House, jedzie do domu, w którym się urodziła i wychowała. Zgodnie z wolą jej brata. U progu śmierci, która nastąpiła przed czterema miesiącami - lekarze orzekli, że zmarł na serce - Claude Blakemore wezwał siostrę, by zaopiekowała się jego osieroconymi już przez matkę dziećmi.

Od czasu wyjazdu Lily z Manhattanu Claude słowem się do niej nie odezwał. Dlaczego zatem, myślała, wymusił na niej ten powrót do domu rodzinnego?

Oczywiście. Dzieci. Bratanice i bratanek.

Znała tylko Roberta. Ciepły uśmiech rozjaśnił jej twarz. Kochany mały chłopczyk, który zarzucał jej na szyję swe wątkę ramionka. Czy aby ją pamięta? Uśmiechnęła się sarkastycznie. Oczywiście, że nie. Miał przecież zaledwie dwa lata, gdy wygnano ją z domu.

Bratanice? Jak się nazywają? Do kogo są podobne? Do Claude'a? A może trochę do niej?

Brat Lily był bardzo przystojny. Czarujący. Zawsze wszędzie chodzili razem. Śmieli się, bawili.

Gdyby chciała być wobec siebie całkiem szczerą, musiałaby przyznać, że ta wyprawa zarówno ją przeraża, jak i budzi w niej dreszcz emocji.

A może sytuacja okaże się całkiem inna? Może zapo-

mniano o tym, co się wówczas wydarzyło? W końcu dziesięć lat to szmat czasu.

Iskierka nadziei zabłysła w jej sercu, złudnej nadziei, zbeształa się w duchu, lecz iskierka dalej się tliła. Fakt pozostaje faktem - wraca do domu. Po dziesięcioletniej banicji. Musi uczynić zadość ostatniej prośbie brata.

1

Nowy Jork, 1896

Gdyby nie drażący go tego wieczoru niepokój, nie doszłoby do tego. Nie doszłoby do spotkania.

W środę rano Morgan Elliott dowiedział się, że w Blakemore House potrzebny jest dozorca i majster. W czwartek został już zatrudniony. Nie po raz pierwszy zabiegał o posadę majstra w Blakemore House, ale aż do dziś wszelkie próby kończyły się fiaskiem.

Nieważne, że przez tyle lat mieszkał w Nowym Jorku, w gruncie rzeczy zawsze był człowiekiem Wirginii, południowcem z krwi i kości. Wszelkie matactwo sprzeczne było z jego naturą. Nie widział jednak innego sposobu zdobycia niezbędnych mu informacji. Pozwalających w końcu dopaść Johna Crandalla.

Żrenice Morgana zwęziły się w nagłej determinacji, a jego jak wyrzeźbionym dłutem artysty ciałem wstrząsała dreszcz. John Crandall był dobrze prosperującym biznesmenem. Ciesząc się zaufaniem gubernatorów i prezesów. Lecz dla Morgana nie ulegało wątpliwości, że te wszystkie układy i powiązania mają charakter przestępczy. Z przestępstw właśnie płynęły pieniądze, za które Crandall zbudował sobie dom w sąsiedztwie Vanderbiltów. Z przestępstw płynęły pieniądze wydawane na ekstrawaganckie przyjęcia, którymi chciał niewątpliwie olśnić wysoko postawione osobistości utrzy-

mujące z nim bliskie stosunki. Morgan był tego pewien, czuł to przez skórę.

Zaczęły w dodatku krążyć plotki, że John Crandall zamierza się ubiegać o fotel gubernatora. Elliott chciał pokrzyżować mu plany. Lecz w tym celu musi zdobyć dowody przestępstw tego człowieka. Niełatwa sprawa. Nie miał takich możliwości, nie miał szans przedarcia się przez kordon tworzony przez jego popleczników. Aż do tej pory.

Jak się dowiedział, niejaka Lily Blakemore, była kochanką Crandalla. I okazało się, że taż niewiasta potrzebowała majstra, który dokonałby w jej domu niezbędnych napraw.

Minęły trzy długie, upalne letnie dni, zanim Morgan został w jej domu zatrudniony - trzy długie, upalne, denerwujące dni, nim ujrzał tę kobietę. Nie widział jej dotąd nawet z daleka, nie słyszał dźwięku jej głosu. Nic, co by potwierdzało, że, jak wieść niosła, wróciła do miasta, do domu, w którym podobno urodziła się i dorastała.

Dręczony niepokojem wyszedł ze znajdującego się na tyłach Blakemore House domku. Było już dobrze po zachodzie słońca, całkowicie skryło się za linią horyzontu, i wtedy właśnie zobaczył ją.

To musi być ona, orzekł w duchu, zmarszczywszy czoło. No bo któż by inny? Któż inny stałby w otwartych na oścież drzwiach ganku, wśród powiewających białych firanek?

Patrzył. Gdyby usłyszał muzykę, głośny śmiech, gdyby ujrzał tańczące pary, uwierzyłby wówczas własnym oczom, przekonał się, że to właśnie ona. Lecz nie było muzyki, nikt nie tańczył, a jeśli nawet ona się śmiała, to odgłos śmiechu do jego uszu nie docierał.

Stała tyłem do niego, włosy miała rozpuszczone. Przyjrzawszy się dokładniej, stwierdził, że była w szlafroku

z miękkiej materii. Zapiętym pod szyję, ozdobionym na dole koronką. Białą. „Księżniczka w bieli koronek.”

Myśl tak sformułowana zaskoczyła go, zacisnął szczęki. Nigdy jej dotąd nie widział, ale znał ten typ kobiet. Wyglądała niewinnie jak pensjonarka, lecz to tylko pozory.

Fałdy skromnego szlafroka nie zdołały ukryć krągotności jej kształtów - poeci na równi z ludźmi interesu zawsze i wszędzie toczą walki i umierają za takie właśnie niewiasty.

Uświadomiwszy sobie, że stoi, jakby go zamurowało, i wpatruje się w nią, podobnie jak to czyniło zapewne wielu mężczyzn, postąpił, stłumiwszy przekleństwo, parę kroków do przodu; gniew zawrzał mu w sercu. Nie zważając na względy przyzwoitości, które nakazywały dyskretnie się wycofać, odezwał się, a jego głos rozległ się echem w księżycowej poświacie.

- Witam panią.

Obejrzała się spłoszona, stanęła twarzą do niego, biały szlafrok zawirował wokół jej stóp, delikatnych, bosych.

Mimo gniewu doznał dziwnego wrażenia, jak gdyby wyciągnąwszy rękę, dotknęła go. Zaskoczony własną reakcją poczuł żar w całym ciele. Pragnął jej.

Stało się to tak nagle, a uczucie było tak intensywne, że aż zaklął w duchu. Spojrzał jej w oczy, przepastne, i jego pożądanie przerodziło się w coś, co trudno mu było określić.

Przywdział maskę na twarz, by ukryć zdrożne myśli, które nagle nim owładnęły. Może się mylił. Z całą pewnością. To nie mogła być ona. To nie mogła być ta kobieta, którą cały Nowy Jork nazywał „Karmazynową Lily”. Zmrużył oczy, usiłując zapanować nad emocją, której sobie nie życzył. Kim była ta kobieta? - zastanawiał się, biorąc głęboki oddech, by jakoś dojść ze sobą do ładu.

A ona stała nieruchomo, włosy miała tak ciemne, że prawie czarne, a płeć tak białą jak otulająca jej postać firanka. Usta pełne, czerwone, zmysłowe. Wyraźnie drżące. I te oczy. Niebieskie. Szeroko rozwarłe. Wilgotne od łez.

Spoglądając w jej oczy, Morgan nie przypuszczał, że dostrzeże w nich pustkę, jak gdyby coś im zostało odebrane, jakby czegoś im brakowało.

Od dawna tłumione instynkty dały o sobie znać. Zapragnął z nagłą wziąć tę kobietę w ramiona.

- Co się stało? - zapytał.

Spojrzała na niego po raz pierwszy, wyciągnęła ku niemu dłonie pokryte krwią.

Serce waliło mu jak młotem.

- Co się stało, na litość boską? - powtórzył. Ruszył ku niej zdecydowanie.

Milczała zrazu, przyglądała się wciąż swoim dłoniom, jakby w nich szukając odpowiedzi.

- Oni mnie nienawidzą - szepnęła wreszcie łamiącym się głosem.

Słowa jej, rzucone w mrok ciepłej nocy, ledwo były słyszalne, lecz wryły mu się w świadomość.

- O czym pani mówi? - zapytał, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Zbliżył się do ganku i ujrzał na jego białej ścianie napis. Czerwoną farbą. A więc to nie krew plamiła jej dłonie.

K a r m a z y n o w a Lily.

Dwa słowa. Namalowane zdecydowaną ręką. Zwykłe słowa, ale tak wiele mówiące.

Serce przestało szaleńczo bić. Nie mylił się więc. To była ona. I oczywiście, oni jej nienawidzili. Wiedział o tym. Ale to nie był powód, dla którego znalazł się tu.

Natężył umysł - starał się powiązać to, co o Lily Blakemore było mu wiadomo, z wizerunkiem tej oto zroz-

paczonej, bezradnej istoty, która stała przed nim. Lecz zanim zdołał uporządkować myśli i uczucia, niewiasta opadła na kolana i z zapamiętaniem jęła ścierać wymalowane na ścianie jej imię.

Morgan stał w milczeniu. Bez ruchu. A ona wciąż zeskrobywała i zmazywała świeżą farbę z tynku - wszędzie wokół czerwień, lśniące łzy i słowa rzucane niespójnie.

Owa scena na długo pozostała mu w pamięci - wracała doń uporczywie. Kobieta-dziecko głęboko zraniona. Na jej obszytym koronką szlafroku widniały czerwone plamy. Powinien coś przedsięwziąć. Bez chwili namysłu, zapominając o przyczynach swojej obecności w tym domu, wszedł na ganek i delikatnie odciągnął ją od ściany.

- Proszę przestać - wyszeptał łagodnie. - Wyrządzi pani sobie krzywdę. Ja to zrobię.

Upłynęła chwila, zanim, siedząc na zgiętych nogach, odchyliła się do tyłu. Spojrzenie jej niebieskich oczu zniewalało. Elliott nie panował nad sobą. Była tak piękna. Żadne słowa nie byłyby w stanie oddać blasku jej urody. Teraz rozumiał, dlaczego wszyscy mężczyźni na świecie szaleli za nią. Dlaczego nie mogli się jej oprzeć.

Wyciągnął dłoń i delikatnie odsunął z jej czoła lok ciemnych włosów.

- Proszę poczekać - rzekł. Usiłował wstać, lecz ona chwyciła go za nadgarstek, zostawiając na nim czerwony ślad. Spojrzenia ich się spotkały, jej oczy błyszczały dziko.

- Przyniosę wodę i jakąś farbę - powiedział cicho.

Popatrzyła mu głęboko w oczy, jak gdyby w przekonaniu, że im głębiej w nie zajrzy, tym większą prawdę z nich wyczyta. Domyślał się, że ta kobieta nikogo nie darzy zaufaniem. Nie wierzy nikomu. Prawdopodobnie przeżyła ból zdrady. Ale kto zadał jej ten ból?

Ze zmarszczonym czołem wstał niezdarnie i rozejrzał się dokoła.

- Wrócę niebawem - rzekł.

Po paru minutach był już z powrotem; z szopy przy domku, w którym mieszkał, przyniósł wiadro wody, szczotkę, szmatę i białą farbę. Wyraz ulgi pojawił się na twarzy kobiety, gdy go zobaczyła. I całkiem niespodziewanie sam się uśmiechnął.

- Proszę spojrzeć - powiedział z taką łagodnością, o jaką nikt, kto go znał, nie mógłby go posądzić. I zademonstrował jej swoją zdobycz.

Nie odwzajemniła mu się uśmiechem; chwyciła wiadro, szmatę i obróciła się ku jadowitemu napisowi. Morgan zawahał się chwilę, po czym klęknął obok niej.

Księżyc wędrował po niebie, a oni pracowali ramieniem przy ramieniu. Jedynie plusk wody i szelest pocierania ścierki o drewno maścił ciszę nocy. Gdy już udało im się zetrzeć i wymazać czerwone litery, a wraz z nimi warstwę starej białej farby pokrywającej ścianę, usiedli oboje na podłodze ganku. I choć Morgana nie interesował efekt wykonanej pracy, przepełniało go dziwne uczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Uśmiechnął się, licząc na to, że i ona się uśmiechnie. Lecz Lily wpatrywała się w ścianę, a w jej niebieskich oczach nadal czał się niepokój. Dlaczego wciąż tam patrzysz? - chciał ją zapytać. I ponownie próbował przypomnieć sobie to, co o niej wiedział. Czy też to, co sądził, że wie.

- Musimy to pomalować - rzekła stanowczo, nie odrywając wzroku od ściany.

Powiedziała to z przekonaniem, ale spokojnie. Dźwięk głosu równie miękki, jak materia jej szlafroka, pomyślał.

Zapał w ścieraniu czerwonych liter ustąpił miejsca wy-

czerpaniu. Skuliła ramiona, opuściła obrzmiałe od łez powieki. Powinna teraz iść spać, zapomnieć, orzekł w duchu.

- Jeszcze nie - odparł. - Drewno jest zbyt mokre.

- Musimy. Bo w przeciwnym razie... - Podniosła nieco głos. - Dzieci to zobaczą.

Mimo późnej godziny rozległo się gdzieś w oddali szczekanie psa. Raz, drugi i cisza. Żadnego znikąd dźwięku. Dziwne jak na tak wielkie miasto. Wszędzie przecież mnóstwo ludzi. I pojazdów różnego rodzaju. Tramwaje konne, wozy przeciskające się po zatłoczonych ulicach.

Po wyjeździe z Wirginii Morgan przez całe lata poszukiwał spokojnego azylu w tym hałaśliwym świecie. Na próżno. Przemieszczał się stale z miejsca na miejsce, nieustannie pochłonięty pracą. Wiedział, że mówiono o nim, że jest stuknięty. Ma obsesję. On tak nie uważał. Ci, których kochał, już nie żyli. Jego rodzice. Jenny. Dawno już zresztą zaniechał marzeń o spokoju.

- Niech pani idzie do domu i się wyśpi - powiedział. - Ja poczekam, aż ściana wyschnie. I wtedy pomaluję.

Obróciła się i popatrzyła na niego. Po raz pierwszy spojrzała na niego jak na mężczyznę, a nie jak na zwykłego przechodnia, który mignął jej na ulicy i którego nigdy ponownie nie spotka.

- Niech pani będzie spokojna - rzekł. - Pomaluję tę ścianę, zanim ktokolwiek w tym domu się obudzi.

- Na pewno? - Zmarszczki na jej czole wyraźnie znikły.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, a co więcej, nie mógł się powstrzymać od pieszczotliwego dotknięcia jej policzka.

- Tak, księżniczko, na pewno. I koniec z tym. Proszę się teraz wyspać.

Utkwiła w nim wzrok, jej wielkie niebieskie oczy błyszczały, i tym razem miły uśmiech pojawił się na

ustach. Zanim Elliott się zorientował, wyciągnęła ku niemu rękę o delikatnych, wąskich palcach. Niemal z czcią przycisnęła jej dłoń do swojej twarzy.

- Dziękuję - szepnęła.

Odeszła, i nagle w tym hałaśliwym świecie zapadła błoga cisza.

2

- Chcę z tym skończyć.

Morgan położył dłonie na pokrytym rysami biurku swego szefa, nie próbując nawet ukryć śladów po farbie. Nie zamierzał wyjawiać, czego był świadkiem tej nocy w Blakemore House. Był pewny, że do końca życia nie zapomni owych jaskrawoczerwonych liter na białej ścianie. Nie zapomni też wyrazu twarzy Lily Blakemore ani tego, jakie to na nim wywarło wrażenie. Nie chciał, żeby szef dowiedział się o tym incydencie, szef ani nikt inny. Jedynym dowodem tego, co się stało, były białe plamy na jego rękach.

Dziwna rzecz, lecz Morgan czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za tę kobietę. Oczywiście, istna głupota z jego strony. Przecież to była Karmazynowa Lily. Ale wyczytał z jej oczu coś, co poruszyło go do głębi i przez wiele jeszcze godzin nie dawało mu spokoju.

- Co oznacza, Walterze, że odchodzę.

Walter O'Malley odchylił się na oparcie swego obrotowego krzesła i przypatrzył uważnie stojącemu przed nim mężczyźnie. Zbliżał się do sześćdziesiątki, twarz jego nosiła ślady długoletniej ciężkiej pracy, ongiś rude

"włosy, sterczące niczym szczotka, przyprószone były siwizną.

Obrócił się ku policjantowi w niebieskim mundurze, którego Morgan uprzednio nie zauważył.

- Załatwiliśmy chyba, co trzeba, sierżancie Collins. Wracajcie na swoje stanowisko.

Sierżant, skinąwszy głową obu mężczyznom, ruszył ku drzwiom i wyszedł z biura.

Walter bez słowa wyjął ze stojącego na stole pudełka wielkie cygaro. Nie zwracał sobie głowy obcinaniem końca, nie zapalił też zapałki, tylko przyglądał mu się w milczeniu.

- Moja pani nie znosi cygar - mruknął pod nosem, bardziej do siebie niż do Elliotta.

- Walterze... - zaczął Morgan przyciszonym, ale stanowczym tonem.

Ten westchnął, opuściwszy głowę.

- No dobrze, ale czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, dlaczego chcesz odejść? Masz świetne układy.

Dał się słyszeć hałas zamykanych i otwieranych szuflad, najwyraźniej nocna zmiana szykowała się do domu, dzienna zacznie dopiero nadchodzić. Niebawem dobiegnie ich uszu zgiełk za drzwiami, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze za wcześnie. Za oknem biura O'Malleya, znajdującego się na drugim piętrze, widać było zaledwie nikłe oznaki wschodzącego słońca.

Sporo czasu Morgan mieszkał już w Nowym Jorku, ale wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tłumu ludzi i do budynków, które jak okiem sięgnąć ciągnęły się po obu stronach ulic. Wzbraniał się przed myślami o Wirginii i jej rozległych przestrzeniach. Lecz po ostatniej nocy znów nawiedziły go wspomnienia. Ciężko mu było na duszy. Usychał z tęsknoty. Do domu. Ale powrót do

tej pory był nierealny. Wykonywał powierzoną mu pracę, zajmował się śledztwem, jak to kiedyś ujął Walter. Morgan zbył ironią to określenie. Jakim śledztwem? Po prostu spełniał swój obowiązek, zabiegając o to, by prawnie dosięgło, kogo trzeba.

I nagle teraz poczuł się zmęczony życiem, jakie wiódł. Zmęczony budzeniem się co rano i nieustannym uświadamianiem sobie tego, gdzie się znajduje, w jaką wcielił się postać. Zapragnął wrócić do Wirginii. I zrobi to, pomyślał z determinacją, jak tylko wsadzi Crandalla za kratki. Nie chciałby jednak wciągać w tę sprawę Lily Blakemore.

- Mój dalszy pobyt w Blakemore House nie ma najmniejszego sensu.

- Nie ma sensu, powiadasz - rzekł Walter, kiwając głową w zamyśleniu. - Spójrzmy zatem na to z innej strony. Udało ci się tam wejść. Nareszcie. Masz doskonałe alibi. Mimo to uważasz, że odchodząc postępujesz sensownie? Hmm - mruknął, wciąż kiwając głową.

- Do diabła, Walterze! - Elliott odsunął się od biurka i przeczesał palcami gęstą, ciemną czuprynę. - Zaufaj mi, chłopie. Znajdę inny sposób, by go dopaść.

Lecz jeszcze nie dokończył zdania, a wiedział już, że to nieprawda. W ciągu ostatnich dwóch lat usiłował zdobyć informacje wśród ludzi związanych z Crandallem - bezskutecznie. Powrót Lily Blakemore, jej rzekomy związek z człowiekiem, na którego polował, i w końcu przyjęcie go tam do pracy w charakterze majstra wydało mu się szczęśliwym zrzędzeniem losu, darem niebios.

O'Malley odłożył cygaro, uśmiechnął się.

- Nie wiem, co się tam wydarzyło - rzekł, wzruszając ramionami - i jak najdalszy jestem od tego, by domagać się od ciebie odpowiedzi. W gruncie rzeczy nie chcę nawet

wiedzieć. I tak zrobisz, co zechcesz, obaj nie mamy co do tego wątpliwości. Dość masz pracy u mnie; szczerze mówiąc, dziwiłem się, że tak ci na niej zależało. Ale zależało, i ciężko się nad tą całą sprawą naharowałeś. Zastanów się zatem, Morgan, dlaczego chcesz rzucić tę robotę.

- Cholerna robota - burknął.

- Zgoda, cholerna, synu. Znam cię jednak dobrze i wiem, że jedynym człowiekiem, który mógłby dopaść Crandalla, jesteś ty.

Milczał chwilę, po czym znów sięgnął po cygaro i zaczął obracać je w palcach, nie odrywając od Elliotta podejrzliwego spojrzenia.

- Podobno jest piękna.

Piękna? Dobry Boże, pomyślał Morgan, gdybyż to można było tak prosto określić! Pamiętał, co czuł, gdy patrzył na jej bladą twarz o nieskazitelnym owalu, na jej przepastne niebieskie oczy, usta jak stworzone do pocałunku.

- No - ciągnął Walter z błogim uśmiechem, tak nie pasującym do jego zazwyczaj chmurnej twarzy - gdybym był młodszy, może i mnie przyszyłaby chęćka smalenia cholewek do tak pięknej kobiety.

Morgan obrzucił szefa złym spojrzeniem i odpowiedział lakonicznie:

- Uroda nie ma tu nic do rzeczy.

Wyciągając doń pojednawczo dłonie, Walter rzekł z "westchnieniem:

- Tak też przypuszczam. O ile zdołałem cię poznać, nie należysz do mężczyzn, którym niewiasta odbiera rozum. Dla ciebie liczy się sprawa. - Potrząsnął głową i zachichotał. - Szczęściarz z ciebie. Kobiety na pewno szalały za tobą, ale żadnej się nie udało cię usidlić. Gdybym spotkał cię wcześniej, mógłbym się tego i owego od ciebie nauczyć.

- Przecież ty, Walterze, jesteś po uszy zakochany w Maisy, co jest powszechną tajemnicą.

- Co prawda, to prawda - zgodził się O'Malley, wyszczerzywszy zęby w szerokim uśmiechu, który już zupełnie go odmienił. - Maisy to niewiasta w sam raz. Ale my nie mówimy o mnie, tylko o tobie. I do stu diabłów, Morgan, przez te ostatnie parę lat jak do syna się do ciebie przywiązałem, a wiadomo, że człowiekowi wieku nie ubywa.

- Z trzydziestką na karku nie stoję chyba nad grobem.

- Faktycznie, lecz mając twoje lata, byłem już żonaty i miałem pięcioro szkrabów. Powinieneś znaleźć sobie żonę. Ożeń się z kimś, kto nauczy cię sztuki uśmiechu. Kiedy ostatnio się uśmiechałeś, Morgan? - Walter uniósł rękę, jak gdyby chciał powstrzymać jego odpowiedź. - Nie, daruj sobie, i nie złość się, i nie miej do mnie pretensji. Pomyślałem tylko, że małżeństwo odmieni ci świat. - Pochylił się do przodu i wycelował w Elliotta swoje wielkie cygaro. - Lecz przedtem wróc do Blakemore House. I oddaj tam jeszcze jeden strzał. Zrzucić z siebie tę całą historię zarówno dla własnego dobra, jak i dla dobra Nowego Jorku. To moja jedyna prośba. Jesteś już tak blisko celu, masz szansę penetrowania środowiska Johna Crandalla.

Na dźwięk tego nazwiska Morgan wyprostował się, znowu miał przed oczami twarz tego człowieka. Próbował wyobrazić sobie u jego boku kobietę, którą spotkał ubiegłej nocy. Nawet teraz, po paru godzinach było to niemożliwe. Wiedział przecież, choćby z własnego doświadczenia, że Crandall należy do najniższego gatunku rodzaju ludzkiego. Zaś ubiegłej nocy... Lily... Jej związek z Crandallem? Jak to możliwe? Ten człowiek zasługuje tylko na pogardę. I ta myśl uprzytomniła mu właśnie, jak bardzo pragnie zniszczyć tego łotra.

Morgan nie zwracał sobie głowy tramwajem konnym, którym wiele ludzi jeździło za śmieszną opłatą w postaci pięciu centów. Nie chciał korzystać z czegoś, co przynosiło tak niski dochód. Przywołał zgrabną dwukólkę i kazał się zawieźć do siedziby Blakemore'ów na Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy; cieszył go stukot kopyt i kołysanie się małego powozika, który torował sobie drogę w gęstniejącym wciąż tłumie na Manhattanie.

Opędzał się od myśli o Crandallu... i Lily Blakemore, i o tym, jakie wzbudziła w nim uczucia. Lecz ani stukot, ani kołysanie się dwukółki nie pochłonęły go na tyle, by przestał myśleć o tym, że wydarzenia ubiegłej nocy wyparły z jego umysłu to wszystko, czym od tylu lat się zadręczał. Ze nagle Lily przepędziła te wspomnienia. Być może na krótko. Jednak nie istnieją. Nie ma Traya. Nie ma Jenny. Nie ma jej wyciągniętej ku niemu dłoni. Nie istnieje już odległość, którą musiał pokonać, aby ratować tamtą kobietę..

Bał się, że do końca życia będzie go nękał wyraz twarzy Jenny, gdy upadła, zwrócona ku niemu. W pewnej chwili z oczu jej zniknął lęk. Pojawiło się w nich... Co? Tyle razy się nad tym zastanawiał. Rezygnacja? Akceptacja śmierci? A może rozczarowanie? Nim? Oczywiście, że nim, przyznał z westchnieniem.

Przed laty obiecał Jenny, że będzie ją chronił. I nie ochronił. Boże, nie ochronił!

Przywarł plecami do oparcia dwukółki, chcąc skupić całą uwagę na mijanych pojazdach. Od dnia śmierci Jenny nie dopuszczał do siebie myśli o złożonej jej obietnicy - udawało mu się to aż do przybycia do Blakemore House. Dlaczego teraz?

Wyglądając przez małe brudne okienko powoziku, zacisnął szczęki z determinacją - nie poddawać się

wspomnieniom, skoncentrować się na zadaniu, jakie ma do wypełnienia. Przekleństwo wyrwało mu się z ust. Blakemore House.

Przypomniał sobie, jak rankiem przed trzema dniami zgłosił się tam jako kandydat do pracy, jak szedł obok kamerdynera uprawnionego do zatrudniania służby. Mimo iż solidny, miejski dom Blakemore'ów stał całkiem niedaleko od wspaniałych rezydencji, zdobnych marmurem i granitem, był w stanie kompletnej ruiny. Ogłoszenie, w którym była mowa, że potrzebny jest majster, było co najmniej nieporozumieniem. Należałoby bowiem nieruchomości zrównać z ziemią, aby architekt wraz z budowniczym mogli zacząć pracę od zera. Żaden zdrowo myślący człowiek nie uznałby, że zwykłe reperacje załatwią sprawę.

Gdy jednak Morgan stał w pustym hallu i patrzył na tę ruinę, nie przeżył chwili wahania, bo przyświecał mu jasny cel. Chciał dopaść Crandalla. Za wszelką cenę. Jeśli by nawet miał tłuc kamienie w pocie czoła, uczyniłby to niechybnie. Toteż bez namysłu przyjął tę pracę.

Ruch uliczny zmniejszył się nagle, więc dwukółka zdołała wreszcie przejechać przez niebezpieczne skrzyżowanie Broadwayu z Piątą Aleją. Potem już stukot końskich kopyt stał się miarowy i rytmiczny. Gdy Morgan ujrzał z dala oszkloną tabliczkę z napisem „Pięćdziesiąta Czwarta ulica”, zastukał w przegrodę dzielącą pasażera od stangreta, po czym zeskoczył na bruk Piętej Alei, naprzeciwko szpitala St Luke. Blakemore House stał wprawdzie przy ulicy Pięćdziesiątej Dzielącej, pomiędzy Szóstą a Siódmą Aleją, lecz Morgan pomyślał sobie, że krótki spacer dobrze mu zrobi. Odszedł, wręczyszy monetę stangretowi.

Po paru minutach usłyszał:

- Panie Elliott!

Zwolnił kroku i uświadomił sobie, że znajduje się właśnie na tyłach domu, do którego zmierzał.

- Dzień dobry, Cassie - rzekł, skinąwszy głową.

Cassie Blakemore była najmłodszym dzieckiem Claude'a Blakemore'a, zmarłego brata Lily. Morgan wiedział, że głównym powodem powrotu Lily na Manhattan była przedwczesna śmierć Claude'a. Dobrze pamiętał dzień, kiedy się dowiedział o zgonie trzydziesto-trzyletniego Blakemore'a i o tym, że osieroconymi dziećmi ma się zaopiekować jego siostra. Fakt ów przeraził cały Nowy Jork, a gdy Lily istotnie przyjechała i pokazała się publicznie, zdumienie mieszkańców miasta sięgnęło zenitu. Wieść o powrocie Lily ani nie przerażała Morgana, ani nie zdumiała. Wdzięczny był losowi, że panna Blakemore chciała zatrudnić majstra w swoim domu. Wdzięczny - aż do wczorajszej nocy.

- Panie Elliott!

Wyrwany z zadumy spojrział na dziewczynkę. Cassie miała sześć lat - długie loki okalały jej twarzyczkę w kształcie serca.

- Czekamy na pana - powiedziała, wygładzając fałdy sukienki, najwyraźniej dumna z opasującej ją krzywo szarfy, którą widocznie sama zawiązała.

Spojrząwszy w stronę drzwi kuchennych, Elliott zauważył jej starszą siostrę i brata, siedzących na stopniach ganku. Podczas krótkiego tu pobytu zdołał stwierdzić, że Cassie była najmilsza spośród trójki dzieci. Starsza siostra, Penelope, miała lat osiem, i Morga nowi nie zdarzyło się dotąd spotkać dziecka równie smutnego. Robert był najstarszy; zadufany w sobie dwunastolatek w okragłych okularach, który większość czasu spędzał nad książkami, czytając jedną po drugiej.

- Zamierzałam właśnie szukać pana na podwórzu -
odnajmła Cassie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Nie chciał, żeby ta mała urocza dziewczynka uznała go za swego przyjaciela. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, było obcowanie z dziećmi.

- Niepotrzebnie - powiedział, godząc się na to, by dziewczynka wprowadziła go do domu. - Przyszedłem właśnie i chętnie bym coś zjadł.

Rad był, że miał tu zapewniony wikt, jadał razem ze służbą - kamerdynerem i kucharzem - nie musiał więc troszczyć się o posiłki. Jadanie w kuchni, jedynym nie rozwalającym się pomieszczeniu, miało również inną zaletę: dawało większy wgląd w życie mieszkańców tego domostwa.

Przekonał się bowiem, że również dzieci spożywają tu posiłki. Rzecz całkiem zrozumiała, w jadalni panował chłód, a ponadto wymagała wielkiego nakładu pracy, aby można było z niej korzystać. W dodatku znajdowała się na samym końcu planu działań majstra. Najpierw należało zabrać się do uszkodzonych zaworów gazu, nieszczelnych instalacji kanalizacyjnych i podłóg, w których brakowało desek. Uśmiech wypłynął mu na usta. Musiał przyznać, że całkiem nieźle sobie radzi z tym nawałem pracy stolarsko-ślusarskiej.

Cassie wdrapała się na swoje krzesło. Penelope usiadła na swoim. Robert też zajął miejsce przy stole i natychmiast zagłębił się w lekturze. Morgan zamierzał właśnie zwrócić mu uwagę, że nie czyta się przy stole, lecz w porę się powstrzymał. To nie jego sprawa. Jego sprawa to znalezienie dowodu, iż Crandall jest kryminalistą — mało go obchodzi doprowadzanie domu do porządku, a jeszcze mniej uczenie dzieci Blakemore'ów dobrych manier.

Zamknął za sobą drzwi, zamierzając dołączyć do dzieci siedzących przy stole - jak się okazało, pustym.

- Gdzie jest śniadanie? - zapytał, rozglądając się za kucharzem, i nagle dotarło do jego świadomości, że w kuchni jest zimno i oprócz nich nikogo tu nie ma.

Dzieci także zauważyły, że nic się tu nie dzieje. Ale zanim któś z nich się odezwał, drzwi od hallu otworzyły się i stanęła w nich panna Blakemore.

Lily.

Boże, pomyślał Morgan, jaka ona piękna. Oszałamiająco piękna. Promienna. Oczy niebieskie jak szafiry.

Ogarnęła go przemożna chęć przytulenia jej do siebie, mocno, by poczuć jej ciało przy swoim. Chciałby ją zapytać, jak się czuje, czy nic jej nie dolega.

Po minionej nocy zdał sobie sprawę, że coś się w jego życiu zmieniło. Jak gdyby w jakiś sposób, którego wyjaśnić nie potrafił, zawładnął tą kobietą, jak gdyby w pewnym sensie należała do niego.

Jak gdyby odnalazł to, czego szukał przez całe życie.

Wbrew wszystkim swoim porannym przemyśleniom, dotyczącym zadania, jakie winien spełnić, John Crandall stał się raptem dla niego nieważny. Ważna była tylko Lily.

- Dzień dobry, dzień dobry - zaśpiewała, wchodząc. - Okropnie, wręcz rozpaczliwie łaknę kawy.

Różnica w jej zachowaniu była szokująca, ale właściwie nie dotarło to do świadomości Morgana. Machinalnie odsunął się od drzwi. Wtedy go dostrzegła. Patrzył jak zahipnotyzowany, gdy chwyciwszy oddech, uśmiechnęła się promiennie.

- Dzień dobry - rzekł. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmienił się na twarzy pod wpływem intensywnych emocji, do jakich nie przywykł. Płomiennym spojrzeniem ogarnął jej postać, chcąc się upewnić, czy nic jej nie jest.

W tej właśnie sekundzie nastąpiła w niej zmiana. Nic już nie powiedziała. Uśmiech zniknął z jej ust. Oczy przygasły, pojawił się w nich wyraz zatroskania, lęku, jaki dostrzegł wczorajszej nocy. Mógłby przysiąc, że ma teraz oto przed sobą kobietę smutną, zbolałą... i zakłopotaną. Dlaczego?

Wyciągnął ku niej dłoń. Ale ona uniosła dumnie głowę, obrzuciła go chłodnym, acz spokojnym spojrzeniem, i wtedy sobie pomyślał, że tylko mu się zdawało - żadne zakłopotanie nie wchodziło tu w grę.

- Kimże pan jest? - zapytała, jakby był jakimś mało ważnym, niezapowiedzianym gościem.

Przypuszczał, że powie mu „dziękuję”, że uśmiechnie się nieśmiało. Lecz takiej reakcji się nie spodziewał. Takiej absolutnej obojętności. Opuścił dłoń.

Zauważył przy okazji, że skromny szlafrok z ubiegłej nocy zamieniła na elegancki, powiewny, ciemnoniebieski peniuar, który nie pozostawiał wątpliwości, jak wspaniałe ciało kryje się pod nim. Kształty, które aż się prosiły o pieszczotę. Zaczesane do góry włosy sprawiały wrażenie, że wystarczy wyjąć szpilkę, by kaskadą opadły na ramiona. Wąskie boa z piór otaczało jej szyję. Przestrzegała mody, przynajmniej buduarowej. Bywał w licznych, bardzo licznych buduarach, należących przeważnie do najpiękniejszych i najbogatszych kobiet świata. Londyn, Paryż, Nowy Jork...

Czarne oczy Morgana rzucały ostre jak sztylety błyski. Znał ten rodzaj niewiast, znał aż za dobrze. Kobieta, która ubiegłej nocy ukoiliła jego serce, przywdziała dziś taki strój, jakby czekała na kochanka, a na niego patrzyła tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

Czul, że w jego umyśle dokonuje się jakaś zmiana, staje się znowu tym człowiekiem, jakim był od wielu już lat. O Boże, jakież byłem głupi! - pomyślał.

- Zatrudniono mnie tu w charakterze majstra - oznajmił lodowatym tonem.

- Żadnego majstra nie zatrudniałam - rzekła, a głos jej zabrzmiał władczo.

Wzruszył ramionami.

- Pani - nie, ale uczynił to pani kamerdyner.

- Kamerdyner?

- To prawda, Lily - wtrącił Robert i spojrzał na nią ponad złotą oprawką swoich okularów; w jego głosie wyczuwało się pogardę. - Ten kamerdyner, którego zwolniłaś przed dwoma dniami i nie zatrudniłaś nikogo na jego miejsce.

Jej oczy odrobinę złagodniały, nie porażały już takim chłodem. Wyprostowała ramiona i podeszła do płyty kuchennej.

Poruszała się z taką gracją, o jakiej większość kobiet mogłaby tylko marzyć, z taką gracją, że żaden mężczyzna, od młodzika po starca, nie potrafiłby się jej oprzeć - i nie opierał się, jeśli te wszystkie historie, które Morgan słyszał, zgodne były z prawdą. Zaciśnęła usta.

- Och, Lily - szepnęła Cassie; w jej szeroko rozwartych oczach malował się podziw. - Tak pięknie dziś wyglądasz. Pozwól, że ja zrobię ci kawę.

Lily spojrzała na dziewczynkę. Twarz jej rozświetlił uśmiech, a zarazem pojawił się na niej wyraz zaskoczenia i niepewności.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała ciepło. - Ale nie ma takiej potrzeby. Sama dam sobie radę.

Penelope prychnęła ironicznie.

W tym momencie Lily się roześmiała - wyraz niepewności zniknął z jej twarzy. Morgan pomyślał, że zdołała się rozprężyć.

- Dzień dobry, Penny, kochanie - powiedziała dźwięcznym głosem.

- Mam na imię Penelope - oświadczyła dziewczynka przez zaciśnięte zęby.

- Oczywiście, przypomniałaś mi już o tym. A ja znowu zapomniałam. - Lily spojrzała na płytę kuchenną. - Co z tą kawą?

Penelope skrzyżowała ramiona z wyraźną irytacją i mruknęła coś niezbyt przyjemnego pod adresem ciotki. Robert potrząsnął głową z wyraźną niechęcią - Morgan nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości - po czym ostentacyjnie wrócił do lektury. Wniosek był oczywisty: jedynie Cassie żywiła do swej ciotki jakieś przyjazne uczucia.

- Ani kawy, ani śniadania? - burknęła Lily, patrząc na pusty stół.

- Po zwolnieniu kamerdynera odprawiłaś również kucharza, nie pamiętasz? - wtrącił Robert drwiąco, nie kryjąc oburzenia.

Pochyliła głowę w zadumie.

- Tak, istotnie. - Roześmiała się. - Byli okropni. - I nagle spoważniała. - Według mojej opinii to byli szpiedzy.

- Szpiedzy! - wrzasnęła rozzłoszczona Penelope. - Harold i Nan służyli nam od lat. Co ci przyszło do głowy, żeby posądzać ich o szpiegostwo?

- Widziałam, jak rozmawiają z jednym z tych dziennikarzy, którzy myszkowali koło domu.

- Co za dziennikarze? - zapytał Elliott, zmrużywszy oczy. Bardzo byłby nierad, gdyby jacyś reporterzy kręcili się tu i zauważyli jego obecność. Crandall to niebezpieczny człowiek i Morgan musiał się mieć na baczności. - Co za dziennikarze?

- Ojej - Lily machnęła lekceważąco ręką - reporterzy z „The World” i z „The Times”. - Rozejrzała się dokoła. Po chwili wzrok jej zatrzymał się na Morganie i wyglądało na to, że rozważa w duchu jakiś problem. - Zastanawiam się, panie...

- Elliott. Morgan Elliott.

- A więc zastanawiam się, panie Elliott, czy czasem nie umie pan gotować. Przynajmniej zaparzyć kawę?

Miała czelność uśmiechać się do niego, sztucznie, nienaturalnie, i Morgan poczuł, jak żelazna obręcz ścisła mu pierś. Czy doprawdy to ta sama kobieta, z którą ramię przy ramieniu pracował ubiegłej nocy? Gdyby nie charakterystyczne ślady po farbie na jej rękach, gotów byłby przysiąc, że ma do czynienia z kimś innym.

- Nie, panno Blakemore - odparował. - Nie jestem tu do gotowania czy parzenia kawy. Jestem po to, by wykonać liczne reperacje w pani domu.

- Może zatem wie pan o jakimś kucharzu czy kucharce?

- I kamerdynerze - dodał Robert.

- Nie - oświadczył Morgan chłodno. - Nic mi nie wiadomo o ewentualnych kandydatach.

- Hmm... - Lily komicznie ściągnęła usta, zastanawiając się nad sytuacją. - No więc chyba wyjście jest jedno - rzekła w końcu, zawijając po łokcie rękawy peniuaru. - Ja dziś zrobię śniadanie, a potem poszukam kucharza i kamerdynera. - Mrugnęła do Roberta, który burknął coś i wrócił do swojej książki.

Bez chwili wahania przystąpiła do dzieła. Morgan, Penelope i Cassie przyglądali się jej uważnie. Nawet Robert oderwał wzrok od lektury. Lily podreptała w stronę obszernej spiżarni, wysokie obcasy jej pantofelków stukały o wyłożoną kafelkami podłogę, otwo-

rzyła drzwi i zajrzała do środka. Stała w progu przez jakiś czas. Elliott już miał ją zapytać, czego szuka, gdy odwróciła się i podeszła do chłodziarni. - Hmm - usłyszeli jej pomrukiwanie, gdy dokonywała pobieżnego przeglądu zawartości szafy.

Wreszcie, wzruszywszy ramionami, obróciła się ku nim - w jednej ręce trzymała pojemnik z kawiozem, w drugiej butelkę szampana.

- *Voilà*}. Oto śniadanie! Wiedziałam, że musi się znaleźć coś do jedzenia.

Cassie jęknęła z zachwytem, Penelope otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy.

- Coś podobnego! - warknął Robert, podskoczywszy na krześle.

Morgana zamurowało. Stał nieruchomy, milczący. W końcu ujął się pod boki i zaklął pod nosem.

- Kawior i szampan, panno Blakemore? - zapytał ostro. - Dla dzieci?

Wykrzywiła w figlarnym uśmiechu czerwone wargi i Morganowi przyszła nagle do głowy dziwaczna myśl, że ona robi to celowo, że zgrywa się, chce wywołać oburzenie. Ale przecież to absurd. Ona jest Karmazynową Lily. Tego ranka przekonał się o tym dobitnie.

- Ma pan lepszy pomysł, panie Elliott? - zapytała ze wzburzeniem.

- Na przykład jajka na szynce na początek - zaproponował.

- Nie znam się na gotowaniu - rzekła ze śmiechem, niespeszona ostrym tonem jego głosu. - Znam jednak fakty: nie ma tu ani jednego jajka, ani jednego plasterka szynki, przynajmniej w tej spiżarni. Jest natomiast mnóstwo...

- Kiedy ostatnio miała pani do czynienia z dziećmi? -

zapytał zagniewanym głosem, od którego, zdawało się, zadrżały ściany domu.

Triumfalny uśmiech znikł z jej ust niczym kropla wody pod promieniem słońca w upalny dzień. W jej niebieskich oczach pojawił się nagle smutek i Morgan zapomniał o gniewie, zastanawiał się tylko, co było przyczyną tak raptownej zmiany jej nastroju. Nie znoził u siebie tego rozczulenia, miał sobie za złe, że oto znowu chce się do niej zbliżyć, wziąć ją w ramiona. I pomyślał, że aby usunąć z jej oczu zatroskanie, gotów byłby malować tę cholerną ścianę w nieskończoność.

- Lily - odezwała się Cassie ciepło, serdecznie, starając się najwyraźniej poprawić ciotce nastrój - kawior z szampanem to wspaniała rzecz, nawet jeśli nie jest dla dzieci odpowiedni.

Lily obróciła się ku niej z uśmiechem, który jednak nie rozjaśnił jej oczu.

- Dziękuję, kotku - rzekła ze spokojem. - Ale pan Elliott ma rację. Nie pomyślałam o tym. Powinniście zjeść jajka na szynce i owsiankę. Nie kawior z szampanem.

Morgan był na siebie wściekły, jakby postąpił nad wyraz niestosownie. Potrząsnął głową, westchnął ciężko i powiedział:

- Chodźcie, dzieci. Zaprowadzę was gdzieś, gdzie dostaniemy śniadanie.

Przez sekundę nikt nie ruszył się z miejsca. Pierwszy, zręcząc coś pod nosem, wstał od stołu Robert. Potem Penelope. W końcu Cassie zsunęła się z krzesła.

- Pójdziesz z nami, Lily? - zapytała.

Ta spojrzała na Morgana, w oczach miała pustkę, lecz twarz jej zdradzała wzburzenie, jakby ciemne chmury przykryły niebo. I znowu Morganowi zdało się, że dostrzega u niej coś jakby zakłopotanie czy też bezradność.

Trwało to tylko chwilę, a gdy zaczęła mówić, usłyszał w jej głosie nutę przekory.

- Mam wychodzić z domu po to, by zjeść jajka na szynce? - zapytała, upierścienioną dłoń kładąc na głowie Cassie. - O, nie.

3

Lily chodziła w tę i z powrotem po grubym dywanie, śmieszny ptaszek z papier-mache sterczał z jej kapelusza.

- Mówiłam ci, nic z tego nie wyjdzie! Boże drogi, co też mojemu bratu przyszło do głowy?! Przecież ja nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci! - Obróciwszy się gwałtownie, tak że ptaszek omal nie wypadł ze swojego gniazda, stanęła na środku pokoju, uciął brzęk bransoletek na przegubie jej dłoni. - John, ty mnie wcale nie słuchasz!

John Crandall skrzywił się, schował do etui filigranowe srebrne pióro, po czym rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu stojącym w jego bogato wyposażonym gabinecie.

- Słucham, Lily.

- Nie dotarło do ciebie ani jedno moje słowo!

- Przeszło pół godziny uważnie ci się przysłuchuję.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Zbył to uśmiechem i zaczął recytować słowo po słowie z jej długiej tyrazy. Zaczął od tego, że zmuszona była wrócić na Manhattan, potem mówił o wszystkich zmianach w mieście, jakie nie przypadły jej do gustu, wreszcie

przeszedł do całej litanii problemów nękających ją w dzieciństwie.

- Dobrze już, dobrze - rzekła, odrzucając głowę do tyłu. - Udowodniłeś mi, że miałeś rację. - Zignorowała jego triumfalny uśmiezek.

Nie miała pojęcia, czemu zachowuje się tak infantylnie. To do niej niepodobne. Ale doprawdy nie mogła pojąć, dlaczego brat powierzył opiekę nad dziećmi właśnie jej. Wystarczyło parę dni spędzonych w Blakemore House, by zdążyła się przekonać, że do roli matki zupełnie się nie nadaje. Nie była tym zdziwiona. Nie była też zaskoczona stosunkiem do niej Roberta i Penelope. Od samego początku dali jej do zrozumienia, że nie potrafi sprostać żadnemu zadaniu.

Mówiła sobie, że przecież stracili ojca i nie ma znaczenia, że od jego śmierci minęły już cztery miesiące. Wiedziała z własnego doświadczenia, że czas nie wypełnia pustki. Dzieci uczą się dopiero przystosowywać do nowego życia. Odczuwała jednak ból na myśl, że bez względu na to, ile czasu upłynie, bratankowie jej osoby nigdy nie zaaprobują. O Boże, śpiewaliby niebiosom hymny pochwalne, a nawet tańczyliby na ulicach, gdyby spakowała manatki i wróciła do Tarrytown.

Ale Cassie lubiła ją. Kochana Cassie. Ogromna radość wypełniła serce Lily. I tak jak zawsze, gdy myślała o swojej najmłodszej bratanicy, postanowiła nie rezygnować. W domu porozmawia z nimi, zainteresuje się ich życiem, i może uda jej się znaleźć jakąś szparę w pancerzu, w którym zamknęli swoje serca.

John wstał i podszedł do niej. Jak na mężczyznę nie był specjalnie wysoki, ale miał w sobie coś władczego i na swój sposób był przystojny. Stali niemal twarzą w twarz. Delikatnie dotknął jej podbródka.

- Twoje miejsce, Lily, jest w Tarrytown - powiedziała. - Uprzedzałem cię, że przyjeżdżając tutaj, popełniasz błąd. Odwróciła się od niego.

- Mam rację, Lily - dodał niemal triumfalnie. - Pozwól, że zamówię ci powóz. I już dziś wieczorem będziesz w *Tarrytown*.

- Nie, John, nie mogę - odparła zdecydowanie. - Mój brat życzył sobie tego i będę mu powolna.

Zaskoczył ją wyraz gniewu, jaki pojawił się na twarzy przyjaciela. Zaraz jednak zniknął i można by sądzić, że uległa złudzeniu.

- No dobrze - rzekł z typowym dla niego uśmiechem. - Zostań więc tu. Nigdy nie przypuszczałem, że taka będzie twoja wola.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co usłyszałaś, nic ponadto. Jeżeli chcesz opiekować się dziećmi brata, twoja sprawa. - Spojrzał jej w oczy, przechylając głowę z niejakim zdziwieniem. - Nigdy nie podejrzewałem cię o posiadanie macierzyńskich instynktów.

- Bo ich nie mam - odparła ostro, stwierdzając z przykrością, że coś ją ścisnęło za serce. Dzieci i dom. Nie przepastne mauzoleum w Tarrytown. Lecz to nigdy nie wchodziło w rachubę. - Ja o te dzieci nie zabiegałam. *Poruczono mi je. I muszę się nimi zaopiekować. Hodowla koni to całkiem co innego, jeśli mogę się tak wyrazić. Koni nie prawią impertynencji.* - Jęknęła głośno. - No właśnie... - Zmarszczyła jasne jak porcelana czoło. - Muszę znaleźć kamerdynera i kucharza. I to zaraz. Oprócz małej Cassie, uroczę stworzenie, żadne z nich dziś rano nie zaaprobowało mojego śniadaniowego menu.

Crandall spojrzął na nią, zdziwiony ożywieniem w jej oczach.

- Nigdy nie sądziłem, że wiesz coś o kuchni i do czego ona służy.

- Może to i zabawne, John. - Wciągnęła haust powietrza. - Ale ja istotnie nigdy nie interesowałam się kuchnią. Gdybym lubiła gotować, gotowałabym. Lecz ja tego nie znoszę, doprawdy. Z tej przyczyny muszę znaleźć kogoś, kto by się tym zajął. - Potrząsnęła głową. - Nie mam zielonego pojęcia, jak się zabrać do szukania kucharza i kamerdynera. Pomóż mi, John. Jesteś przecież moim najlepszym przyjacielem.

- I jedynym, Lily.

Skuliła ramiona.

- Dzięki, że mi to przypomniałeś. - Chciała odejść, ale chwycił ją za ramiona i zatrzymał.

- Przepraszam. Nie gniewaj się - rzekł ciepło.

- Skądże, John. Wcale się nie gniewam. - Popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Naprawdę - dodała stanowczym głosem.

- Wiesz przecież, że zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc - oświadczył. - Czyż w ostatnich latach nie pomagałem ci, gdy znalazłaś się w potrzebie?

- Tak - odparła i westchnęła ciężko.

- No właśnie. I będę tak czynił przez następne. A więc wspomniałaś, że potrzebny ci kamerdyner?

- I kucharz.

Uśmiechnął się.

- Tak, i kucharz. A gdzie się podzieli ci, których zastałaś?

Spochmurniała wyraźnie.

- Zwolniłam ich, bo zauważyłam, jak rozmawiają z dziennikarzami kręcącymi się koło domu. - W oczach jej pojawił się smutek, poczuła się tak samo opuszczona jak ubiegłej nocy. - Wolałabym, aby moje nazwisko

nie pojawiło się znowu w gazetach. - Zrobiła głęboki wdech, dodając sobie w ten sposób animuszu. - Potrzebni mi są kamerdyner i kucharz, tak, ale muszą to być ludzie, którym mogłabym zaufać.

Zaufać. Czy to w ogóle jest możliwe? - myślała. Lecz przecież Johnowi zaufała. Choć lata minęły, nim zdołała się przełamać.

Z jego pomocą urządziła sobie jakoś życie i była z niego zadowolona. Aż do tej pory. Szczerze mówiąc, jej niepokój i niepewność tyczyły nie tyle bratanic i bratanka, ile owego nowo zatrudnionego majstra. Morgana Elliotta.

Na jego wspomnienie dreszcz przebiegł po jej ciele. Potrząsnęła głową, jakby chciała pozbyć się burzącego jej spokój uczucia. John, bliski czy mniej bliski przyjaciel, nieważne, ale nie chciała z nim ani z kimkolwiek innym rozmawiać na ten temat. Nie chciała mówić nikomu o ubiegłej nocy, kiedy to Morgan Elliott pojawił się w jej życiu. Nie powiedziała by też nikomu, jakich uczuć doznała tego ranka, kiedy ujrzała go po raz drugi. Zupełnie jak pensjonarka, która straciła głowę.

Morgan Elliott uratował ją, niczym rycerz, który się pojawił, zanim wpadła w otchłań. Nie zapytał ją o napis na ścianie, nie zapytał, dlaczego jakiś podły smarkacz albo obłudny niesmarkacz wymalował go. Po prostu ukląkł przy niej i w ciszy ścierał razem z nią czerwone litery. Tej jednej jedynej nocy czuła się bezpiecznie.

A następnego ranka zobaczył ją, zobaczył naprawdę. „Dzień dobry” powiedział najzwyczajniej w świecie, a ona stała i obserwowała, jak w jego oczach pojawia się chłód. Była przekonana, że patrzył na nią z niechęcią, wręcz z niesmakiem. Wiele osób obrzucało ją takim spojrzeniem.

Po tylu latach powinna była do tego przywyknąć, i faktycznie przywykła. Lecz ostatnia noc stanowiła wy-

jątek i wspomnienia o niej wciąż wprawiały ją w zachwyt.

John wyprostował się.

- Załatwiłbym ci tę sprawę, tylko że jutro rano wyjeżdżam do Europy.

- Wyjeżdżasz?

- Nic na to nie poradzę. Lecz wrócę możliwie najszybciej. Znam jednak dwóch ludzi, którzy wybawią cię z kłopotu. To Marcus i Joe. Dziś po południu stawiają się u ciebie.

- Naprawdę?

- Oczywiście, że tak. Porzuć zatem tę smutną minę.

- Och, John - powiedziała cicho, dotykając kłap jego surduta. - Jesteś dla mnie taki dobry.

Pięciookienny powóz, zdobny bordo emalią zdążył Broadwayem na północ. Lily miała właśnie powiedzieć stangretowi, by skręcił w Piątą Aleję, gdy stwierdziła, że znajduje się między Czterdziestą a Czterdziestą Trzecią ulicą, w miejscu zwanym „Pasażem dla dam”, a skupiającym najpiękniejsze w świecie sklepy i magazyny. Podobno była to najbogatsza dzielnica miasta - nie ze względu na aktualne ceny nieruchomości, tylko ze względu na to, że aby zapłacić za zakupy żon, mężczyźni musieli w tejże dzielnicy dokonywać licznych finansowych operacji.

Lily przywołała w pamięci te pełne emocji dni, gdy wraz z matką robiły sprawunki, poczynając od Madison Square poprzez wysadzaną drzewami Dwudziestą Trzecią ulicę i Broadway, gdzie panie zostawiały swe powozy. Madison Square nic się nie zmienił i sądząc po liczbie powozów stojących wokół placu, wciąż dokonywano w tych do późna czynnych magazynach ekstrawaganckich zakupów. Tamte dni minęły jednak bezpowrotnie. Matki Lily nie było już na świecie, a ona nie potrafiła zdobyć się na

to, by samotnie podejmować tak ważne decyzje.

Po trzech kwadransach wróciła do swego domu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Przeszła przez parter, równie przerażona, jak w dniu przyjazdu panującym tu bałaganem. I nie była to kwestia połamanych okien i dziur w ścianach. Najbardziej bowiem rzucało się w oczy wszechobecne zaniedbanie. Pokrywająca ściany boazeria była obdrapana, zmatowiała, piękne ongiś jedwabne tapety poplamione i podarte, grube, sprowadzone z zagranicy dywany - poprzecierane. Zdobiące klatkę schodową portrety pokryte były warstwą kurzu, a okna - sadzą. Nie działały liczne instalacje gazowe. Lily domyślała się, że od wielu lat nie przeprowadzano tu żadnego remontu. Dlaczego Claude nie dbał o dom?

Zrujnowane pomieszczenia nie udzieliły jej odpowiedzi, Claude zaś nie pozostawił żadnego pisma w tej kwestii, wyznaczył tylko siostrę na jedyną opiekunkę swych dzieci.

W domu panowała cisza, nigdzie nie widać było dzieci. Lily westchnęła z ulgą, ale i z poczuciem winy. Rzucawszy duży kapelusz na stolik u wejścia, weszła na piętro, by się przebrać. Tęskniła za orzeźwiającymi konnymi przejażdżkami po polach. Lecz większość jej rzeczy, łącznie z Midnight, ulubionym koniem, jeszcze nie dotarła.

Szła właśnie korytarzem w stronę sypialni, gdy raptem *serce w niej zamarło, zabrakło jej tchu. Zwolniła kroku.* Na podłodze klęczał Morgan Elliott i coś wymierzał wzdłuż ściany.

Po raz pierwszy od lat ogarnęło ją onieśmienie.

- Dzień dobry - powiedziała, bo chyba jej nie zauważył.

Odwrócił się powoli i obrzucił ją surowym spojrzeniem. Po chwili skinął głową i wrócił do roboty.

Poczuła, że się rumieni, co jej się raczej nie zdarzało, twarz ją aż paliła, była speszona i zakłopotana jego tak

ostentacyjnie okazaną niechęcią, podobnie zresztą jak dziś rano. Choć uznała to za absurd, przyszło jej do głowy, że wówczas w kuchni, przy dzieciach zachowała się wobec niego niewłaściwie. Wprawdzie z trudem, ale pokonała zażenowanie. Postanowiła okazać mu uprzejmość i rzekła:

- Dziękuję panu, że zabrał pan dzieci na śniadanie.

Nie reagując na jej słowa, zanotował coś ołówkiem na skrawku papieru i znowu zaczął mierzyć.

Zakłopotanie minęło jej jak ręką odjął, ale policzki wciąż ją paliły.

- Powiedziałam: dziękuję panu, panie Elliott - powtórzyła, akcentując dobitnie każde słowo.

Obejrzał się, popatrzył na nią, ciemne włosy opadły mu na czoło, odgarnął je silną dłońią.

- Miło mi, panno Blakemore.

I na tym koniec. Wrócił do swoich zajęć. Lily była zaskoczona. Wściekła i zarazem upokorzona. Ale właściwie na co liczyła? Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna na tym poprzestać i iść do swego pokoju. Z jakiejś przyczyny nie potrafiła jednak posłuchać tego głosu.

- Proszę dać mi rachunek za to śniadanie. Ureguluję należność - rzekła tonem, w którym wyczuwało się napięcie.

- Drobiazg, nieważne - odparł, nie odrywając wzroku od ściany.

- Ja opiekuję się dziećmi, nie pan. - Zabrzmiało to bardziej ostro, niżby sobie tego życzyła.

Obrócił się ku niej, uniósł w górę brwi.

- Rad jestem, że wywiązuje się pani z tego obowiązku - oświadczył cicho i z naciskiem.

Słowami tymi ugodził ją dotkliwie, niczym strzałą z łuku. Minęła chwila, nim zdołała przemówić:

- Co to ma znaczyć?

- Nieważne - odrzekł, odwracając się.

Znowu coś wymierzył, coś zanotował, i wstał z podłogi. Lily nie przypuszczała, że jest aż tak wysoki, przeszło sześć stóp, o głowę wyższy od niej. Spojrzała na niego i raptem serce zaczęło tłuc się w jej piersi. Koszulę miał przemokniętą, jakby pracował na dworze i tylko wstał do domu, by coś zmierzyć. Cienki materiał przylegał do ramion, szerokich i muskularnych, wilgotne spodnie opinały mu się na brzuchu i pośladkach, umięśnionych udach. I te jego ręce. Wąskie, jak wyrzeźbione; długie, znamionujące siłę palce.

Lily żywiła przekonanie, że dłonie, ruchy dłoni wiele mówią o człowieku, choćby czy jest godny zaufania, czy nie.

Ręce Morgana Elliotta były mocne, sprawne. Na mężczyźnie o takich rękach można polegać, pomyślała nagle. Poczowała ucisk w sercu. Przemogła się i skupiła uwagę na ubraniu.

Strój mężczyzny też wiele o nim mówił. Czy przywiązuje on do niego zbyt dużą wagę? Czy omija błoto, by nie zabrudzić sobie butów? Morgan Elliott prezentował się na ogół dobrze, lecz na pewno nie był człowiekiem, który przed lustrem spędza sporo czasu, a tego dnia najwyraźniej chodził po błocie. Był bardzo męski. Lily zła była na siebie, że wygląd majstra tak przykuwał jej uwagę, i ta jej złość brała górę nad przyjemnością, jakiej doznawała, patrząc na niego.

- Mogę odejść?

Zadał to pytanie niskim, zmysłowym głosem. Z nutą bezczelności.

Zaskoczona nieco, odchyliła do tyłu głowę.

Boże mój, przecież ona przez cały czas uporczywie się w niego wpatrywała. Pokonała w sobie resztki onieśmienia i spojrzała Elliottowi prosto w oczy. Nauczy-

ła się przecież przed laty, że to ułatwia kontakt z mężczyznami, i teraz nie wiedzieć czemu zapomniała o tej lekcji, za którą zapłaciła tak wysoką cenę.

Spojrzała mu głęboko w oczy, tym razem bez cienia zakłopotania. Po chwili usunęła się na bok.

- Oczywiście - odparła i rozłożyła ręce, udając, że nie pojmuje sensu tego pytania.

Uniósł brwi, popatrzył na nią i powiedział:

- No, no, no - ale takim tonem, że aż dreszcz przebiegł jej po plecach.

Przebył następnie parę dzielących ich kroków - jamę drapieznika - i stanął tuż przy niej, a korytarz nagle zrobił się ciasny.

- W końcu nie jest pani jedną z wielu ładnych kobiet - rzucił nieco arogancko.

Otworzyła usta w zadziwieniu.

- Co to znaczy?

Wykrzywił wargi, ale nikt nie uznałby tego za uśmiech. Podniósł ramię, oparł dłoń o odrapany mur ponad jej głową i pochylił się - stanowczo za nisko.

- Znaczy to mianowicie... - odezwał się zmienionym nagle tonem, pełnym zmysłowości - że pani... że jestem pod wrażeniem.

Pomyślała, że on bawi się jej kosztem. Dostrzegła to w jego oczach. Może i w jego głosie wyczuła inną barwę, ale on z nią wyraźnie igrał. Jak kot z myszką.

Zacisnęła pięść i znowu serce mocniej w niej zabiło. Z trudem dobytego głosu z zaciśniętego raptem gardła.

- Czy bezczelność to pańska wrodzona cecha czy raczej nabyta?

Spoglądał na nią długą, ciągnącą się w nieskończoność chwilę, jak gdyby nie rozumiał pytania albo się przesłyszał.

- Bezczelność? - Jego głośny śmiech rozległ się echem w korytarzu. - Nie przypominam sobie, by ktoś przypisał mi tę cechę. - Przestał się śmiać i tylko patrzył na nią wzrokiem ponurym niczym chmura gradowa. - Chyba że poza moimi plecami.

Serce Lily biło już wolniejszym rytmem, ukołysa ją bliskość Elliotta. Miał jedwabiste ciemne włosy, zaczesane do tyłu. Był tak blisko niej, że aby móc spojrzeć mu w oczy, musiałaby odrobinę cofnąć głowę. Wystarczyłby nieznaczny ruch z jego strony, a dotknąłby jej. Czuła jego siłę, męskość, emanował nią.

Pomyślała, że winna wymknąć się spod jego ramienia i uciec szybko i to jak najdalej. Ale czy sprawił to zapach, jakim był przesiąknięty, zapach rozgrzanego słońcem drewna, który tak lubiła, czy też obawa, że mogłaby go do siebie zrazić - tak czy owak nie uciekła. Stała bez ruchu i patrzyła na niego, jednak w tym niemym zmaganiu nie poniosła porażki.

Morgan zbliżył się do niej jeszcze bardziej i dotknął jej ramienia. Nie przelotnie, nie troskliwie. Intymnie.

Zadrżała, zabrakło jej tchu. Czuła szorstką skórę jego dłoni, ciepło przenikające przez cienki rękaw bluzki, a gdy jego wzrok spoczął na jej ustach, zapragnęła czegoś więcej.

- Nie - powiedział cicho, ledwie słyszalnie - nikt od bardzo dawna nie nazwał mnie bezczelnym typem.

Przesunął rękę wzdłuż jej ramienia, powoli, i gdyby nie wyraz jego oczu, można by sądzić, że gest ów był całkiem niewinny. Lily wyczytała prawdę z jego spojrzenia. Setki razy tak na nią patrzono. Teraz jednak, z tym mężczyzną - dlaczego, nie miała pojęcia - była to całkiem inna sprawa. Mogłaby przysiąc, że w jego wzroku odnajduje jakieś wezwanie, prośbę. Jego dotyk

przyprawiał ją o dreszcz, napełniał uczuciem takiej radości, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

- Ktoś powinien był to panu powiedzieć - oświadczyła. Głos jej drżał, oczy miała spuszczone. - Na pewno już od dawna prezentuje pan taki sposób bycia.

Oczy mu rozbłysły. Powoli przesunął rękę w górę, aż do jej szyi. Kciukiem uniósł delikatnie jej podbródek, baczając, aby się nie cofnęła.

- A czy teraz mogę zachować się bezczelnie? - zapytał przytłumionym głosem.

Opuścił głowę i przytulił ją do siebie. Wstrzymała oddech, gdy stwierdziła nieomylnie jego podniecenie, jego gotowość.

- Czy dasz mi rozkosz? - zapytał. - Czy chcesz, bym ja ci ją dał?

Jęknęła. W głowie jej się zakręciło, lecz wyrwała się z jego objęć. Uświadomiła sobie nagle z przerażającą jasnością, dlaczego Elliott nie zapytał o ten napis na ścianie - bo wiedział, co on oznacza. Wiedział, że nazywają ją Karmazynową Lily, podobnie jak inni mężczyźni patrzący na nią z pożądaniem. To straszne, pomyślała.

Spojrzała na niego, nie ruszając się z miejsca. Głupia historia, ale miała do siebie pretensję, była na siebie zła, że daje się ponieść tak gwałtownym uczuciom. Już przed wieloma laty pogodziła się z myślą, że nigdy się nie zakocha, nigdy nie wyjdzie za mąż... nigdy nie urodzi dzieci. Raine Hawthorne się o to postarał.

Jednakże wiedza o tym nie powstrzymała piekących pod powiekami łez, nie uchroniła serca przed rozpaczą.

Westchnęła głęboko. Postanowiła zwolnić Morgana Elliotta z pracy, tu i teraz. Był bezczelny, arogancki, jego zachowanie przekraczało wszelkie granice. Ale słowa uwięzły jej w gardle. Mimo wszystko, mimo tego,

co powiedział i robił, wtedy, tej nocy, gdy ścierając napis, klęczeli obok siebie, w tym krótkim przecież czasie po raz pierwszy nie czuła się samotna.

Skąd się u niej to wzięło? Dlaczego? Dlaczego właśnie on? Dlaczego ten mężczyzna wyzwolił w niej to, czego inni nigdy nie zdołali?

Owej strasznej nocy Morgan Elliott pokonał mrok.

Nie wypowiedziała więc słów, jakie każda rozsądna kobieta by wypowiedziała. Nie, jeszcze nie teraz. Zamiast tego uniosła buntowniczo głowę, przyjmując postawę, jaką nauczyła się przyjmować, chcąc ukryć swoje uczucia. Otrzymała swego czasu naukę - nie wolno dopuścić do tego, aby ktokolwiek się dowiedział, iż jest władny wyrzucić jej krzywdę.

- Nie jest pan dżentelmenem, panie Elliott. Nawet jeśli będzie pan usiłował mnie przeprosić - rzekła z niejakim wysiłkiem. Wyleciało jej z pamięci, że szła do pokoju, by się przebrać. - Muszę dopilnować obiadu.

Oparty o ścianę Morgan stał bez ruchu, nie spuszczać z niej wzroku. Dopiero po dłuższej chwili oderwał od niej spojrzenie, najwyraźniej udało mu się opanować wszystkie złe emocje. Twarz miał spokojną i znów gościł na niej typowy dla niego ironiczny wyraz.

- Mam nadzieję, że z obiadem poradzi sobie pani lepiej niż ze śniadaniem - rzekł, gdy Lily zmierzała już ku schodom.

Odwróciła się błyskawicznie, w jej umyśle kłębiło się zbyt wiele myśli.

- Proszę przyjąć do wiadomości, panie Elliott, że stać mnie na więcej, niż pan to sobie wyobraża.

- Czyżby?

Obserwowała go. Stał w korytarzu, jego masywna

postać przesłaniała niemal całe okno. Jak wyrzeźbiony w brązie. Silny.

- Na pewno - odparła przyciszonym głosem.

Pospiesznie odwróciła się, w obawie, że dzieląca ich odległość mogłaby się zmniejszyć. Zaczęła zbiegać szybko po schodach, uciekała. Lecz Morgan podążał za nią, dopędzał ją. I właśnie wtedy zawadziła pantoflem o skraj spódnicy. Straciła na moment równowagę. Morgan podtrzymał ją.

- Ostrożnie, księżniczko.

Księżniczka.

Coś ścisnęło ją za gardło. Nazwał ją tak tej nocy, kiedy, jak określiła to w myślach, pokonał mrok. Dlaczego sprawy przybrały taki obrót? - myślała z rozpaczą. Dlaczego dziwnym zrządzeniem losu musi opiekować się dziećmi, które jej nie cierpią? Dlaczego ten mężczyzna raz nazywa ją księżniczką, a innym razem okazuje jej swoją niechęć?

- Bez względu na to, co pan o mnie słyszał, panie Elliott - powiedziała z wyraźnym wysiłkiem - naprawdę stać mnie na wiele więcej, niż pan sobie wyobraża.

Uśmiechnął się chłodno i z niedowierzaniem.

- Chcę panu oznajmić - zaczęła, starając się nadać głosowi silne brzmienie, rada wielce, że jej gniew odżył - iż w ciągu zaledwie paru godzin znalazłam kamerdynera i kucharza.

Nastawił uszu.

- Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny. Przez ostatnie dziesięć lat jakoś sobie w życiu radziłam. - Uwolniła ramię z jego uścisku. - I to całkiem nieźle - dodała.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale wtedy właśnie rozległ się krzyk:

- Lily!

Oboje zatrzymali się w połowie schodów i spojrzeli w dół, na hall pogrążony w mroku.

- Lily, gdzie jesteś? - w głosie dziewczynki słychać było zniecierpliwienie.

- Tutaj, Penelope.

Jej bratanica stała w uchylonych drzwiach frontowych.

- Przyszli jacyś dwaj ludzie - oświadczyła, w jej przy-mrużonych oczach czaiła się podejrzliwość. - Mówią, że jeden z nich to kucharz, a drugi kamerdyner.

Lily klasnęła w dłonie.

- Świetnie! Niech wejdą.

Z nietajoną niechęcią Penelope otworzyła drzwi. Przybysze weszli do środka. Jeden był wysoki, szeroki w barach, na policzku miał szeroką bliznę. Drugi - niski, i sprawiał wrażenie, jakby miał przemożną ochotę uciąć głowę Penelope.

- Co się tak rozglądasz? - burknęła dziewczynka, zwracając się do tego niskiego, najwyraźniej nie przejmując się jego obrzydliwym wyglądem.

- Panienska Blakemore? - zapytał, a właściwie wywarcał ten wyższy, i Lily musiała przyznać w duchu, że jej entuzjazm wygaś. Żywiła płonną nadzieję, iż nie są to ludzie przysłani przez Johna.

- A wy co za jedni? - zapytała, idąc powoli w ich stronę. Morgan pochylił się ku niej.

- To „Szramiarz” i „Krótki” - odpowiedział za nich, śmiejąc się jej prosto w ucho.

Lily obrzuciła go jadowitym spojrzeniem.

- Jak już ten dzieciak powiedział, jesteśmy nowi pracownicy, kucharz i kamerdyner, Marcus i Joe. Ale wołają na nas Marky i Jojo.

- Marky i Jojo? - zapytał ze spokojem Morgan. - Nie mogę wyjść z podziwu, kogo to „w ciągu paru godzin” można znaleźć. - Twarz miał poważną, skupioną, ale Lily wiedziała, co się święci. - Skąd pani wytrzasnęła takich

przykładnych służących? - pytał szeptem. - Spotkała ich pani w ciemnej alei w Lower East Side? Może wrzucili właśnie do East River jakiegoś Bogu ducha winnego facecika, którego obrabowali uprzednio, i pomyślała sobie pani: Och, wspaniale się nadają na kucharza i kamerdynera.

Lily zignorowała jego słowa, lecz stwierdziła w duchu, że przy pierwszej okazji chyba zabije Johna. Najpierw jednak...

- Zatem, panie... Jojo - zwróciła się do wyższego mężczyzny.

Niski zrobił krok do przodu.

- To ja jestem Jojo, po prostu Jojo, żaden tam pan - wyszczeakał.

- No dobrze, dobrze - rzekła podenerwowana - to ładnie z waszej strony. Lecz chyba zaszła tu jakaś pomyłka.

Człowiek o imieniu Marky skrzyżował ramiona.

- Pomyłka? Co też pani opowiada! Pani jest panienką Blakemore?

- Tak, ale...

- I to jest Blakemore House?

- Tak, ale...

- No to nie ma tu żadnej pomyłki. Dokąd mamy iść?

Marky, Jojo i nawet Penelope stali w niemym oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Morgan przyglądał się tej scenie z wyraźną uciechą. Lily zamknęła oczy i prosiła Boga o ratunek. Doprawdy, tego Johna chyba zamorduje. Na razie jednak potrzebny jej jest kucharz i kamerdyner, a skoro ci przychodzą z polecenia Crandalla, to może nie są tacy źli.

Wzięła głęboki oddech i obróciła się z uśmiechem do swojej bratanicy.

- Bądź tak dobra, Penelope, i zaprowadź... panów do pomieszczeń dla służby.

Penelope zaczęła gwałtownie protestować, ale ku zdziwieniu ciotki nagle zamilkła, pod spojrzeniem Morgana urwała w pół słowa swą tyradę. Lily spojrzała na majstra, lecz ten z niewinną miną wzruszył tylko ramionami.

- Chodźcie - rzekła szorstko dziewczynka. - Pokażę wam drogę. - Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jej ustach, lecz zwracając się do Jojo, znów skrzywiła się ironicznie. - Dobrze by było, gdybyś znał się na kuchni.

- Takiego jadła jak moje, panienko, jeszcze nie widziałas.

- Mam nadzieję - mruknęła w odpowiedzi - że będzie nie tylko do patrzenia.

Mały uśmiechnął się pod nosem.

- Śwarna dziewczuszka, szkoda mówić!

Nowa załoga z naburmuszoną dziewczynką na czole opuściła niebawem hall.

Lily i Morgan zostali sami. Lily zmusiła się, by nie patrzeć na majstra, na pewno uśmiechał się drwiąco albo robił jakieś złośliwe miny. Poczuła nagle ciężar swoich dwudziestu dziewięciu lat. Jak gdyby miała o sto lat więcej. Ale co komu do tego, pomyślała i potrząsnęła smętnie głową.

- A więc, panno Blakemore - zaczął Morgan uprzejmym tonem - mówiła mi pani właśnie, jaka to jest pani zaradna.

Jej cierpliwość w końcu się wyczerpała, nie zważając więc już na dobre maniere, spiorunowała go wzrokiem i odparowała:

- Wypchaj się, Elliott!

Następnie obróciła się na pięcie i pobiegła na górę, obrażając siebie z satysfakcją zdziwioną minę majstra.

4

Dotarcie do archiwum „The New York Timesa” nie nastęczało trudności, toteż nazajutrz późnym popołudniem Morgan zasiadł za wielkim stołem usłanym gazetami. Były stare i pożółkłe, kruche, przerzuczał więc strony bardzo ostrożnie.

Do tej pory nie interesował go fakt, iż nikt właściwie nie orientował się, dlaczego Lily Blakemore wypadła z łask swego środowiska. Ludzie wiedzieli tylko, że tak się stało. Teraz jednak z jakichś względów chciałby poznać przyczynę.

Wszedł do podziemia siedziby gazety w śródmieściu Manhattanu z mocnym postanowieniem poznania prawdy dotyczącej przeszłości Lily, zakładał, że musiała się ukazać na ten temat jakaś wzmianka bądź artykuł.

Wmawiał sobie, że aby lepiej zrozumieć Johna Crandalla, musi dowiedzieć się czegoś więcej o jego kochance. Nie dopuszczał do siebie myśli, nie zastanawiał się, dlaczego naprawdę stało się to dla niego takie ważne, dlaczego chciał zrozumieć tę kobietę, która przecież nic dla niego nie znaczyła.

Lily.

Kobieta, w której kochało się tylu mężczyzn.

Zmrużył oczy i na wspomnienie wczorajszego dnia sam do siebie poczuł pogardę. Lily w korytarzu i on podniecony aż do bólu.

Poczuł dławienie w gardle. Co się z nim dzieje? Za-

chował się wobec niej jak głupi uczeń. Pokręcił głową sfrustrowany. Sposób, w jaki przy nim stała, rozpałił mu krew. Chłonał zapach jej ciała, włosów, słyszał przyspieszony nagle oddech. O Boże, on jej pragnął, zaraz, natychmiast. Na podłodze tego korytarza. Niechby szlag trafił prywatność!

Był na siebie wściekły - i wczoraj, i dziś. Zauroczenie, jakiemu uległ, krzyżowało mu plany. Lily Blakemore. Karmazynowa Lily.

Kobieta upadła.

Zaklął głośno, aż echo się odbiło od gołych ścian słabo oświetlonego archiwum. Okazało się, że niczym się nie różnił od tylu szalejących za nią głupców. Pragnących jej zmysłowych ust, uwodzicielskich kształtów. Marzących o jej niewinnych niebieskich oczach.

To jednak, musiał przyznać, była tylko część problemu.

Spotkał w swoim życiu wiele upadłych kobiet, lecz, jak stwierdził z całą stanowczością, Lily Blakemore różniła się od nich zasadniczo. Orzekł w duchu po raz nie wiadomo który, że gdy miotająca się rozzłoszczona w kuchni, nie bacząc na dobre maniere obowiązujące w jej sferze, wyglądała równie niewinnie, jak mała Cassie. Żadnych wulgarnych słów ani kurzenia papierosów.

Ponadto w trakcie pobytu w Blakemore House Morgan nawet przelotnie nie widział mężczyzny, o którego mu chodziło. Jednak z jego informacji z niezawodnych źródeł wynikało, że Lily jest kochanką Johna Crandalla. Zamierzał wykorzystać ów fakt w znalezieniu sposobu na schwywanie tego człowieka.

Przed przybyciem do Blakemore House dowiedział się, że ojcem Lily był Orville Blakemore, wywodzący się ze znanej linii Jacksona Blakemore'a. Orville wybudował Blakemore House dla swojej żony Delii. Delia

wywodziła się z rodziny Vanderweltów, która wśród kilku innych dała początek miastu Nowy Jork. Orville i Delia mieli dwoje dzieci, Claude'a i Lily. Wszystkie dane wskazywały na to, że stanowili szczęśliwą rodzinę, żyjącą w otoczeniu najstłanniejszych manhattańskich familii, do czasu, gdy przed piętnastoma laty Orville i Delia zginęli w wypadku, jakiemu uległa ich łódź. Claude, wówczas osiemnastolatek, przejął Blake-more House wraz z odpowiedzialnością za losy o cztery lata młodszej siostry. Po dwóch latach Claude pojął za żonę Abigail Holmes, która po roku powiła mu syna. W roku, w którym Cassie przyszła na świat, Abigail zmarła. Przypuszczalnie przy porodzie.

Uzbrojony w taką wiedzę Morgan przystąpił do studiowania starych gazet.

Czas szybko mijał, a on czytał kolejne numery, poczynając od listopada 1885 roku. Dowiedział się, że Lily i Claude dopiero po prawie pięciu latach od zgonu rodziców zaczęli udzielać się towarzysko. Odnalazł doniesienia o uczestniczeniu ich obojga w licznych imprezach zimowego sezonu. Bale dobroczynne. Opera. Zawsze tylko we dwoje, Claude i Lily — zastanawiał się, dlaczego Abigail nie występowała razem z nimi. Raz natrafił na wzmiankę o kimś innym w ich towarzystwie, mężczyźnie o nazwisku Beauford Tisdale, starającym się rzekomo o rękę Lily. Poza tym natykał się wielokrotnie na informacje o wybrykach Lily. Na przykład ni z tego, ni z owego, mimo przejmującego zimna, zapragnęła pływać w jeziorze Central Parku, co też uczyniła. Brała udział w wyścigach konnych w Piątej Alei, które, jak podano, wygrała. Na pewnym balu, przebrana za mężczyznę, wyzwała na pojedynek jakiegoś nieszczęsnego, Boga ducha winnego fircyka.

W umyśle Elliotta powoli kształtował się jej wizerunek. Szalona istota. Nietrudno mu było teraz wyobrazić sobie Lily Blakemore tańczącą na ulicach, wymachującą bronią, a wszystko to na oczach szacownych, bogatych nowojorskich rodzin. Uśmiechną się.

Gdyby Lily urodziła się w Anglii, w czasach Regencji, uznano by ją, przy jej urodzie i bogactwie, za osobę oryginalną, pełną fantazji. Ale niestety, i tu uśmiech znikł z ust Morgana, gdzie indziej i kiedy indziej przyszła na świat. Urodziła się i wychowała w społeczeństwie o surowych obyczajach. W społeczeństwie nie tolerującym nikogo, nawet spośród swoich, kto nie przestrzega ustalonych zasad i norm właściwego zachowania się. Morgan dobrze o tym wiedział. Mimo iż urodził się setki mil stąd, jego środowisko niczym się od jej nie różniło. Było rzeczą oczywistą, że w drugiej połowie tego wieku osoba taka, bez względu na jej urodę i bogactwo, stawała się wyrzutkiem społeczeństwa.

Nowojorczycy to ludzie stateczni i bezwzględni w swych ocenach - tu najbardziej ceni się skromność. Tu niewiasty zasłaniają nie tylko każdy skrawek swego ciała, ale również każdy skrawek mebla. Niech Bóg broni, by ktoś zobaczył nieprzystłoniętą materią, a więc nieprzyzwoitą, nogę stołu. I choć obowiązujące obyczaje są rodem z Anglii, Amerykanie, co dla nich typowe, chcą być we wszystkim lepsi, godniejsi, aż do granic wytrzymałości. Nie, uznał w duchu Morgan, bycie oryginałem w Nowym Jorku stanowi ciężki grzech.

Lecz to wszystko nie dało mu odpowiedzi na dręczące go pytania. Wiedza, jaką nabył ze starych gazet, pozwoliła mu zrozumieć, dlaczego jego chlebobawczynię nazywają „Bezczelną Lily” albo nawet „Szaloną Lily”, ale skąd określenie „Karmazynowa Lily”? Tego nie pojmował. I co takiego się stało, co zaciążyło nad jej losem?

Sięgnął po gazety z datą o parę miesięcy późniejszą, z marca 1886 roku; zaczął czytać ze wzmożoną uwagą.
2 marca 1886

Krótki artykuł o śmierci niejakiego Raine Hawthorne'a. Prominentna osobistość. Doniesienie owo niczym znaczącym by się nie wyróżniało, gdyby nie wzmianka, że Lily była przy jego łożu śmierci.

3 marca 1886

Zapowiedź wielkiego festynu, jaki ma się odbyć 16 marca zgodnie z życzeniem zmarłego Raine Hawthorne'a.

Dziwne, myślał Morgan, festyn z okazji własnej śmierci? I Lily pełniąca honory domu? Wciąż zadziwiony przeczytał dalej, że na uroczystość zaproszono elitę towarzystwa i że po ogłoszeniu ostatniej woli zmarłego miano zaprezentować jakiś jego dar.

Przeglądał teraz pożółkłe gazety dzień po dniu, śledził w nich wzmianki na temat zbliżającego się festynu. Panie wpadły w wir zakupów. Właściciele sklepów przyznawali, że ich klientki miały wielki problem z dobraniem odpowiedniego stroju. Jak się ubrać na festyn z okazji śmierci człowieka? Czarna suknia? Żaden pomysł nie wydawał się właściwy.

Coraz bardziej zaintrygowany Elliott pograżył się w lekturze, czytał uważnie, słowo po słowie, aż doszedł do dnia festynu.

16 marca 1886

Blakemore House. Reporter udał się na festyn, ale nie wpuszczono go do środka. Siedział na zewnątrz i obserwował, czyniąc notatki, przybywających dygnitarzy i przedstawicieli śmietanki towarzyskiej. Państwo Astor. Państwo Widmar. No i przede wszystkim państwo Vanderbilt. Morgan przypuszczał, iż ów rzekomy adorator Lily, Beauford

Tisdale, zjawił się tam również. Reporter opisał barwnie stroje i klejnoty. Ekstrawaganckie powozy. Kto i z kim przybył na festyn. Dalszy ciąg obiecał nazajutrz.

Lecz dalszego ciągu nie było.

Żadnego sprawozdania. Żadnej relacji. Ani wzmianki o Raine Hawthornie, o Lily Blakemore czy wielkim festynie. Dopiero po paru tygodniach Morgan natknął się na krótką informację, że Lily Blakemore wyprowadziła się z miasta.

Odchyliwszy się na oparcie krzesła, zachodził w głowę, co też mogło się tej nocy wydarzyć. Jak to możliwe, że reporter nie zamieścił sprawozdania z uroczystości zapowiadanej od wielu przecież tygodni?

Uprzytomnił sobie wówczas pewien fakt: otóż nie spotkał dotąd nikogo, kto by znał przyczynę „upadku” Lily. Odnosiło się wrażenie, że cała nowojorska elita odrzuciła ją, wyparła się jej, i nad tym, co się wtedy wydarzyło, zapadła kurtyna milczenia.

Ale co się wtedy wydarzyło? Co było powodem, że całe środowisko odwróciło się od jednej spośród nich?

Z gazet, jak widać, niczego więcej już się nie dowie. Gdzie zatem szukać odpowiedzi na to pytanie? Przypomniał sobie dwie wzmianki dotyczące Beauforda Tisdale'a. Postanowił go odnaleźć.

Sięgnął do kieszonki po zegarek. Na razie musi odłożyć dalsze poszukiwania. Pora wracać do Blakemore House, zanim ktoś zauważy jego nieobecność.

Wyszedł na ulicę śródmieścia Manhattanu. Ruch był wielki, hałas świdrował w uszach. Nie trafiała mu się żadna przyzwoita dorożka, wskoczył więc na stopień tramwaju jadącego Piątą Aleją. Mimo wysoko sklepionego dachu pojazdu musiał skulić się, zmierzając do miedzianej skrzynki, by wrzucić do niej monetę. Bicz

świsnął w powietrzu i nędzne szkapiny ruszyły z wolna, ciągnąc za sobą rozklekotany tramwaj.

Przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy Morgan wysiadł i wmieszał się w tłum ciągnący najdalej wysuniętym na południe skrajem Central Parku. Kierował się ku Blakemore House, a w głowie kłębiły mu się myśli o Lily. Miał właśnie przebić się przez tłum i przejść przez ulicę, kiedy ujrzał rozglądającego się na boki, idącego od strony Blakemore House mężczyznę, o którym wiedział, że jest dziennikarzem. Lily miała rację. Śledzono ją.

Zaklął pod nosem. Zawrócił i skierował się ku ulicy Pięćdziesiątej Ósmej, by dostać się do domostwa od tyłu. Po drodze napotkał dzieci, które z dziedzińca od frontu zawędrowały tutaj.

- Panie Elliott! - krzyknęła Cassie.

- Jak się macie - przywitał je zdawkowym tonem; wolałby, aby się do niego nie dołączały.

Nie zrozumiały jednak jego intencji. Towarzyszyły mu aż do tylnego wejścia, Cassie opowiadała o ich przygodach w parku.

- Pozwolono wam spacerować bez opieki? - zapytał, choć postanowił przecież nie wtrącać się w ich rodzinne sprawy.

- Nie mamy już guwernantki - odparła dziewczynka.

- Dzięki Bogu - mruknął Robert.

Morgan skrzywił się.

- Czy ciotka Lily zwolniła również ją?

- O nie - rzekła Cassie z poważną miną. - Wilhelmina sama odeszła.

- Jak tylko zobaczyła Lily - dodała Penelope i wyduła wargi z pogardą. - Żadna szanująca się guwernantka o zdrowych zmysłach nie zgodziłaby się teraz pracować w tym domu.

Elliott pociągnąłby ten temat, gdyby tuż przed wejściem nie zauważył czegoś, co go zdziwiło. Małe okna kuchni w suterenie były zasłonięte. Co też tam się dzieje? - pomyślał.

Kazał dzieciom, skoro już wbrew jego woli tu przyszły, poczekać na zewnątrz. Sam wszedł cicho po stopniach, nacisnął klamkę, pchnął drzwi. Minęła chwila, zanim jego wzrok oswoił się z ciemnością. Gdy już przywykł do mroku, zobaczył Lily, jej dwóch służących spod ciemnej gwiazdy, Marky'ego i Jojo, oraz jakąś inną nieznaną mu osobę - wszyscy obsiedli dokoła kuchenny stół.

Morgan wszedł do środka.

- Co, u licha?...

- Ciii - zasyczała jednogłośnie cała czwórka.

- Pan zamknie te cholerne drzwi - zażądał Jojo.

Dzieci wparowały za Morganem, a Cassie aż piszczała z radości.

- Madame Paulie!

- Madame Paulie? - powtórzył pytająco Elliott.

Dzieciaki przecisnęły się do stołu.

- Pan zamknie drzwi! - Tym razem odezwał się Marky.

Morgana aż zamurowało ze zdziwienia i tym bardziej nie był w stanie wykonać polecenia tych „panów”.

Penelope, wyraźnie zniecierpliwiona jego opieszałością, podbiegła do drzwi i z całych sił je zatrzasnęła. Za sprawą płonących na stole świec z wosku pszczelego w pomieszczeniu panował dziwny złotawy półmrok.

- Co się tu dzieje? - zapytał wreszcie Morgan.

- Ciii! - To była jedyna odpowiedź.

W kuchni panowała cisza i jakiś niesamowity nastrój, który nie podobał się Morganowi. Nagle jego uszu dobiegł dziwny odgłos - wydawała go, ku jego zdumieniu,

ta nieznana mu czwarta osoba, dziwacznie ubrana kobieta siedząca obok Lily. Mruczała jakieś słowa.

Gdy zdecydowanym ruchem ściągnął z okien grube koce, kobieta rzekła:

- Zaczynam widzieć.

- Co? - zapytała rozemocjonowana Lily. Pochyliła się, a jej bransolety zabrzęczały, uderzając o stół. - Co pani widzi, madame Paulie?

- Ciebie. Widzę ciebie.

- Niech to piekło pochłonie - burknął Elliott. Kiedyż ta Lily Blakemore przestanie go zadziwiać? Cyganka. Tu, w kuchni. I sądząc po reakcji dzieci, była tu nie po raz pierwszy.

- Tak - ciągnęła Cyganka głosem pełnym napięcia. - Teraz widzę cię wyraźnie.

- I kogo jeszcze? Kogo jeszcze widzisz?

- Och... twoich rodziców.

Słysząc było przyspieszony oddech Lily.

Madame Paulie uniosła szybko głowę.

- Tak - dodała z przekonaniem, skupiając wzrok na stojącej przed nią misce z wodą. - Tak, widzę ich dokładnie.

- Moich rodziców? - wyszeptała Lily.

Morgan omal nie jęknął, lecz powstrzymał go wyraz jej oczu. Smutny. Wyczytał w nich rozpacz. I ból samotności.

- Tak, twoich rodziców. Są wdzięczni szacownej madame Paulie, że umożliwiła im nawiązanie z tobą kontaktu.

Elliott odchrząknął i zapytał prosto z mostu:

- Jak miała na imię matka panny Blakemore? - Chciał w ten sposób zdemaskować oszustkę. Ponadto, do czego sam przed sobą się nie przyznawał, nie mógł patrzeć na zasmucone oczy Lily.

- Faktycznie! - wyszeptała Lily. - Czy możesz odpowiedzieć na to pytanie?

Madame Paulie obrzuciła Elliotta piorunującym spojrzeniem. Ten wzruszył z lekka ramionami i zmarszczył brwi.

- Rzecz jasna - odparła Cyganka z urażoną miną. - Niech się przypatrzę. Imię jej zaczynało się na literę... V.

- Na literę V? - powtórzyła Lily sceptycznym tonem.

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko Cyganka. - Litera jest bardziej okrągła.

- Słusznie! - Lily roześmiała się radośnie.

Cygankę wyraźnie podniosło to na duchu.

- U. Zaczynam widzieć literę U.

- U? - Morgan nie dawał za wygraną. - Jakież to imię zaczyna się na U?

- Ugenia! - oznajmiła z dumą madame Paulie.

Elliott zwrócił się w duchu do Boga, by obdarzył go cierpliwością.

- Na przyszłość proszę pamiętać - powiedział - że imię Eugenia zaczyna się na E.

Madame skrzywiła się i ponownie utkwiała wzrok w misce z wodą.

- Widzę literę B - rzekła.

- No, to już bliżej - powiedziała Lily, przygryzając dolną wargę.

Madame Paulie zacisnęła szczęki.

- D - oświadczyła.

- Tak! - pisnęła Lily zachwycona. - Słusznie, D!

- O Boże! - wybuchnął Elliott. - Jak ktoś z głową na karku może być aż tak naiwny? Przecież, na litość boską, ona wymienia po prostu litery alfabetu! Niech powie dokładnie. Proszę ją zapytać, jak pani matka ma na imię, to znaczy, jak miała na imię.

Lily nachmurzyła się.

- Ma pan chyba rację.

Obróciła się ku Cygance i spojrzała na nią pytająco, acz z błyskiem zakłopotania.

Ale madame Paulie była tak przebiegła, na jaką wyglądała, stwierdził w duchu Elliott. Zerwała się z miejsca.

- Nie mogę kontaktować się z duchami w atmosferze takiego niedowiarstwa, które unosi się w powietrzu niczym czarna chmura złości, nienawiści i drwin! - krzyczała z oburzeniem. - To przesłania mi zdolność widzenia! I pan jest temu winien!

Morgan, gdyby był tylko obserwatorem tej farsy, rad obserwowałby przemianę tej kobiety. I tu zaklął pod nosem, mając sobie za złe owo „gdyby”. Przecież był t y l k o obserwatorem.

- Morgan! - krzyknęli z oburzeniem wszyscy obecni i obrócili spojrzenia w stronę jasnowidzki.

- Madame Paulie, proszę! - wołała Cassie. - Niech pani spróbuje coś zobaczyć. Pan Elliott słowem się już nie odezwie.

Morgan bezradnym gestem uniósł dłonie.

- Dobrze. Nie odezwę się.

- Nic z tego - oświadczyła Cyganka dramatycznym tonem. - Za późno. Muszę już iść.

Nikt jej nie zdołał przekonać. Wzięła pieniądze i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

- No i co pan nawyrabiał? - rzekła Lily z wyrzutem.

- Ja? - zapytał z niewinną miną. - Co mianowicie nawyrabiałem?

- Obraził pan madame Paulie.

- Madame Paulie? - zapytał ze zniecierpliwieniem. - Kobietę, która wyszła stąd z powodu „czarnej chmury złości, nienawiści i drwin”? Tę kobietę? - zapytał i w na-

grodę usłyszał parę chichotów, jakie wyrwały się obu dziewczynkom.

Lily nie było do śmiechu.

- Miała nawiązać kontakt z moimi rodzicami.

- Kłamstwo!

- Madame Paulie nie jest kłamczynią. To nawiedzona jasnowidzka.

- Tak jak ja jestem królem Anglii. Szarlatanka. Spotkałem już takie w życiu.

- Żadna szarlatanka.

- Pani sprawa. Niech ją pani opłaca hojną ręką. Co mnie to obchodzi. Jeśli się pani pospieszy, dogoni ją pani. Albo lepiej będzie, jak te pieniądze da pani mnie. Ja nawiążę kontakt z pani zmarłymi rodzicami i z każdym, z kim chciałaby pani uciąć sobie pogawędkę.

- Naprawdę, panie Elliott? - zapytała Cassie z niekłamany respektem.

Morgan skrzywił się i spuścił głowę.

- Nie, Cassie. Ja nie potrafię. Tak jak nie potrafi tego madame Paulie.

Robert zrobił minę: „a nie mówiłem”, jednak obie dziewczynki nie kryły rozczarowania. Nawet na twarzach Marky'ego i Joja malował się zawód.

W końcu przestało to dzieci interesować i poszły na górę. Marky i Jojo też się gdzieś ulotnili.

Lily wstała od stołu, pałając oburzeniem. Zamierzała podążyć za swymi podopiecznymi. Tymczasem znalazła się w pułapce, między ścianą a majstrem, który stanął w tym miejscu całkiem przypadkowo.

Ponieważ nie przejawiał chęci zejścia jej z drogi, jedyne, co jej pozostało, to poprosić go o to bądź przecisnąć się między nim a stołem.

Spojrzała na dzielącą ich wąską lukę i nagle serce zaczęło jej bić nieregularnym rytmem.

- Czy coś się pani stało? - zapytał.

Na jego wydatnych ustach pojawił się irytujący uśmiech. Zapagnęła wymierzyć majstrowi policzek, przepędzić ten uśmiech z jego twarzy, zapagnęła wrzasnąć na cały głos: Tak, coś się stało! Coś złego. A tym złem była jego obecność w jej domu. Serce waliło Lily niczym indiański bęben, rozszalało się w jej piersi. Fakt zaiste denerwujący, tym bardziej że w obecności tego człowieka traciła całkowicie panowanie nad sobą.

Ale oczywiście pozostanie to jej tajemnicą. Jeżeli on myśli, że w ten sposób ją ujarzmi, to niech sobie myśli. Morgan Elliott to fraszka w porównaniu z pewnym mężczyzną, z którym miała do czynienia, tak przynajmniej sądziła.

Uniosła więc głowę, wykrzywiła wargi, co w jej mniemaniu mogło sugerować uśmiech, i powiedziała:

- Nie, panie Elliott, nic się nie stało.

Rozprostowała ramiona, ujęła połą długiej spódnicy i usiłowała go wyminąć. Na pewno się cofnie, orzekła w duchu.

Jeden krok, drugi. Lecz on ani drgnął.

Uniosła głowę jeszcze wyżej, oczy obojga rozbłyły, jej - determinacją, jego - rozbawieniem.

Ten irytujący człowiek nie ruszył się z miejsca. Stał tylko i patrzył - potężny, masywny mężczyzna nie ustępował jej z drogi.

Przełknęła ślinę, słowa uwięzły jej w gardle. Stała tuż przed Elliottem i jeśli miałyby postąpić krok do przodu, musiałyby się o niego otrzeć.

- Przepraszam - rzekła ostro.

Uśmiechnąwszy się kącikiem ust, objął ją uważnym

spojrzeniem. Lecz jego ciężkie powieki kryły wyraz oczu.

Pamiętała aż za dobrze dotknięcie jego rąk, tam, w korytarzu. Żar. Pożądanie.

Pogarda.

Zmuszała się do spokoju, usiłowała z całej mocy zapanować nad nerwami. I wówczas wyciągnął powoli dłoń i dotknął jej policzka, sięgnął do ust. Zaskoczył ją ten gest, władczy, a zarazem delikatny. Ani śladu uprzedniej, tak jawnej bezczelności.

Czuła na twarzy jego dłoń. Nie myślała już, że oto stanął jej na drodze, czy też, że niewart jest tego, by się nim przejmowała. Myślała natomiast o tym, że ma przed sobą silnego mężczyznę, który, choć to wysoce niewłaściwe, przyciąga ją jak magnes. Odkąd sięga pamięcią - a dotyczy to zarówno znajomych z Manhattanu, rodziców, a nawet Claude'a - nigdy nie czuła, że jest komuś potrzebna, że do kogoś przynależy. Była zawsze niczym podróżnik w obcym kraju.

Gdy zaś patrzyła w oczy Elliotta, dostrzegała w nich coś w rodzaju uznania dla jej osobowości. Jak gdyby rozumieli się wzajemnie, mówili tym samym językiem.

Rzecz jasna po głębszym zastanowieniu się owo przypuszczenie uznała za irracjonalne. Nie taił wszak, iż niewiele myśli jej poświęca. Nie wspominając już faktu tak oczywistego, że był u niej zatrudniony. Wspólny język, zbeształa się w duchu. Cofnęła się i zażądała, by trzymał ręce przy sobie.

- Proszę zostawić mnie w spokoju - wypowiedziała z wysiłkiem.

Spojrzenia ich się spotkały i raptem ów drwiący uśmiech zniknął z jego ust. Patrzył na nią z bliska, zmarszczywszy brwi. Przez chwilę miała uczucie, że chce ją o coś zapytać.

- Słucham? - spytała cicho. - O co chodzi?

Sprawił wrażenie zaskoczonego. Twarz mu spochmurniała; nie odpowiedział jej i wciąż stał bez ruchu.

Znowu poczuła zapach drewna nagrzanego przez słońce. Nie przywykła do czegoś takiego. Przyzwyczajona była do woni pomad i pudru, mocnej wody kolońskiej, balsamów do ciała. Nie przypominała sobie, by znalazła się kiedyś tak blisko robotnika. Jego czarne włosy miały naturalny połysk, opadały mu na czoło, z tyłu zaś na kołnierzyk płóciennej koszuli. Jakże pragnęła dotknąć tej materii!

Uśmiech znowu rozjaśnił twarz Morgana, jak gdyby czytał w myślach Lily, a wzrok spoczął na jej ustach. Dotknął palcami jej policzka, raz, drugi, i przysunął się do niej jeszcze bliżej. Dreszcz przebiegł jej po plecach, nie z obawy przed nim, ale przed samą sobą. A nuż rzuci mu się na szyję i poprosi, by ją pocałował?

Pragnęła poczuć jego wargi na swoich, jego dłoń sięgającą coraz niżej, aż połączą się w miłosnym uścisku. Ta myśl wstrząsnęła nią, wytrąciła z równowagi.

- Czy chce mnie pan pocałować? - Nim się spostrzegła, pytanie już padło.

Zapanowało niezręczne milczenie, kiedy to w pełni uświadomiła sobie, co ważyła się powiedzieć. Żałowała tych słów, a jeszcze bardziej miała je sobie za złe, gdy dostrzegła wyraz jego oczu. Twardy i zimny. Potępiający.

- Nie - odparł, cofając dłoń. - Ścierałem po prostu z pani policzka sadzę od świecy. - Powiedziawszy to, odsunął się, aby mogła swobodnie przejść.

Zakłopotanie ścięło ją wręcz z nóg, czuła, że się czerwieni. Boże mój, na co ona sobie pozwoliła? Lecz doświadczenie długich lat, podczas których zmuszona była się bronić wszelkimi metodami, sprawiło, że zakłopotanie szybko przemieniło się w gniew.

- Pan jest naprawdę bezczelny, panie Elliott - rzekła, przemagając niechęć do mówienia.

Roześmiał się, oczy mu rozbłysły.

- Słyszałem to od pani już wczoraj. - Przestał się śmiać. - I proszę sobie ów fakt zakonotować w pamięci.

Zabrakło jej tchu i wrócił dawny lęk, ale teraz przełękła się najbardziej brzmienia jego głosu.

- Dlaczego? Dlaczego pan chce, żebym się pana bała?

Zawirowało jej przed oczami na widok emocji, jaka odbiła się na jego twarzy. I zrozumiała w jednej chwili, że tym mężczyzną targa niepokój.

Bywają ludzie, którzy przez całe swoje życie czegoś szukają. Niektórzy nawet nie wiedzą czego. Inni szukają czegoś konkretnego, ale najczęściej to coś konkretne jest nieosiągalne. Morgan szukał. Poznała to po jego oczach. Ten sam błysk odnajdywała w swoich - w lustrze.

Lecz uderzyła ją i zadziwiła inna rzecz; gdyby nie to coś w spojrzeniu Morgana, nigdy by nie posądziła tego pewnego siebie i swoich racji człowieka, że zalicza się do ludzi poszukujących.

Zastanawiała się, czy Elliott doznałby szoku, jaki przeżywają ludzie im podobni, kiedy w końcu ich drogi się łączą. Ciekawe. A ona? Albo może oboje skazani są na wieczną wędrówkę jako obserwatorzy obojętnego im świata? Podróżnicy, jak już określiła to w myślach, wędrujący po obcych krainach.

I czy dlatego właśnie nie kazała mu odejść, co powinna była uczynić? Czy dlatego świat jej się odmienił, gdy tamtej nocy klęczeli obok siebie? Czy istotnie ulepieni są z tej samej gliny i kroczą tą samą ścieżką?

Czy ich drogi życia z jakiegoś powodu splotły się ze sobą?

- Wierzy pan w czary? - zapytała.

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

- W czary? Co też pani przyszło do głowy?

Spłonęła rumieńcem.

- Mam na myśli madame Paulie - odrzekła wykrętnie.

Roześmiał się.

- Już pani mówiłem, że ta madame to oszustka.

- Ale bez względu na to wierzy pan z pewnością w przeznaczenie, los?

Lily była najwyraźniej zagubiona, nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego jego odpowiedź jest dla niej taka ważna.

- W równym stopniu, panno Blakemore, nie wierzę w zrzędzenie losu, jak w jasnowidztwo madame Paulie. My sami kształtujemy nasze życie i odpowiadamy za to, co się nam przydarza, dobre lub złe. - Wyraz twarzy miał surowy, stanowczy. - A teraz proszę mi wybaczyć. Dom się wali i mam mnóstwo pracy. Czary nic tu nie pomogą.

5

Jeśli Morgan sądził, że czytanie starych gazet i przebywanie w towarzystwie Lily pomogą mu w zrozumieniu tej kobiety, to spotkał go srogi zawód.

Dwa dni po tym, jak madame Paulie, pałając oburzeniem, opuściła progi rezydencji, otworzyły się frontowe drzwi, omal nie wypadając z zawiasów, i niczym trąba powietrzna wbiegła do hallu Lily. Miała na sobie codzienną bawełnianą suknię, której fałdy okręcały się wokół jej kostek.

Morgan wyjrzał z salonu, gdzie naprawiał instalację gazową. Siedzący na stopniu półpiętra, gdzie przez okno

wpadały promienie słońca, Robert oderwał wzrok od książki, którą trzymał na kolanach. Trzy stopnie niżej przykucnęła z posępną miną Penelope, wsparłszy twarz na obu dłoniach. Cassie stała, trzymając się poręczy.

Lily, jakby nie widząc nikogo, zerwała z głowy kape-lusz i rzuciła go na bok, nie bacząc na to, gdzie tenże wyląduje. Przyozdobiony wymyślnie piórami spadł na brzeg mahoniowego stolika u wejścia i ześliznął się na marmurową posadzkę. Obszytą paciorkami torebkę spotkał nie lepszy los, koronkowe rękawiczki zawisły na oparciu zdezelowanego empirowego fotela, lecz nie na długo. Właścicielka tych przedmiotów nie pofatygowała się jednak, by pozbierać je z podłogi.

Elliott zmrużył oczy. Lily Blakemore wpędzała go w stan frustracji jak nikt nigdy dotąd. Jej ostatnie pytanie, czy on wierzy w czary, a także fakt, że do tej pory czuł pod palcami gładkość jej policzków - wszystko to sprawiało, że stanowczo za często myślał o tej kobiecie.

No i poprzednie pytanie: „Czy chce mnie pan pocałować?”

Zaklął w duchu. Taka właśnie myśl przyszła mu do głowy. Przedtem i potem. Mało brakowało, a uczyniłby to. Na szczęście jej pytanie otrzeźwiło go.

Gdy wtedy wstała od stołu, powinien był usunąć się na bok, tak jak dnia poprzedniego powinien był nie tarasować jej drogi w korytarzu. Ale za każdym razem, gdy znalazł się w jej pobliżu, tracił rozsądek.

Lily zatrzymała się nagle i rozejrzała dokoła.

- Gdzie wy wszyscy jesteście?

Morgan, Robert, Penelope i Cassie zamierzali właśnie odpowiedzieć, ale na widok podążającego za nią chłopaka z wyliniałym psem u nogi słowa uwięzły im w gardle.

- Idę! Idę! - wołał zadyszany chłopak niosący drewnianą skrzynkę wyładowaną wszelkim dobrem.

- Tędy, Albercie - mówiła śpiewnym głosem Lily, wskazując mu drogę do kuchni.

Albert podążał za nią chwiejnym krokiem, pies drepotał u jego nóg.

Morgan spojrział na dzieci pytająco, a one odpowiedziały mu tym samym.

- Co się dzieje? - rzucił ostro.

Cassie zerwała się z uśmiechem z miejsca i ruszyła za ciotką i chłopakiem.

- Bo ja wiem - rzekła. - Ale jeśli Lily do czegoś się bierze, to na pewno będzie dobra zabawa.

Penelope westchnęła dramatycznie i oświadczyła:

- Lepsze to niż nic.

Po chwili Robert dołączył do sióstr, Elliott zaś z niewyraźną miną odwrócił się do ściany i ze zdwojoną siłą zabrał do roboty, ignorując wszelkie dochodzące z kuchni odgłosy.

Stała na środku kuchni. Albert, chłopak, którego spotkała na ulicy i poprosiła o pomoc, czekał cierpliwie przy stole z psem u nogi. Lily nie zwracała na niego uwagi.

W głowie jej się mąciło. Głupio się czuła. Ma zrobić wielki obiad. Ha! Co też sobie ubrdała! Rano jedynakoż pewna była swego sukcesu. W świetle poranka wszystko wydawało jej się łatwe. Jeśli przygotuje wspólnie obiad dla dzieci, taki, jaki jej matka przy specjalnych okazjach robiła dla niej i Claude'a, to na pewno zjedna tym sobie Roberta i Penelope. Tymczasem teraz ciężar niepewności zupełnie ją przytłoczył.

Nabrała haust powietrza w płuca, starając się przezwyciężyć obawy. Musi ich do siebie przekonać, posta-

nowiła, kiwając głową dla podkreślenia wagi stojącego przed nią zadania. Ile wysiłku będzie ją to kosztować?

- Lily!

Uśmiechnęła się, patrząc na Cassie, i wyjęła ze skrzynki cytrynę.

- Uwaga! - zawołała dźwięcznym głosem.

- Co robisz? - zapytała Cassie, za którą stali Robert i Penelope.

Śmiejąc się, rzuciła jej cytrynę.

- Zamierzam przyrządzić obiad.

- Obiad? Ty? - krzyknęła jednogłośnie cała trójka.

- Tak, ja. Grzanki, ser i lemoniada. Ostatnio piłam lemoniadę, jak byłam w twoim wieku, Cassie. Pomozesz mi?

- Tak, chętnie. - Dziewczynka przyciągnęła do stołu wysoki stołek. Wdrapała się nań i zaczęła grzebać w skrzynce.

Albert, odzyskawszy już normalny oddech, wpatrywał się w Penelope jak urzeczonego.

- Ale ładna z ciebie dziewczyna - powiedział i mrugnął okiem, co miało wypaść zalotnie, a wyglądało jak tik nerwowy.

Penelope, znacznie od niego wyższa, spojrzała na niego uważnie.

- Ja? Ładna? Tak sądzisz?

Gdyby Albert przebywał parę minut dłużej w tym towarzystwie, zorientowałby się zapewne, że w spojrzeniu dziewczynki nie było cienia zainteresowania jego osobą. Lecz nie przebywał tych paru minut dłużej, toteż, ośmielony, postąpił krok w jej kierunku.

- Tak! Tak sądzę, moja ukochana!

Oddawszy się flirtowaniu, stracił całe swoje cwaniactwo. I na widok dłoni zaciśniętej nagle w pięść - onie-

miął. Ów gest przemocy nie kojarzył mu się absolutnie z boginią, która stała przed nim z tak słodkim uśmiechem na ustach, że wydawało mu się, iż umarł i jest w niebie. Właściwie był w niebie, gdyż Penelope, jego zdaniem, nawiązała tym gestem do jego treningów w klubie, co napełniło dumą serce boksera.

- Och...

Cisza.

Lily, Cassie i Robert obrócili się gwałtownie, ciekawo, co też się mogło wydarzyć. Stwierdzili, że Penelope stoi bez ruchu i patrzy z anielsko niewinną miną na Alberta, który zwinął się przed nią w kłębek obok własnego psa.

- Widocznie - zaczęła Penelope z troskanym głosem - najadł się chłopak za dużo słodyczy. I boli go brzuch. Lily, zapłać mu i niech wraca do domu.

- O Boże, jeśli on jest chory, to nie możemy go tak po prostu odprawić - rzekła Lily, podchodząc do wyrostka.

Penelope spojrzała na niego znacząco i pod tym jej spojrzeniem Albert wyprostował się i powiedział:

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Już sobie idę.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Słowo.

Lily rozejrzała się dokoła.

- Gdzie jest moja torebka?

- W hallu - oznajmił Robert. - Na podłodze. Wraz z resztą twoich rzeczy.

- Faktycznie. Bądź tak dobry, Robertcie, znajdź swoją portmonetkę i zapłać Albertowi.

Albert i jego pies szybko się z kuchni wynieśli. Robert udał się za nimi, a gdy wrócił, Lily właśnie oświadczyła wszem wobec:

- Najpierw lemoniada. - Rozejrzała się po kuchni. -

Są tu na pewno jakieś fartuchy. - I zaczęła otwierać szufladę po szufladzie.

Penelope niespiesznie sięgnęła do dolnej i wyciągnęła fartuch.

- Świetnie - rzekła Lily i wyjęła z tejże szuflady jeszcze trzy. - Po jednym fartuchu dla każdego z nas - powiedziała.

- Nie włożę na siebie tych falbanek - oświadczył z obrzydzeniem Robert.

Lily wzruszyła ramionami i czwarty fartuch włożyła z powrotem do szuflady. Po czym opasała się swoim, pomogła Cassie związać z tyłu troczki i sięgnęła z rozmachem po nóż.

- Odsuńcie się - rzekł Robert drwiąco, choć w jego głosie zabrzmiało również ostrzeżenie. - Bo ona może nie trafić do celu.

Lily roześmiała się tylko na te słowa; kręciła się wciąż po kuchni w poszukiwaniu różnych niezbędnych sprzętów.

- Mam już wszystko, co potrzeba - oznajmiła wreszcie. - Możemy zaczynać.

Starannie poprzekrajała cytryny i zaczęła wyciskać z nich sok do dzbanka. Dzieci pospieszyły jej z pomocą.

- Ile tego potrzeba? - zapytała Cassie.

- Nie wiem dokładnie - odrzekła Lily - ale chyba dużo.

Niebawem w dzbanku było mniej więcej trzy czwarte soku, a skórki od cytryn leżały wszędzie, gdzie tylko padł wzrok.

- Teraz woda i cukier - orzekła Lily.

Wzięła dzbanek z wodą i wlała ją do soku. W skrzynce Penelope znalazła torbę cukru. Lily ostrożnie wysypała do dzbanka trochę cukru, zamieszała i spróbowała. Skrzywiła się okropnie. Robert, Penelope i Cassie ryknęli gromkim śmiechem, aż przybiegł Morgan.

- Co się stało?! - wrzasnął, podczas gdy Lily wsypywała do dzbanka resztę cukru.

Dzieci rozdziawiły usta i z zapartym tchem wpatrywały się w ciotkę, która długą drewnianą chochlą mieszała z zapałem sok. Dłonie miała wilgotne i lepkie, a cukier wciąż trzeszczał w dzbanku. Pewną jego ilość udało jej się wydobyć, po czym naląła płynu do szklanek.

- To po prostu ulepek - powiedział Morgan.

- Czy pan zawsze na wszystko musi narzekać? - zapytała Lily, obrzucając go ostrym spojrzeniem.

- Ja nie narzekam - rzekł przez zaciśnięte zęby.

Lily sapnęła głośno, co damie raczej nie uchodziło.

- Oczywiście, że nie! Pan nigdy nie narzeka i jest pan najsympatyczniejszym człowiekiem na świecie!

Znowu to sapanie, aż Cassie zachichotała. Nawet na ustach Penelope pojawił się uśmiech. Lecz Morgana nie wprowadziło to w dobry nastrój. Patrzył wilkiem na Lily, ale ona go ignorowała.

- No a teraz - zaczęła - kto ma ochotę na grzanki z serem do tej lemoniady?

- Ja! - zadeklarowała Cassie.

- Niech będzie. - Penelope minę miała znudzoną.

- Mam nadzieję, że będą lepsze niż lemoniada - wyraził przypuszczenie Robert, odstawiając szklanekę na bok.

Lily zignorowała go również.

Wśród szczyku naczyń wyciągnęła patelnię z szafki.

- Gdzie jest Jojo? - zapytała Penelope, gdy kilka garnków upadło przy tej okazji z trzaskiem na podłogę.

Lily wsunęła je z powrotem i szybko zamknęła drzwiczki szafki, by naczynia znowu nie wypadły.

- Marky i Jojo mają wolny dzień - rzekła.

- Wolny dzień mieli wczoraj - wtrącił Elliott. •

Lily uniosła głowę.

- Słusznie. Hmm. Muszę z nimi o tym porozmawiać. Robercie, na dnie tej skrzynki jest masło.

- Jeśli się nie roztopiło.

Zajrzała do środka.

- Nie, nie roztopiło się. Jest tylko miękkie. I dobrze. Twarde masło nie nadaje się do grzanek z serem.

- Trudno mi sobie wyobrazić, by dała pani sobie z tym radę - mruknął Morgan.

- To tylko kwestia żenującego braku pańskiej wyobraźni. - Odwróciła się, ale po chwili spojrzała nań. - Niech pan przestanie gderać.

Otworzył szeroko oczy, a potem znowu je zmrużył. Po dłuższej chwili, kiedy to, jak sądziła, starał się zapamiętać nad emocjami, zwrócił się do Roberta:

- Będę w jadalni. Zawołaj mnie, jeśli twoja ciotka znacznie podpalać dom.

Drzwi się za nim zamknęły, a jej serce zaczęło znów walić jak młotem. Nie zrażona sceptycznymi uwagami Elliotta, wyjęła ze skrzynki pudełko zapałek i podeszła do płyty kuchennej. Chwila namysłu - i wręczyła je Robertowi.

- Będziesz tak uprzejmy? - zapytała.

Z początku obruszył się, ale wziął pudełko.

Lily westchnęła głęboko. Będzie dobrze, pomyślała, dodając sobie odwagi.

Dzieci obserwowały ją, jak nierówno i niezdarne kraje chleb. Penelope z ciężkim westchnieniem sięgnęła po drugi stołek, wzięła nóż z rąk ciotki i oto pojawiły się na deseczce ładne, zgrabne kromki. Ujrzawszy je, Lily wyjęła z szuflady dwa noże do masła - jeden wręczyła Cassie.

Dziewczynka pracowała pilnie i gdy jedna kromka była już posmarowana, Cassie odchyliła się do tyłu i spojrzała z triumfem na wszystkich obecnych. Stołek zachwiał się pod nią, ale Robert w porę podtrzymał sio-

strę. Na jego zaciśniętych zazwyczaj ustach pojawił się łagodny uśmiech.

- Uważaj, Cass - rzekł.

Lily ścisnęło coś za gardło. Ongiś Claude tak się do niej uśmiechał. Kiedy byli młodzi, nim jej los tak drastycznie się odmienił.

- Teraz trochę masła na patelnię. - Uniosła się ze stołka, zmuszając umysł do wysiłku. - Czy byłbyś tak dobry, Robercie, i pokrajał ser?

Włożyła na rozgrzaną patelnię sporą porcję masła. Potem obłożone plasterkami sera kromki chleba.

Wpatrywała się w nie z uwagą. Dzieci stały przy płycie kuchennej, a Lily usiłowała dociec, czy proces smażenia przebiega zgodnie z zasadami. Jak na razie - chyba tak.

Minęła chwila i wszystko wyglądało równie dobrze. Lily odsunęła się o krok. Na sekundę zamknęła oczy. Zapach pieczonego sera dotarł do jej nozdrzy. I w tym momencie ostry ból przeszył jej serce.

Przypomniała jej się matka smażąca grzanki z serem. Lily i Claude zawsze jej pomagali. Wszyscy troje w kuchni, było wesoło, śmiali się. Matka niezmiennie zaczynała śpiewać, nakłaniała dzieci, by przyłączyły się do niej. „Wesołe kumoszki z Windsoru”. „Uroczą Sally Sagehill”. A kończyli piosenką „Naprzód żołnierze Chrystusa”, w trakcie śpiewania której Lily i Claude maszerowali dziarsko wokół kuchni. Wówczas, jak na dane hasło, ojciec przychodził ze swego gabinetu i jego głęboki baryton wypełniał całe pomieszczenie. Rzadko się zdarzało, by cała ich czwórka była razem, i dlatego te godziny, spędzone wspólnie w ciepłej kuchni, Lily zaliczała do najszcześniejszych w swoim życiu.

Aż nie do wiary, że tyle lat minęło, odkąd stała w tej samej kuchni i te same zapachy roznosiły się wokół. Aż

nie do *wiary*, że ten dom przemienił się w ruinę. Aż nie do wiary, że rodziców już nie ma na tym świecie, że Claude umarł. I ona, Lily, została sama. Otworzyła oczy. Nie, nie została sama. Ma Roberta, Penelope i Cassie.

Skuliła ramiona. Co ona pocznie z tymi dziećmi? Zastanawiała się, dlaczego właśnie jej Claude przed śmiercią zlecił opiekę nad nimi. Uniosła głowę. Robi im obiad, czym pozyska sobie ich serca - na tę myśl uśmiechnęła się z zadowoleniem. Musi je sobie zjednać, i zjedna.

- Lily!

Obróciła się szybko.

- Grzanki! - krzyknęła.

Przywarły do patelni. Czarne. Wszystkie grzanki czarne.

- Spaliły się! - zawołała, rozwiewając dłońmi dym.

Chwyciła ścierkę i odsunęła patelnię z ognia. W tym momencie usłyszeli głośny stukot kroków, narastający z każdą chwilą. Drzwi otworzyły się na oścież.

W progu stał Morgan, wojownik gotowy do walki. Dzieci zamarły z wrażenia. Lily również, z patelnią w ręku. Wokół panowała cisza, słychać było tylko skwierczenie resztek tłuszczu.

Wściekłość malowała się na twarzy Morgana. Serce Lily biło szaleńczo. Jak to możliwe, że ten mężczyzna doprowadza ją do takiego stanu, iż ręce zaczynają jej drżeć? Dlaczego właśnie on?

Wywołuje w niej pragnienia, które nie mogą się ziścić.

Zważywszy na tryb jej życia w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ich różny status nie miał dla niej żadnego znaczenia. Być może robotnik, człowiek ciężkiej pracy, potrafiłby lepiej ją zrozumieć. Lecz po Morganie Elliotcie, bez względu na to, czy był, czy nie był robotnikiem, tego zrozumienia nie mogła się spodziewać. Świadczył o tym wyraz jego

oczu. I to, co w nich dostrzegła, zawsze będzie ich dzieliło, bardziej niż różnice pozycji, jakie zajmowali w świecie.

Ta myśl zmroziła jej serce. Trudno, nie zamierza się tym przejmować.

- Cóż, na Boga, się stało? - zapytała, nie zważając na trzymaną w dłoni gorącą patelnię.

- Mnie pani o to pyta? - rzucił gniewnie. - Myślałem, że dom się pali.

- Nie pali się - prychnęła z oburzeniem.

Odwróciła się z głową dumnie uniesioną, łykając łyzy, jakie napłynęły jej do oczu. Bez słowa weszła do spiżarni, gdzie stało duże metalowe wiadro na odpadki. Metal zadźwięczał ostro, gdy wrzucała do wiadra patelnię z całą jej zawartością.

- Co pani wyprawia? - spytał Morgan, nie panując nad gniewem.

- Sprzątam.

- To się nazywa sprzątanie? - Parsknął śmiechem. - To się nazywa sprzątanie?

- Tak, owszem. - Obróciła się raptownie, gardło miała zaciśnięte aż do bólu.

- Pani wyrzuca patelnię.

- Tak, wyrzucam.

- Trzeba ją wyszorować.

Nie była pewna, czy zdoła powstrzymać łyzy upokorzenia, jakie czuła pod powiekami.

- Niech pan już idzie. Nie zatrzymuję pana.

Próbując nad sobą zapanować, podeszła do blatu, przy którym stał Elliott, i wzięła leżącą tam kartkę papieru. Coś na niej ołówkiem napisała.

Mężczyzna rzucił okiem na kartkę.

- Lampa. Stół. Spalona patelnia - przeczytał głośno i spojrzał pytająco na Lily. - Co to znaczy?

Odpowiedź padła z ust Roberta:

- To są rzeczy, które zniszczyła od swego tu przyjazdu.

- Zniszczyła? Spaliła pani patelnię, to wiemy, i w dodatku zniszczyła pani lampę i stół?

- Och, zapomniałam jeszcze o empirowym krześle - rzekła, sięgając powtórnie po kartkę.

- Krzesło? W jaki sposób zniszczyła je pani? - zapytał Morgan zdławionym głosem.

- Usiłowała podeprzeć nim zewnętrzne drzwi do piwnicy - pospieszył Z odpowiedzią Robert.

- Podeprzeć drzwi do piwnicy? - Morgan poruszał głową w te i wewte, jakby chciał strząsnąć z siebie pajęczą sieć.

- Czy ma pan zwyczaj powtarzać wszystko, co pan usłyszał? - zapytała Lily, podniesionym głosem, choć starała się zapanować nad nerwami. - No tak, podparłam tym krzesłem drzwi do piwnicy.

- Dlaczego?

- Bo docierał stamtąd do domu bardzo nieprzyjemny odór.

- Strasznie tam śmierdziało - wyjaśniła Penelope.

- Okropnie - dodała Cassie. - Po prostu okropnie.

- Gdyby pan się tym zajął - zaczęła Lily, patrząc znacząco na majstra - ja nie musiałabym.

- To był świetny pomysł - rzekła pojednawczo Cassie, co sprawiło, że Lily zaczerwieniła się po korzonki włosów. - Ciocia wyniosła krzesło, a Robert tymczasem trzymał drzwi. Podstawiła krzesło i Robert opuścił drzwi, aż opadły na siedzenie. - W tym momencie Cassie skuliła ramiona.

- I co się stało potem? - zapytał Elliott ponurym głosem.

Robert i Penelope wybuchli śmiechem. Cassie spojrziała na Lily z pokorą i nie rzekła już słowa.

- I co było dalej? - Tym razem Morgan zwrócił się do Lily.

Popatrzyła mu w oczy i walcząc ze łzami, wykrztusiła:

- Ciężkie drzwi rozłupały krzesło na połowę. - Nie chcąc dopuścić go do głosu, dodała: - Mam nadzieję, że skończył pan już to przepytywanie, bo ja muszę się zająć obiadem dla dzieci.

Dzieci wydały przeciągły jęk.

- Nie martw się, ciociu - powiedziała Cassie. - Spotkaliśmy w parku pewnego człowieka, który sprzedaje wspaniałe kiełbaski.

Lily nabrała w płuca potężny haust powietrza. Zawiodła na całej linii. Fatalnie zawiodła. Ponownie stwierdziła w duchu, że nie ma zielonego pojęcia o sprawowaniu opieki nad dziećmi. Nie umiała nawet przyrządzić lemoniady i grzanek z serem. Nie mogła już liczyć na to, że zdoła przekonać do siebie Roberta i Penelope.

- Dobrze, idźcie do parku - rzekła z wymuszonym uśmiechem. - Weźcie pieniądze z mojej torebki. - Z tymi słowy wolnym krokiem ruszyła ku drzwiom.

Morgan obserwował ją pilnie. Patrzył, jak przekracza próg. Nie wiedział, co powiedzieć. Ostatnio często mu się to zdarzało. Milczał zatem. Spalone patelnie, potłامane krzesła... Pomyślał, że ta kobieta jest chyba niepełna rozumu.

Dzieci stały bez ruchu i patrzyły na niego. Robert potrząsnął głową i rzekł głosem pełnym pogardy:

- Ona ma hyzja.

I choć przed chwilą podobna myśl przyszła Morganowi do głowy, wypowiedź chłopca wywołała w nim

odruch niechęci. Nie wiadomo dlaczego. Bo Robert miał na pewno rację. Lily jest szalona. Ale...

- Idziemy - rzekł Robert. - Jestem głodny.

Wyszli tylnymi drzwiami. Elliott nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, i nie chciał o tym wszystkim myśleć. Skierował się ku wąskim oknom tuż pod sufitem, przez które wpadało światło do znajdującej się w suterenie kuchni. Łatwo się otwierały - nie będzie jednak łatwo, orzekł, zetrzeć z nich sadzę i resztki spalonego tłuszczu. Spojrzawszy w bok, dostrzegł wiadro na śmieci i sterzącą z niego rączkę patelni. Istotnie ją wyrzuciła, pomyślał. Nie był tym zaskoczony. Słyszał przecież aż nadto wyraźnie uderzenie metalu o metal.

Westchnął i przecesał dłonią włosy. Lily Blakemore może i była szalona, zwariowana, może i miała huzia, jak określił to Robert. Ale czy była kobietą upadłą?

Z każdym dniem coraz mniej w to wierzył.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się smętnie.

- Wyrzuciła patelnię - rzekł do czterech ścian. Lecz uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy w domu rozległ się jakiś łoskot. - A to co znowu?

Kolejny huk, i jeszcze jeden.

Wypadł z kuchni - łoskot docierał do jego uszu jakby z góry. Wbiegł po schodach na piętro, przeszukał tam wszystkie kąty i po chwili był z powrotem w hallu.

Tu ujrzał Lily.

Zamarł i przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Lily waliła z zapałem młotkiem w futrynę drzwi wiodących do jej pokoju.

- Co pani wyprawia?

Jakby nie słyszała jego pytania.

Podszedł do niej i gdy już miała uderzyć ponownie, chwycił ją za ramię.

Popatrzyła na niego, jej niebieskie oczy błysnęły dzi-ko.

- Co, do diabła, pani robi? - zapytał, zły na siebie, że na jej widok krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

- Naprawiam te cholerne drzwi!

Na jej porcelanowobiałych rękach widać było czerwone plamy, zaciskała usta z emocji. Ze złości? Nie sądził.

- Walenie młotkiem w futrynę ma naprawić drzwi? - zapytał sceptycznie.

- Tak. A potem zabiorę się do tego idiotycznego dywanu. - Pokazała go palcem. Dywan, jako jedna z nie-licznych rzeczy w tym domu, znajdował się w całkiem dobrym stanie. - Potykam się o niego. Odciągnę go od framugi i przybiję gwoździem.

Dopiero teraz Elliott zauważył, że miała rozerwaną spódnice.

- Moim zdaniem to nie wina dywanu, tylko tych piornurskich pantofli bez pięt, które pani stale nosi. Gdyby włożyła pani jakieś inne, porządne obuwie, nie miałyby pani tych problemów.

- To są piękne pantofle, ostatni krzyk mody.

- Porządne obuwie wyglądałoby równie elegancko, zapewniam panią.

Zmrużyła powieki.

- Mało mnie obchodzi pańska opinia w tej kwestii. Faktem jest natomiast to, że gdyby wywiązał się pan ze swojego zadania i naprawił tę futrynę, nie musiałabym stać tutaj z rozdartą spódnicą.

Obróciła się, dzięki czemu zauważył, że rozdarła nie tylko spódnice, ale także pończochę, i gwóźdź zranił jej łydkę. Wśród strzępów odzieży zauważył krew.

- Pani jest ranna.

Po raz pierwszy spojrzała na swoją nogę, najwyraź-

niej tak samo jak Morgan zdziwiona widokiem krwi.

- Ojej - szepnęła. - Coś takiego!

Wbrew jej protestom Morgan wziął ją na ręce i skierował się w stronę pokoju łazienego przy jej sypialni. Choć pokój ów był w fatalnym stanie, jak zresztą cały dom, miał już wodę bieżącą, zimną i ciepłą, albowiem w przeddzień Morgan zreperował bojler.

- Nic mi nie jest, panie Elliott. Naprawdę - mówiła Lily coraz bardziej podniesionym głosem, usiłując się oswobodzić.

Szamotała się, lecz Morgan trzymał ją mocno. Po dotarciu do pokoju łazienego posadził ją na stojącej tu ławce.

Czuła się jak skarcona uczennica.

- Potrafię sama sobie poradzić - oświadczyła szorstko.

- Niech mnie pani nie rozśmiesza.

- Rozśmieszam pana? Nie podejrzewałam pana o poczucie humoru - powiedziała impulsywnie.

Morgan popatrzył na nią, uniósł kpiąco jedną brew, po czym odkręcił kurek z gorącą wodą. Gdy ukląkł przed Lily, chcąc dokładniej obejrzeć ranę, poczuł, że cały jest spięty. Nie zważając na względy przyzwoitości, podniósł połą jej sukni.

- Panie Elliott!

- Nie wolno lekceważyć skaleczeń zardzewiałymi gwoźdźmi.

Zanim zdążyła zareagować, ściągnął jej z nogi pantofel, porwaną pończochę, zamoczył w gorącej wodzie mały ręcznik i okręcił go wokół jej łydki.

- Ojej!

- Proszę siedzieć spokojnie!

- To mnie parzy!

- Nie parzy.

Odwinął ręcznik, krew leciała z łydki jeszcze obficiej.

- Pogorszył pan sytuację! - krzyknęła.

- Polepszyłem. Z krwią spłyną wszelkie zanieczyszczenia.

Sapnęła głośno.

- Pan tak się zachowuje, jakby wąż mnie ukąsił. Jeszcze chwila, a przypnie się pan ustami do mojej łydki i zacznie wysysać jad.

Unióśł głowę, w jego oczach rozbłysło zdumienie, a zaraz potem figlarny, zawadiacki uśmiech pojawił się na ustach.

- Dobry pomysł - rzekł.

Wytrzeszczyła oczy.

- Miałam na myśli... - Spojrzała nań groźnie. - Nic złego nie miałam na myśli, a z pana jest stary zboreźnik. Niech pan tak na mnie nie patrzy!

- Jak, panno Blakemore? - zapytał ze zmysłowym akcentem południowca. - Zastanawiam się po prostu, jak by to smakowało, ten jad oczywiście.

- Źle by pan na tym wyszedł.

- Czyżby?

Szarpnęła nogę, a wówczas ręcznik spadł i oczom Morgana ukazała się jej naga łydka. Żartobliwy wyraz zniknął z jego twarzy.

Pozostawało mu tylko trzymać ręce przy sobie. Co innego droczenie się z tą rozżłoszczoną kobietą, a co innego dotknięcie jej ciała - a tego właśnie najbardziej teraz pragnął. łydkę miała gładką i kształtną. Wyobraził sobie nagle, że tuli ją w ramionach, naga, że leżą ze splecionymi nogami. Poczował, że mrowie przeszło go po łydźwiach. Wciągnął powietrze w płuca i zaklął z cicha. Odsunął się do tyłu.

- Mam tu za dużo pracy, żeby jeszcze zajmować się pani niańczeniem, nie mówiąc już o naprawianiu rze-

czy, jakie pani zniszczyła. O Chryste, to krzesło chippendale! - rzekł, potrząsając głową.

Lily zrobiło się gorąco z wrażenia.

- Empirowe - poprawiła go, pokrywając tym własną konsternację.

- Chippendale, empire, co to ma za znaczenie? Krzesło to krzesło, i nie wolno opierać na nim drzwi trzy razy od niego cięższych. Nie ma pani pojęcia o pracach domowych. I w przyszłości, panno Blakemore, proszę męską robotę zostawić mężczyznom, którzy sobie łątko z nią poradzą.

Zacisnęła zęby wobec takiej wręcz niewiarygodnej arogancji. Minał moment konsternacji, policzki przestały ją palić.

- Noszenie spodni, panie Elliott, nie czyni jeszcze Z pana mężczyzny.

Zerwała się Z ławki, zamierzając uciec z tego miejsca, które nagle stało się zbyt ciasne dla nich obojga. Lecz zanim zrobiła krok, barczysta postać zatarasowała jej drogę, majster chwycił ją za ramię, oczy mu błyszczały groźnie, jak u drapieżnego zwierza.

- Potrzebuje pani mężczyzny, panno Blakemore? Przekona się pani, że nim jestem.

Przyciągnął do siebie jej zeszywniałe ciało, a gdy zaczęła protestować, żądać, by ją puścił, usta jej znalazły się tuż przy jego ustach. Była oszołomiona tą nagłą bliskością, tym, że Morgan tak śmiało sobie z nią poczyną. Że jest taki zaborczy. Serce jej waliło. Nikt nigdy tak jej nie całował. Jak gdyby pragnął nią zawładnąć. To nie był namiętny, pełen pożądania pocałunek. To był pocałunek władczy.

Chciała się wyrwać, ale nie miała siły. Elliott trzymał ją w żelaznym uścisku, jego język z mistrzowską wprawą rozdzielał jej wargi, by sięgnąć głębiej, w miękkość ust. Jedną ręką Morgan odchylił jej głowę, aby czuć jej

ciało jak najbliżej swego. Pożądał jej, jego twardy członek wpijał się w jej brzuch.

Kosztowało ją wiele wysiłku, by nie poddać się jego szaleństwu. By zachować bierność. Puścił ją wreszcie, oddech miał urywany, i patrzył na nią złym wzrokiem, bez cienia skruchy, poczucia winy. Kiedy ich oczy się spotkały, był w nich gniew i uraza.

Powoli, jak gdyby z namysłem Lily uniosła dłoń i jej wierzchem wytarła sobie usta. Zmusiła się do chłodnego, ironicznego uśmiechu, choć łzy wściekłości i upokorzenia cisnęły się jej do oczu.

- W ten sposób chciał mnie pan przekonać o swojej męskości? - zapytała.

Przymknęła powieki, słyszała bicie własnego serca. Uniosła wzrok i raptem dostrzegła ból w jego spojrzeniu. Obraziła go, tak jak zamierzała. A teraz poczuła żal i rozpaczliwie zapragnęła uciec.

Zanim zdała sobie z tego sprawę, znów znalazła się w jego ramionach. Lecz teraz, inaczej niż przedtem, całował ją jak kochanek. Nie zaborczo, nie władczo. Dotykał jej ust z subtelną namiętnością. Czuła drżenie jego ciała i pomyślała przelotnie, że oto dał folgę uczuciom, które tak skrzętnie skrywał.

Całował ją z niebywałą wręcz zachłannością, kąciki jej ust, policzki, była w tym jakaś desperacja, tęsknota. Gdy zamknęła oczy, całował jej powieki. Jego usta błędziły po jej ustach, rozdzielał jej wargi, pieścił język.

Nie broniła się już, a on upajał się jej słodyczą, ciała ich były tak blisko siebie, że czuła, jak jest jej spragniony. Po każdym pocałunku marzyła o następnym. Łaknęła jego pieścizot. Dotyku jego skóry. Była to chwila, w której pragnęła jego czułości, oddania, nawet jeśli to były tylko pozory. Gdyby przytulił ją do pier-

si, zapomniałaby choć na chwilę, że tak naprawdę to ona nic go nie obchodzi.

Oddychała głęboko i miała wrażenie, że w ten sposób wchłania go w siebie. Cieszyła się jego bliskością i stwierdziła, podobnie jak poprzednio, że ubóstwia ostry zapach jego potu.

Uniósł rękę, dotknął jej policzka, palcami sięgnął do włosów, odchylił jej głowę, by móc widzieć twarz.

- Poddaj się moim pieścizdom - wyszeptał.

Poddała się. Radośnie, ochoczo.

Czy to możliwe, że niewłaściwy postępek uznaje się za właściwy? - myślała, podczas gdy on gorącymi dłońmi pieścił jej szyję i ramiona.

Przywarł do jej ust, pocałował w konchę ucha. Czowała jego oddech, słyszała jego namiętny szept, szumiał jej w głowie niczym powiew wiatru rodzący coraz to nowe doznania. Przytulił ją do piersi, tak jak tego pragnęła, a ona przebierała palcami po gorsie jego koszuli. Sprawił, że czuła się przy nim mała i krucha. Upragniona i umiłowana, niczym cenna porcelanowa filiżanka. Nieważne, że były to tylko pozory. Nieważne, że on ani jej tak naprawdę nie pragnął, ani nie miłował. Radowała się tym, że czyjeś serce bije tuż przy jej sercu. Przyszło jej na myśl, że pozostałaby w jego ramionach już na zawsze, niechby te silne ramiona ją chroniły. Ale było to niemożliwe. Może i teraz Elliott jej pożądał, lecz w gruncie rzeczy nie żywił do niej przyjaznych uczuć.

Wypełniło ją gorzkie uczucie klęski.

Wysiłkiem woli przepędziła tę myśl. Ona też była silna. Nie potrzebowała jego siły. Od dawna niczyja siła nie była jej potrzebna. Powinna była odepchnąć go zaraz, natychmiast, zanim zbił ją z tropu zdaniem, jakie wypowiedział.

Chciała coś rzec, ale nie wiedziała co. Pod spojrzeniem Morgana każde słowo zamierało jej na ustach. Tak intensywnie wpatrywał się w nią tymi swoimi czarnymi oczami. Czy była w nich tęsknota? Czy ten silny męczyzna może czuć to, co ona czuje? Serce trzepotało jej w piersi, wyciągnęła dłoń, chcąc dotknąć jego policzka, jak gdyby ów dotyk mógł dać jej odpowiedź na to pytanie. I wtedy wyraz oczu Elliotta zmienił się radykalnie. Patrzył na nią surowo, niemal wrogo.

- Jak już powiedziałem, panno Blakemore, proszę w przyszłości wszelkie reperacje zostawić mnie.

Odwrócił się i wyszedł, a nią owładnęło przejmujące uczucie porażki.

6

Nazajutrz rano Lily, całkiem załamana, siedziała przy swojej toalecie. Morgan Elliott. Tak naprawdę, to nigdy jeszcze nie całowała się z mężczyzną.

I choć chętnie cofnęłaby czas i odmieniła bieg wydarzeń, nie mogła zaprzeczyć temu, co zaszło między nimi.

Fala gorącej krwi uderzyła jej do głowy. Tak. Ilekroć on był w pobliżu, traciła wszelki rozsądek. Myśli, których nigdy nie dopuszczała do siebie, wbrew temu, co ludzie sądzili, teraz ją dopadły. Patrząc na siebie jego oczami, czuła zażenowanie. Absurd. Nic nie zawdzięczała Morganowi Elliottowi i doprawdy jego opinia o niej nie zaważy na jej życiu, nie będzie się przejmować tym, co on sobie o niej myśli. Otóż to.

Pochyliwszy się, zebrała długie włosy w luźny zwój

i upięła go na czubku głowy. Postanowiła spędzić ten dzień przyjemnie, mimo iż jej sny tego nie zwiastowały. Weszła do garderoby i sięgnęła po ulubioną suknię: jasnoturkusową, zdobną sztywną koronką, którą nabyła podczas jednej z podróży do Meksyku. Przypominała jej tamtejsze fiesty i tańce flamenco, które sprawiały jej tyle radości. Idąc za ciosem, owinęła szyję równie lubianym boa z piór, a zanim wyszła z pokoju, wpięła we włosy kwiat. W takim stroju zły dzień nie wchodził w ogóle w rachubę.

Idąc korytarzem, natknęła się na Marky'ego, który zaglądał do wbudowanej w ścianę szafy.

- Czego tu szukasz? - zapytała.

Obrócił się szybko.

- Panienska Blakemore. - I cisza. Stał i patrzył na nią rozszerzonymi oczyma

- Co się dzieje, Marky, i czego tu szukasz?

- Szukam? - Uśmiechnął się. - Nie, niczego nie szukam, panienko. Absolutnie niczego. Sprzątałem. Tak, panienko, właśnie sprzątałem. Usuwałem różne różności. Składałem w jedno miejsce te wszystkie bibeloty, których tu pełno. A teraz proszę mi wybaczyć, robota na mnie czeka.

To powiedziawszy, zamknął szafę, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Dziwny człowiek, myślała Lily, kierując się ku schodom. Gdyby nie fakt, że bliski jej sercu John go polecił, zaniepokoiłaby się poważnie jego tu obecnością.

Weszła do kuchni w momencie, gdy Morgan przekraczał próg drzwi od podwórza. Oboje zatrzymali się raptownie.

Stwierdziła z przykrością, że serce w niej drgnęło. Był taki przystojny. Taki męski. Nieprzystępny. Choć świadoma była tego, że całując go, postąpiła idiotycznie, nie oparła się chęci spojrzenia na jego usta. Usta,

które dotykały jej ust. Delikatnie, tkliwie. Umiał zapanaować nad swoimi zaborczymi instynktami.

- Dzień dobry - powiedział, skinąwszy głową, przerywając tok jej myśli.

- Dzień dobry.

- Lily! - zawołała Cassie zza pleców Morgana. - Nareszcie wstałaś!

Lily czuła, że się rumieni, ale tym razem potrafiła wziąć się w garść.

- Tak, wstałam, jak widzisz. - Podeszła do płyty kuchennej, przy której kręcił się Jojo.

- Ńdobry, panienko - powiedział, podając jej filiżankę kawy.

- Dzień dobry, Jojo. - Łyknęła odrobinę. - Ooo! Parzysz kawę naprawdę wyśmienicie

- Rzecz jasna, wyśmienicie - powtórzył Jojo. Uniósł miskę z roztrzepanymi jajkami i przelał jej zawartość na rozgrzaną patelnię. - A teraz według mnie ma pani chętkę na śniadanko.

- Nie, wystarczy mi kawa.

- Źle pani mówi, panienko. Zje pani teraz jajecznicę. Chuda jest pani jak patyk. Niech pani siada. - Obejrzał się. - I ty też, panienko Penelope. Zauważyłem już, że byle czego do ust nie weźmiesz.

O dziwo, Penelope usiadła przy stole.

- Zjem, bo jestem głodna, wcale nie dlatego, że mnie namawiasz - oświadczyła, krzyżując ramiona na piersi.

Lily powstrzymała się od uśmiechu.

- Chcę dziś wyjść na miasto i kupić parę rzeczy - powiedziała.

- Na przykład patelnię - mruknął Robert.

Spojrzawszy na bratanka, rzekła:

- Tak, istotnie, patelnię. I co twoim zdaniem jeszcze powinnam kupić?

- Lustro - powiedział Morgan rzeczowym tonem, mierząc spojrzeniem jej strój.

Cisza trwała tylko chwilę, a potem wszyscy, nawet Jojo, wybuchli śmiechem.

- Żarty się pana trzymają, panie Elliott - stwierdziła Lily. Łzy upokorzenia podeszły jej do oczu, lecz oparowała się szybko. Lubiła tę suknię, uważała, że jest najpiękniejsza na świecie. Po raz pierwszy jednak dotarło do jej świadomości, iż może jest ona zbyt oryginalna. Nic dziwnego. Kiedy to ostatnio zastanawiała się nad tym, co powinna włożyć na siebie? Kiedy ostatnio takie sprawy liczyły się dla niej? Przygryzła dolną wargę, rada gniewowi, jaki ją ogarnął, przepędzając pustkę z serca.

- Czy nie zapomniał pan czasem, panie Elliott, że pan u mnie pracuje, że ja pana zatrudniam? Mogę zwolnić pana w każdej chwili. Aż dziw, że nie zrobiłam tego już wcześniej.

Takie słowa rozwścieczyłyby każdego, kto dokonał tyle, co on.

Cassie wstrzymała oddech.

Lecz Morgan tylko się roześmiał.

- Proszę bardzo. Ale jeżeli pani sądzi, że ten dom nie runie pani na głowę albo że znajdzie pani jakiegoś wariata, który podejmie się tych wszystkich napraw, to grubo się pani myli.

Lily naburmuszyła się, nie wyrzekła jednak ani słowa. Faktycznie, kto by się chciał podjąć takiej pracy? Wiadomo jej było, że kamerdyner, którego zwolniła, miał poważne kłopoty ze znalezieniem jakiegoś majstra. A dom istotnie wymagał licznych napraw.

- Zatem, panno Blakemore, jak przedstawia się sytuacja? Zwalnia mnie pani czy nie?

Obrzuciła go jadowitym spojrzeniem.

- Nie, nie zwalniam.

- To świetnie! - wykrzyknęła Cassie, podskakując z radości.

Nawet na twarzy Penelope odmalowała się ulga. Jakim cudem Morgan Elliott zdołał się tak wpleść w ich życie? - zastanawiała się Lily, wyraźnie nierada takiej sytuacji.

- Jeśli więc to, co robię, pani odpowiada - zaczął Morgan z uśmiechem czającym się w głębi jego czarnych oczu - to będę to robił. Po obiedzie chciałbym pójść z dziećmi do sklepu. Nie wybrałyby się pani z nami?

O wpół do pierwszej wyszli z domu - Morgan, Lily i dzieci.

- Czy nie powinniśmy wziąć powozu? - zapytała Lily, otwierając chroniącą ją przed agresywnym słońcem parasolkę.

Cassie trzymała się spódnicy ciotki, innej spódnicy, bo Lily się przebrała, jak zauważył Elliott. Boa z piór i kwiat zdobiący włosy znikły jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Musiał przyznać, że teraz Lily wyglądała całkiem godnie.

- Morgan obiecał nam przejażdżkę tramwajem konnym - przypomniała Cassie.

- Ty weź powóz - wtrąciła Penelope - i spotkamy się w sklepie.

Lily spojrzała na swoje kunsztownej roboty jedwabne pantofle, w żadnej mierze nie przystosowane do chodzenia, i wzruszając ramionami, powiedziała:

- Nie, tramwaj to dobry pomysł.

- Tędy - rzekł Morgan, nie chcąc wychodzić aleją od frontu. - Będzie bliżej.

Szli brukowaną, wijącą się dróżką, aż dotarli do tylnej bramy wychodzącej na Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicę.

- Zupełnie zapomniałam o tej drodze - powiedziała Lily z zadumą, spoglądając przy tym na Roberta. - Razem z twoim ojcem wymykaliśmy się często tędy z domu. - Roześmiała się na to wspomnienie.

- Złapano was kiedyś? - zapytała Cassie.

- Dzięki Bogu, nie. Claude był zbyt przebiegły, by dać się złapać.

- Mój ojciec nie był przebiegły! - Robert wypowiedział te słowa z taką pasją, że aż okulary zjechały mu na czubek nosa.

Lily zatrzymała się, Morgan też. Robert poszedł dalej.

- Mój ojciec był dobry i inteligentny, nie taki głupi jak ty - rzekł, odwracając się.

Elliott dogonił go i chwycił mocno za ramię.

- Przepróż ciotkę.

- Nie! Bo to prawda. A ciotka niech się tak nie wyraża o moim ojcu!

Chłopiec drżał pod dłonią Morgana, a gdy ten spojrział na Lily, stwierdził, że ona również głęboko przeżywa ten incydent.

- Robercie, ja nic złego nie miałam na myśli - oświadczyła przytłumionym głosem. - To tylko, że twój ojciec był bardzo inteligentny, tak jak powiedziałaś.

Morgan obserwował, jak Lily patrzyła na swego bratanka - oczyma pełnymi z troską. A zaraz potem westchnęła i wymijając chłopca, ruszyła ku Szóstej Alei. - Nie zdążymy do tego tramwaju, na którym tak wam zależy - rzuciła z uśmiechem, oglądając się na nich.

Jednak Morgan nie potrafił przestać myśleć o tym

niemiłym incydencie. Po raz pierwszy od dnia swej przeprowadzki do Blakemore House zdał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znalazła się ta rodzina. Wiedział oczywiście, że Lily straciła brata, a dzieci - ojca, ale tak był zaaferowany faktem, że oto znalazł dojście do Johna Crandalla, że nie pomyślał nawet, co ci ludzie wciąż przeżywają. Wszak Claude Blakemore umarł zaledwie przed pięcioma miesiącami.

Niezależnie jednak od sytuacji, w jakiej się znalazł, chłopak powinien nauczyć się szacunku dla starszych. Morgan szykował się już, by coś powiedzieć na ten temat, ale w porę zrezygnował. Lily Blakemore, jej bratanice i bratanek nie są obiektem jego zainteresowania. Taka jest rzeczywistość.

- Wasza ciotka ma rację, musimy się spieszyć. - I to było jedyne zdanie, jakie padło z jego ust. Z ponurym wzrokiem szedł na czele grupki.

Złapali tramwaj jadący na południe. Elliott pomagał wszystkim przy wsiadaniu, przy czym ze zdziwieniem popatrzył na Lily, która jak gdyby nigdy nic usiadła na jednej z ławek usytuowanych po obu stronach wagonu.

Zanim sam wszedł do środka po drewnianych stopniach, zobaczył spieszącą do tramwaju starszą kobietę. Pomógł jej wsiąść, niewiasta przeszła parę kroków i wrzuciła monetę do skrzynki. Obserwował ze skrywanym uśmiechem, jak Lily, zaskoczona tym widokiem, zaczęła nerwowo grzebać w torebce.

- Ja się tym zajmę - powiedział. Przeszedł do przodu i wrzucił do skrzynki pięć monet.

- Niepotrzebnie, panie Elliott, sama bym to zrobiła, zapewniam pana.

- Proszę mnie nie rozśmieszać - rzekł, sadzając swą wielką postać na ławce naprzeciwko niej.

- Jak na kogoś, kto zarabia na życie, wykonując polecenia innych, stanowczo za często sam pan na tych innych je wydaje. Czy aby na pewno jest pan majstrem?

Morgan zamarł na moment ze wzrokiem utkwionym w Lily. Doszedł jednak do wniosku, że wyraz jej twarzy oznacza tylko zwykłą irytację, której często był przedmiotem. Nie kryły się za tym żadne podejrzenia.

- jeśli sprawiam pani kłopot, panno Blakemore - zaczął nonszalanckim niemal tonem - to proszę mnie zwolnić.

Wzniosła oczy ku niebu.

-Jeśli pan chce, żebym powtórzyła, iż nie zamierzam pana zwolnić, to spotka pana zawód. Powiedziałam raz, i to wystarczy.

Skrzyżowali spojrzenia. Morgan stwierdził, że błękit jej oczu wyraźnie ściemniał. Zastanowił się nagle, czy również by ściemniał, gdyby wszedł w nią. Powoli. Głęboko. Czyby krzyczała? Czy może odwróciłaby głowę?

Nie pozwoliłby jej na to. Zmusiłby ją, aby podczas zwania ich ciał patrzyła mu prosto w oczy. Chciałby ją widzieć. I żeby ona go widziała. Patrzyła na niego.

Przeraził się. Boże, co za myśli przychodzą mu do głowy? Uprawianie miłości z tą kobietą! Zaklął w duchu i odwrócił wzrok.

Dzieci rozmawiały przez cały czas, klękały na ławce, wyglądały przez brudne okna.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - zapytała Lily.

Elliott założył nogę na nogę i też wyglądał przez okno.

- Do magazynu Macy'ego przy Szóstej Alei - odparł, nie odwracając głowy.

- To Macy wciąż prowadzi ten interes? Odnoszę wrażenie, że w trakcie mojej nieobecności wszystko się pozmieniało.

- Nie wszystko. Macy istnieje i cieszy się dobrym zdrowiem. Podobno wkrótce zamierzają się przeprowadzić, ale moim zdaniem zostaną tu jeszcze dobrych parę lat.

Wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki i sprawdził godzinę. Uniósłszy wzrok, zauważył, że Lily lustruje go od stóp do głów. Miał na sobie garnitur, nie swój zwykły roboczy strój.

- Czy idąc do sklepu, zawsze przywdziewa pan garnitur?

Poruszył się na ławce z niepewną miną.

- Jestem potem umówiony - odparł dopiero po chwili. - W istocie rzeczy, skoro wybrała się pani razem z nami, to po zakupach mogłaby pani zabrać dzieci do domu, a ja byłbym wolny. - Uprzytomnił sobie nagle, że jako jej pracownik powinien zapytać Lily o zgodę. - Jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko mojemu spotkaniu z pewnym bankierem.

- Nie, skądże.

Wyglądała na zdziwioną tym pytaniem, jak gdyby nie przyszło jej w ogóle na myśl, że mogłaby wkraczać w jego prywatność, interesować się, dokąd chodzi i gdzie przebywa. Prawdę powiedziawszy, w równym stopniu nie interesowała się, dokąd chodzą i gdzie przebywają powierzone jej opiece dzieci.

Lily i Morgan milczeli. Dzieci śmiały się i wykrzykiwały nazwy miejsc, jakie mijał tramwaj jadący Szóstą Aleją.

- Zapomniał pan kapelusza - rzekła Lily ni stąd, ni zowąd.

- Kapelusza? - powtórzył, obracając się ku niej.

- Tak. Do banku chodzi się przecież w kapeluszu. Ładnym, w dobrym gatunku. Jeśli udaje się pan do banku, to winno panu zależeć na tym, by wyrzeć na bankowcach dobre wrażenie.

Roześmiał się.

- Nie mam ładnego i w dobrym gatunku kapelusza. Przynajmniej w Blakemore House.

- A powinien pan mieć. Wyglądałby pan wspaniale.

Wypowiadając te konwencjonalne słowa, zaczerwieniła się. W takich i temu podobnych chwilach Morgan zastanawiał się, czy określenie „Karmazynowa” nie wzięło się stąd, że Lily czerwieniła się częściej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Czyżby kobieta lekkich obyczajów rumieniła się przy byle okazji jak pensjonarka?

- To prawda - potwierdziła Cassie i przysiadła się do ciotki, obrzucając majstra uważnym spojrzeniem. - W wytworknym kapeluszu wyglądałby pan wspaniale.

- Wezmę to pod uwagę - rzekł, nierad myślom, jakie go opadły. - No, jesteśmy na miejscu. Wysiadamy, dzieci.

Tramwaj zwolnił i zatrzymał się. Pierwsze dzieci wyskoczyły na brukowaną ulicę. Potem wysiadł Morgan i obrócił się, by pomóc Lily. Czując pod palcami jej smukłą kibić, przytrzymał ją dłużej, niż okoliczności tego wymagały.

- Przepraszam, młodzieńcze - powiedziała starsza kobieta usiłująca wysiąść z tramwaju. - Nie lubię przeskadzać zakochanym, ale muszę się stąd wydostać. Ponadto moglibyście się pospieszyć, bo wasze dzieci weszły już do sklepu.

Morgan i Lily cofnęli się i ustąpili jej z drogi. Minał moment, nim Morgan opanował emocje i pomógł niewieście przy wychodzeniu z pojazdu.

- Miły pan jest, młodzieńcze. - Mówiąc to, spojrzała na Lily. - I piękną ma pan żonę. Szczęściarz z pana.

I odeszła.

Tymczasem oni stali na chodniku milczący i zakłopotani. Niezręczną ciszę przerwała Lily - chrząknęła i rzekła z ironią:

- Mąż i żona. Raczej pozabijalibyśmy się wzajemnie, niż zawarli małżeństwo. - Nim majster zdążył się odezwać, dodała: - Pospieszmy się odszukać dzieci.

Weszli do magazynu R. H. Macy i Spółka. Elliott nie zamknął jeszcze drzwi, gdy ktoś zawołał:

- Lily! Lily Blakemore! To naprawdę ty?

Wysoki mężczyzna mniej więcej w jego wieku stał przy ładzie z materiałami, obok niego trochę młodszą odeń kobieta.

- Istotnie to ty - ciągnął rozradowany. - Ileż to czasu upłynęło!

- Nie bardzo wiem, kim pan jest - odparła Lily. - Nie pamiętam zatem, kiedyśmy się ostatnio widzieli.

Mężczyzna roześmiał się.

- Ach, Lily Blakemore! Zawsze ta sama Lily! To ja, Bart Mayhew.

- Bożeż ty mój, Bart Mayhew! - Wyciągnęła do niego rękę. - Jak mogłam cię nie poznać?

Wymienili serdeczny uścisk dłoni.

- A pamiętasz moją siostrę Edith?

- Oczywiście. Rada jestem cię widzieć.

- Witam, panno Blakemore - rzekła z niejakim skrępowaniem drobna kobieta.

Morgan odnotował w myślach, że siostra przejawiała znacznie mniejszy entuzjazm niż brat .

- Własnym oczom nie mogę uwierzyć - mówił Bart. - Oto stoisz tutaj, u Macy'ego, jak dawniej, jakby doba nawet nie minęła od tamtej pory.

Morgan chętnie by już odszedł, skinąwszy im głową, lecz gdy spojrział na Lily, dostrzegł na jej twarzy ciepły uśmiech. Stwierdził ze zdumieniem, że była naprawdę szczęśliwa, zadowolona ze spotkania tych ludzi, nawet owej kobiety. Czy to możliwe, by uszło jej uwagi, że

w przeciwieństwie do przejawiającego szczerą radość brata, siostra okazywała jej pogardę?

Poczuł przemożną chęć zadania Mayhewowi parę ciosów pięścią - z niemałym wysiłkiem tę chęć opanował i odszedł od nich.

- Tak mi było przykro, kiedy dowiedziałem się o twoim bracie - ciągnął mężczyzna.

- Przypominam ci, braciszku - rzekła sucho Edith - że musimy się pospieszyć. Matka czeka w powozie.

- Tak, to prawda. Lily, czy mógłbym cię odwiedzić? Bardzo bym chciał odnowić naszą znajomość. Matka wraz z Edith urządzają małe spotkanie towarzyskie, herbatkę. Na pewno bardzo byłyby rade, gdybyś przyszła. Prawda, Edith?

Kobieta, zanim zwróciła się do Lily, przesłała bratu długie, wymowne spojrzenie.

- Oczywiście, panno Blakemore - powiedziała ze sztucznym uśmiechem. - Wyślemy pani zaproszenie. - Wciągnęła rękawiczki. - Idziemy, Bart. Nie narażajmy matki na czekanie.

Rozbrzmiał dzwonek u drzwi anonsujący ich odejście. Lily stała bez ruchu. Elliott przypuszczał, że jak zwykle, nie licząc się ze słowami, da wyraz swojemu oburzeniu i wypowie kilka złośliwych uwag na temat Barta Mayhewa i jego siostry.

- Herbatka! - powiedziała z westchnieniem. - Idę na spotkanie towarzyskie!

Morgan i Robert wymienili spojrzenia. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Co to za kobieta? - zapytał Morgan.

- Edith Mayhew, moja przyjaciółka z dzieciństwa. Przeziła Edith Mayhew.

- Przeziła?

- Tak, i przyśle mi zaproszenie na herbatkę.

Spojrzał na Lily. Otworzył już usta, chcąc coś na ten temat powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

- Pospieszmy się, dzieci. Późna już pora.

Upewniwszy się, że Lily z dziećmi wsiadły do jadącego w kierunku północnym tramwaju, Elliott doszedł do najbliższego postoju dorożek i wybrał dwukółkę. Myśli o Lily wirowały mu w głowie. W sklepie przez cały czas, nie przerywając wyszukiwania potrzebnych jej rzeczy, opowiadała o Edith Mayhew.

On zaś dałby głowę, że Edith była wobec niej nie-szczera. Najwyraźniej podzielała opinie tych osób, które czerwoną farbą wymalowały na ścianie ganku napis. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jego zdolność dostrzegania najdrobniejszych niuansów często ratowała mu życie. Gotów był się założyć, że zaproszenie od panny Mayhew nigdy nie nadejdzie.

Wbrew temu, co Lily wywnioskowała z jego słów, nie wybierał się do banku. Zgodnie natomiast z tym, co jej powiedział, wybierał się na spotkanie z pewnym bankierem, bankierem o nazwisku Beauford Tisdale, z tym samym, który, jak się Morgan dowiedział, był ongiś pretendentem do ręki Lily.

W ciągu paru ostatnich tygodni zebrał garść informacji o panu Tisdale. Dowiedział się mianowicie, że ten w końcu się ożenił i że pracuje w banku będącym własnością jego rodziny. Morgan nie zamierzał nachodzić go w biurze. Zamierzał udać się do Union League Club, gdzie, zgodnie z uzyskaną informacją, Tisdale spędzał środowe popołudnia.

Elliott zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze wiele czasu zajmie mu szukanie dowodów przestępstw Cran-

dalia. Na razie nie pojawił się w Blakemore House, a choć był przekonany, iż Marky i Jojo to ludzie przez niego nastani, również na to nie miał żadnego dowodu. Uznał zresztą, że nie jest to ważne. Można by tylko uczynić Crandallowi zarzut, iż polecił Lily niewłaściwe osoby, które ze swych obowiązków kiepsko się wywiązują.

Uśmiechnął się. Lily w gruncie rzeczy mało obchodziło, czy i jak ci ludzie wykonują poruczoną im pracę. Sprawiała wrażenie istoty niczym się nie przejmującej. Jakby jedzenie samo się robiło i stawało na stole, jakby bałagan sam się sprzątał. I o dziwo, tak też się działo.

Dwukółka toczyła się Piątą Aleją, by wreszcie zatrzymać się przed wejściem do Union League Club. Przekroczywszy próg podwójnych drzwi, Morgan znalazł się w pogrążonym w ciszy hallu, który wyglądał raczej na hall prywatnego domostwa, nie zaś klubu dla panów, spędzających tu czas na grze w karty, czytaniu gazet i omawianiu spraw tego świata. Elliott wiedział, że co najmniej kilka doniosłych porozumień, które miały wpływ na losy Stanów Zjednoczonych, a w pewnych wypadkach i całego świata, zawarto bynajmniej nie w szacownych komnatach Waszyngtonu, lecz właśnie tutaj, w bogato zdobnych wnętrzach Union League Club.

Był spięty. Nie zaliczał się do członków tego klubu, ale na szczęście nie po raz pierwszy znajdował się w tym budynku i znał jego rozkład. Poczuł jednak ulgę, gdy ktoś zawołał go po imieniu:

- Morgan! Miałem nadzieję, że nie przyjdiesz.
- Że nie przyjdę? - zapytał Elliott z uśmiechem.
- Tak, słuch cię nie myli.

Mario Respaccio, potężny mężczyzna około czterdziestki, od dziesięciu lat pracował w tym klubie.

- Nie masz zatem szczęścia - orzekł Morgan, ściskając serdecznie jego dłoń. - Co u Magdaleny?

- W porządku. Od naszego ostatniego widzenia przybyło jej kolejne małe. Musisz koniecznie przyjść. Dokarmimy cię, ktoś musi o to zadbać.

Morgan roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Czy on tu jest?

- Jest - burknął Mario. - Aż wierzyć mi się nie chce, że ci na to pozwoliłem. Kiedy ostatnio wyświadczyłem ci przysługę, omal nie wyleciałem z pracy.

- Ale nie wyleciałeś.

- Gdyby cię złapali, wyleciałbym.

- Wcale się na to nie zносиło, i ty dobrze o tym wiesz.

- Wiem, wiem. Ale tym razem, mój drogi, szczęście może ci nie dopisać. Ktoś może sobie przypomnieć, że kiedy ostatnio cię widział, byłeś dorożkarzem czy też właścicielem burdelu. Niebezpieczny wiesziesz żywot, mój drogi.

- Twoja troskliwość wzrusza mnie do łez - odrzekł Elliott ze szczyptą ironii w głosie.

- Troszczę się tylko o siebie i swoją rodzinę - odparował szorstko Mario, nie był w stanie jednak ukryć ciepłych uczuć, jakie żywił do swego przyjaciela. - Ja tu zarabiam na chleb i nie chcę, żebyś swoimi poczynaniami doprowadził mnie do ruiny. Za wiele mam w domu gęb do wykarmienia.

- Ani dziś, ani nigdy żadnego piwa ci tu nie nawarzę. Nikt nie wie i się nie dowie, kim jestem. Powiedz mi tylko, gdzie jest ten Tisdale, a o resztę się nie kłopotcz. Wyję stąd i włos ci z głowy nie spadnie.

Morgan skierował swe kroki do małego gabinetu, gdzie przy niskim stoliku, zasłanym różnego rodzaju gazetami, siedział Beauford Tisdale. Zapach skóry, dy-

mu dobrego cygara o godzinie trzeciej po południu świadczył o tym, iż przebywający tu człowiek dysponuje wolnym czasem i sporym kapitałem. Poza nim nie było tu nikogo, tak jak Morgan sobie tego życzył.

Pora była dość wczesna. Zanim klub się zapełni, on opuści te progi.

Usiadł więc na skórzanym fotelu naprzeciwko bankiera i sięgnął po numer „Timesa”. Tisdale uniósł wzrok, skinął głową od niechcienia i powrócił do swojej lektury. Elliott odwzajemnił skinienie i zaczął czytać.

Po chwili wszedł Mario.

- Pańskie brandy, sir - oznajmił, wyciągając ku niemu srebrną tacę z taką rewerencją, jakiej w hallu absolutnie nie przejawiał.

Morgan ujął kryształową szklankę, rozparł się wygodnie na fotelu i westchnął.

- Co za dzień.

Bankier spojrział na niego ponownie, skrzyżowali wzrok i Morgan pokręcił z lekka głową, jakby ze zdziwieniem.

- Tisdale? - zapytał. - Beauford Tisdale?

Tym razem zdziwił się ten ostatni.

- Tak, a o co chodzi? - zapytał ostrożnie.

- O Boże, chłopie, ileż to czasu upłynęło?! - Morgan odstawił szklankę, wstał i wyciągnął dłoń.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

Elliott roześmiał się jowialnie.

- Samuel Whitley do usług.

- Whitley? - powtórzył Beauford, z wyraźnym zakłopotaniem ściskając mu rękę.

- Nie opowiadaj, że mnie nie pamiętasz. Harvard. Razem kończyliśmy studia. Pamiętasz Teddy'ego Ro-

osevelta? Spotkałeś go kiedyś? - Usiadł i zanim Beauford zdążył odpowiedzieć, przywołała Maria. - Brandy dla mojego przyjaciela, dobry człowieku!

Brandy pojawiło się aż nazbyt szybko, na co bankier nie zwrócił zresztą uwagi. Przez cały czas starał się skojrzyć twarz, nazwisko z latami przeżytych w Harvardzie. Morgan znał się na tym, wielokrotnie przerabiał owo ćwiczenie.

- Ja rozmawiałem z Rooseveltem w zeszłym tygodniu - ciągnął, wiedząc, że wzmianka o tym człowieku, który tak szybko zrobił karierę w Nowym Jorku i sięgał, jak wieść niosła, po jeszcze wyższy urząd, z całą pewnością Tisdale'a zaintryguje.

- Doprawdy? Od lat go nie widziałem. Ale rzecz jasna słyszy się o nim dość często. Umie dbać o własne interesy.

- Święta prawda. - Morgan łyknął mały haust brandy. - A co u ciebie? Słyszałem, że w swoim banku dokonujesz wielkich rzeczy.

Tisdale poprawił się na siedzeniu i upił ze szklanki sporo trunku.

- Wprowadziłem nowy system pracy. Czeki, konta, rozumiesz...

Beauford Tisdale chwycił przynętę. Elliott słuchał jednym uchem jego opowieści o systemach bankowych. Dopiero kiedy zorientował się, że Tisdale wyczerpał temat, nawiązał do sprawy, dla której tu przyszedł.

- Słyszałem o śmierci Claude'a Blakemore'a - zaczął z westchnieniem.

Beauford skłonił głowę.

- Tak. Był jeszcze całkiem młody. Młodszy ode mnie. - Przełknął brandy. - Daje to człowiekowi do myślenia, oj, daje.

- Podobno jego siostra wróciła do miasta.

Trzymająca szklanę dłoń bankiera zawisła w powietrzu.

- Lily? Lily wróciła?

- Tak słyszałem. Z tego, co mi wiadomo, przejęła opiekę nad dziećmi Claude'a.

- Lily? - zapytał z niedowierzaniem Beauford.

- Tak. Prawda, zapomniałem. Podobno starałeś się o jej rękę?

Tisdale patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Jakby wieki minęły od tego czasu - rzekł. - Wyda mi się to teraz całkiem nierealne. Aż trudno mi uwierzyć, że wróciła. Ale chyba nie na stałe?

Morgan milczał chwilę.

- Oczywiście, że na stałe - powiedział z zupełnie zbędną stanowczością. Nie pojmował sprzecznych uczuć, jakie nim targały. Choć przecież wiedział, że Lily nie potrafi prowadzić domu ani zająć się dziećmi, nigdy nie przyszło mu na myśl, że mogłaby to wszystko rzucić i wyjechać. - Opiekuje się dziećmi - dodał.

Ciepły uśmiech zagościł na ustach bankiera.

- Lily zawsze chodziła własnymi drogami i robiła nie to, czego się po niej spodziewano. W życiu nie spotkałem tak nieugiętej osoby, ani przedtem, ani potem. O Boże, jakaż ona była piękna!

Morgan miał sobie za złe, że denerwuje go sposób, w jaki Tisdale opowiada o Lily, tym bardziej zły był na siebie, iż przecież przyszedł tu właśnie po to, aby się czegoś o niej dowiedzieć. Jednakże jakaś nuta w tonie głosu mężczyzny drażniła Elliotta, sprawiała, że czuł się nieswojo.

- Niewątpliwie ta jej nieugiętość ściągnęła na nią kłopoty - powiedział.

Beauford zastanawiał się chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Być może. Ale w głębi duszy zawsze czułem, że zwiodły ją na manowce te studia malarskie. Myślę sobie często, że gdyby nie zapisała się na ten kurs w szkole artystycznej, byłibyśmy... - Urwał i spojrzał na kryształową szklanę, jak gdyby dostrzegł coś na jej dnie, nie tylko resztki brandy.

- Jaka szkoła artystyczna? - zapytał Morgan, pochylając się do przodu. - O czym ty mówisz?

- Akademia Sztuk Pięknych pani Gardner. Pamiętasz przecież?

Morgan nie pamiętał ani też nic nie słyszał o Akademii Sztuk Pięknych tej pani. Nie mógł się jednak do tego przyznać.

- Ach tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam.

- Pani Gardner po wiadomym ci skandalu w ciągu paru miesięcy zamknęła uczelnię. Po tym, co się stało, żaden szanujący się rodzic w mieście nie posłałby tam swojej latorośli. Melva Gardner zlikwidowała szkołę i wszelki słuch o niej zginął. - Uśmiechnął się. - A podobno Lily miała talent.

- I ta uczelnia istotnie została zamknięta? - zapytał Elliott z niedowierzaniem, zapominając, że nie powinien być tak jawnie okazywać swojej niewiedzy w tej kwestii. Uświadomił sobie ów błąd, gdy Tisdale spojrział na niego uważnie, zmrużywszy oczy.

- Słyszałeś o tym z pewnością. Sprawa nabrała rozgłosu. Skany Anula43, przerobienie pona.

Morgan zdawał sobie sprawę, iż ów rozgłos dotyczył elity, grupy przyjaciół Tisdale'a. Śmietanki towarzyskiej Manhattanu. Domyślił się, że ten skandal stał się tematem tabu, i pilnie strzeżono, by wieść o nim nie przeniknęła na zewnątrz.

- Tak, słyszałem o tym, rzecz jasna - odrzekł bez zająknięcia, lecz przyjazny nastrój prysł, tamtego pytania już nie mógł wycofać.

Beauford patrzył na niego podejrzliwie. Nie ulegało wątpliwości, że Morgan nic więcej już z niego nie wyciągnie.

- Po prostu wciąż trudno mi w to uwierzyć. - Potrząsnął głową, westchnął ciężko, po czym wyjął zegarek z kieszonki kamizelki. - Pora na mnie - rzekł, wstając. - Cieszę się, chłopie, z naszego spotkania. Mam nadzieję, że kiedyś znowu sobie pogadamy.

Nim Tisdale zdołał wypowiedzieć słowo, Elliott wyszedł z pokoju, solidne drzwi zamknęły się za nim.

7

Spotkanie z Edith i Bartem Mayhew w magazynie Macy'ego zaowocowało tym, że cały Nowy Jork dowiedział się o powrocie Lily Blakemore. Nie minęły trzy dni od jej wyprawy do znanego w całym mieście sklepu, a do Blakemore House zaczęli napływać goście z męczącą wręcz regularnością, co Marky'emu dało asumpt do zarządzenia: „Szkoda zachodu z zamykaniem tych cholernych drzwi, lepiej niech stale będą otwarte”.

Morgan był skłonny z nim się zgodzić - co do liczby gości, oczywiście. Różnili się natomiast w kwestii drzwi. On wolałby raczej zamknąć je na cztery spusty. Nigdy w życiu nie widział tylu nadętych zarozumiałców, wystrojonych, pyszniących się. Mowa, rzecz jasna,

o mężczyznach. Ani jedna bowiem kobieta nie stanęła w progu z biletem wizytowym w dłoni.

Faktu owego jednakowoż Lily zdawała się nie zauważać, co miał okazję stwierdzić pewnego piątkowego poranka, kiedy stał w salonie z filiżanką kawy w ręku. Podczas dwóch miesięcy swego tu pobytu nigdy nie widział jej tak szczęśliwej. Fruwała wręcz po domu, a jej perlisty śmiech wszędzie go dopadał.

Wiedział, że wcześniej czy później jakiś bezduszny, zarozumiały, wystrojony fircyk wygasi ten jej entuzjazm. Wcześniej czy później dotrze do jej świadomości, że wszyscy ci mężczyźni nie przychodzą tu, by zabiegać o jej względy, zaprosić ją do swego domu rodzinnego, przedstawić matce. Dostrzeże również fakt, że żadna kobieta nie złożyła jej wizyty.

W Morganie wzbierał gniew na tych bezmyślnych dandysów, lecz zarazem w głębi duszy odzywało się coś, co kojarzyło się niebezpiecznie z jakimś innym uczuciem. Zacisnął szczęki. Co się z nim dzieje? Tak. To pożądanie. Nigdy dotąd żadnej kobiety tak nie pragnął. Żadnej. Na myśl o Lily, o jej ciele czuł narastającą w nim żądzę. Aż jęk wyrwał mu się z piersi.

Najlepszym dowodem na to - jeśli ktoś narzekałby na ich brak - że środowisko nie otwiera przed panną Lily Blakemore drzwi swych domów, był fakt, iż obiecane zaproszenie na herbatkę u państwa Mayhew w ogóle nie nadeszło. Elliott zaklął pod nosem, gdy uświadomił sobie, że chętnie poszedłby do nich i zażądał tego zaproszenia dla Lily.

Potrząsnął głową. Do diabła, on traci chyba zmysły!

Poranne światło przesączało się przez popękane i brudne szyby okien. Nikt jeszcze się nie obudził i dom pogrążony był w ciszy. Przepędzając myśli o jego właści-

cielce, Morgan zabrał się do szczególnie trudnej roboty - reperacji uszkodzonej marmurowej kolumny; zajmie mu to po parę godzin w ciągu kilku dni, jeśli nie tygodni.

Zmarszczył czoło. Wszystkie te naprawy pochłaniają tyle czasu, a przecież głównym jego zadaniem jest zbieranie informacji o Johnie Crandallu. Lecz nim zdołał uporać się z jednym problemem, pojawiał się następny wymagający jego zaangażowania.

Przekonywał się w duchu, że nie powinien tak przejmować się tą robotą, wystarczyłoby stwarzać wrażenie, że pracuje, miałyby wówczas więcej czasu na ważniejsze sprawy. Ale z dnia na dzień stwierdzał, że nie jest zdolny do takiej manipulacji.

Przecież musiał naprawić ten nieczynny bojler? Jeszcze tydzień, no, góra miesiąc, a ta wielka bestia w piwnicy całkiem by się rozpadła. I kolumna. Sufit nad nią zapadł się niebezpiecznie, i Morgan obawiał się, że któreś z dzieci stąpnie mocniej na górze i podłoga się pod nim zawali. Któreś z dzieci albo Lily.

Był zły i zarazem sfrustrowany. Powinien skoncentrować się na Crandallu, nie zaś na Lily i jej domostwie. I tu czyhała nań pułapka. To z powodu Crandalla przebywał w Blakemore House. Przebywając zaś tu, nie potrafił machnąć ręką na te wszystkie reperacje. Albo na Lily.

Ciężka miedziana kołatka uderzyła w drzwi frontowe. A że nikogo w pobliżu nie było, Elliott poszedł otworzyć.

Na stopniu stał krzepki mężczyzna w czystym robotycznym ubraniu, z kapeluszem w dłoni.

- Przywiozłem rzeczy. - Zerknął na kartkę. - Dla panny L. Blakemore.

Morgan wyszedł za próg i popatrzył na wyładowany po brzegi wóz. Lecz jego uwagę przyciągnęły nie tyle

niezliczone pudła i skrzynie, ile fakt, że z drugiego wozu jakiś człowiek usiłował wyprowadzić pięknego czarnego konia czystej krwi. Koń stał jakiś metr nad ziemią i był wyraźnie w szoku. Dumny. Wyniosły.

Zupełnie jak Lily, pomyślał Morgan ni stąd, ni zowąd.

- Do kogo należy ten koń? - zapytał, choć przekonany był, że wie do kogo.

Posłaniec obejrzał się.

- Do panny L. Blakemore, skoro polecono mi go tu dostawić. Uparta sztuka - dodał. - Nie wyobrażam sobie, by ktoś dał mu radę.

Nim Elliott zdążył coś powiedzieć, z domu wybiegła Lily. Lily, która przed jedenastą nigdy nie wstawiała z łóżka. Lily, która sprawami dostaw nie zwracała sobie nigdy głowy.

- Midnight! - krzyknęła.

Dowodem jej niezwykajnego pośpiechu było to, że miała na sobie rozmaite, nie pasujące części garderoby, w dodatku krzywo włożone. O butach nawet nie pomyślała. - Teraz i te okropne bez pięt by się przydały - mruknął pod nosem Morgan, przyglądając się jej. Na widok jej nagich kostek poczuł przypływ pożądania, ale towarzyszyło temu również, ostatnio stale nękające go, uczucie frustracji. Niepokój ów jednak ustąpił miejsca podziwowi, gdy Lily, dopadłszy konia, objęła jego długą szyję.

Ta scena kompletnie Morgana zaskoczyła. Czułość. Miłość. Z wprawą osoby obytej z końmi Lily głaskała wierzchowca, dotykała jego nóg, unosiła je po kolei, sprawdzając podkowy. Usatysfakcjonowana uśmiechnęła się, stanęła przed nim i zajrzała mu w oczy. Morgan przysiągłby, że koń był równie uszczęśliwiony widokiem Lily, jak ona jego widokiem.

Po cichutku - Elliott nie słyszał słów - przemawiała

czule do zwierzęcia, które odpowiadało jej rzeniem. Na ostatek przytuliła twarz do jego gładkiej szyi.

Nigdy dotąd Morgan nie widział u tej kobiety tak gwałtownej manifestacji uczuć. Patrząc na nią, widząc, jaką miłością darzy swego konia, stwierdził z niejakim zdziwieniem, że jest tym do głębi poruszony.

- Czyż on nie jest piękny? - zapytała Lily, obracając się ku Morganowi.

- Owszem - odparł, wciąż nie mogąc się nadziwić jej czułości wobec rumaka.

- Jest w prostej linii potomkiem Brendana Wielkiego - wyjaśniła, a w oczach jej pałała radość. - Miałam też innego konia, klacz wywodzącą się również od Brendana, ale nie w prostej linii. Interesujące były różnice między nimi.

- Ma pani więcej koni?

- Znacznie więcej. - Szła w stronę domu. - I chętnie bym je tu sprowadziła. Gdyby była tu choć jeszcze jedna, nadająca się do użytku stajnia. - Uśmiechnęła się ciepło. - Mam nadzieję, że w nie-tak-już-odległej przyszłości zajmie się pan nią. Uwielbiam hodować konie... Ojej!

Zerknęła, przerażona, na swoją stopę. Człowiek, który przywiózł bagaż, ruszył ku niej, ale Elliott był pierwszy.

- Co też pani ze sobą wyprawia? - mruknął, biorąc ją na rękę.

- Potknęłam się o kamień, niezdara ze mnie. Proszę mnie puścić!

W tym momencie z domu wypadli Marky, Jojo, Robert, Penelope i Cassie, a wszyscy wyglądali tak, jakby wyrwano ich właśnie z głębokiego snu. Morgan jednak prawie nie zauważył ich obecności. Całą swoją uwagę skupił na Lily. Której zupełnie nie rozumiał. Której w jego ramionach było tak dobrze. Ze zdumienia jed-

nak omal jej nie upuścił, kiedy z całej siły walnęła go lewą pięścią w ramię.

- Niech mnie pan postawi - warknęła przez zaciśnięte zęby.

- Po co? Żeby skręciła sobie pani drugą nogę? Nie przyszło pani do głowy, że trzeba włożyć buty? Porządne buty?

- Proszę mnie puścić - powtórzyła ostrym tonem.

Uczynił zadość jej żądaniu dopiero przy schodach, posadził ją na stopniu, gdzie stały dzieci wraz z Markym i Jojo.

- Obejrzę pani stopę - rzekł.

Odrzuciła jego dłonie.

- Odczepi się pan wreszcie od mojej nogi, Elliott?!

Nie przyjmując do wiadomości jej rozkazu, pochylił się nad stopą. Tym razem Lily dała mu kuksańca w pierś.

- Nie ma pan nic do roboty? Niech pan lepiej sięgnie po młotek, gwoździe i śruby!

Morgan milczał chwilę, po czym wzruszył ramionami i spojrzał na wóz pełen pudeł i skrzyń.

- Wygląda na to - powiedział - że najpierw trzeba by się zająć tym towarem. - Spojrzał na Marky'ego, Joja i Roberta. - Chodźcie, rozładujemy bagaż.

Wówczas uwagę wszystkich zwrócił odgłos toczących się po żwirze kół. Czarny jednokonny powozik zatrzymał się nieopodal. Wsiadł z niego lokaj w libeirii i ruszył w stronę domu.

- Przywożę zaproszenie dla panny Lily Blakemore - oznajmił, ani się nie domyślając, że stojąca na stopniu schodów bosonoga niewiasta jest adresatką zaproszenia.

Lily zakrztusiła się i wyciągnęła już dłoń, ale Penelope przejęła inicjatywę.

- Doręczę jej - powiedziała, biorąc list.

Lokaj skłonił się i zawrócił, kierując się do powozu. Penelope ze wściekłą miną wręczyła ciotce zaproszenie.

- Gdy następnym razem wystąpisz w roli pani domu, postaraj się być ubrana przyzwoicie. Musimy dbać o naszą reputację.

Elliott spodziewał się, że Lily poczuje się tymi słowami dotknięta bądź rumieniec zażenowania pokryje jej policzki. Tymczasem ona odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się szelmowsko.

- Naturalnie, droga Penelope, musimy dbać o naszą reputację. - To powiedziawszy, z pałającymi policzkami ruszyła w stronę drzwi. - Przynieście te rzeczy do moich pokoi.

Weszła do środka, z lekka tylko kulejąc, z zaproszeniem w rękę, i znikła za zakrętem schodów.

Usiadła na szeszlengu, który stał w kącie jej buduaru. Trzymała w dłoni zaproszenie, lecz nie otwierała koperty. Miała sobie za złe, że tak bardzo jej na nim zależało. Powinna ten welinowy świstek rzucić im prosto w twarz. Nie powinno tak straszliwie zależeć jej na tym, by elita nowojorska przyjęła ją ponownie do swego grona. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie mogła się przemóc, za bardzo pragnęła wymazać z pamięci swą przeszłość. Chciała wziąć udział w tym spotkaniu, chciała uwierzyć, że ludzie, którzy ongiś byli jej przyjaciółmi, znowu się nimi staną.

Westchnęła głęboko i przycisnęła do piersi zalakowaną kopertę, modląc się w duchu, by zawierała to, na co liczyła. Ostrożnie złamała pieczęć i rozłożyła kartonik. Istotnie, było to zaproszenie na herbatkę u państwa Mayhew.

- Idę - szepnęła, przymknawszy oczy. - Idę na to spotkanie.

Najpierw prośba Claude'a o powrót do domu, potem to zaproszenie, rozważała w duchu, a serce było jej przyspieszonym rytmem. Nie myślała teraz o Penelope i Robercie, którzy demonstrowali swą niechęć do niej, zanim jeszcze słowo zdołała wypowiedzieć. Nie myślała o domu będącym w ruinie ani o innych, niezbyt chwalebnych rzeczach w jej życiu.

Była w domu, wróciła do domu, i to było najważniejsze.

Gdy tak siedziała zadumana, nadzieja, która przez lata wygnania nigdy w istocie rzeczy jej nie opuściła, wstąpiła w jej serce. Wszystko będzie jak dawniej. Będzie szczęśliwa. Nie wróci do tego bogato urządzonego domu w Tarrytown, domu o odbijających echem jej kroki korytarzach i pustych pokojach. Nie będzie musiała zabijać czasu podróżami do najdalszych zakątków świata.

Po raz pierwszy od dnia przybycia do Blakemore House poczuła, że naprawdę jest w domu.

Zerwała się z miejsca. W co ona ma się ubrać?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie wniesiono do pokoju skrzynie i kufry. Dopadła momentalnie do pierwszego z brzegu i zaczęła wyciągać z niego różne rzeczy - bieliznę, suknie, pozostałe ubrania.

Cassie, która właśnie weszła, owinęła się długim, przezroczystym szalem.

- Lily, jaki on piękny! Skąd go masz?
- Dostałam od sułtana w Arabii.
- Byłaś w Arabii?

Na dźwięk głosu Roberta Lily odwróciła się - stała w progu z niepewną miną. Penelope weszła już do środka i wsparta o ścianę patrzyła, co się dzieje.

- Tak, Robercie, byłam w Arabii, Indiach, a nawet w Chinach. - Sądziła, że zaimponuje bratankowi, lecz jego nieobecny wzrok świadczył o absolutnym braku

zainteresowania. Wzruszyła ramionami i znów zabrała się do rozpakowywania. Nie pozwoli, żeby ten chłopak zepsuł jej nastrój.

- Spójrz na to! - Cassie wzięła ze stolika porcelanową filiżankę ciotki.

Lily z lękiem w oczach, szybko, ale delikatnie, odebrała dziewczynce filiżankę.

- Jest piękna - wyszeptała Cassie z zachwytem.

Lily uśmiechnęła się ciepło, wzruszona wyraźnie.

- To jest dla mnie najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Od setek lat przechodzi z pokolenia na pokolenie. Z matki na córkę.

Uniosła wzrok i zobaczyła stojącego u drzwi Morgana, który wpatrywał się w nią intensywnie. Prawdę mówiąc, wszyscy teraz nie odrywali od niej oczu.

- Trzeba ją chyba postawić gdzie indziej - rzekła Lily, usiłując stłumić niepokój, jakim przejmował ją świdrujący wzrok Morgana.

Podeszła do półek zawieszonych nad biureczkiem.

- Świetnie - oceniła, stawiając filiżankę na jednej z wyższych.

Obróciła się - Elliott stał w tym samym miejscu i wciąż się w nią wpatrywał. Wyraz twarzy miał tajemniczy, nie sposób było odgadnąć jego myśli.

- Śmiało można rzec - zaczęła, z wysiłkiem skupiając uwagę na kufrach - że na herbatkę u Mayhewów nie mam co na siebie włożyć.

Wszyscy spojrzeli na piętrzące się wokół sterty odzieży. W różnym kolorze, w różnych fasonach. Stroje codzienne i balowe. Świecidełka i drogocenne klejnoty - niezliczone ilości.

Lily popatrzyła na dzieci błyszczącymi z emocji oczami.

- Kto wybrałby się ze mną na zakupy?

- Ja, ja! - krzyknęła Cassie ochoczo.

- A ty, Penelope, a ty, Robercie? Kto wie, może w „Pasażu dla Dam” znajdzie cię coś i dla was?

Perspektywa podarunku wzbudziła coś w rodzaju zainteresowania w jej starszej bratanicy i bratanku. Lily po raz pierwszy od swego przyjazdu wybierała się z zapalem po sprawunki, tak samo jak przed laty.

- Wspaniale! Ubiorę się i idziemy. Każdy dostanie prezent, a ja kupię sobie odpowiedni strój z okazji powrotu na salony.

Po niespełna trzydziestu minutach wszyscy byli gotowi. Wrócili natomiast do domu po dobrych paru godzinach.

Morgan większość tego dnia spędził w salonie, ustawiając we właściwej pozycji drewnianą podporę przy popękanej marmurowej kolumnie, co miało zapobiec zawaleniu się pięknego ongiś, pokrytego cyną sufitu. Zadowolony był z efektu, co nie oznaczało, iż zadowolony był również z tego, że kolejny dzień poświęcił pracy, a nie tropieniu Crandalla. Dlaczego tak się dał zrobić w te naprawy?

Znał oczywiście przyczynę.

Usłyszał trzask otwieranych drzwi, aż szyby w oknach zabrzęczały. Spojrzał szybko na zapadający się sufit i drewniana podpora. Dzieci muszą być bardziej ostrożne, pomyślał.

Wyszedł do hallu i zobaczył stojącą na środku Lily, obładowaną pakunkami po czubek głowy. Nie zauważyła go, rozglądała się wokół nerwowo, jakby nie wiedziała, co począć z tym wszystkim. Ruszyła ostrożnie ku stolikowi znajdującemu się przy wejściu, a gdy Morgan postąpił w jej kierunku, by jej pomóc, góra pakunków zachwiała się niebezpiecznie.

- Uwaga! - krzyknął.

Obejrzała się zaskoczona i wówczas wszystkie pakunki runęły na podłogę.

- Do diabła! - mruknął Elliott.

Na policzkach Lily wystąpiły czerwone plamy.

- Daje się zauważyć, iż pana słownictwo jest dość ubogie. „Do diabła”, „Do cholery”. Ilekroć jestem w pobliżu, to słyszę, jak pan miota przekleństwami.

- Ilekroć jest pani w pobliżu, miotam przekleństwa pod pani adresem - burknął nieuprzejmie, podchodząc do stojących na sztorc pakunków. - A gdzie dzieci?

- Przed domem. Też niosą pakunki.

- Morgan! Morgan! Popatrz!

Cassie wpadła do hallu. Morgan wytrzeszczył oczy i ledwo stłumił jęk. Sześcioletnia Cassie była umalowana i ubrana na podobieństwo ciotki. Boa z piór, powiewna spódnica, brzęczące bransolety na przegubach rączek, naszyjniki okręcone wokół szyi, aż dziw, że mogła oddychać.

- Nie powiesz mi chyba, że kupiła ci także te cholerne pantofle bez pięt? - zapytał.

Cassie uśmiechnęła się z dumą, zadarła nieprzyzwoicie spódnicę i uniosła stopę.

- Oto one.

Straciła równowagę i mało brakowało, a upadłaby, ale Robert w porę ją podtrzymał.

- A mówiłem im - gderał - żeby takich butów nie kupowały.

Następnie Elliott usłyszał głos Penelope, choć osoby jeszcze nie widział. Jeśli i ona będzie miała na sobie boa z piór i pantofle bez pięt, pomyślał, to on bez reszty poświęci się zajęciom majstra i nic go więcej nie będzie obchodzić!

Penelope nie zaprezentowała się jednak w jakimś

skandalicznym kapeluszu ani w pantoflach bez pięt, ani w stroju takim jak siostra. Miała zażenowaną, a zarazem zbuntowaną minę, a w ręku trzymała godnie aksamitną torebkę.

- Spójrz na nową torebkę Penelope - przykazała Cassie. Penelope pogłaskała nowy nabytek.

- A Robert dostał okulary szpiegowskie.

- To teleskop - rzekł chłopak z powagą.

- Wszyscy zatem otrzymali prezenty - powiedział Morgan, patrząc z rezygnacją na to dziwaczne towarzystwo.

Cassie rozejrzała się dokoła i wtedy zobaczyła rozrzucone na podłodze pakunki. Elliott przypuszczał, że dziewczynka zdziwi się albo przynajmniej zapyta, co tu się stało. Tymczasem ona zaczęła przerzucać paczki, aż znalazła tę, o którą jej chodziło. Jej rozmiar sprawiał, że unosząc ją, znów zachwiała się na tych swoich wysokich obcasach. Ceremonialnym gestem podała ją Morganowi.

- To dla pana, panie Elliott.

Morgan milczał zaskoczony. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Nawet Lily wstrzymała oddech.

A on nagle zapragnął jednego: obrócić się na pięcie i uciec stąd. Nie chciał żadnego prezentu. Nie chciał być obiektem ich zainteresowania. Nade wszystko zaś nie spodobało mu się spojrzenie Lily, wyraz jej oczu, w których dostrzegł wzruszenie.

- Panie Elliott - nalegała Cassie. - No, niech pan otworzy.

Nie widząc innego wyjścia, zmusił się do uśmiechu i wziął pudło. Rozwiązał sznurek, otworzył i zajrzał do środka.

- Kapelusz! - wykrzyknęła radośnie Cassie. - Piękny atlasowy cylinder. Najpiękniejszy ze wszystkich. Lily powtarzała sprzedawcy, że musi być najlepszy. Jak się panu podoba?

Morgan przyglądał się kapeluszowi. Rzeczywiście,

piękny atłasowy cylinder. „Najlepszy.” Znał się na kapeluszach, miał zresztą kiedyś podobny. Prawdę mówiąc, miał już tyle kapeluszy, że starczyłoby mu ich do końca jego dni. Wszystkie zapakował i schował, rozpakuje je, gdy będzie mógł wrócić do domu. Na Południe.

W tym właśnie momencie poczuł, nie po raz pierwszy zresztą, że jest zmęczony życiem. Choć jego rodzice zmarli przed wieloma laty, odczuwał przemożną potrzebę powrotu do domu rodzinnego - z kobietą u boku, z którą mógłby dzielić swe marzenia. Która urodziłaby mu dzieci. I, jak mówił Walter, nauczyłaby go sztuki śmiechu. Z kimś takim jak Lily.

Dreszcz przebiegł mu po plecach, a to zarówno za sprawą myśli, jakie go nawiedziły, jak i prezentu, który otrzymał. W dalszym ciągu milczał. Bo cóż mógł powiedzieć? Na pewno „dziękuję”, ale słowa utknęły mu w gardle, wzruszenie odebrało mowę.

Uniósł powieki, serce kamieniem ciążyło mu w piersi, napotkał wzrok Lily. Widział, jak radość znika z jej oczu, a pojawia się cień rozczarowania. Poczuł się winny.

- Jak się panu podoba, panie Elliott? - powtórzyła Cassie, marszcząc nosek, najwyraźniej speszona jego milczeniem. Morgan wciąż patrzył na Lily.

- To piękny cylinder - wydusił z siebie w końcu.

Lily przywdziała na twarz maskę obojętności.

- Nieważne - rzekła, machnąwszy dłonią niedbale.

Skierowała się do salonu, a Robert ruszył ku schodom, zamierzając udać się do swego pokoju.

- Ja uważam, że to naprawdę najpiękniejszy kapelusz. - Cassie nie dawała za wygraną, zawiedziona brakiem entuzjazmu ze strony majstra. - Mój tato miał taki sam, pamiętam - oświadczyła i nagle smutek pojawił

się na jej twarzy. - Wydaje mi się, że pamiętam. Ciociu, czy jak ostatnio widziałaś mego tatę, to nosił kapelusz?

Morgan odprowadzał Lily wzrokiem, toteż zauważył, jak usłyszawszy pytanie, zatrzymała się i skuliła ramiona.

- Nosił? - dopytywała się Cassie. - Mam rację czy może mi się pomyliło?

Robert również zatrzymał się w pół kroku.

- Oczywiście, że nosił kapelusze, Cas.

- A przedtem? Czy zawsze nosił kapelusze?

Lily spojrzała na dziewczynkę i uśmiechnęła się, pokonując wzruszenie. Zmusiła się do uśmiechu, przynajmniej tak Elliott to odczuł.

- Tak, Cassie, kochanie, w tamtych czasach twój ojciec nosił kapelusze. Miał ich mnóstwo. - Uśmiechnęła się, tym razem szczerze. - Masz rację. Dobrze zapamiętałaś. Claude lubił ładne nakrycia głowy. To prawda. - Popatrzyła na Roberta. - Zaczął je nosić, jak był mniej więcej w twoim wieku.

Chłopiec zszedł stopień niżej.

- Pamiętam doskonale ten dzień - ciągnęła. - Wybraлиśmy się z Claude'em do sklepu z galanterią. Nigdy przedtem nie byłam w sklepie z gotowymi wyrobami. Była to dla mnie nader ciekawa wyprawa.

- A jaki kapelusz on sobie wtedy kupił? - zapytała Cassie.

Uśmiech Lily stawał się coraz weselszy.

- Twój ojciec chciał mieć koniecznie taki z dużym rondem.

- Z dużym rondem?

- Tak, i istotnie ładnie w nim wyglądał; kroczył dziarsko ulicą, gdy wracaliśmy do domu, a to rondo przechylało się zawadiacko to w jedną, to w drugą stronę. - Tym

razem przekorny uśmiech zagościł na jej ustach. - Raz ja go nawet włożyłam.

- Naprawdę? Przy jakiej okazji?

Pytania zadawała tylko Cassie, ale Morgan zauważył, że i Robert, i Penelope słuchają tej opowieści z nieskrywanym zainteresowaniem. Wyraźnie chcieli poznać odpowiedź na ostatnie pytanie, tak jak zresztą i on.

- Stało się to parę lat później, ale kapelusz nic nie stracił ze swojej urody.

- Dlaczego włożyłaś męski kapelusz?

- Bo przebrałam się za mężczyznę.

Spojrzała na Elliotta, jak gdyby dopiero teraz uświadomiła sobie, że on także słucha. Zaczerwieniła się i szybko odwróciła głowę.

- Dlaczego przebrałaś się za mężczyznę? - zapytał Robert ostrym tonem.

Zmierzyła wzrokiem bratanka i rumieniec zakłopotania zniknął z jej twarzy, a w oczach pojawił się figlarny błysk.

- Ponieważ pewien zły człowiek, nieciekawy typ, wyraził się... źle o kimś... kogo znałam. Nic mi innego nie pozostało, jak wyzwąć go na pojedynek.

Coś takiego! - pomyślał Morgan, potrząsając głową, a dzieci aż zawyły z wrażenia. I nagle przypomniał sobie artykuł w prasie opisujący ten właśnie epizod. Był to niechybnie jeden z jej wybryków. Jednak postępując słusznie czy niesłusznie, głupio czy niegłupio, musiał przyznać, że miała dobre intencje, broniła kogoś, kogo kochała. Z jakiejś przyczyny był pewny, że tym kimś był jej brat, lecz ona nie chciała powiedzieć dzieciom, że ktoś źle się wyraził o ich ojcu. Czyżby naprawdę stać było Lily na tak szlachetny czyn?

Przypomniał sobie, z jaką czułością odnosiła się do konia, i stwierdził w duchu, że to do niej podobne. Li-

ly Blakemore stanęłaby w obronie każdego, kogo kocha, ryzykując nawet własne życie.

Poczuł przypływ dumy, choć wcale nie był rad temu uczuciu.

- Wygrała pani ten pojedynek? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu.

W jednej chwili oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Ale on widział tylko Lily.

- Nie - odparła i w jej głosie dało się wyczuć nutę rozdrażnienia. - Nie dano mi szans na sprawdzenie moich umiejętności. Jakiś podły prostak zerwał mi z głowy kapelusz i włosy opadły mi na ramiona. - Skuliła się. - Wszyscy albo gapili się na mnie z rozdziawionymi ustami, albo zanosili się od śmiechu. - Westchnęła głęboko, jakby chciała opędzić się od wspomnień. - No, dość tego. Muszę zrobić miejsce dla moich nowych rzeczy.

Wbiegła po schodach, a Elliott odprowadził ją wzrokiem. Dzieci niebawem się rozeszły i został sam w hallu, trzymając w dłoni kapelusz owinięty w papier.

Lily kupiła mu go, bo myślała, że on nie ma kapelusza. Zwykła uprzejmość. Wobec niego. A przecież jego praca tutaj była tylko pretekstem.

Spojrzał przez okno, prosto w słońce, zmrużył oczy. Ufając mu, obdarowała go kapeluszem. Ta kobieta nie szafowała zaufaniem, był tego absolutnie pewien, a jemu zaufała - choć nie powinna była.

Odezwało się w nim poczucie winy. Nie towarzyszyło mu ono, gdy na przykład występował w roli woźnicy bądź właściciela burdelu, a przecież w ciągu wielu lat swojej pracy w tym zawodzie wcielał się w różne postaci. Może i *nie* przepadał za *tym, ale spełniał* wszak swoje obowiązki. Wyrzuty sumienia byłyby w takich wypadkach nie na miejscu. Teraz jednak to całkiem inna sprawa.

Zacisnął dłoń w pięść. Wcale nie inna, powiedział sobie z nagłą stanowczością. Jest tutaj, by wykonać zadanie. I wykona je. Tak jak zawsze do tej pory.

8

To prawda, Morgan przybył do tego domu po to, by wykonać zadanie - dotrzeć do tajemnych sprawek Crandalla i wtrącić go za kratki. To właśnie przepowiadał sobie w myślach, gdy nazajutrz rano, pod pretekstem zakupu potrzebnego mu towaru, wychodził z domu. Zamiast jednak po towar udać się do starego drewnianego budynku zamieszkiwanego przez kilku najemców.

Gdyby go ktoś zapytał, o czym będzie rozmawiał z niewiastą, która rzekomo była nauczycielką Lily Blakemore w szkole artystycznej, a także, co chciał przez to osiągnąć, nie potrafiłby udzielić żadnej odpowiedzi. Wmawiał sobie, że spełnia swój obowiązek, zbiera informacje o Lily w nadziei, że niektóre z nich znacząco dopełnią jego wiedzę o Crandallu i jego przestępstwach. Nie chciał przyjąć do wiadomości bezspornego faktu, z którego w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że za wszelką cenę chce się dowiedzieć wszystkiego o Lily i że nie ma to nic wspólnego z mężczyzną będącym jakoby jej kochankiem.

Niechętny tokowi swoich myśli zapukał do drzwi. Wczoraj późnym wieczorem na potajemnym spotkaniu z Walterem w jego biurze dowiedział się adresu nauczycielki.

- Kto tam? - zapytała kobieta.
- Nazywam się Samuel Whitley, *madam*, - Wymie-

nił to samo nazwisko, jakim posłużył się wobec Beauforda Tisdale'a.

- Nie znam pana.

- To prawda. Ale chciałbym z panią porozmawiać o dawnej pani studentce.

- Nie zwykłam rozmawiać o moich studentach - padła odpowiedź. - Więc niech się pan wynosi, zanim wezwę policję.

Elliott wiedział, że w tej części miasta kobieta mogłaby krzyczeć dniami i nocami i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Zaledwie kilku policjantów patrolowało ten rejon. Gdyby jednak zaszła taka okoliczność, musiałyby zniknąć stąd szybciej, niż się tu pojawił.

- Nie musi pani wzywać pomocy, panno Spencer. Proszę tylko o chwilę rozmowy.

- Powiedziałam już panu. Nie rozmawiam z nikim o moich studentach.

- Nawet jeśli ów student nazywa się Lily Blakemore?

Niemalże wyczuł, jak wstrzymała oddech - był przekonany, że przyłożyła rękę do piersi.

- Lily?

Ledwo ją usłyszał, dotarł jednak doń jej cichy szept zza drzwi.

- Tak, *madam*. Lily Blakemore.

- Nic się jej nie stało, mam nadzieję?

Nie wiedział doprawdy, co jej odpowiedzieć. Nie chciał mówić tej kobiecie, że pracuje u Lily i widział ją zaledwie kilkanaście minut temu, a teraz poza jej plecami zbiera o niej informacje. Wolałby zataić przed nią fakt, iż zna Lily osobiście.

- Na pewno ma się dobrze, a jeśli pani otworzy mi drzwi, powiem o celu swej wizyty.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, i Morgan był

przekonany, iż kobieta waha się, nie wie, co począć. W końcu jednak usłyszał trzask zamka i zgrzyt zardzewiałych zawiasów.

Była niskiego wzrostu. Przez uchylone drzwi zobaczył nie ją, lecz przeciwną ścianę. Dopiero gdy opuścił wzrok, dostrzegł jej ciemne oczy spoglądające nań nieufnie.

- Co pan chce wiedzieć o Lily? - zapytała podejrliwym tonem.

- Nie zamierzam zrobić pani krzywdy. Bardzo proszę, usiądźmy i porozmawiajmy o niej chwilę. Możemy nawet usiąść na stopniach przed domem. - W gruncie rzeczy wolałby nie siedzieć na zewnątrz w świetle dnia. Wyprawy do Macy'ego i Union League Club też świadczyły o jakimś braku rozsądku z jego strony. Był jednak świadom tego, iż wobec takiej propozycji niewiasta nabierze do niego zaufania.

Westchnęła, rozważając problem. Minęła chyba wieczność, nim zdecydowała się wpuścić go do środka.

- Jeśli podniesie pan na mnie rękę - zaczęła - to nim się pan spostrzeże, otrzyma pan taki cios, że wszystkie gwiazdy zobaczy pan przed oczami.

Uśmiechnął się, dokładając wszelkich starań, żeby nie zachichotać. Myśl, że ta mała kobieta mogłaby go uderzyć, była doprawdy komiczna.

- Przez cały czas będę trzymał ręce przed sobą, by mogła je pani widzieć.

- Proszę zatem siadać i powiedzieć, co pana do mnie sprowadza.

Morgan rozejrzał się wokół. Bywał już w gorszych dzielnicach miasta, ale to mieszkanie było najbardziej deprymujące, jakie zdarzyło mu się oglądać. Znajdowało się tam tylko jedno obite tapicerką krzesło, obok niego na półce stała lampa naftowa. Jeden kąt zajmował mały stolik i drewnia-

ne krzesło o prostopadłym oparciu. Drugi ką - sztalugi. Ale nie widać było żadnych przyborów malarskich.

Panna Spencer wskazała mu jedyne wygodne krzesło. Elliott sięgnął po to niewygodne i czekał, aż ona zajmie miejsce.

- Dżentelmen - mruknęła pod nosem.

Lecz on stanowczo nie czuł się dżentelmenem. Siedząc w tym brzydkim, ale dokładnie wysprzątanym pokoju, który praktycznie nie zapewniał żadnych wygod, miał świadomość, że postępuje niegodnie.

- A więc przyszedł pan tu z powodu Lily, tak?

Zastanawiał się chwilę, od czego zacząć.

- Panno Spencer...

- Trudy. Mów do mnie Trudy. Jestem za stara na pannę. A poza tym nie czuję się nią.

- Zatem Trudy...

- Lily. O Boże, Lily. Nie widziałam jej od tylu lat. - Spojrzała na niego. - Ale bezustannie o niej myślę. Ciekawa jestem, jak sobie poradziła w życiu.

Nieważne w końcu, jak Morgan się czuł w tym pomieszczeniu. Ważne, że Trudy zaczęła mówić. I mówiła. Odnosił wrażenie, że albo jest samotna i nie ma do kogo ust otworzyć, albo tyle ma o Lily do powiedzenia, tyle wspomnień ją wypełnia, że cieszy się, iż narzeczcie będzie mogła się nimi z kimś podzielić.

- Ta dziewczyna miała talent! Czegóż ona mogła dokonać! Tak się zmarnowała! A przy tym taka piękna. - Roześmiała się. - Wystarczyło, że wspomniałam któregoś dnia, iż Lily Blakemore będzie uczestniczyć w zajęciach w mojej klasie, a cała szkoła zapełniała się studentami z różnych wydziałów. Nagle zapragnęli studiować ten kierunek sztuki, choć z malarstwem nie mieli dotąd nic wspólnego. Miałam więcej studentów niż kiedykolwiek

i nie mogłam temu podołać. Gdybym zaoszczędziła trochę pieniędzy...

Siedziała chwilę w milczeniu, przez małe okienko -wpa-
dały promienie porannego słońca. Morgan też milczał,
a przed oczami miał obraz Lily stojącej przy sztalugach.

Skoro już się dowiedziała, że Lily była utalentowaną
malarką, nie zaś znudzoną damą, która dla zabicia cza-
su zajmuje się sztukami pięknymi, wcale się tym nie
zdziwił. Była wrażliwa, uczuciowa. Wydało mu się teraz
całkiem naturalne, że w malarstwie odnalazła cel życia.

- Niezależnie jednak od stanu moich finansów po-
winnam była ją ostrzec - ciągnęła nauczycielka, patrząc
przez okno posmutniałymi nagle oczami. - Ostrzec
przed Raine Hawthorne'em.

Raine. Lily była przy nim, gdy umierał, przy jego ło-
żu śmierci. Nagły ból przeszył pierś Morgana.

- Nie ostrzegłam - stwierdziła z goryczą. - Jego sio-
stra Mary powiedziała mi to. A ja się śmiałam. Nie są-
dziłam, że do tego dojdzie.

Pochylił się do przodu.

- Do czego mianowicie?

- Na pewno dobrze wiesz.

Spojrzała na niego dziwnie, jak gdyby zlekła się, że za
dużo powiedziała człowiekowi, którego przecież nie zna.

- Jakim nazwiskiem mi się przedstawiłeś? - zapyta-
ła, przewiercając go na wskroś tymi swoimi wyblakły-
mi oczami.

Namyślał się sekundę. Jakże on jej podał nazwisko?
Zagubił się, on, człowiek uprawiający taki zawód!

- Samuel Whitley - przypomniał sobie. - A więc...

- Co chciałbyś wiedzieć o Lily?

Spojrzał w oczy starszej kobiecie.

- Usiłuję po prostu zrozumieć... - Zaciął się z przejęciem,

nie wiedząc nawet, jak szczerze zabrzmiały jego słowa. - Usiłuję dowiedzieć się, co się jej takiego przydarzyło.

- Kochasz ją, tak?

To pytanie już zupełnie wytrąciło go z równowagi. Zmrużył oczy i odwrócił się, jak gdyby chciał uciec przed treścią jej słów. Czy kocha ją? Czy kocha Lily Blackemore? Boże drogi, skądże! Do żadnej kobiety w swym życiu nie czuł takiej niechęci. Albo tylko wmawiał to sobie, bo łatwiej zrozumieć niechęć i pogardę wobec upadłej niewiasty, niż nazwać emocje, jakich nie pojmował.

- Widzę po twoich oczach, że ją kochasz - podjęła wątek, nie słysząc odpowiedzi. - Kochasz ją wbrew temu, co ją spotkało. - Uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Niestety nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. Ale może Mary Hawthorne powiedziałyby ci więcej.

Tylko długie lata praktyki pozwoliły Elliottowi ujarzmić rozbiegane myśli.

- Wiem tylko tyle - mówiła dalej - że Lily mogła zostać wielką artystką. Los ją obdarzył ogromną wrażliwością, pasją, i umiała przelewać na płótno to, co w niej tkwiło. Zastanawiałam się jednak często, zważywszy na pogardę jej środowiska wobec uprawiających sztukę kobiet, czy ten skandal nie był jej przypisany. - Życzliwy uśmiech nie schodził z twarzy nauczycielki. - Urządziła sobie swoiste studio na poddaszu jej domostwa. Ciekawe, czy jeszcze istnieje.

Morgan pomyślał nagle o tym dniu, w którym zastał Lily u progu drzwi wiodących na poddasze. Stała tam i patrzyła. Jak gdyby bała się wejść do środka.

- No, dość nastrzępiłam języka. Napije się pan herbaty?

Zastanowił się nad uprzejmą propozycją. Istotnie nie miał czasu. Musiał być w domu o dziesiątej, a przedtem

wstąpić po ten towar, który był pretekstem jego wyprawy do miasta. Lecz na większość swoich pytań nie otrzymał odpowiedzi. Gdyby został tu jeszcze parę minut...

- Proponuję filiżankę herbaty - powtórzyła - i opowiedz mi, jak poznałeś moją kochaną Lily.

Uniosła się z miejsca, Morgan już stał.

- Dziękuję za zaproszenie, ale ja naprawdę nie mogę. - Widząc, jaki jej sprawia zawód, dodał: - Bardzo mi przykro.

Westchnęła i, jak pomyślał, wyczuwało się w tym westchnieniu nie tyle zawód, ile rezygnację.

- Może któregoś dnia wpadniesz do mnie i opowiesz mi o niej więcej - powiedziała.

Wyszedł w jasny, słoneczny poranek. Zamrugał powiekami - po tak długim przebywaniu w mrocznym pokoju Trudy Spencer promienie słońca oślepiły go niemal. Myślał o Lily oraz o tym, ile natrudził się przez te parę tygodni, usiłując odnaleźć klucz do zagadki związanej z jej osobą.

Wiedział, że jej rodzice zginęli i pieczę nad nią przejął jej brat Claude, który też już nie żyje. Była oszałamiająco piękna, ale też odznaczała się cechami charakteru, których jej środowisko nie zwykło tolerować. Mężczyzna, z którym była prawie zaręczona, wspomina ją ciepło i z wielkim sentymentem, lecz ożenił się z inną kobietą i nie widać po nim żarliwej miłości do małżonki.

Dlaczego Beauford Tisdale nie poślubił Lily? Na pewno z powodu tego skandalu, to oczywiste, orzekł w duchu Morgan.

Był wściekły. W ciągu ostatnich tygodni sporo się dowiedział o Lily Blakemore, ale głośny skandal wciąż był dla niego wielką niewiadomą.

Czy ma on coś wspólnego z jej sztuką? A może z mężczyzną o nazwisku Raine Hawthorne?

Elliott miał już serdecznie dość nękających go bezustannie wątpliwości. A może jakieś dzieło Lily tak zbulwersowało jej środowisko? Czy była kochanką owego mężczyzny? Niewykluczone, że przyczyna skandalu tkwiła zupełnie w czym innym. Ale jak do tego dojść?

Przypomniał sobie nagle, że Trudy Spencer napomknęła o siostrze Hawthorne'a. Przemierzając gwarną ulicę, rozmyślał o tym, że nie powinien tego robić, jednak znając siebie, wiedział, iż kolejnym jego posunięciem będzie odszukanie Mary Hawthorne.

Wstąpił jeszcze do zakładu kamieniarskiego, by zamówić nową marmurową kolumnę do salonu. Unikanie kontaktu z myszkującymi wszędzie reporterami stało się już jego obyczajem, toteż okrążył dom i zabrawszy z szopy pudło z narzędziami, ruszył ku tylnemu wejściu.

Znalazł w końcu przyczynę fatalnego zapadnięcia się sufitu i uszkodzenia kolumny: z powodu zardzewiałych i pociętych zawiasów jedno z okien na piętrze w ogóle się nie domykało. Ilekroć padał deszcz, woda przelewała się przez parapet, ściekała na podłogę stanowiącą jednocześnie sufit nad marmurową kolumną. Musi najpierw naprawić okno, bo w przeciwnym razie cała jego robota pójdzie na marne.

Wspiął się na piętro. W domu panowała cisza, chyba nie było nikogo, właśnie miał skręcić w korytarz i wejść do pokoju, w którym znajdowało się uszkodzone okno, gdy raptem zmienił zdanie i obrał inny kierunek. Powędrował schodami na wyższą kondygnację.

Cisza aż dźwięczała w uszach, gdy wspinał się stromymi i wąskimi schodami, stary, poprzecierany dywan tłumił odgłos jego kroków. Na szczycie schodów ujrzał drzwi. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy zobaczył, że są otwarte. Mimo iż zdawał sobie sprawę, że

powinien zawrócić, nie uczynił tego. Staął w progu.

Najpierw oślepiło go światło. Potem zobaczył ogromny, jasny, wysoki pokój o białych ścianach i wielu oknach, których na pierwszy rzut oka nie sposób było policzyć. Nigdy by nie uwierzył, że w tym walącym się domu mogło zachować się pomieszczenie w tak dobrym stanie.

Ledwo zdołał zakonotować sobie w myślach ten fakt, ujrzał Lily.

- Cudowna Lily - wyszeptał mimo woli.

Stała przy długim, wąskim stole. Niemal ze złości przesunęła dłonią po jego gładkim blacie. Morgan nie odrywał od niej wzroku, patrzył na jej postać, gdy pochyliła się, by podnieść coś z podłogi. Tak był pochłonięty podziwianiem jej kształtów, tak oszołomiony nagłym przyływem pożądania, że dopiero po chwili zorientował się, że to coś, co podniosła, było pędzlem.

Wreszcie jego umysł zdołał zapanować nad ciałem, dzięki czemu zauważył sztalugi i kawałek rozciągniętego płótna na jednej ze ścian. Nawet z tak daleka widać było, że płótno jest pożółkłe ze starości.

A więc było to studio artystki, o którym mówiła Trudy Spencer. Sposób, w jaki Lily ujęła pędzel, przebiegła palcami po włosiu, świadczył o tym, że to, czego się Elliott o niej dowiedział, pokrywało się z prawdą. Lily była artystką. Bądź też, zważywszy na sieci pajęczki i pożółkłe płótno, była byłą artystką.

Obserwował ją, gdy nieświadoma jego obecności, wyjrzała przez okno, zapatrzyła się w dal, trzymając niedbale pędzel w ręku. Uniosła twarz ku słońcu. Z jej błękitnych oczu wiele można było wyczytać. Cierpienie. Gniew. A nade wszystko bezmiar smutku, który Morgana wręcz poraził. Poczł nieprzepartą potrzebę objęcia jej, chciał ją pocieszyć, udzielić jej wsparcia.

- O czym pani myśli? - zapytał niejako wbrew swej woli.

Obróciła się błyskawicznie. Na jego widok smętek zniknął z jej oczu bez śladu.

- Co pan tu robi?

Głos jej brzmiał ostro, szorstko, wobec czego zatroskanie minęło Morganowi, jak ręką odjął. Całe szczęście. Potrząsnął tylko głową. Co ta kobieta miała w sobie, że ciągle zapominał, jaka jest naprawdę.

- Zajrzałem, żeby sprawdzić, czy to pomieszczenie nie wymaga jakichś napraw - rzekł przezornie, wchodząc do pokoju i rozglądając się na wszystkie strony. Jego buty uderzały o posadzkę, aż echo niesło się wśród pustych ścian. Zmiotł ręką pajęczyny. - Wygląda na to, że należałoby tu tylko porządnie posprzątać.

Obrzuciła go spokojnym spojrzeniem, choć spokoju w niej nie było. Zła była na niego, że znalazł się tutaj, właśnie tutaj. Przez całe tygodnie zbierała siły, by przekroczyć ten próg. Przez całe tygodnie krążyła w pobliżu, ale nie miała odwagi nacisnąć klamki.

Uczyliła to właśnie dziś. Weszła do zalanego słońcem pokoju. Dała się porwać falom wspomnień.

- Włożyłem dziś kapelusz - powiedział.

Patrzyła, jak zmiotł dłonią kolejną pajęczą sieć. Ręce miał delikatne, choć duże. Silne, gdy ją dotykał, pieścił.

- Chyba nie podziękowałem pani za niego we właściwy sposób - rzekł.

Te słowa zmaciły jej myśli, krążące wokół jego rąk i pieścizot.

- Słucham? - zapytała, jękając się.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Powiedziałem, iż nie podziękowałem pani należycie. Za kapelusz.

Westchnęła przeciągle.

- Należycie? W ogóle mi pan nie podziękował. Lecz skoro w ten sposób zwykł pan okazywać wdzięczność, czyli po czasie, bardzo proszę.

- Zatem dziękuję pani.

- Czy to takie trudne?

- Nie mam w tej kwestii doświadczenia - oznajmił, a jego wzrok nagle spoważniał. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio otrzymałem od kogoś jakiś prezent.

- Jeśli pan zawsze tak niesympatycznie odnosi się do ludzi, to nie ma co się temu dziwić.

Morgan roześmiał się, ale dopiero po chwili.

- Niesympatycznie? Ja?

- Tak, pan. Niesympatyczny mężczyzna w pięknym kapeluszu. - Znowu spojrzała w okno, przypominając sobie ojca i jego bogaty zbiór różnorodnych kapeluszy. - Lubię, kiedy mężczyzna nosi kapelusz. - Uśmiechnęła się smętnie. - Ładny, atłasowy. O szerokim rondzie, wąskim rondzie. - Zachichotała. - Nie podobają mi się tylko te idiotyczne meloniki, które coraz częściej się widuje.

- Jestem przekonany, że gdyby to od pani zależało, przystroiłaby pani męskie nakrycia głowy w pióra i dzwoneczki.

Wybuchła śmiechem, który drżał w ciszy pokoju niczym drobinki kurzu w promieniach słonecznych.

- Nie męskie, nie męskie - sprostowała.

Podeszła do masywnej szafy, przesunęła dłońmi po jej gładkich ścianach. Chwycała za wysoko umieszczoną rączkę i otworzyła drzwi na całą szerokość.

Na półkach i wieszakach znajdowały się przybory malarskie. Sięgnęła głębiej i spomiędzy rozmaitych pędzli wyciągnęła jeden, ale przy tej sposobności cały ich stos upadł na podłogę. Odskoczyła ze wzrokiem

utkwionym w rozsypane pędzle. Zajrzała do szafy.

- Wszystko tu jeszcze jest - stwierdziła ze zdziwieniem.

- Przybory malarskie czy szafa? - zapytała.

Wzruszyła ramionami.

- I szafa, i przybory malarskie. Wszystko tak jak dawniej. Jakbym wczoraj wyszła z tego pokoju. Służył on swego czasu dzieciom do zabawy. W tej szafie było całe mnóstwo zabawek. Proszę spojrzeć, jak wysoko umieszczona jest rączka. Przez wiele lat ani ja, ani Claude nie mogliśmy jej dosięgnąć. Nasza guwernantka miała nad nią kontrolę. - Uśmiechnęła się. - Po latach z radością otworzyłam tę szafę, wyrzuciłam zabawki, i w ten sposób powstał magazyn moich przyborów malarskich.

- W ten sposób przypieczętowała pani swój los?

Spojrzała na niego, zmarszczywszy czoło.

- Powiedział pan kiedyś, że sami decydujemy o swoim przeznaczeniu. Czy istotnie jest pan tego zdania, czy też kierował panem gniew na madame Paulie?

Chciała, żeby wycofał te słowa, chciała, żeby przyznał, iż człowiek nie ma wpływu na to, co go spotyka, że o jego kolejach losu decydują siły wyższe. Ciężko by mu było przyznać jej rację. Ale z drugiej strony, gdyby dał jej do zrozumienia, że to ona sama doprowadziła do tego, co się stało, poczułaby się nieszczęśliwa i jeszcze bardziej samotna.

- Tak, moim zdaniem człowiek jest odpowiedzialny za tok własnego życia.

Gdyby ją uderzył, nie doznałaby aż takiego bólu. Czegóż ona się spodziewała? Morgan Elliott zawsze mówił to, co myślał.

- Niewątpliwie ma pan rację - rzekła w końcu. - To my sami sprawiamy, że dzieje się tak, a nie *inaczej*.

Przeszła przez pokój, dotykając ścian i dziwnych resztek mebli.

- Jak byłam mała, miałam lalkę. Pannę Bellingham. Ogromnie ją kochałam.

- Czy i ją wyrzuciła pani z szafy?

Oczywiście wyobraźni ujrzała pannę Bellingham. Kiedyś Claude uniósł wysoko lalkę, żeby nie mogła jej dotrzeć. Popatrzyła na Morgana.

- Wyrzuciłam wszystkie zabawki bez wyjątku - odparła. - Czy w dzieciństwie miał pan dużo zabawek?

- Zabawek? - powtórzył zmienionym nagle głosem.

Speszyła się. Niewiele wiedziała o jego życiu.

- Na pewno miał pan jakieś zabawki, tak jak każde dziecko, bez względu na to, kim jest i z jakiego wywodzi się środowiska. Można sobie na przykład wyobrazić, że kamień to piłka.

- Tak, miałem trochę. Rzadko się jednak bawiłem. Mój ojciec uznawał tylko ciężką pracę.

- Nie napawa mnie to zdziwieniem. Poza panem nie widziałam człowieka, który by tak ciężko pracował. Wielki Boże, w tak krótkim czasie tyle pan w tym domu dokonał, aż nie do wiary! I zna się pan na rzeczy. - W jej oczach pojawił się błysk zaciekawienia. - Ale nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że jest pan robotnikiem, no majstrem. Widocznie piastował pan kiedyś jakiś urząd.

Przypomniał sobie, że już kiedyś dała wyraz swoim wątpliwościom, w tramwaju konnym, kiedy jechali do Macy'ego. I tym razem poczuł się nieswojo. Doprawdy, bardzo by sobie nie życzył, by wyciągała temu podobne wnioski. Że na przykład nie jest majstrem.

I nagle zapragnął czegoś wręcz przeciwnego. Żeby dowiedziała się, kim jest. By go zdekonspirowała. I odprawiła z kwitkiem.

Raptem poczuł się tym wszystkim zmęczony. Zmęczony huśtawką własnych nastrojów: raz nią pogardzał,

nie cierpiał jej, a już po chwili pragnął zrzucić z niej *odzież* i posiąść ją.

I radował się, gdy doprowadzała go do śmiechu.

Co ona z nim wyprawia? Przez nią miał mętlik w głowie. Do tej pory szczylił się tym, że nigdy nie łączył pracy ze sprawami natury osobistej. Nie chodzi o to, że Lily samą swoją obecnością sprawiała mu radość. Nie, ona doprowadzała go do szaleństwa.

- Co pan robił, nim zatrudnił się u mnie? - zapytała, jakby czytając w jego myślach.

Sama dała mu szansę, by odkrył karty. Lecz on niestety nie mógł sobie pozwolić na szczerłość.

- Jaki mają związek pani zabawki z moją pracą? - zapytał z uśmiechem.

- Mówił pan - ciągnęła - że na zabawę nie starczało panu czasu. A pana rodzeństwo?

- Nie mam rodzeństwa.

- No to przyjaciele. Na pewno miał pan przyjaciół. Milczał. W jego czarnych oczach pojawił się smutek. Nieświadom był tego, że Lily bacznie mu się przygląda.

- Tak, miałem - odparł przytłumionym głosem.

Stanął mu przed oczyma Trey. Trey, Jenny i on. Byli nierozłączni.

- Jak mieli na imię?

- Jenny - rzekł po dłuższej przerwie; był spięty, nie mógł wymówić tego drugiego imienia. Przymknął oczy, a kiedy je otworzył, napotkał zaciekawione spojrzenie Lily. Zmusił się do uśmiechu. - Nie bawiliśmy się jednak w takim pokoju jak ten, bawiliśmy się nad potokiem, w polu.

- Jenny? Bawił się pan z dziewczynką?

Jej pełen niedowierzania głos sprawił, że tym razem szczerze się uśmiechnął. Uniósł w górę brwi i skrzyżował na piersi ramiona.

- Dziwi to panią?

Sądził, że spojrzy na niego ironicznie albo parsknie niewytwornie śmiechem, co jej się często zdarzało. Tymczasem jakby się od niego oddaliła i nastrój beztroskiej rozmowy o zabawkach i dzieciństwie pierzchnął, rozplątał się w promieniach słonecznych wpadających do pokoju. Zawsze tak było, pomyślał. Był już niemal pewny jakiejś jej reakcji, a ona właśnie zachowywała się całkiem inaczej. Od wielu lat przewidywał rzeczy nieprzewidziane. Ale w stosunku do Lily nie potrafił. Mimo iż tak bardzo pragnął ją zrozumieć, że aż napawało go to lękiem.

- Dziwi się pani, że bawiłem się z dziewczynką? - powtórzył, chcąc przerwać niezręczną ciszę, jaka zapanaowała między nimi.

- Nie, wcale się nie dziwię. - Spojrzała w stronę okna. - Byłam przyjaciółką Claude'a. Jedyną. Spędzaliśmy tu całe godziny, rozmawialiśmy, śmieliśmy się, a czasem zajmowaliśmy się czymś, nic do siebie nie mówiąc. Przez całe lata znaleźliśmy wzajemnie własne myśli, słowa nie były nam potrzebne.

- Pani rodzice musieli być szczęśliwi, że ich dzieci tak dobrze się rozumieją. Ja nie miałem brata ni siostry, ale podobno wśród rodzeństwa różnie się zdarza.

- Szczęśliwi? - Słowo to jakby ją zdziwiło, jak gdyby taka myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. - Nie powiedziałabym. Podejrzewam, że nawet nie wiedzieli, jak bliska więź nas łączy. Rodzice dużo podróżowali. Afryka. Indie. A kiedy już byli na miejscu, to albo chodzili na przyjęcia, albo wydawali je w domu. Często sobie myślałam, że Claude dlatego tyle czasu spędza ze mną, bo odkąd się urodziłam, przestał być samotny. Miał już kogoś. Rodzice mieli siebie. A kiedy ja przyszedłam na świat, Claude miał mnie.

- Musiał panią bardzo kochać.

Serce w niej zadrżało.

- Tak pan sądzi? - I widząc zdziwienie w jego oczach, dodała: - Nie wiem już, co to jest miłość. Może ułuda...

- Na pewno pani wie - oświadczył z całą stanowczością.

- Nie. Ale na pewno p a n wie. Pan zawsze wie wszystko. - Uśmiechnęła się ciepło, by złagodzić ostrość sformułowania. - Ma pan na wszystko gotową odpowiedź, nieprawdaż, panie Elliott? Wie pan, co jest dobre, a co złe. Można by pana nazwać pyszałkiem, który narzuca wszystkim swoje opinie i poglądy. I choć przy każdej okazji doprowadza mnie pan do szału, to nie sądzę, by kierował się pan w życiu takimi przesłankami, przynajmniej nie zawsze. Pański świat jest czarno-biały, tymczasem świat innych ludzi to nieskończona ilość odcieni szarości. Ciekawe, kto jest szczęśliwszy, komu łatwiej przeżyć życie.

Elliott nie wiedział, co powiedzieć. Od lat przyświecał mu tylko jeden cel. Z całą determinacją wytyczył sobie taką drogę w życiu i całkiem zapomniał o wszelkich odcieniach szarości.

Roześmiała się głośno.

- Opowiadam głupstwa. Życie jest trudne dla wszystkich, bez względu na ich przekonania.

Odwróciła się do szafy i pochyliła nad podłogą. Jej długa spódnica zawirowała wokół niej. Wdzięcznymi ruchy zaczęła zbierać pędzle.

Parę szybkich kroków i Morgan znalazł się tuż obok Lily. Gdy pochylił się, aby jej pomóc, ich dłonie się zetknęły.

Elektryzujący dotyk. Poderwała głowę do góry i zachwiała się, tracąc najwyraźniej równowagę. Wyciągnął ramię, by ją podtrzymać.

- Chciałem pani pomóc - powiedział.

Smutek ściągnął jej jak wyrzeźbioną w porcelanie

twarz, a on się przestraszył, że ta porcelana może się stłuc.

- Pomóc mi, panie Elliott? - odezwała się wreszcie. - Nie może mi pan pomóc, ani pan, ani nikt inny.

- Lily, ja tylko...

- Proszę, nie. Idź już, zostaw mnie.

- Lily...

- Nie, Morgan!

Stali tak dłuższą chwilę, ich oczy toczyły walkę.

- Proszę, panie Elliott, niech pan już idzie.

Ma rację, pomyślał. Powinien stąd wyjść. Nie miał tu nic do roboty, ponieważ jego pomoc ograniczyłaby się do zbierania pędzli z podłogi, a on marzył o tym, by pomóc jej naprawdę, nie przy zbieraniu rozrzuconych przyborów malarskich. Dlaczego? - zapytywał sam siebie po raz nie wiadomo który. Dlaczego odczuwał przemożną potrzebę przyjścia jej z pomocą? Czy z powodu poczucia winy, że posługiwał się jej osobą w celu schwytania przestępcy? Być może, ale to tylko część prawdy. Zdawał sobie sprawę, że wpłatał się w coś, czego nie potrafi zrozumieć. Jego uczucia do Lily były skrajnie zagmatwane. Była kobietą lekkich obyczajów, kobietą, która nie odróżniała dobra od zła, podczas gdy on niewiasty jej pokroju stawiał przed trybunałem.

Pomyślał raptem o Jenny.

Musiał przyznać przed samym sobą, że jego przeczulenie na punkcie honoru wzięło początek w dniu, w którym Jenny upadła. Coś ścisnęło go za gardło, nie wiedział, co było tego przyczyną. Wyrzuty sumienia? Ból? Gniew?

Och, Jenny! Dlaczego?

9

W ciągu następnych paru dni nic specjalnego się nie wydarzyło, przynajmniej w porównaniu z obfitymi w wydarzenia dniami poprzednimi. Lily odbywała codzienne przejażdżki konne, i Morgan rzadko ją widywał. Rad był z tego, ponieważ jej bliskość podważała w nim wiarę we własne przekonania.

Przed laty rzucił się w wir pracy, aby nie mieć czasu na myśli o przeszłości. Lecz z jakichś przyczyn tu, w domu Lily, gdy tak pilnie wykonywał swoje obowiązki, myśli o Jenny nieustannie go prześladowały. Pracował, nie dając sobie folgi - chciał zapomnieć o tym, co stało się przed laty. Jednak odkąd przybył do Blakemore House, nie mógł się od tych ciężkich wspomnień opędzić.

Tłumaczył sobie, że głównym tego powodem był fakt, iż spotkał kobietę będącą absolutnym Jenny przeciwieństwem. Jenny była niewinna i naiwna. W odróżnieniu od Lily Blakemore. Ta z zuchwałym uśmiechem szła przez życie, przynajmniej tak sądził. Zdarzały się jednak chwile, że dziwne i podstępne myśli przychodziły mu do głowy, a mianowicie takie, że obie kobiety były do siebie bardzo podobne. Zły był na te swoje myśli - wszak Lily to kobieta upadła. A Jenny... Jenny nie żyła.

W piątek wieczorem klęczał w ogrodzie, wymieniając połamane okno w suterenie od frontu. Dzieci były na górze, a Marky i Jojo jak zwykle, ku niezadowoleniu Elliotta gdzieś znikli.

Nagle usłyszał w dali szybki tętent kopyt. Po paru sekundach rozległy się głośne wołania, krzyki przeplatane śmiechem, dobiegające z odległości co najmniej ćwierci mili. Wstał z klęczek, otrzepał dłonie z kurzu i spojrzął ku zachodowi, skąd dochodził hałas.

Niebawem jeźdźcy wyłonili się zza rogu Siódmej Alei, a w Morganie serce zamarło. Pędzili na złamanie karku. Niebezpiecznie. Lekkomyślnie. Jeden fałszywy ruch, jeden fałszywy krok, a koń wraz z jeźdźcem zwał się na ziemię. Śmieli się głośno, pokrzykiwali jedno przez drugie, nie zastanawiając się zupełnie nad tym, co ich może spotkać.

Trójka jeźdźców mknęła przed siebie. Na czele z Lily Blakemore.

- Do stu diabłów! - zaklął Morgan, i wtedy właśnie dzieci wybiegły na ganek.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła Cassie, komicznie naśladując swoją ciotkę. - Przecież to Lily!

Elliott, zły na siebie, patrzył jak zahipnotyzowany na zbliżających się jeźdźców. Widok ten zapierał mu dech w piersi. Lily galopowała pochylona do przodu, wiatr rozwiewał jej włosy. Nigdy jej jeszcze nie widział kobiety tak szarżującej. W takim upojeniu. Zdobywała świat.

Zdarzało mu się widzieć mężczyzn ogarniętych takim szałem, choć rzadko. Ale nigdy kobiet. Ludzie na ogół unikają ryzyka. Lecz Lily Blakemore do nich się nie zaliczała. Ona lekceważyła życie. Jakby nie była świadoma własnej śmiertelności.

Przed domem jeźdźcy zatrzymali się raptownie, konie po dziwnej jeździe dreptały nerwowo w miejscu, sapiąc i prychając w nagrzanym powietrzu. Lily odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Zeskoczyła z wierzchowca, ignorując pomocne dłonie, a jej nie-

bieskie oczy lśniły jak gwiazdy. Bogini wśród śmiertelników.

Morgan przypomniał sobie to, co o niej czytał. Tak, była szalona. Żyła pełnią życia, emocjami, balansowała nad przepaścią, kpiła z niebezpieczeństw, i kochała takie życie. Choć nie powinien, czuł podziw dla tej skandalizującej kobiety.

Uprzytomnił sobie po chwili, że jednym z towarzyszących jej mężczyzn jest Bart Mayhew, ten sam, którego spotkali u Macy'ego. W drugim rozpoznał młodszego syna pewnych prominentnych rodziców, młodzieńca o próżniaczych skłonnościach, o którym wieść głosiła, że często popadał w tarapaty.

Lily zaprosiła gości do domu. Szybko weszli po schodach na górę, najszybciej Lily. Mijając bratanków, uśmiechnęła się do Cassie, bynajmniej nieprzejęta tym, że dzieci były świadkami wariackiej jazdy ciotki.

Elliott odwinął z płótna bryłę kitu i włożył ją do naczynia. Umył ręce. Zgromadził już kilka potrzebnych mu narzędzi, gdy przypomniał sobie, że skrzynkę z resztą narzędzi zostawił w salonie. Zastanawiał się, czy nie przerwać roboty. Nie zaliczał się jednak do ludzi, którzy nie doprowadzają do końca rozpoczętego dzieła. Bądź tylko takie miał o sobie mniemanie. W każdym razie skierował swe kroki ku gankowi.

Dzieci wciąż tam stały.

- Powinno się ją zastrzelić - burknął Robert.

- Przynosi nam wstyd - dodała Penelope.

- Nie przynosi żadnego wstydu! - Wielkie oczy Cassie pełne były łez. - Ona jest miła, a wy ziejecie nienawiścią.

Obróciła się na pięcie i wbiegła do domu. Słysząc było, jak wchodzi po schodach, a potem trzaska drzwiami sypialni.

Morgan spojrział na pozostałą dwójkę.

- Owszem, przynosi - oświadczyła Penelope, jak gdyby utwierdzając się w tym przekonaniu.

Elliott wzruszył ramionami. Nie jego sprawa. Do diabła, myślał z ponurą miną, przekraczając próg, skłonny byłby podzielić zdanie Penelope.

W domu aż huczało od śmiechu i hałaśliwych rozmów. Jeśli to w ogóle możliwe - coraz hałaśliwszych.

- Nie certol się, Lily, bierz!

Dłoń Morgana zacisnęła się w pięść.

- Powiedziałam nie, Melville - odparła.

Morgan wszedł do pokoju. Bart przyrządzał napitki. Melville trzymał w rękę jedną szklanekę, a drugą wyciągał w stronę Lily. Powtórnie mu odmówiła i wtedy dostrzegła Elliotta.

Serce zaczęło jej łomotać. Zapragnęła nagle uśmiechnąć się do niego, zapytać, jak minął mu dzień. Zapytać, czy widział, jak Midnight pięknie galopował ulicami. Zagadnąć go o cokolwiek, byle tylko go usłyszeć, byle tylko usłyszeć brzmienie jego niskiego głosu.

Lecz uśmiech znikł z jej ust, kiedy dostrzegła, jakim wzrokiem obrzucił jej gości, potem ją, kiedy dostrzegła wyraz obrzydzenia, jaki wykrzywił jego piękną, jak wyrzeźbioną dłutem artysty twarz.

Serce w niej zamarło. Poczuła chłód. Ból. Jak mogła się tak zapomnieć? Nawet na chwilę. Ogarnęło ją nagle zmęczenie, straszliwe zmęczenie pobytem w tym domu, gdzie wszyscy tak źle ją osądzali. Zatęskniła do samotności, dom w Tarrytown wydal się jej nęcącym azylem. Uciec, uciec jak najszybciej od tego oskarżającego spojrzenia Morgana.

Nagle zapłonął w niej gniew, zniknęło uczucie goryczy, a w jego miejsce pojawił się bunt, przynosząc jej

ulgę. Zapragnęła okazać wszem wobec, że jest taka, za jaką Elliott ją uważał. Jaką wierzył, że jest.

Niech go diabli porwą, pomyślała. Kiedy spotkały się ich spojrzenia, sięgnęła po szklanekę z bursztynowym napitkiem i wychyliła ją do dna, niczym marynarz w portowej knajpie.

- Jeszcze raz, Melville - rzekła, gdy tylko zdołała chwycić oddech, nie odrywając wzroku od majstra. - Poker to świetny pomysł! Gramy!

- Cudownie! Po prostu cudownie! - wykrzyknął ten w odpowiedzi.

Sięgnęła po papierosa, a gdy majster nie pospieszył z zapałkami, pochyliła się w stronę Barta, który podał jej ogień.

Morgan zacisnął szczęki. Jego skrzynka z narzędziami stała obok Lily, w której smukłych palcach tlił się papieros.

Trzymając w ręce pojemnik z kitem, przemierzył pokój i podszedł do niej, tymczasem jej kompani z zapałem przygotowywali stolik do gry.

- Cieszę się, widząc, że jednak coś potrafi pani robić dobrze - rzucił sarkastycznym tonem. - Nieważne, że nie umie pani zapewnić dzieciom opieki, ważne jest natomiast to, że umie pani pić, palić i uprawiać hazard jak stały bywalec klubów gry. Jestem pod wrażeniem, panno Blakemore!

Przez chwilę jakby się wahała, jakby cierpienie zamgliło jej wzrok. Albo tylko mu się tak zdawało, bo jej niebieskie oczy znowu stały się zimne i twarde niczym szafiry, i zaciągnęła się głęboko papierosem.

Wydmuchując dym, roześmiała się na cały głos.

- Gdyby pan spędził dziesięć lat w charakterze kobiety upadłej, byłby pan hazardzistą co się zowie! -

Spojrzała na niego. Jakby od niechcienia zaciągnęła się po raz ostatni i wrzuciła niedopałek do pojemnika z kitem. - A teraz proszę mi wybaczyć, panie Elliott - powiedziała. - Cierpliwość, jak widać, również można zaliczyć do moich nielicznych zalet.

To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła, a on stał jak wryty, patrząc na niedopałek dogasający w pojemniku z kitem. Sam czuł się jak ten niedopałek. Ostatnie tygodnie wiele go kosztowały, był na skraju wytrzymałości. Usiłował zrozumieć tę kobietę, pragnął ją chronić i pragnął jej ciała. Od miesięcy nie miał kobiety. Nic zatem dziwnego, że Lily Blakemore budziła w nim pożądanie. Nigdy dotąd takiej kobiety nie spotkał. Szalonej. Lekkomysłnej i bezczelnej.

Klocki tej układanki, zagadki, którą usiłował rozwiązać, zaczęły tworzyć obraz. Lily Blakemore, jak stwierdził, prezentowała się na nim w całej okazałości. Lecz jednego klocka brakowało. A tym brakującym klockiem był John Crandall. Ale i na niego przyjdzie kolej. Wkrótce. Morgan czuł to w kościach.

Z trudem panując nad gniewem, podniósł skrzynkę z podłogi i ruszył ku drzwiom.

- Nie możemy grać we trójkę - oświadczył Bart, wlewając w siebie whisky, jakby to była lemoniada.

- Dlaczego, możemy - odparł Melville z uśmiechem.

- Nie, nie możemy - upierał się Bart. - Żeby było zabawnie, muszą być cztery osoby. Hej, ty! - zawołał.

Elliott szedł dalej w stronę drzwi.

- Hej, panie majster!

Zatrzymał się w progu i powoli odwrócił, jego oczy miały groźne błyski.

Bart wymamrotał coś pod nosem, uniósł się z miejsca, żałując najwyraźniej swych okrzyków.

- Jak pan się na to zapatruje, sir, żeby być czwartym w pokerze?

- Bart, przestań... - Lily nie dokończyła, na jej policzkach wystąpiły czerwone plamy.

Morgan zmarszczył brwi z widomą pogardą. I w tym momencie dostrzegł nagłą zmianę w twarzy Lily. Wyraz zakłopotania, jeśli oczywiście prawidłowo go odczytał, zniknął. Zmrużyła powieki i spojrzała na niego hardo.

- W istocie rzeczy, panie Elliott, dlaczego nie miałyby się pan do nas przyłączyć? I zagrać z nami małą rundkę? - Cień ironii pojawił się w jej głosie. - A może pan... w swojej wrażliwości czuje się urażony taką propozycją?

Milczał. Co się z nim stało, zastanawiał się w duchu, że od momentu przybycia do Blakemore House jego ocena dobra i zła uległa takiemu przewartościowaniu?

Sprowokowany jej słowami i tonem, jakim je wypowiedziała, zawrócił.

- Jeśli państwa wrażliwość pozwala wam oddawać się tak pospolitej i plugawej grze, to czemuż ja miałbym czuć się dotknięty? Mam nadzieję, panno Blakemore, że pani się na tym zna. W stronach, skąd pochodzę, gramy ostro.

- Niech się pan nie kłopotczy, panie Elliott, jestem z tą grą obeznana.

- Na pana miejscu - dodał Bart ze śmiechem - lękałbym się raczej o siebie. Lily zawsze była świetną pokerzystką, chyba że przez ten czas straciła węch do kart.

Cała czwórka zasiadła do stolika pamiętającego lepsze czasy. Lily przyniosła talie kart.

- Czy ma pan pieniądze, panie Elliott? Jeśli nie, to z przyjemnością dam panu zaliczkę.

- Nie zachodzi taka potrzeba - odparł sucho. - Zaraz wracam.

Morgan udał się do swego domku i wziął woreczek

z monetami. Gdy wrócił, Melville i Bart siedzieli przy stoliku i śmieli się z czegoś. Lily nie było. Dostrzegł po sekundzie, że stała przy oknie ze szklanką w ręku.

Serce mu się ścisnęło. Choć widział tylko jej profil, rozpoznał wyraz jej twarzy po specyficznym uniesieniu podbródka. Jak to możliwe, że ta właśnie kobieta tak igrała z jego emocjami? Raz gotów by ją zadusić, a wkrótce potem chwycić ją w ramiona i ukoić jej żal.

Odeszła od okna i nawet nie spojrzawszy na Elliotta, ruszyła w stronę stolika.

- Ciągnijcie karty - powiedziała chłodno, podczas gdy Bart i Melville pomagali jej zająć miejsce.

Morgan siedział naprzeciwko Lily. Obserwował ją chwilę, zanim uniosła wzrok. Sprawiała wrażenie, jakby narastało w niej zakłopotanie. Ominęła go spojrzeniem i zwróciła się do Barta:

- Przestań już wreszcie tasować, rozdaj karty.

Mayhew był wyraźnie zaskoczony tonem jej głosu, ale szybko ochłonął, gdy Lily położyła dłoń na jego ręce.

- Przepraszam, Bart. Rozdaj.

Tak też uczynił. Śmiech i rozmowy ucichły, gdyż każdy, z wyjątkiem Lily, studiował pilnie swoje karty. Lily rzuciła tylko na nie okiem, dobrała sobie jedną i upiła nieco trunku.

Po prawej ręce Morgana stała szklanka z bourbonem. Dobrał dwie karty i łyknął pokaźny haust. Lily spojrzała na niego, ale zaraz odwróciła wzrok. Pierwsza gra szybko się toczyła. Lily zdołała przebić królami jego dziesiątki. Bart i Melville nie dysponowali niczym godnym uwagi.

- Łut szczęścia - mruknął Elliott.

Cień uśmiechu pojawił się na ustach Lily, nie była już tak spięta jak przed kilkoma minutami.

Po kilku rozdaniach Morgan nie wątpił, że Lily umie

grać i nie jest to kwestia szczęścia. Nie miał racji, wyrażając wątpliwość w tej kwestii. Była wytrawnym graczem. Najwidoczniej często oddawała się temu hazardowi, i to z dobrym skutkiem.

Niebawem stało się jasne, że gra toczy się tylko między nimi. Bart i Melville bardziej zajęci byli rozmową i whisky niż kartami.

Wkrótce w szklance Morgana zabrakło trunku. Także w szklance Lily. Dziwił się, że mimo to panuje nad sytuacją.

- A teraz - odezwał się Melville, a właściwie wybełkotał. - Moja kolej.

Wyłożono karty i okazało się, że trzy damy Lily przebiły parę króli Elliotta. Po czym królewski sekwens przebił jego karete. Jej ful kontra jego strit.

- Do diabła! - mruknął.

Była już późna noc.

- Poddaje się pan? - zapytała Lily ze śmiechem, zgarniając wygraną na wznoszący się przed nią spory stos monet.

- Nigdy w życiu - odparł, prostując się na krześle i zawijając rękawy koszuli. - Proszę rozdawać.

Przystąpiła do dzieła. Morgan obserwował, jak jej smukłe palce rozdają karty, i nagle doznał dziwnego uczucia, aż dreszcz przebiegł mu po całym ciele na myśl o jej dłoniach pieszczących go, przyciągających do siebie.

Tylko dzięki długim latom samokontroli udało mu się skoncentrować na grze. Stłumił dręczące uczucie, które przenikało go do głębi. Skupił całą uwagę na kartach, odtrącał myśli o siedzącej naprzeciwko niego kobiecie. I powoli zaczęły do niego docierać śmiech i pokrzykiwania Barta i Melville'a. Lily z uniesionymi ze zdziwienia brwiami oraz z ironicznym uśmiechem na ustach patrzyła, jak już po raz któryś zagarnął bank.

- Chyba jesteśmy kwita - rzekł po godzinie, uśmiechając się pod nosem i ustawiając monety w równych rzędach.

- Może wy tak - odezwał się Mayhew zmienionym, groźnym głosem. - Ale mnie, człowieku, solidnie złupiłeś.

Usiłował wstać, lecz tylko grzmotnął udem w blat od dołu, że aż wszystko na stoliku się zatrzęsło. Rozprysnęły się trunki. Lily i Morgan przytrzymali rozkołysane szkło.

- Najwyższa chyba pora, przyjacielu - zaczął Melville nie zdający sobie widać sprawy z tego, co się stolikowi przydarzyło, i usiłujący również podnieść się z miejsca. - Najwyższa pora zbierać się do domu.

- A poradzisz sobie z jazdą? - zapytała Lily podtrzymując go.

- To się rozumie, to się rozumie - zapewnili obaj.

Niebawem goście opuścili dom.

- Obawiam się, że może się to dla nich źle skończyć - powiedział Elliott, obserwując, jak mężczyźni usiłują dosiąść koni.

- Faktycznie. Mogą się pozabijać.

- Patrzyłem z przerażeniem, jak wsiadali.

Lily spojrzała na niego, a dostrzegłszy figlarne błyski w jego oczach, o mało nie wybuchła gromkim śmiechem.

Powstrzymała się jednak. Wchodząc do salonu, rzekła:

- Konie same doprowadzą ich do domu, jak to już zapewne czyniły setki razy.

- Tak też uważam.

Nie wiedziała, że Morgan wszedł za nią, i była ogromnie zaskoczona, że raptem znalazł się tak blisko, bardzo blisko niej.

On zaś wpatrywał się w Lily. A zaledwie przed paru godzinami określał ją w myślach złymi słowy. Tymczasem teraz czuł przemożną potrzebę obrony jej, chciał zrozumieć, dlaczego nie była taka, na jaką wyglądała.

Miał sobie za złe, że pragnął, aby była inna, choć dobrze wiedział, że tą inną nie będzie.

Morgan Elliott, człowiek logiczny, praktyczny, realista w każdym calu pragnął, by Karmazynowa Lily była kobietą bez skazy.

Jak to się stało, zastanawiał się z wściekłością, że ta niewiasta zniewoliła jego umysł, zawiązała mu rozum na supeł? I dokonała tego, między innymi, grając w pokera, klnąc jak dorożkarz i wychylając trunki do dna.

- Kim ty jesteś, Lily Blakemore? - zapytał niskim, szorstkim głosem. - Dlaczego wyzwoliłaś we mnie uczucia, których nie rozumiem?

Serce biło jej szybko i głośno. Z oczu Elliotta wyczytała, że on nie oczekuje odpowiedzi, a i ona nie potrafiłaby mu jej udzielić. Podobnie jak on nie rozumiała, dlaczego tak silne fluidy przyciągały ich do siebie. W momentach, kiedy trzeźwo oceniała sytuację, kpiła ze swoich melodramatycznych myśli o wyjściu z mroku, o podróżnikach idących tą samą ścieżką. Nigdy dotąd nie spotkała człowieka, który tak działałby jej na nerwy, a przecież ów człowiek nie czynił tego umyślnie. Wystarczyło, że wszedł do pokoju i wymownie spojrział na nią, a ją albo rozsadzała •wściekłość, albo obezwładniało skrępowanie.

Uosabiał to, czego nie cierpiała u mężczyzn. Władczość. Despotyzm.

Obnosił się z tą swoją siłą jak z bronią. Zagniewany. Zapalczywy.

I gdy właśnie tak myślała, stanął tuż-tuż.

Był taki wysoki, taki silny, że aż budził grozę. Od początku dostrzegła tę jego moc, była nią zafascynowana. Tej jednak nocy dreszcz paniki przebiegł jej po plecach. Powinna uciec, wbiec po schodach na górę, do

swego pokoju. A rano wymówić mu pracę. Tymczasem stała, jakby ją zamurowało, i nie myślała o tym, że zachowuje się niestosownie, tylko o sile jego mięśni. O tym, że chętnie znowu by go dotknęła.

Poraziła ją własna bezczelność, i cofnęłaby się niechybnie, gdyby Morgan nie pogładził jej po policzku. Długimi, silnymi palcami sięgnął podbródka i unióśł lekko jej głowę, aż ich oczy się spotkały.

- Chcę cię pocałować, Lily.

Głos jego brzmiał nietajoną zmysłowością. Wiedziała, czuła to, że stracił nad sobą kontrolę. Pragnął jej, i to właściwie od początku. Dostrzegała to w jego oczach, słyszała w barwie głosu. Sytuacja była jasna. Dawał jej sygnał ostrzegawczy.

Nienawidził jej, lecz z równą siłą jej pożądał. I Lily zdawała sobie sprawę, że owo pożądanie budziło w nim samym pogardę. Nie mogła udawać naiwnej.

Znowu ta myśl o ucieczce. Lecz podobnie jak ćmę kusi światło, tak ją kusiło, by jego usta dotknęły jej ust.

Wówczas ją pocałował. Jakby iskra przebiegła z jego ust do jej, z jego dłoni unoszącej jej podbródek. Oddychała ciężko, powieki zaczęły przysłaniać jej oczy, gdy raptem Morgan cofnął się.

Otworzyła oczy błyskawicznie.

- Powiedz mi, Lily, że chcesz, bym cię dotykał. Powiedz mi, że chcesz czuć moje wargi na swoich.

Zamiast odpowiedzi pochyliła się ku niemu. Znowu ją pocałował, delikatnie, i znowu się cofnął.

- Powiedz mi to, Lily. Wypowiedz te słowa - domagał się ochrypłym głosem.

Jęknęła rozzłoszczona, zwinięte w pięści dłonie położyła na jego ramionach.

- Niech cię diabli porwą! Tak, chcę, żebyś mnie dotykał!

Pocałował ją - zaborczo, zachłannie. Całował ją tak, jakby od lat pragnął takich właśnie pocałunków. Wchłaniał ją w siebie, jego usta rozgniały jej wargi. Silnymi ramionami przyciskał ją do piersi, żar jego ciała przenikał przez jej suknię. Ramionami jak z żelaza tulił ją, pieścił jej plecy, aż dotknął jej krągłych bioder.

Czuła na brzuchu twardy dowód jego pożądania, oszołomiło ją to. Wyzwoliło w niej tęsknotę do jego ciała, i sama nie mogła pojąć, jak to się stało.

- Nie bój się, Lily. Nie zrobię ci krzywdy - szepnął jej na ucho, i aż zadrżała, słysząc te słowa.

Jego usta błądziły po jej szyi - uniosła głowę. Sięgnął niżej, całował jej piersi, odchyliwszy cienką materię bluzki. Otoczyła ramionami jego szerokie bary, przebierała palcami pasma jedwabistych włosów. Wstrzymała oddech, gdy poczuła, że zrywa z niej koszulę i jeszcze zachłanniej przywiera ustami do jej piersi.

- O Boże, jaka jesteś piękna - mrucał, pieszcząc dłońią brodawki. - Cudowne piersi!

Pragnęła jego bliskości. Chciała czuć jego ciało. Marzyła, by wyszeptał jej na ucho, że ją kocha. Miłość. To słowo ją poraziło. Szydziło z niej.

O miłości nie mogło być mowy.

Morgan nie pozostawiał wątpliwości co do stanu swoich uczuć. Jakaś niewytłumaczalna siła przyciągała go do niej, całował ją, ale jej nie kochał, nawet jej nie lubił, mało tego, czuł do niej żywiołową wręcz niechęć. A co najważniejsze, wierzył w to, co o niej mówiono. Postrzegał ją jako Karmazynową Lily. I choć spędził w jej rodzinnym domu już parę tygodni, patrzył na nią, obserwował ją, to niczego więcej w niej nie dostrzegł.

W tym momencie Lily pomyślała, że dobrze zrobiła, pijąc i grając w karty jak pierwszy lepszy mężczyzna. Nie

sprawiła Elliottowi zawodu. A chciała przecież, by po przejażdżce Bart i Melville wrócili do domu, już, już miała im to powiedzieć. Ponieważ jednak przez cały czas Morgan patrzył na nią z jawną pogardą, sprowokował ją, obudził w niej ducha przekory. I skutek był taki, że w jego oczach stała się jeszcze bardziej godna potępienia.

Rozumiała go dobrze, od początku zresztą, lecz nie mogła nakazać sobie: dość tego. Nie mogła pokonać w sobie tej przekory, która kierowała jej poczynaniami.

Z wysiłkiem godnym Herkulesa uniosła dłoń i przytuliła się do Morgana jeszcze mocniej.

Wbrew prawdzie, którą znała, od tego dnia, kiedy po raz pierwszy ją pocałował, nie przestawała o nim myśleć. Nie, już przedtem, przyznała w duchu z goryczą. Odkąd spotkała go w korytarzu. Robiła wszystko, co w jej mocy, by uwolnić się od tych myśli - bezskutecznie.

Spotykała go na każdym kroku, naprawiał rury, wbił ją młotkiem gwoździe. Ręce miał silne i sprawne. Dumny. Zawsze pewny siebie.

I wówczas pragnęła bezwstydnie, by te ręce ją dotknęły - co potęgowało tylko jej pogardę do samej siebie. Nie miała wstydu. Pozbawiona była poczucia przyzwoitości. Stracona na zawsze.

Tak, stwierdziła w duchu, ona jest Karmazynową Lily.

Nie, nie jest! - zaprzeczyła z gniewem. Nie jest!

Ogarnęła ją rozpacz. Krzyknęła zdławionym głosem, starając się uwolnić z objęć Elliotta.

- Lily! - zawołał, próbując zapanować nad przyspieszonym oddechem. - Co jest nie tak?

- Nie tak? - powtórzyła i łzy trysnęły jej z oczu. - Wszystko jest nie tak! Wszystko! Puść mnie!

Wrywała się, ale on jej nie puszczał.

- Lily - starał się nadać głosowi przekonujące brzmienie, a oczy płonęły mu namiętnością. - Powiedz mi, co jest nie tak?

- Zostaw mnie, do cholery!

Jeszcze przez chwilę nie zwalniał uścisku, tylko czarnymi, lśniącymi oczami przewiercał ją na wskroś, jak gdyby chciał wydobyć z niej prawdę. Po trwającym całą wieczność oczekiwaniu uczynił zadość jej żądaniu.

- Bardzo proszę - rzekł sucho.

Ku swemu wielkiemu niezadowoleniu odczuła bolesny zawód. Istna głupota, pomyślała.

- A teraz wybacz mi - rzekła z nakazanym sobie spokojem - ale już późna pora, a ja jestem bardzo zmęczona.

10

Lily drgnęła i otworzyła oczy. Poranne słońce przedarło się przez osłonięte firanką okno, zalewając złotymi promieniami cały pokój, i wyrwało ją z pełnego marzeń snu. Minęła chwila, zanim oswoiła się z otaczającymi ją sprzętami, i jeszcze chwila, nim uświadomiła sobie, że nie przebywa w Tarrytown, w mieście położonym nad rzeką. Nie jest również na żadnej ze swych wielkich wypraw do Azji czy Europy. Znajduje się natomiast w Blakemore House, gdzie dzieci ją nienawidzą, a majster spogląda na nią z odrazą.

Westchnęła, walnęła pięścią w poduszkę i położyła się na brzuchu.

- Ojej - mruknęła.

Jednakże gdy uprzytomniła sobie, co wydarzyło się

minionej nocy, z jej gardła wydobył się jęk wstydu i upokorzenia.

- O Boże, jak ja mogłam? Znowu!

Wróciła do pozycji na wznak i zasłoniła oczy ramieniem.

- Dlaczego stale do tego dopuszczam? I to właśnie z Morganem Elliottem!

Jeśliby miała ochotę na przygodę z całowaniem, to mogłaby przecież całować się z Bartem albo Melville'em. Wiedziała jednak, że to nie o przygodę chodzi. I nie o Barta ani Melville'a. Rzecz tyczyła Morgana oraz tego, jakie uczucia w niej wyzwał.

Zarumieniła się - mimo iż była sama - na wspomnienie tej nocy, na myśl o tym, jakiego spustoszenia Morgan dokonał w jej umyśle. Jego pieszczoty, jego tak intymne pocałunki! Poczowała drzenie w całym swym grzesznym ciele i ledwo zdołała stłumić krzyk, jaki cisnął się jej na usta.

Obróciła głowę na bok. Nie będzie myśleć ani o Morganie Elliotcie, ani o jego pocałunkach. Nie tak łatwo jednak wyrugować coś z pamięci.

Jak ona spojrzy temu mężczyźnie w twarz? - zastanawiała się z posępną miną. Już przedtem miał ją za nic, a co dopiero teraz? Boże święty, pozwalała mu dotykać swoich piersi!

Mogłaby się założyć o każdą sumę pieniędzy, że zna jego myśli o sobie - przegrana nie wchodziła w grę. Jak ona zejdzie rano na dół? Jak spojrzy mu w oczy?

Znów wydała z siebie okrzyk, waląc pięścią w łóżko.

I raptem uspokoiła się, przymknęła powieki. Nie jest tchórzem. Nigdy nie była. Zawsze z podniesionym czołem znosiła okrutne komentarze i pogardliwe spojrzenia. Była dumna i odważna. Mogli sobie ludzie mówić, że wykazuje brak honoru i godności. Jednego jednak jej

nie brakowało - odwagi. Chwyciła się tej myśli, jak tonący chwytą się tratwy na spienionym morzu.

Wyplątała nogi ze zwoju prześcieradeł, gotowa dać odpór pogardzie i poniżeniu, jakich ten dzień jej nie oszczędzi.

Nagle uświadomiła sobie, że dziś jest sobota. Dziś wybiera się na herbatkę do Mayhewów.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła niemal. Ona, Lily, idzie na spotkanie towarzyskie!

Upokorzenie, jakiego doświadczyła tej nocy, sprawiło, że poczuła się niepewnie. Ale mimo to serce jej się radowało, że oto wraca na salony, do których od tak dawna nie miała dostępu.

Zeszła na dół, aby napić się kawy, Morgana nigdzie nie dostrzegła. - Dzięki Bogu - mruknęła pod nosem, choć nie da się ukryć, iż doznała lekkiego zawodu. Co też on by jej powiedział? - zastanawiała się. Znała odpowiedź. Nic. Spojrzałby na nią groźnie i przeszedł obok jakby nigdy nic. A ona wchodzić mu w drogę nie zamierzała.

Morgan wszedł do domu tylnymi drzwiami niemal w tym samym momencie, w którym Lily opuszczała kuchnię.

- Dzień dobry, Jojo - rzekł, skinąwszy kucharzowi głową.

- Coś pan chce ode mnie? - zapytał Jojo. - O rany! - jęknął płacząco na widok zabłoconych butów Elliotta. - Moja podłoga!

Morgan spojrzał w dół.

- Zrzedzisz, jak stara baba.

Kucharz nadął się jak balon.

- Nie jestem żadna stara baba. Dbam tylko o to, żeby każdy miał co do gęby włożyć i żeby w mojej kuchni było czysto.

Morgan uniósł brwi z powątpiewaniem.

- Robisz wszystko oprócz dbania o te gęby.

- No bo sprzątam po panu tysiąc razy dziennie. Nie widziałem dotąd człowieka, który by tyle razy wchodził i wychodził. Niech to piorun strzeli, już dzieciaki są lepsze od pana. Więc niech mi pan nie opowiada o robocie.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to owszem, ciężko pracujesz. Oczami. - Elliott zamilkł na chwilę. - Myszkuje po domu.

Jojo zacisnął pięści.

- O czym pan mówi? Ja nie wtykam nosa w nie swoje sprawy. Nigdzie nie myszkuję.

Gdy ubiegłego wieczoru Morgan obchodził dom, był prawie pewien, że w pokoju na poddaszu, służącym kiedyś Lily za pracownię, dostrzegł sylwetkę kucharza. Wobec jego skwapliwych zapewnień nie miał już teraz żadnych wątpliwości.

- Czego ty szukasz, Jojo?

- Powiedziałem już panu - wysapał. - Niczego nie szukam.

Morgan wiedział, że nie uzyska od niego żadnej odpowiedzi, przynajmniej nie na pytanie zadane wprost, ale będzie miał na oku tego typu. Na razie więc na tym poprzestał.

- Widziałeś dziś rano pannę Blakemore? - zapytał.

Jojo zerknął na niego z ukosa.

- Rzecz jasna - odparł. - Ale poleciała na górę, żeby się stroić na tę cholerną herbatkę.

Elliott stwierdził z niechęcią, że to wyjaśnienie sprawiło mu przykrość. Przez całe rano kręcił się po domu i poza domem, wmawiając sobie, że musi sprawdzić ruiny instalacji gazowej, podczas gdy w gruncie rzeczy liczył na spotkanie Lily.

Przez całą bezsenną noc nieustannie o niej myślał. Wychodząc z domu tego wieczoru, czuł się jak zakochany uczeń. Dzbanek zimnej wody, jaki wylał sobie na głowę, ostudził go nieco, ale wciąż miał ją przed oczami.

Chciał ją zobaczyć, spojrzeć jej w oczy. Ostatnio prześladowała go myśl, że być może źle ją osądzał. Wprawdzie wieczorem, po tym jej szaleńczym galopie, i później, już w domu, uznał, że nie bez przyczyny cały Nowy Jork nazywał ją Karmazynową Lily, to jednak, gdy goście sobie poszli, a on pieścił ją czule, dostrzegł coś w jej wzroku...

Niewinność.

Zdziwienie.

Jak gdyby nikt przedtem nie dotykał jej dała. Ponadto do tej pory - ani śladu Johna Crandalla, ani nawet wzmianki, że ona zna tego człowieka. To idiotyczne, ale bardzo go to cieszyło. Jednakże ten człowiek przecież istniał.

Zamierzał dziś odwiedzić siostrę Raine Hawthorne'a. Miał nadzieję, że dowie się wreszcie, co stało się przyczyną dramatu Lily, jej upadku. Postanowił w tym momencie, że nie będzie już dłużej wmawiał w siebie, że ona nic go nie obchodzi. Pragnął jej, to fakt, ale jeszcze bardziej pragnął, żeby okazała się niewinna, tak jak to czuł, trzymając ją tej nocy w objęciach.

Dzień mijał tak, jak się zaczął. Kiedy o godzinie trzeciej Lily zeszła na dół, by udać się na herbatkę do Mayhewów, podobnie jak rano nigdzie Morgana nie dostrzegła. Ubrała się we wszystkie wytworności, jakie specjalnie w tym celu nabyła. Wedle dawnej krawcowej i modniarki jej matki ubrana była właściwie na tę okazję. Nie przyszło jej do głowy popytać wśród pań, co się obecnie nosi i jakie kapelusze są modne.

- Och, Lily! - zawołała Cassie z entuzjazmem, przykładając do piersi swe małe rączki. - Jak pięknie wyglądasz!

Lily obróciła się dokoła z triumfalnym spojrzeniem.

- Tak uważasz?

- Naprawdę! Naprawdę!

Wtedy zobaczyła, jak Penelope przewraca oczami.

- Nie podobam ci się? - zapytała i zmarszczka zarysowała się na jej czole.

Dziewczynka popatrzyła na nią drwiąco i wzruszyła ramionami. Po chwili wahania rzekła:

- Wyglądasz staromodnie. A poza tym nie mogę się nadziwić, że idziesz na to głupie spotkanie.

- Wcale nie głupie - zaprzeczyła Lily, chwytając oddech z przejęciem. - Będzie cudownie. Herbata i sandwiche z ogórkiem. Ciasto cytrynowe i lody. - No i od dawna niewidziani przyjaciele, pomyślała. O tych przyjaciół modliła się w duchu.

Penelope jeszcze przez chwilę mierzyła ją wzrokiem, wysunawszy dolną wargę.

- Co mnie to zresztą obchodzi - oświadczyła, kierując się ku schodom.

- Co się jej stało? - zapytała Lily.

Robert siedział na krześle i wyglądał przez okno. Milczał. Po chwili wahania Cassie udzieliła jej odpowiedzi:

- Pan Elliott powiedział, że idąc tam, postępujesz niemądrze.

Lily poczuła, jak zalewa ją fala gorąca.

- Powiedział - ciągnęła dziewczynka przeproszającym tonem - że oni tam ciebie wcale nie chcą.

Z trudem opanowała wzburzenie.

- Według mnie Penelope obawia się, że ci ludzie zrobią ci przykrość - wyjaśniła Cassie.

- Nic mnie to nie obchodzi! - rozległ się jej głos skądś z bliska.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku - Penelope stała na schodach, minę miała nieprzyjemną, wyzywającą.

- Nic mnie nie obchodzą twoje postęпки! - Odwróciła się i pobiegła na górę, szeleszcząc spódnicą i halkami.

Lily westchnęła głęboko.

- Pan Elliott nie ma racji, moi drodzy. - Na pewno nie ma, pomyślała. Starając się opanować zdenerwowanie, sięgnęła po torebkę oraz wachlarz jej matki. - Oczywiście, że mnie chcą. Zaprosili mnie przecież.

Pięć minut po trzeciej pojawiła się przed rezydencją Mayhewów. Ogrodzenie z kutego żelaza oddzielało od ulicy solidne domostwo, do którego wiodły brukowane ścieżki. Wewnątrz znajdował się imponujący hall w kształcie rotundy, skąd prowadziły na górę piękne marmurowe schody.

Lily weszła do środka, a serce waliło jej jak młotem. Lokaj w białych pończochach wziął od niej zaproszenie, a inny prowadził ją przez luksusowo urządzonej salon.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Do oranżerii, *madam*.

Usłyszała z daleka gwar głosów. Panie rozmawiały, śmiały się, acz z dostojeństwem. W pewnym momencie Lily zatrzymała się, coś ścisnęło ją za gardło. Pod łukowym sklepieniem drzwi stała grupka dam. Rozpoznała zaledwie kilka. Wymieniały między sobą serdeczne powitalne pocałunki. Lily czuła, że nie jest zdolna zrobić kroku. Poza Edith Mayhew reszty znajomych niewiast nie widziała od lat. A jeśli Morgan miał rację? - pomyślała nagle. Jeśli nie jest tu mile widziana? W takim razie po co ją zapraszali?

- *Madam?*

Ocknęła się z zadumy - lokaj w liberii patrzył na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

- Źle się pani czuje? - zapytał.

O mało nie potwierdziła. Nie, nie jest tchórzem. Nie będzie się dłużej ukrywać.

- Czuję się świetnie. Idziemy.

Gdy zaanonsowano jej przybycie, w oranżerii zapadła cisza. Lily stała bez ruchu, a na widok wpatrzonych w nią oczu zebranych dam uśmiech zamarł jej na ustach. Modliła się w duchu, by powitały ją serdecznie. Lecz minęła sekunda, potem następna, a one wciąż stały w milczeniu.

I nagle oranżerię wypełnił gwar głosów, jak gdyby wszystkie nowojorczanki zaczęły mówić jednocześnie.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że to ona. - Usłyszała słowa jednej z dam.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że miała czelność pokazać się publicznie.

- Żadna przyzwoita niewiasta nie pozwoliłaby sobie na to.

Wtedy właśnie Lily uświadomiła sobie, że Morgan miał rację. Postąpiła głupio. Tylko ślepiec nie dostrzegłby zmarszczonych gniewnie brwi, zaciśniętych ust, wściekłych spojrzeń, jakimi ją obrzucano.

Omali się nie rozpląkała, omali nie obróciła się na pięcie i nie uciekła. Ale zbyt długo była Karmazynową Lily.

Zwalczyła swą nieśmiałość i lęk. I podobnie jak ubiegłego wieczoru w obecności Morgana, zachowała się tak, jak tego po niej oczekiwano. Podeszła śmiało do grupki pań, z którymi przed dziesięcioma laty łączyły ją więzy przyjaźni.

- Witaj, Edith! - zwróciła się do pani domu, śmiejąc się na cały głos. - Moja droga Edith!

Ta ostatnia zaczerwieniła się po korzonki włosów, gdy grupka dam spojrzała na nią jak na zdrajczynię.

Lily zacisnęła mocno dłoń na wachlarzu, a kiedy przemierzała oranżerię prowokacyjnie posuwistym krokiem, usta jej krasiał promienny uśmiech.

- Spójrz na jej suknię - syknęła któraś.

- Widocznie z jakiejś akcji charytatywnej - wtrąciła inna. - Zabrakło jej już chyba bogatych kochanków.

Niektóre z pań były wyraźnie poruszone komentarzami, jakie nie przystoją w dobrym towarzystwie. Ale przystoją czy nie przystoją, wymiana podobnych zdań trwała.

- Jej wdzięki już przybladły - dodała inna, akcentując słowa z satysfakcją.

- Skąd ona się tu wzięła?

- Na pewno nikt jej nie zapraszał!

Usłyszawszy to, Lily stanęła przed Edith Mayhew.

- Dziękuję ci bardzo, kochanie, za zaproszenie - powiedziała głośno i dobitnie. - Tak dawno już nie widziałam moich, jakże mi drogich przyjaciółek. - Odwróciła się. - Na przykład obecnej tu Winifredy, która tak mi jest życzliwa.

Winifreda Headly wstrzymała oddech i odnosiło się wrażenie, że zaraz zemdleje. Wiadomo było powszechnie, że Winifreda to obłudna niewiasta, wytykająca palcem wszystkich, którzy nie przestrzegają konwenansów. Stała na czele organizacji kobiecej, która obrała sobie za cel przywracanie uczciwości i dobrych obyczajów wśród tak niebezpiecznie chyłcej się ku upadkowi elity towarzyskiej Nowego Jorku.

- Nie do wiary! - pisnęła któraś z dam. - Winny, nigdy bym się po tobie tego nie spodziewała!

- Ja... ja?!... - jąkała Winifreda. Ale słowa obrony nie przychodziły jej na myśl. Wypadła z oranżerii, trzepocząc suknią.

Kilka niewiast poszło w jej ślady. Większość jednak została. Ciekawość wzięła w nich górę.

Nastrój ze złego zmienił się na bardzo zły. A im było gorzej, tym bardziej skandalicznie Lily sobie poczynała. Śmiała się hałaśliwie, wszczyniała rozmowę, jak gdyby każda z tych dam była jej serdeczną przyjaciółką.

Lecz w końcu jej wytrzymałość dobiegła kresu. Złość na jej dawne przyjaciółki zamieniła się w bezsilną rozpacz. Wykrzyknęła słowa pożegnania i z gracją godną królowej wyszła z oranżerii.

Kroczyła niespiesznie, mijając rząd salonów, aż znalazła się za drzwiami domostwa. Nie czekała na sługę, który sprowadziłby jej dorożkę. Brukowaną ścieżką wyszła na ulicę. Sporo czasu wędrowała, ale stwierdziła, że na piechotę całej drogi do domu nie przemierzy. Zatrzymała dorożkę - stanęła na poboczu. Woźnicę przyprawiła niemal o atak serca, gdy zastukała w drzwiczki. Wygramolił się z siedzenia i pomógł jej wsiąść. Po paru minutach wjechali w Piątą Aleję.

Odchyliła się na oparcie popękanego skórzanego fotela, a gdy znaleźli się już na Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, kazała dorożkarzowi jechać w kierunku północnym. Nie pilno jej było do Blakemore House, chciała uciec, wrócić do Tarrytown. W pustym domu, w samotności, łatwiej doszłaby do siebie.

Pragnęła znaleźć się jak najdalej od Manhattanu. Niewiasty z jej sfery nienawidziły jej, Robert i Penelope - także, to samo Morgan. Oddychała z trudem, oczy ją piekły.

Dlaczego tak ją to wzburzyło? - myślała. Jak mogła po tylu latach tak głupio się łudzić?

Minęli po lewej stronie Central Park, lecz Lily nie kazała zawracać. Chciała jechać dalej, poza opłotki

Manhattanu. Potrzebna jej była przestrzeń. Ze zgrozą myślała o swoim obecnym położeniu.

Stała się obiektem kpin. I sama sobie była winna. Morgan miał rację. Człowiek jest kowalem własnego losu. Kieruje wydarzeniami swego życia. Patrzone na nią jak na błazna, co potwierdzało dobitnie, jaka rola przypadła jej w udziale. Jęknęła z cicha. Aż do tej pory nie potrafiła uporać się z sytuacją, w jakiej się znalazła.

Rok po roku mijał, a ona wciąż nie mogła zaakceptować faktu, że skazana została na banicję. Miała nadzieję, że Nowy Jork ją przyjmie. Teraz jednak przysły wszystkie jej złudzenia, legły w gruzach, podobnie jak przed dziesięcioma laty legły w gruzach jej dziewczęce marzenia.

Miała ochotę wyć, złorzeczyć temu niesprawiedliwemu światu. Za to, co ją spotkało. Była Karmazynową Lily, jest Karmazynową Lily i będzie Karmazynową Lily do końca życia.

Jak ona to zniesie?

Zacisnęła mocno powieki, starając się odprężyć, podać kołysaniu dorożki, którą, gdy zjechali z brukowanej drogi, zaczęło porządnie trząść. Nieliczne jeszcze domy stały w głębi parków, ale szybki rozwój tej okolicy widać było gołym okiem. Za jej dziecinnych lat północny kwartał uważano za dalekie peryferie. Skończyło się to w momencie położenia szyn dla tramwajów konnych, które odtąd zaczęły kursować na północ.

Ale nie obchodził ją rozwój miasta. Przynajmniej w danej chwili. Myślała o ucieczce. O swoim domu na północy stanu Nowy Jork. Gdzie nie była narażona na pogardliwe uśmiešky czy znaczące spojrzenia, jakie ludzie na jej widok wymieniali między sobą.

Morgan stanął przed walącą się kamienicą, w której, jak mu powiedziano, mieszkała Mary Hawthorne. Wszedł do środka i wspiał się na piętro. Swoim zwyczajem nie uprzedził kobiety o wizycie. I jak to zwykle czynił, zbierając o kimś informacje, najpierw obserwował daną osobę, zanim wybrał którąś wersję prezentacji.

Zapukał i czekał parę minut, nim Mary Hawthorne otworzyła mu drzwi. Była wysoka i za młodu na pewno urzekająco piękna. Przede wszystkim jednak zwrócił uwagę na jej wiek. Orzekł, że dobiega sześćdziesiątki. Nie uznał tego za fakt godny uwagi. Po chwili jednak zastanowiło go, ile lat mógł mieć Hawthorne, gdy Lily go poznała.

- Słucham pana? - zapytała wojowniczym tonem przez uchylone z lekka drzwi.

- Panna Hawthorne?

- Tak, słucham?

- Chciałbym, jeśli można, porozmawiać z panią o pani bracie.

Nawet przez szparę w drzwiach Morgan dostrzegł błysk zdziwienia w jej oczach, a także, mógłby przysiąc, wyraz dojmującego bólu.

- Mój brat nie żyje.

Zdziwiła go ta jej opryskliwość.

- Wiem, *madam*, ale miałem nadzieję na rozmowę z panią o nim... i o pewnej kobiecie, pannie Lily Blakemore.

Cierpienie znikło z jej oczu, zauważył w nich teraz gorycz, urazę. Nie mylił się. I z tą urazą w spojrzeniu otworzyła mu drzwi.

- Słyszałam, że wróciła - syknęła nieprzyjaźnie.

Elliott milczał chwilę, starając się rozeznac w sytuacji.

- Tak, wróciła.

Nie zamykając drzwi, Mary Hawthorne cofnęła się do swego małego mieszkania i usiadła w zapadającym

się fotelu, który niechybnie pamiętał lepsze czasy. Gościowi wskazała krzesło obok siebie.

Zajął miejsce, zamknąwszy uprzednio drzwi. Zdołał się już zorientować, że nie musi tworzyć o sobie jakiejś fikcyjnej historii. Ciekaw był nawet, czy zapyta go o nazwisko.

- A więc to prawda, Lily Blakemore wróciła. - Panna Hawthorne potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Aż nie do wiary, że pokazała się tu ludziom na oczy. - Zmrużyła powieki. - Wiadomo panu zapewne, że każdy jej cent należy do mnie.

Tylko dzięki długoletniej praktyce udało się Morganowi nie okazać zdumienia.

Skinęła potwierdzająco głową.

- Byliśmy jeszcze dziećmi, gdy matka nas osierociła, i odtąd opiekowałam się moim młodszym bratem. Opiekowałam się nim nawet wtedy, gdy był już dorosły i klepał biedę. Ale nadszedł dzień, gdy zdobył fortunę. Wielkie pieniądze. A zaczynał prawie od zera. I mądrze inwestował. - Kościstymi palcami chwyciła się poręczy. - Wszystko z myślą o mnie.

- Lily dostała pieniądze od pani brata?

- Otóż właśnie. A od kogo niby pańskim zdaniem miała dostać? Od tego swego brata marnotrawcy? Widział pan jego dom? Ruina, mówię panu. A ona na pewno nie dała z tej fortuny ani centa. Co to ma zresztą teraz za znaczenie? On nie żyje, podobnie jak mój Raine.

Morgan próbował wyłowić jakiś sens z tego, co usłyszał. Zatem Lily nie odziedziczyła pieniędzy po rodzinie? Dostała je od Raine Hawthorne'a? Krew zaczęła się w nim burzyć. Czym się tak zasłużyła, że nie poślubiając tego mężczyzny, zyskała jego majątek?

Odpowiedź, jaka mu przyszła do głowy, wstrząsnęła nim. Zaciśnął szczęki. Mary Hawthorne potwierdzi-

ła jego najgorsze przypuszczenia. Lily oddała się temu człowiekowi.

Dalsze słowa kobiety wywołały w jego myślach jeszcze większy zamęt.

- Gdy Raine malował, opiekowałam się nim. Dzień i noc. Gotowałam mu, prałam jego odzież. Wyszukiwałam nawet bogatych ludzi, którzy płacili mu za portrety.

Zamarł z wrażenia.

- To pani brat był malarzem?

- I to świetnym. Sprzedawał swoje obrazy, co malarzom za życia rzadko się zdarza. Miał talent. - Ton jej głosu jakby złagodniał. - Duży talent. - Spojrzała na jedyny obraz wiszący w tym ponurym pokoju.

Morgan aż się zdziwił, że nie zauważył go, jak tylko wszedł. Obraz był rzeczywiście piękny.

- Namalował go rok przed śmiercią. Prezent na moje urodziny.

Płótno przedstawiało krajobraz, na którego tle stała zapatrzona w dal kobieta. Gdy Elliott podszedł bliżej, zauważył, że tą kobietą była Mary Hawthorne, znacznie młodsza, radosna. Piękna.

- Malowaniem portretów Raine zarabiał na całkiem dostatnie życie. Ale kiedy umarł, te pieniądze się nie liczyły. On inwestował. Zawsze mówiłam mu, że powinien być bankierem. - Zamilkła i znowu gniew pojawił się na jej twarzy. - Te wszystkie pieniądze ja powinnam była dostać.

Morgan chłonał każde jej słowo. I w miarę jak mówiła, przekonywał się, że to, w co wierzył, iż nie jest prawdą, było prawdą. Miał sobie za złe, że tak go to dotknęło. Zły był na siebie za to, że żywił nadzieję, iż Lily jest niewinna. Wyzywał się w duchu od idiotów.

Lily Blakemore zaliczała się do kobiet, dla których pojęcie moralności i cnoty było pustym dźwiękiem. Wie-

dział o tym od pierwszego dnia pobytu w Blakemore House, ta niewiasta nic nowego mu nie powiedziała. I mimo to stracił głowę dla Lily. Przyszedł do Mary Hawthorne, licząc na to, że coś mu wyjaśni, oczyści Lily z zarzutów.

W takiej się pograżył zadumie, że nawet nie docierał do niego głos starszej kobiety, póki nie walnęła pięścią w dębowy stół przy fotelu.

- Moje pieniądze! Ja je powinnam mieć! Nie mieszkałabym w takiej dziurze. On mi je obiecał.

Widać było, że czyniła wysiłki, by się uspokoić. Morgan natomiast marzył tylko o opuszczeniu tego domu. Nie chciał jej więcej słuchać. Niepotrzebne mu były szczegóły. To, czego się już dowiedział, wystarczało mu aż nadto.

- Tymczasem - ciągnęła - zakochał się w dziewczynie o połowę od siebie młodszej, bez centa przy duszy, ale za to o starym, dobrym nazwisku. A wie pan, w jaki sposób wyciągnęła od niego te pieniądze?

Milczał, głowę miał tak skołatana, że nie był w stanie wypowiedzieć słowa.

- Owinęła go sobie dokoła palca. Jak zwykła ładacz-nica. - Panna Hawthorne mówiła niskim, przepojonym nienawiścią głosem. - Opętała mężczyznę, który był wówczas zainteresowany inną kobietą. Jak wiedźma, która posługując się różnymi sztuczkami, rzuca urok na ludzi. I niech pan słucha uważnie: rozłożyła uda przed moim bratem. I pozwoliła, żeby ją malował. Nago, jak ją Pan Bóg stworzył.

W pokoju nie było czym oddychać. Duchota nie do zniesienia. Morganem aż zatrzęsło z wściekłości. Malował ją. Nago, jak ją Pan Bóg stworzył. Sprawa przedstawiała się gorzej, niż przypuszczał.

A przypuszczał, że skandal wywołało to, iż albo Lily straciła cnotę, albo też namalowała coś budzącego

odrazę. Do głowy mu nie przyszło, że sama pozowała do obrazu.

Przypomniał sobie niesławny obraz „Madame X”. Wobec tej kobiety zastosowano bojkot towarzyski, bo zgodziła się pozować Sargentowi, mając przerzuconą przez ramię tylko wąską fałdę sukni. Zatem madame X była ubrana. A słowa Mary Hawthorne oznaczały jedno: Lily pozowała nago.

Cały świat mógł ją oglądać.

Hańba.

- Gdzie znajduje się ten obraz? - zapytał przez zaciśnięte gardło.

- Przed laty sprzedałam go bratu Lily.

Elliott uniósł głowę zdumiony niepomiernie.

Uśmiechnęła się z przekąsem.

- Tak. Claude'owi Blakemore'owi bardzo zależało na tym obrazie. Był zresztą świetny. A ja, prawdę mówiąc, wolałam pozbyć się go. I nieźle na tym zarobiłam, proszę mi wierzyć. - Roześmiała się nieprzyjemnie. - A jeszcze więcej pieniędzy wpadło mi za komplet bezwartościowych moim zdaniem szkiców, które też ode mnie nabył. Idiota.

Lily wróciła do Blakemore House dopiero około siódmej, znacznie później niż najwytrwalsi goście zaproszeni na popołudniową herbatkę.

Gdy dorożka zajechała pod dom, dzieci stały już na stopniach ganku. Przy drzwiach - Marky i Jojo.

- Jak było, panienko? - zapytał Jojo.

Wchodząc po schodkach, zwolniła kroku i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ktoś na nią czeka. Wzięła głęboki oddech.

- Było przyjemnie. Uroczo.

Patrzyli na nią z zaciekawieniem.

- Naprawdę?

- Oczywiście, że tak.

Już w hallu wręczyła Marky'emu skrawek papieru z koślawo skreśloną notatką i pospieszyła na górę, łykając po drodze ły.

- Co jest tam napisane? - zapytał Jojo.

- Nie twój pieprzony interes - odparł Marky z nowo nabytym poczuciem wyższości, po czym wyszedł do stojącego wciąż przed domem dorożkarza.

Wymienili kilka zdań i dorożkarz, mrużąc coś pod nosem, wziął od kamerdynera monetę i odjechał.

- O co chodzi? - zapytała Cassie.

- O nic, panienko Blakemore, zupełnie o nic.

Z tymi słowy poszedł do siebie, pozostawiając dzieci wraz z ich domysłami.

- Ja myślę, że jeśli coś się dzieje, to o coś tu chodzi - powiedziała Cassie i zesła stopień niżej i usiadła obok Penelope. - Może powinniśmy pójść na górę i zapytać Lily, co się stało.

- To idź - odparła starsza siostra, oparłszy podbródek na dłoniach. - I tak nic ci nie powie. Dorośli nigdy nie mówią, co im się złego przydarzyło, jeśli naprawdę się przydarzyło.

Morgan wypadł z mieszkania Mary Hawthorne, wskoczył do pierwszej nadjeżdżającej dorożki i kazał się wieźć do Blakemore House.

- Tylko szybko, człowieku!

Miał mętlik w głowie, z trudem panował nad emocjami. Nie chciało mu się wierzyć w to, co usłyszał od Mary Hawthorne. Ponad wszystko pragnął zobaczyć Lily. Spojrzeć jej w twarz. Wiedział, że zapyta ją, czy

to prawda. Niech wreszcie wyjaśni, jak było w istocie. Ma już dość zbierania informacji o niej poza jej plecami. Żadnych domysłów. Chce dowiedzieć się prawdy. Z ust Lily Blakemore.

Dwukółka pędziła Szóstą Aleją na złamanie karku, ale dla Morgana wciąż za wolno. Serce mu waliło, dłonie miał wilgotne. Przy Pięćdziesiątej Ósmej ulicy uderzył w dach. Zapłacił woźnicy i pobiegł ulicą ku ścieżce wiodącej na tyły domostwa.

Nie wstąpił do swego domku, żeby się przebrać. Biegł chodnikiem w stronę tylnego ganku - tam zobaczył ją po raz pierwszy - i nie pomyślał nawet, by wejść do domu przez mieszczącą się na dole kuchnię. Nie pomyślał też o czerwonych literach na białej ścianie, którą pomalował na nowo przed paroma zaledwie tygodniami. Musiał zobaczyć się z Lily. Musiał spojrzeć jej w oczy, dotknąć ją.

Niechaj mu powie, że to wszystko nieprawda!

Akurat w momencie gdy wchodził do środka tylnymi drzwiami, otworzyły się drzwi frontowe. Osłupiał. Myśli wirowały mu w głowie, a serce w nim niemal zamarło. Własnym oczom nie mógł uwierzyć.

Na środku wysokiego hallu Blakemore House stał John Crandall.

Elliott przywarł do ściany, by nikt go nie dostrzegł. Nie mógł się skoncentrować, nadać myślom właściwego toku.

Wreszcie pojawił się Crandall.

Huczało mu pod czaszką, krew pulsowała w skroniach. A on stał, zamiast rzucić się na Crandalla, chwycić go za kłapy i powalić na podłogę.

Nie uczynił tego. Nie mógł. Jeszcze nie teraz.

Pozbierał się jakoś, gdy do jego pogrążonego w chaosie umysłu dotarł głos Lily.

- John! - krzyknęła, zbiegając ze schodów. - Przyjechałeś w końcu!

Rzuciła mu się w ramiona, i jeśli dotąd Morgan miał nadzieję, że nic ją z Johnem Crandallem nie łączy, to ten uścisk ową nadzieję pogrzebał.

Serce go bolało, nie wierzył własnym oczom, był wściekły - wszystko razem wprawiło go w taki stan napięcia, w jakim jeszcze nigdy się nie znajdował.

Wymknął się na palcach tylnymi drzwiami, pełen ślepej, obezwładniającej go nienawiści.

11

Obudził się późno, wykończony kompletnie, zdezorientowany. Nie spał przez prawie całą noc. Myśli tłukły mu się po głowie. Był zły. I wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Lily pozująca nago bogaczowi.

Dlaczego zgodziła się na to?

Dla pieniędzy? A może go kochała?

Obie wersje sprawiały mu ból. Bolała go myśl, że Lily sprzedała swoje ciało. Ale przypuszczenie, że kochała tego człowieka i w ten sposób okazała mu swoją miłość, paraliżowało go wręcz.

No i pojawił się Crandall, człowiek, z którego powodu wprowadził się do tego domu. Człowiek, z którym chciał się spotkać. Będzie mógł w końcu przystąpić do dzieła. Powinien czuć satysfakcję. A tymczasem roznosiła go wściekłość na samego siebie. Że łudził się nadzieją. Nadzieją niewinności Lily - że uwierzył, iż jest to możliwe. Zastosowała wobec niego te swoje sztuczki,

nakłamała mu, sprawiła, że był niemal pewien, iż to, czego się o niej dowiedział, jej nie dotyczy.

Kpił w duchu z własnej głupoty.

Odrzucił kołdrę, wstał z łóżka, w którym ledwo się mieścił, rozprostował kości. Ogolił się naprędce, umył, przywdział robocze ubranie i wyszedł, kierując się do domostwa. Mimo iż późno wstał tego ranka, przypuszczał, że Lily jeszcze się nie obudziła. Oby. Jediną osobą, z którą nie chciał się teraz spotkać, była Lily Blakemore. Miał dziś wiele do zrobienia, lecz nie w związku z naprawami domu, któremu sporo pracy musiałby jeszcze poświęcić. Nie to było jednak przedmiotem jego troski - już nie. Najwyższa pora, by całą swoją uwagę skoncentrował na Crandallu. Najwyższa pora, by dokończył dzieło, dla którego przybył do Blakemore House.

Gdy tylko przekroczył próg kuchni, ujrzał Lily.

Zatrzymał się z dłonią na klamce. Mimo wszystko Lily nadal budziła w nim zachwyty. Gniew nie osłabił intensywności jego uczuć i serce zaczęło mu bić przyspieszonym rytmem. Nawet teraz.

Lily, jak mogłaś tak postąpić? - pomyślał wbrew własnej woli. Patrząc na nią, nękany pytaniami, na które nie miał odpowiedzi, pojął nagle, że coś tu się musiało stać.

Po minucie niezręcznej ciszy dokonał rozpoznania sytuacji. Lily siedziała przy stole. Robert naprzeciwko niej. Nie było ani Penelope, ani Cassie. Marky i Jojo stali za krzesłem Lily. I wszyscy milczeli. Absolutna cisza. W tak hałaśliwym na ogół domu było to wręcz szokujące.

Marky i Jojo spojrzeli na Morgana, w oczach ich wyczytał prośbę, ale o co, nie miał pojęcia.

Już otworzył usta, by zapytać, co się dzieje, gdy natknął wzrok Lily.

Zaparło mu dech w piersiach. Patrzyła na niego sze-

roko otwartymi oczami, w których czaił się lęk, podobnie jak owej nocy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Najwyraźniej wydarzyło się tu coś bardzo złego.

- Dzień dobry - powiedziała niemal szeptem. - Pójdę już na górę - dodała, wstając od stołu.

Morgan aż drgnął, gdy drzwi się za nią zamknęły. Zły był na siebie, że mimo tego, czego się dowiedział, chciał ją dogonić. Wściekły był, że marzył o tym, by wziąć ją w ramiona i przegnać wyraz smutku z jej niebieskich oczu.

Niech to piorun strzeli! - zaklął w duchu. Przecież to Karmazynowa Lily, kobieta upadła. Kochanka człowieka, którego nienawidził z całego serca. Ile czasu mu potrzeba, aby dotarło to wreszcie do jego świadomości?

Zacisnąwszy dłonie, wszedł do środka.

- Co się stało? - zapytał stanowczym tonem.

Nikt słowem się nie odezwał, nawet Jojo, który na ogół nie potrafił utrzymać języka za zębami, nawet Robert, który uwielbiał informować Elliotta o kolejnych szaleństwach ciotki. W końcu Marky uczynił pierwszy krok. Sięgnął po gazetę, która leżała na stole przed krzesłem Lily, a której Morgan dotąd nie zauważył.

- To się stało - rzekł, podając mu egzemplarz „New York Timesa”.

Z kamerdynera Morgan przeniósł spojrzenie na Roberta. Wziął gazetę. Pierwsza strona. Tytuł. Przeczytał raz, drugi.

WYBRYKI KARMAZYNOWEJ LILY

Trwał bez ruchu. Zabrakło mu powietrza, nie miał czym oddychać. W głowie huczało mu od natłoku myśli, których echo tworzyło dziwną kakofonię.

Powiadamy te osoby, które znają bądź znały Lily Blakemore, że owa niewiasta wróciła do Nowego Jorku. Bezwstydna i bezczelna robi i mówi, co jej się żywnie

podoba, zachowuje się wyzywająco, nosi stroje świadczące o jej złym guście, przypominające kostium cyrkowca. W obu wypadkach wystawia się na pośmiewisko i urąga dobrym obyczajom. Czy właśnie to przyciąga mężczyzn do tej kobiety, na przykład Johna Crandalla?! Wybryki Lily Blakemore dobrze są znane i na pewno wszyscy je pamiętają. Zważywszy na co, należy się dziwić, że taki człowiek, jak John Crandall pozostaje z nią w bliskich związkach. Podaje to w wątpliwość morale tego pana, który podobno w tym tygodniu zamierza się ubiegać o fotel gubernatora Nowego Jorku. Czy będzie pan kandydował, panie Crandall? A jeśli tak, to jaki precedens chce pan stworzyć, zadając się z kobietą, którą cały Nowy Jork nazywa Karmazynową Lily?

To jeszcze nie był koniec artykułu, ale Elliott nie czytał dalej. Czuł się tak, jakby ściany kuchni waliły się na niego. Spojrzał na drzwi, którymi wyszła Lily - głęboko zraniona, choć chciała za wszelką cenę ukryć swój ból.

Zajrzał znowu do gazety. Niby wszystko w tym artykule było prawdą, faktycznie był to wizerunek Lily, który z całą determinacją sama tworzyła. Jak gdyby chciała, aby każdy się dowiedział i nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, że Karmazynowa Lily wróciła do miasta.

Galopowała ulicami, jakby diabeł deptał jej po piętach. Grała w pokera.

Wychylała trunki niczym marynarz na urlopie.

Lecz żadne rozsądne argumenty nie przemawiały do Morgana - wciąż miał w pamięci wyraz cierpienia w jej oczach.

- Jak mogą te wredne padalce wypisywać takie kłamstwa - powiedział Marky, przerywając tok myśli Morgana.

- To nie są kłamstwa - wysyczał Robert. - To prawda. Lily jest zhańbiona.

Słowa te wypowiedział z głęboką pogardą. Elliott przyznawał mu rację. Dlaczego zatem wzbudziły w nim taką niechęć?

- Słuchaj, chłopcze, co ci powiem. - Przenikliwy głos Jojo współbrzmiał z ciężkimi krokami, gdy zbliżał się do Roberta. - Panienska Lily nie jest zhańbiona. To tylko te nadęte babusy boją się kogoś, kto ma w sobie więcej życia. I używają sobie na twojej ciotce, raniąc ją do żywego. Każdy, kto się od nich różni choć odrobinę, napawa je lękiem.

Po tej tyradzie Jojo obrócił się na pięcie i z wykrzywioną gniewem twarzą opuścił kuchnię. Robert siedział ponury - wyglądał teraz poważniej niż na swoje dwanaście lat. Morgan uświadomił sobie nagle z dojmującą przykrością, że dzieci czują się zagubione, jak na burzliwym morzu, i tylko jedna dłoń wskazuje im drogę, a ta dłoń należy do Lily. W istocie rzeczy Robert pragnął, by ktoś się o niego troszczył, nie zaś aby to on troszczył się o kogoś.

Jak on, Morgan, mógł o tym nie pomyśleć? Chłopiec chciałby, żeby te wszystkie plotki okazały się kłamstwem, bo on i jego siostry mieli już tylko Lily. Była jedyną ich opoką. Nie odtrącali jej. Niechby tylko udowodniła im, że nie mają racji.

Niechby udowodniła Morganowi, że nie ma racji.

Lecz niestety wszystkie jej poczynania w ciągu ubiegłych tygodni przechylały szalę na rzecz plotek. Karmazynowa Lily dawała świadectwo, że zasłużyła na to określenie.

Dlaczego więc on czuł się tak fatalnie?

Niewiele myśląc, wyszedł z kuchni i wbiegł schodami na górę, aby zobaczyć, gdzie ona się podziewa. Nie musiał jej szukać. Stała nieruchomo przed otwartymi drzwiami salonu. Podeszedł do niej, a choć stanął tuż obok, wiedział,

że go nie dostrzegła. Otworzył już usta, by coś powiedzieć. Chciał z nią porozmawiać. Usłyszeć jej głos. A przede wszystkim czekał na jakieś wyjaśnienia z jej strony.

Lecz słowa utknęły mu w gardle, gdy dobiegły go głosy z salonu:

- Och, Penny, kochanie - mówiła Penelope - spaliłam patelnię. Ojej, co ja teraz pocznę? Już wiem, wyrzucę ją do śmieci.

- Przestań, Penelope! To nieładnie - rzekła Cassie głosem, w którym gniew mieszał się z rozpaczą.

Penelope roześmiała się.

- Mam przestać? Dlaczego, na Boga? - zapytała dramatycznym tonem. - Jestem frywolną kobietką, jeśli można tak rzec - dodała, jej ruchy i gesty rąk świadczyły o tym, że naśladuje Lily. A raczej przedrzeźnia. Kpiła ze swojej ciotki. Okrutnie. Z nienawiścią. Tymczasem Lily stała bez ruchu w korytarzu, brak jej było tchu, tak jak Morganowi brak było słów.

Po chwili jednak się otrząsnął. Miał tego dość.

- Penelope!

Głos jego rozległ się echem w salonie. Dziewczynka obróciła się dokoła, pasma włosów fruwały wokół jej głowy jak boa z piór wokół ramion. Dostrzegł w jej twarzy coś w rodzaju poczucia winy. Ale na widok ciotki zniknęło. Zamieniło się w jakiś bolesny skurcz, podobny do tego, jaki znaczył twarz Lily.

- Penelope, przeproś ciotkę.

Dziewczynka patrzyła na Elliotta, usta jej drżały.

- Nie, nie potrzeba - rzekła Lily łagodnie. - Ona ma rację. Ja jestem frywolną kobietką, która niszczy krzesła i wyrzuca patelnie, zamiast je wyszorować. - To powiedziawszy, odwróciła się i ruszyła ku schodom. Głośne pukanie do frontowych drzwi zatrzymało ją w pół kroku.

Spojrzała w ich kierunku, jakby nie wiedząc, co "winna zrobić. Morgan pospieszył, by je otworzyć.

- List do panny Blakemore.

Morgan wziął kopertę z rąk posłańca i podał ją Lily. Wyjęła z niej arkusik i zaczęła czytać. Oddychała ciężko, z widowym trudem. Ostatecznie rzuciła list na stół i wbiegła schodami na górę.

List leżał na stole rozpostarty, każdy mógł go przeczytać. Czy to sprawiły długie lata pracy wywiadowczej, czy też chęć dowiedzenia się wszystkiego o Lily Blakemore - tak czy owak, Elliott sięgnął po list.

Lily!

Wybacz mi, ale znowu muszę wjechać. Póki sprawa nie ucichnie. Postaraj się mnie zrozumieć.

John

Szubrawiec!

W przypływie wściekłości Morgan rzucił kartkę na stół i wbiegł schodami na poddasze.

Wiedział, że ją tam zastanie.

Drzwi były szeroko otwarte, mroczny korytarz rozjaśniało napływające z poddasza światło poranka. Nawet nie pomyślał, że mógłby się cofnąć. Wszedł do wysokiego pokoju, służącego ongiś za pracownię artystki. Lily stała przy oknie, spoglądając na świat, który ją odrzucał.

Obejrzała się na odgłos jego kroków. Ból, którego nie pojmował, ścisnął mu serce. Z jej twarzy zniknął wymuszony uśmiech. Bezradnie patrzyła szeroko otwartymi oczyma, tak jak tamtej nocy, gdy zeskrobywali napis ze ściany. Tym razem jednak nic nie da się wymazać. Szczotka i biała farba nie usunie bólu i upokorzenia, jakie dostrzegł w jej spojrzeniu.

- Przysięgał, że mnie kocha.

Słowa, choć wypowiedziane cichym głosem, rozległy

się echem w pustym pokoju. Zazdrość ukłuła Morgana w serce.

- Przysięgał, że będzie się mną opiekował.

Morgan milczał, cały spięty.

- Powiedział, że nigdy mnie nie opuści.

- Kto? - zapytał w końcu, nie mógł już dłużej czekać, choć wiedział, że tym kimś był Crandall. Chciał jednak usłyszeć to z jej ust.

Zamrugała powiekami, popatrzyła nań surowo i odwróciła wzrok, nie udzielając odpowiedzi. Podeszła do szafy, przebiegła palcami wzdłuż jej kantów. Nie otworzyła drzwi. Wciąż tylko dotykała obudowy, szyb.

- Lily, kto przysięgał, że cię kocha? - Z niechęcią myślał o targającym nim niepokojem, jaki przebijał z tonu jego głosu.

- Ze mnie kocha? O czym ty mówisz?

- Powiedziałaś, że ktoś przysięgał, że cię kocha.

- Ach, o to ci chodzi - rzekła i zachwiała się lekko. - To nieważne.

- Do diabła, Lily. Nie traktuj tak... - Mało brakowało, a dokończyłby zdanie zaimkiem „mnie”. „Nie traktuj tak m n i e.” Zdusił w sobie jednak to irracjonalne uczucie. - Nie traktuj tak siebie. Kto by się przejmował tym, co wypisują w gazetach. - I aż poraziło go to, iż sam uwierzył we własne słowa. Był przekonany w tym momencie, że nie powinno ją to obchodzić. I że nikt nie powinno obchodzić, co ona robi czy robiła.

Zjawił się tu dziś rano zły, gniew go aż rozpierał. Ale teraz, gdy stał tutaj i patrzył na jej rozpacz, jego gniew minął, śladu po nim nie zostało.

Przypomniał sobie słowa ojca wypowiedziane kiedyś do niego, słowa, którym nie dawał wiary. W odniesieniu do tej kobiety wydały mu się jednak prawdziwe.

- Lily, *każdy* człowiek popełnia błędy.

Chciał ją tym pocieszyć. Mógłby jednak przysiąc, że wzdrygnęła się, jakby poczuła się dotknięta. A gdy na niego popatrzyła, gdy uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały, dostrzegł w jej lśniących od łez oczach cały bezmiar cierpienia wywołanego klęską, jaką poniosła.

Tak bardzo pragnął ją chronić, siła owego pragnienia wręcz go przytłaczała, nie mógł się mu oprzeć. Chciałby ją teraz przytulić. Ale gdy postąpił ku niej parę kroków, rzekła;

- Jaki błąd popełniłeś w życiu, Morganie Elliott?

Gotów był jej odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących jego osoby. Mogłaby go zapytać, co miał na myśli mówiąc, że każdy człowiek popełnia błędy, i czy naprawdę on tak uważa. Ale takiego pytania nie oczekiwał.

- Do czego zmierzasz? - zapytał.

Obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem, pochyliwszy z lekka głowę.

- Wyczytałam to w twoich oczach. Rozpoznałam ten wyraz. Ty też popełniłeś w swoim życiu błąd.

Czyżby rzeczywiście zdołała to wyczytać? - zastanawiał się i krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Tak, zdołała, teraz był tego pewien. I nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiał, dlaczego nie może przestać o niej myśleć, dlaczego zajmuje się przeróżnymi naprawami zamiast śledzeniem Crandalla, z którego powodu zatrudnił się w tym domu.

To nie było tylko pożądanie, tak jak starał się to sobie wmówić. Ona go rozumiała, i to od tamtej nocy, od pierwszego ich spotkania. Poczuł silną z nią więź, w chwili gdy obróciła twarz ku niemu, a na jej dłoniach znaczyły się ślady po czerwonej farbie. Ona była tą osobą, która spojrzała mu w oczy, dostrzegła zło w jego duszy i nie odwróciła się od niego.

Wezbrało w nim poczucie winy. Niemal zważyło go z nóg. Jak mógł po tej pierwszej nocy pozostać w tym domu? Jak mógł wykorzystywać ją do osiągnięcia własnych celów?

- Miało to związek z twoją przyjaciółką z dzieciństwa, Jenny, tak? - zapytała przyciszonym tonem.

Zamknął oczy.

- To wobec Jenny popełniłeś ten błąd?

- Tak. - Ledwo wypowiedział to słowo, ledwo przeszło mu przez zaciśnięte gardło. Ledwo je z siebie wy dobył.

Spojrzał w okno. Widział w nim odbicie obserwującej go bacznie Lily. Wzrok jego powędrował dalej, na rząd ulic, i jeszcze dalej. Lily stanęła obok. Dwie samotne ludzkie istoty zapatrzone w przestrzeń.

- Mieliśmy po siedemnaście lat - zaczął, a nie zwierzał się z tego dotąd nikomu. - Przyszła do mnie po pomoc. - Westchnął ciężko. - Odnalazła mnie w moim ulubionym miejscu, na wysokiej skarpie nad Missisipi.

- Pochodzisz z Południa?

Smętny uśmiech pojawił się na ustach Morgana.

- Tak, *madam* - odrzekł z silnym akcentem południowca, stracił go przez długie lata pobytu na północy Stanów. - Urodziłem się tam i wychowałem.

- Nigdy bym nie pomyślała.

- Jak to? - Uniósł czarne brwi. - Nie wspominałem ci, że jestem prawdziwym dżentelmenem z Południa?

Obserwowała go przez chwilę i słaby uśmiech rozjaśnił jej twarz. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Faktycznie, mogę sobie wyobrazić, jak popijasz miętową wódkę.

- Bourbon, moja droga, zwykły bourbon - powiedział, zaciągając na modłę południowca. - Dżentelme-

ni z Południa zwykli popijać bourbona. - Przestał się uśmiechać. - I nigdy nie zawodzą. Zawsze pomagają tym, których kochają i którzy są w potrzebie.

Zamilkł na wspomnienie tamtego dnia.

- A jak to się stało, że ty zawiodłeś?

- Nie wiem - odparł porywczo, lecz zaraz zmienił ton: - Nie wiem. Rozmawialiśmy z Jenny dość długo. O jej rodzicach, o moich. A potem zaczęła mówić o Treyu.

- Kim był Trey?

- Moim przyjacielem. - Czy naprawdę przyjacielem? O Boże, ona pyta o Treya! Ogarnął go raptem taki sam gniew, jak wtedy, gdy Jenny o nim mówiła. Opowiadała mu o nim.

- Gdzie jest teraz Jenny?

W uszach Elliotta brzmiał krzyk, jej krzyk.

- Jenny nie żyje.

Zapadła cisza.

Przerwała ją Lily, która dotykając jego ramienia, rzekła:

- Przykro mi, Morgan. Przepraszam.

Nie ukrywał już cierpienia i słowa popłynęły z jego ust:

- Byłem zły. Wściekły. Zacząłem chodzić tam i z powrotem, usiłowałem doszukać się jakiegoś sensu w tym, co mi powiedziała. - Pokręcił niedowierzająco głową. - Nie zauważyłem, że stanęła na skale nad przepaścią, ale zawracając, dostrzegłem ją tam. - Przechesał palcami czuprynę.

- I co się stało? - zapytała Lily jednym tchem.

- Nie wiem... - mruknął. - Nie wiem, jak do tego doszło. - Mówił przez zaciśnięte zęby. - Jenny nagle upadła.

- Nie!

- Wyciągnęła do mnie rękę. Boże, zacząłem biec. Ale odszedłem zbyt daleko. - Znużony potrząsnął głową i jęknął głośno. - Gdybym się nie rozżościł i nie odszedł... Prosiła mnie o pomoc, a ja dałem się ponieść

wściekłości... - Westchnął. - Obiecałem jej przecież, że będę nad nią czuwał...

I właśnie świadomość niedotrzymanej obietnicy prześladowała go przez te wszystkie lata.

Oparł się o ścianę i przywołał w pamięci obraz Jenny. Tylko że zamiast Jenny widział Lily. Lily przy kuchennym stole, na którym leżała ta cholerna gazeta z artykułem o niej.

Lily załamana, pogrążona w rozpacz.

Jak pogodzić te sprzeczne uczucia, jakie żywił do tej kobiety?

Nie wiedział. Gdy usiłował się nad tym zastanowić, znowu gniew wziął w nim górę.

Lily zawróciła go z raz obranej drogi.

Przybył do Blakemore House z powodu Crandalla, lecz to, że wciąż tu tkwił, nie miało już z tym człowiekiem nic wspólnego. Przyczyną była Lily.

I to był błąd.

Przebywał w tym domu pod wymyślonym pretekstem. Jego zadanie nie polegało na ochronie panny Blakemore. A nawet gdyby, to przed sobą nie mógłby jej uchronić.

Człowiek honoru powinien był odejść.

Uświadomiwszy to sobie, poczuł nagle pustkę w sercu.

Kiedy tak stał, trawiony pragnieniem dotknięcia jej, pragnieniem porażającym całe jego ciało, powiedział sobie, że odejdzie. Musi odejść. Od razu, jutro rano.

12

Nazajutrz rano, tak jak przysiągł sobie w duchu, wybierał się do Blakemore House, by powiadomić Lily o swej decyzji. Część rzeczy osobistych zapakował już do małej walizki, którą postawił na łóżku.

Około dwunastej pojawił się w kuchni, dzieci siedziały obok siebie, jakby się nad czymś naradzając, przed nimi na stole stała miseczka, w niej surowe rozbite jajka i nie usmażony bekon.

- Co się dzieje? - zapytał Morgan.

- Zastanawiamy się właśnie nad śniadaniem - odparła Cassie, obracając się ku niemu.

- Już prawie południe. - Rozejrzał się dokoła. - Gdzie Jojo?

- Jest chory.

- Z przepicia - wyjaśnił Robert.

- Z jakiego przepicia? - Cassie spojrzała nań zaokrąglonymi ze zdziwienia oczami.

Penelope parsknęła śmiechem.

- A gdzie jest Lily? - znowu zapytał Morgan.

Dzieci milczały chwilę.

- Na gorze - rzekła wreszcie Cassie z westchnieniem.

- Była jakaś dziwna - dodała Penelope.

Elliott poskromił niepokój, jaki nagle nim owładnął. Lily to nie jego sprawa, mówił sobie, on odchodzi. Ale chciał wiedzieć, co się z nią dzieje.

- Pod jakim względem była dziwna?

Penelope wzruszyła ramionami.

- Zupełnie spokojna, milcząca.

- Obeszła cały dom i przyglądała się wszystkiemu - dorzucił Robert ironicznie.

- Stała tam i patrzyła - powiedziała Cassie, a jej dolna warga drżała niebezpiecznie. - I nic. Nie słyszała mnie. Więc przyszłam tutaj. Och, panie Elliott, coś złego się z nią dzieje

Nagle rozległ się jakiś huk, jeden, drugi.

- Ojej! - jęknęła Penelope. - Znowu wzięła młotek.

Morgan wyjął z kieszeni garść monet i położył je przed Robertem.

- Zabierz siostry na lunch - powiedział i wybiegł z kuchni.

Lily klęczała w korytarzu na górze i przybijała młotkiem dywan do podłogi, o który, jak twierdziła przed paroma tygodniami, stale się potyka.

- Lily!

Cisza.

- Lily!

Odwróciła się gwałtownie.

- O Boże, nie musisz tak wrzeszczeć.

- Co ty robisz?

- Znowu się potknęłam. - Mówiła przyciszonym tonem, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał. Przejechała dłonią po dywanie i znów sięgnęła po młotek.

Pochylił się, wziął od niej młotek, odłożył go, klęknął obok.

- Powiedz mi, co się z tobą dzieje?

Podniosła na niego zasmucone niebieskie oczy. Chryste Panie, co on by dał za to, żeby spotkali się w innych okolicznościach.

Ta myśl przejęła go smutkiem, ale także niepokojem.

Nigdy dotąd bowiem nie łudził się nadzieją, o której wiadomo było, że się nie spełni. Aż do spotkania Lily.

Kpił zawsze z ludzi, którzy tłukli głową o mur, dążąc do czegoś, co było dla nich nieosiągalne. A Lily była nieosiągalna. W żadnym razie. Nawet gdyby nie miała tej przeszłości, jaką miała, to sprawy zaszły za daleko, by można było coś naprawić.

- Ten dom to ruina - rzekła z naciskiem, unosząc głowę.

Po wrażliwej, załamanej kobiecie nie było już śladu; miał oto przed sobą zamkniętą w sobie, obcą mu osobę, mającą się na baczności.

- Dom? - powtórzył; zaszokowany tą metamorfozą nie mógł pozbierać myśli. - O czym ty mówisz?

- Właśnie o tym. Kompletna ruina i rozgardiasz. Najwyższy czas, żebym doprowadziła go do porządku.

Poderwała się z podłogi i pomaszerowała korytarzem. Słuchał cichych uderzeń jej obcasów na wyłożonych dywanem schodach i dopiero po chwili ocknął się z zadumy.

Kilkoma susami dopędził ją i zastąpił jej drogę. Czarne włosy opadły mu na czoło, odgarnął je nerwowo palcami.

- Jak to się stało, że wreszcie zauważyłaś ten rozgardiasz? Co tu się wydarzyło, Lily? Dlaczego teraz właśnie jesteś tym tak wzburzona?

- Nie pańska sprawa, panie Elliott. Jak pan mi zniknie z oczu, sama załatwię, co trzeba.

W miarę upływu dnia Cassie była o Lily coraz bardziej niespokojna. Gdyby Morgan nie znał Penelope, mógłby podejrzewać, że i ona zacznie się martwić. Tylko Robert, stojąc na uboczu, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, demonstrował tę samą pogardliwą minę, jaką przybrał w dniu przyjazdu ciotki.

Lily nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Popadła w

odrętwienie. Rzadko się odzywała, nigdzie nie wychodziła, przemierzała tylko pokoje, w jednym przyglądała się ścianom, w innym siadała na krześle i trwała tak nieruchomo.

Kilka godzin później Morgan zastał ją w salonie.

- Ten pokój wymaga sporo pracy - powiedziała, patrząc na porozrywane tapety.

- Pracy? - powtórzył.

- Tak tu ciemno i ponuro. - Zmarszczyła brwi. - A może i nie. - Popatrzyła na Elliotta. - Co ty na to? - Już, już miał odpowiedzieć, gdy usłyszał: - Nieważne zresztą.

Skierowała się ku drzwiom, ale Morgan bez chwili namysłu chwycił ją delikatnie za ramię. Przestraszył ją tym, sprawiała wrażenie, jakby zabrakło jej tchu. To niemądre, ale rad był, że pokonał dystans, jaki powstał między nimi, że sforsował mur, którym się od niego odgradziła. Gniewnym wzrokiem spojrzała na jego dłoń, a potem na twarz. Nie zareagował.

- Zostaw mnie, panie Elliott - wyrzekła cicho, drżącym głosem.

- Ja chcę się tylko dowiedzieć, czy... nic ci się nie stało - powiedział i zamilkł, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Wyczuwał, że jest spięta.

- Stale mnie o to pytasz. Czuję się świetnie, panie Elliott. - Starła się uwolnić ramię, co poniekąd jej się udało. - Wręcz znakomicie.

- To dlaczego nie wychodzisz z domu i wędrujesz z pokoju do pokoju?

- Już ci powiedziałam. W domu panuje straszny rozgardiasz. A ja zamierzam doprowadzić go do stanu dawnej świetności. - Znów spojrzała znacząco na swoje ramię. - A teraz proszę mnie zostawić - rzekła wyniośle. - Mam jeszcze mnóstwo roboty.

Morgan nie opuścił tego dnia Blakemore House, tak jak to sobie zaplanował. Zrobi to nazajutrz, pomyślał. A potem, że jeszcze nazajutrz. A potem doszedł do wniosku, że byłby to z jego strony nieodpowiedzialny postępek, skoro Jojo i Marky stale byli chorzy, a Lily łąziła bez celu po domu. Nie może przecież zostawić dzieci bez opieki, przynajmniej tak sobie wmawiał, gdy mijał kolejny dzień, a on wciąż nie ruszał się z miejsca.

Jak się okazało, Jojo i Marky nie byli ani przepici, ani chorzy. Poszli sobie. Spakowali manatki i bez słowa się ulotnili.

Gdy wieść ta dotarła do uszu Lily, powiedziała tylko, że jest tym zdziwiona, i dalej wędrowała po domu bez celu.

Trwało to całymi dniami. W domu panował niesamowity wręcz spokój. Goście przestali przychodzić. Nawet zakochani na zabój dandysi, których pełno było wokół Lily, po ukazaniu się artykułu w gazecie zaprzestali wizyt.

Morgan powinien być z tego rad. Czyż nie na to właśnie czekał? Doszedł jednak do wniosku, że cisza i spokój bardziej działają mu na nerwy niż nieustanne trzaskanie drzwiami kawalerów. Nienawidził tego snucia się Lily po domostwie.

Lily Blakemore nie była już silna, stała się bezradną kobietą przykutą do miejsca, nie ruszającą się z domu. Elliott nie znosił, jak udawała trzpiotkę, ale w równym stopniu, a może nawet bardziej, irytowała go, gdy robiła z siebie ofiarę.

Było późne sobotnie popołudnie, gdy wchodził do pogrążonego w ciszy domu. Wiedział, że Robert, Penelope i Cassie są w Central Parku. Zastanawiał się, potrząsając głową, jak długo dzieci mogą być pozbawione opieki. Choć Robert wyglądał na starszego, niż był w istocie, to przecież każde dziecko musi mieć kogoś,

kto nad nim czuwa. Rodzica wskazującego mu drogę.

Przegnał jednak te myśli z głowy, podobnie jak w ciągu ostatnich dni pozbył się myśli o Crandallu. Całą uwagę skupił teraz na Lily. Najbardziej ze wszystkiego pragnął przywrócić tu spokój i ład.

Przeszedł zaledwie kilka kroków, gdy ciszę przerwał jakiś huk, a zaraz po nim - jęk bólu.

- O Boże - mruknął. - Co się znowu stało?

Odnalazł Lily w korytarzu; klęcząc, rozciągała dywan. Ukłękł obok niej i mimo jej oporu ujął jej dłoni. Mała rączka - zmieściła się cała w jego dłoni. Serce biło mu głośno. Spojrzał na Lily, łzy płynęły jej po policzkach. Chciał je otrzeć, ale szybko cofnęła głowę.

- Ja to dokończę - powiedział.

- Nie, ja sama. - Zmierzyła go wzrokiem. - Mówiłam ci, żebyś dał mi spokój.

- Do diabła, Lily! Dlaczego nie chcesz, bym ci pomógł? Z jej oczu biła rozpacz.

- Pomóc mi? - Wiedział, że nie ma na myśli młotka ani gwoździ. - W jaki sposób? - szepnęła. - Nie cofniesz czasu. Nie powstrzymasz moich rodziców przed wejściem na łódź w tak złą pogodę i po alkoholu.

Łzy zalewały jej twarz. To, co przeżyła, a czego się domyślał, jawiło mu się teraz wyraźnie. Wiadomości, jakie o niej zebrał podczas swego pobytu w Blakemore House, potwierdzały tylko jego przypuszczenia. Lecz od czasu ukazania się owego artykułu jej wizerunek uległ gwałtownej zmianie. Opowieści Lily, najpierw o bracie, później o braku miłości, wreszcie o rodzicach, zaprzeczały wyobrażeniom Elliotta o rodzinie Blakemore'ów.

Lily, rozpieszczona jedynaczka. Butna i lekkomyślna. Kochający rodzice, którzy poza swoimi dziećmi świata nie widzieli. Rodzeństwo Claude i Lily zawsze

razem. Lily sama przyznała, że byli nierozłączni, przynajmniej przez wiele lat. Najpewniej Claude Blakemore uwielbiał swoją siostrę.

Skoro więc łączyła ich taka bliska więź, dlaczego Lily wątpiła w braterskie uczucia? Dlaczego twierdziła, że nie zaznała miłości?

I ci jej rodzice. Wypłynęli łodzią w złą pogodę? Od dnia ich narodzin nie przejmowali się własnymi dziećmi? Przypomniał sobie opowieść Lily o tym, jak kiedyś poszła sama kupić bratu kapelusz. A przede wszystkim jacy rodzice pozwoliliby na to, by ich córka poszła na bal przebrana za mężczyznę? Rodzice, którzy o niczym tyjącym ich dzieci nie wiedzieli. Którzy zostawili swoje latorośle ich własnemu losowi.

Jeśli tak było w istocie, to nic dziwnego, że Lily nie ma pojęcia o opiece nad dziećmi. Po prostu nic jej na ten temat nie wiadomo.

Klocki, które z takim trudem udało mu się ułożyć, wymieszały się, jakby ktoś przesunął ramieniem po stole i rzucił je na podłogę.

- Lily - szepnął, usiłując przyciągnąć ją do siebie.

Cofnęła się.

- Przywrócisz mi te zmarnowane dziesięć lat? Sprawisz, że nowojorczycy mnie zaakceptują?

Patrzył na nią, nie wiedząc, co rzec.

- Nie, Morgan. Nic na to nie poradzisz.

- Jeśli ci na tym tak zależało, powinnaś była przez te lata o to zabiegać. Powinnaś była zmusić ich, by cię zrozumieli, by ci wybaczyli, skoro tak bardzo tego pragnęłaś.

Roześmiała się. Ale w jej śmiechu nie było radości.

- Wybaczyli mi? Twoim zdaniem powinnam była prosić ich o wybaczenie? Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to oni powinni mnie o to prosić?

Nie przyszło mu to do głowy i omal nie wypowiedział tych słów. Przecież to ona pozowała nago, a nie nowojorczycy. Ale wyraz jej oczu zamknął mu usta.

- Powinnaś była zrobić wszystko, by tu zostać - rzekł po dłuższej chwili. - A nie uciekać.

- Co mianowicie powinnam była zrobić?

- Poprosić Claude'a o pomoc. Bez względu na to, co powiesz, wszystkim było wiadomo, że on cię kochał.

- Wszystkim było wiadomo, powiadasz? - powtórzyła. Słowa te wyraźnie ją dotknęły. - A więc wszyscy się mylili.

- Jak możesz tak twierdzić? Przecież próbował ci pomóc.

- W jaki sposób?

- Obraz.

Nabrała powietrza w płuca. W głowie miała zamęt. Obraz. Morgan wiedział o obrazie.

Widziała go tylko raz, przed dziesięcioma laty. Jakiś czas potem uległa wrażeniu, niesamowitemu wrażeniu, że to była tylko gra jej wyobraźni, że taki obraz w ogóle nie istnieje. Ale słowa przywróciły ją do rzeczywistości i nie mogła zaprzeczyć temu, co przyniosło jej hańbę.

- Wiesz o obrazie? - zapytała zdławionym głosem.

- Wiem, Lily.

Fakt, że wiedział, jak ją nazywają, Karmazynową Lily, był sam w sobie trudny do zniesienia. Ale że dysponował jeszcze większą wiedzą, a mianowicie, skąd się wzięła ta okropna nazwa, to było już ponad jej siły.

Jeśli kiedykolwiek miała nadzieję, że Elliott nie zalicza jej do kobiet upadłych, to teraz ta nadzieja prysła. W jego mniemaniu była na samym dnie - była kobietą upadłą.

- Wiem również to - ciągnął - że Claude kupił ten obraz.

Zmieniła się na twarzy. Wsparła się o futrynę, żeby nie upaść.

- Claude kupił ten obraz?
- Gdybyś nie wyjechała, wiedziałabyś o tym. Jak widzisz, Lily, brat cię kochał.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Mylisz się! Nie kochał mnie! - krzyknęła w pustkę pokoju.

Obserwował ją, widział, jak bardzo była wzburzona. Milczała, oczy miała zamknięte. A gdy pomyślał, że już się więcej nie odezwie, powiedziała:

- Kiedy wieść o obrazie rozeszła się, Claude wrzeszczał i przeklinał, i oświadczył, że nie chce mnie więcej widzieć. - Popatrzyła na Morgana. - Mylisz się co do niego - powtórzyła. - Ja nie uciekłam, nie starałam się ukryć. Nie chciałam wyjechać, chciałam zostać. Ale mój brat mnie przepędził.

Tego się Morgan nie spodziewał. Przecież Claude kupił ten obraz po to, by ją chronić! Portret nagiej siostry. Odrzucił podejrzenie, jakie na moment wkrađło się do jego duszy.

- Nie pozwolił mi przyjechać do domu, gdy zmarła Abigail, jego żona, nie byłam nawet na pogrzebie. Nie chciał mnie, nie chciał, żebym zobaczyła się z dziećmi. Jak gdybym mogła je czymś zarazić, jakbym była zapowietrzona!

Płakała rzewnymi łzami, Elliott odnosił wrażenie, że to wyznanie sprawiło jej największy ból. Tym razem pozwoliła mu, by przytulił ją do siebie. Trzymał ją w ramionach, taką drobną, kruchą, głowę oparła mu na piersi. Jej łzy wsiąkały w jego koszulę, a on gładził ją po włosach, mrużąc jakieś słowa, których sam nie rozumiał.

Na myśl o Lily znowu ogarnęło go rozczulenie. Pragnął chronić ją, i wszystko inne było nieważne. A przecież walczył z tym uczuciem. Musiał. John Crandall, artykuł w gazecie, obraz - to były przeszkody nie

do pokonania. Ale teraz nagle przestały istnieć, a jeśli istniały, to odsunął je na bok.

Siedzieli na podłodze w korytarzu, przez otwarte drzwi sypialni padały na nich promienie słońca. Jak to możliwe, że trzymając w objęciach tę niewiastę, czuł się taki szczęśliwy? Czy dlatego, iż go rozumiała?

Przypomniał sobie noc, kiedy zamalowywał ścianę, chwilę ciszy w świecie pełnym hałasu. Taka cisza otaczała ich również wtedy, gdy oboje klęczeli w świetle księżycy. I to samo było teraz, w mrocznym korytarzu, gdy kołysał w ramionach kobietę, którą cały Nowy Jork nazywał Karmazynową Lily.

Przytulał ją do siebie w jakimś zapamiętaniu. Musnął wargami jej włosy. Całował jedwabiste pasma, szepcząc słowa, które miały ją pocieszyć. Całował czoło, a gładkość jej skóry oszałamiała go. Całował skronie, policzki, po których łzy spływały nieprzerwanie.

Nie było Karmazynowej Lily, była Lily. Jego Lily, pomyślał, sam tym zaskoczony. Jego Lily, która paliła grzaniki z serem i wyrzucała całkiem dobre naczynia kuchenne.

Jego usta dotknęły jej ust, i wtedy poczuł, że Lily pręży się w jego ramionach.

- Pozwól się pocałować - szepnął.

Pieścił jej wargi, aż rozchyliła usta; chłonął jej oddech, z głębi jego piersi wydobywał się jęk. Wsunął język do jej ust, delikatnie, jakby prosił, by go wyczuła. - O tak - mruknął, gdy po chwili ich języki się zetknęły i dreszcz przeszył go od stóp do głów.

Ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć, pieścił jej język. Czuł, jak jej ciało się napręża, a zarazem niemal wtapia w jego. Przytulił ją do siebie jeszcze mocniej.

Ich pocałunki były poszukiwaniem. Odkryciem. Chwytał ustami jej dolną wargę, upajał się jej smakiem.

Obiema dłońmi ujął *twarz* Lily, uniósł podbródek, by spotęgować przyjemność doznań.

Całował ją coraz śmieiej, ich języki splotły się. Uwolnił jej włosy od szpilek, tak by opadły swobodnie na ramiona.

Cofnęła się, dotknęła ręką czoła.

- Nie - szepnęła, rumieńce zabarwiły jej policzki.

- Masz takie piękne włosy - rzekł cicho, przyciągając ją do siebie.

Poczuł na swojej piersi jej zaciśniętą dłoń.

- Nie przysługam włosów, jak czyni to każda szanująca się dama - powiedziała, akcentując dobitnie każde słowo.

- Przestań. Nie znęcaj się nad sobą, nie mów o sobie źle.

- Dlaczego? Wszyscy źle o mnie mówią.

- Nie wszyscy. - Westchnął ciężko. - Już nie wszyscy.

I to była prawda. Jego odczucia zmieniły się radykalnie. Wprawdzie Crandall nie znalazł się jeszcze za kratkami, ale Morgan wiedział, że jeśli zdobędzie jakieś informacje, pozwalające ów cel osiągnąć - nie jeśli, raczej gdy - z pewnością nie stanie się to w wyniku poznania przeszłości Lily. Już i tak paskudnie się wobec niej zachował, przebywając w jej domu pod zmyślnym pretekstem.

I znowu ponowił daną sobie obietnicę, że odejdzie stąd. Trzymając Lily w ramionach, nie był jednak pewny, czy dotrzyma słowa.

Co dalej? Czy może dłużej żyć w atmosferze kłamstwa? Nie może. Ale jak jej powiedzieć, że nie jest tym, za kogo się podał? Że nie jest biedny. Że nie jest żadnym majstrem. Że jest bogaty, prawdopodobnie bogatszy od niej.

Nie znał odpowiedzi na te pytania, jeszcze nie. Wiedział tylko, że trzyma Lily w ramionach. I wszystko inne nie miało znaczenia.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O zapominaniu - odparł zdziwiony własną szczerością.

Odchyliwszy głowę, spojrzała na niego.

- O czym usiłujesz zapomnieć? O Jenny?

Gdybyż to było takie proste.

- Nie wiem. - W zadumie przesunął palcami po jej ramieniu. - Już o niej zapomniałem.

- Łatwo się mówi.

Uśmiech pojawił się na jego skupionej twarzy.

- To prawda. Ale my wciąż staramy się o coś zapomnieć. - Spojrzał jej w oczy. - Ty też.

Nie zaprzeczyła.

- Lecz w przeciwieństwie do ciebie - zaczęła - choć moje otoczenie dobrze wie, o czym chcę zapomnieć, wszyscy czerpią dziwną satysfakcję z ciągłego przypominania mi o tym.

Nie powiedziała tego z goryczą, raczej z rezygnacją.

Odmieniło to jednak tok myśli Elliotta. I zapomniał o wszystkim.

Pocałował ją. Opierała się z lekka, a wtedy on wyszeptał z ustami przy jej ustach:

- Kochanie, pozwól mi.

Odchylił nieco głowę - oczy miała przymknięte. Przygarnął ją ku sobie, pieścił dłońmi jej ramiona, szyję, niespiesznie, ręce jego powędrowały niżej, sięgnęły pełnych piersi.

Westchnęła głęboko, a on całował jej powieki, szepcząc bezustannie czułe słowa. Otworzyła oczy. Przez tkaninę bluzki dotknął jej brodawki, pieścił ją, aż stwardniała z podniecenia.

- Jesteś cudowna, cudowna...

- Jak mogę...

- Możesz! Chcę cię mieć tutaj. - Sięgnął do jej drugiej piersi. - O Boże, pragnę mieć cię tu i teraz - szeptał.

Odchyliła głowę, całował jej szyję.

- Morgan - wyrzekła jego imię, które w jej ustach zabrzmiało mu pięknym akordem.

Wtulił ją w siebie.

- Morgan!

- Ciiicho, księżniczko.

- Dzieci!

- Są w parku. - Dzięki Bogu, pomyślał. Pragnął jej. Ciało jego płonęło, domagało się spełnienia. - Wróć za parę godzin.

Jęknęła, gdy uniósł jej spódnicę, przywarł do niej, aż rozsunęła uda, wspierając kolana o miękki dywan. Czuł jej wilgoć, czuł, że też go pragnie.

Przewrócił ją na siebie. Pożądał jej. Pragnął. Chciał jej rozkoszy.

Całując ją, rozpiął zręcznie guziki jej stanika. Z wciąż zamkniętymi oczami przygryzła dolną wargę. Pieścił jej usta językiem, póki nie odwzajemniła mu pocałunku.

Leżała, wspierając się o jego ramiona, podczas gdy on ujął obiema dłońmi jej pośladki. Sięgnął do jej intymnego miejsca, a ona sprężyła się cała, oddech miała urywany.

- Będzie dobrze, Lily - szeptał głosem nabrzmiętym pożądaniem. - Pozwól mi cię kochać.

Ale nie było dobrze. Przynajmniej jej. Z niesamowitą siłą odepchnęła go.

- Nie!

- Lily... - zaczął. Przyciągnął ją ku sobie. Pałał namiętnością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał.

- Nie! Powiedziałam nie, rozumiesz?! Nie jestem Karmazynową Lily!

Twarz miała bez wyrazu, łzy spływały jej strużkami po policzkach.

- Kochanie - powiedział cicho, gładząc ją po twarzy. - Ja nie myślę o żadnej Karmazynowej Lily.

- To niemożliwe!

Uwolniła się z jego ramion, wstała, poprawiła spódnice. Elliott też uniósł się z podłogi, i stali tak parę stóp od siebie, mierząc się wzrokiem

- Od momentu, kiedy cię ujrzałem - zaczął głosem drżącym z emocji - nie istniała dla mnie żadna Karmazynowa Lily. I teraz też jesteś dla mnie Lily Blakemore, kobieta, którą od pierwszego wejrzenia byłem zafascynowany. Kobieta czułą i troskliwą, choć robi wszystko, by ludzie innego byli o niej zdania. - Wyrzekłszy te słowa, uświadomił sobie, jaką prawdę zawierały. - Dlatego, Lily? Dlaczego nie chcesz, żeby ludzie dowiedzieli się, jaka jesteś w istocie? Dlaczego każesz im myśleć o sobie jak najgorzej?

Zacisnęła powieki i westchnęła. Po chwili spojrzała na niego.

- Mylisz się, Morgan. Ja jestem po prostu sobą, i zawsze tak było. Tylko że ludzie interpretują moje poczynania w sposób, jaki sobie z góry założyli, i wcale ich nie obchodzi to, co czuję.

- A co czujesz, Lily? - dopytywał się uporczywie. - Co czujesz?

Nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi może się spodziewać. Być może powie mu coś o świecie, w którym panują surowe reguły, wytyczające granice między klasami, albo o zasadach, o jakich przez te dziesięć lat zapomniiała. Albo że rodzice, pomyślał nagle, zważywszy na ich obojętny stosunek do dzieci, nie nauczyli ją ich przestrzegać.

- Czuję zmęczenie - odparła ku jego zdziwieniu. -
Zmęczenie tym, że mnie to boli.

Zamierzała odejść, ale ją zatrzymał.

- Boli cię to, Lily?

Spojrzała na niego z gniewem w oczach.

- Oczywiście, że boli. Zawsze sprawiało mi ból.

- To dlaczego zachowujesz się tak prowokująco?

Skrzywiła się, i Morgan zląkł się, że zaraz mu ucieknie.

Lecz po chwili, westchnąwszy głęboko, rzekła:

- Nie wiesz, jak to jest, kiedy wchodzi się do pokoju i wszyscy milkną. Nie wiesz, jak to jest, kiedy na twój widok wszyscy przechodzą na drugą stronę ulicy, by nie dać Boże ich suknia nie otarła się o twoją. Tak, panie Elliott, boli mnie to. Ale gdybym okazała to po sobie, dałabym im jeszcze jedną broń do ręki.

13

Morgan obudził się z uczuciem dziwnego niepokoju. Usiadł. Oddychał z trudem.

Miał sen. Śniła mu się Jenny. Wyciągał do niej rękę. Spadła.

Był świt, słońce rozjaśniało dopiero horyzont. Dotknął ręką twarzy, przeczesał włosy palcami, jakby chciał przepędzić z myśli nękające go obrazy. Uczucia kompletnej bezradności nie potrafił jednak w sobie pokonać.

Wsparł łokcie o kolana i obiema dłońmi ujął głowę; jego silny kark błyszczał w rodzącym się świetle.

Przez tyle lat nie myślał o Jenny. Opuścił rodzinne Południe, przyjechał do Nowego Jorku. I od tamtej po-

ry zaczął naprawiać świat. Najpierw były to drobne sprawy, uczył się. W miarę upływu czasu stawiano przed nim coraz poważniejsze zadania, aż w końcu całą swoją uwagę skupił na osobie Johna Crandalla. Pozwoliło mu to zapomnieć o Jenny, o słowach, jakie mu wyszeptwała: „Potrzebuję twojej pomocy, Morgan”.

Ogrom wyrzutów sumienia przytłoczył go.

Wczoraj ze wszystkich sił starał się o tym nie pamiętać. I przez chwilę udało mu się. Dotyk ust Lily przepędził złe myśli. Fakt, że trzyma ją w ramionach, był czymś oczywistym, tak właśnie powinno być. Nigdy przedtem nie czuł takiej radości. Po raz pierwszy od tamtego fatalnego dnia, który odmienił jego losy - chciał, pragnął zapomnieć. Pragnął zapomnieć o dziewczynie o imieniu Jenny, o chłopcu o imieniu Trey, o człowieku, który nazywał się John Crandall. I zapomniał na moment. Dzięki Lily.

Pełen bólu jęk rozległ się w małym domku. Elliott zwłóknął się z łóżka i chodził po pokoju tam i z powrotem niczym zwierzę w klatce. Wspomnienia wróciły. Poprzysiągł sobie, że dopadnie Crandalla.

Jego życie od tamtego dnia było nieustannym pościgiem. Przez całe lata tropił ludzi i doprowadzał do tego, że płacili za wyrządzone innym krzywdy. Zasłużył > sobie na miano najlepszego fachowca w tej dziedzinie. Lecz tym razem ów najlepszy fachowiec nie zdołał osiągnąć celu. Nie zebrał informacji, które udowodniłyby, iż John Crandall jest przestępcą. I świadom był, iż przyczyniło się do tego jego zauroczenie osobą Lily. Myśli o niej kłębiły mu się w głowie bezustannie i nie potrafił skoncentrować się na niczym innym.

Wczoraj bliski był zaniechania wszystkich swoich wysiłków - z powodu Lily, kobiety, która przez cały czas burzyła to, co w sobie wypracował.

Lily zraniona ciężko. Lily cierpiąca.

- Nie! - zawołał, aż echo odbiło się od ścian jego domku.

Zraniona, to prawda, ale ona sama zgotowała sobie ten los.

Narastał w nim gniew, a poczucie winy i frustracja ów gniew podsycaly. Pomyślał o śnie, jaki nawiedził go tej niespokojnej nocy. Płonął ogień i wiatr rozniecał płomienie. Sen był tak realistyczny, że czuł kwaśną woń zwęglonego drewna. Tak realistyczny. Dym wdzierał mu się do nozdrzy, łzawiły oczy.

Zbyt realistyczny.

- Jezu Chryste!

Wciągnął spodnie, buty i nie wkładając koszuli, wypadł z domku. Biegł, a serce podchodziło mu do gardła. To nie był sen.

Palił się dom, a przynajmniej tak sądził, póki nie przedarł się przez gąszcz wysokiego żywopłotu i nie dotarł do podwórka na tyłach domostwa. Tu stanął jak wryty. Na środku placzyku paliło się ognisko, rozjaśniając szary świt.

Lily i dzieci stały na ganku, niczym widzowie spektaklu obserwujący grę aktorów. Zapatrzeni byli w płomienie sięgające coraz wyżej. Morgan był kompletnie oszołomiony, niezdolny ruszyć ręką ni nogą.

Coś wybuchło w ogniu, aż płomienie strzeliły. Penelope i Cassie pisnęły, Robert zamarł na chwilę, a oczy Lily zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Co się tu dzieje, do cholery?! - krzyknął Morgan, przechodząc koło ogniska i zmierzając w stronę ganku.

- Doprawdy, panie Elliott, jakim językiem pan się posługuje? - rzekła Lily, spojrzawszy uprzednio na jego nagą pierś. Oczy jej wciąż wyrażały zdumienie, ale

przyczyną tego był raczej jego nagi tors niż buchające płomienie. Oderwała wzrok od majstra. - Używa pan niewłaściwego języka - powtórzyła.

Lily Blakemore krytykuje jego słownictwo? - pomyślał zdziwiony, obserwując, jak rumieńce barwią jej policzki. Czyżby zaczerwieniła się na wspomnienie tego, co wczoraj razem przeżyli? Czyżby myśli o nim prześladowały ją przez bezsenność? Czy tak jak on przewracała się z boku na bok, nie mogąc zmrużyć oczu?

Ogień nie był już ważny. Morgan poczuł nagłą potrzebę przytulenia jej do siebie.

- Lily powiedziała, że będziemy mogli potem piec placki na popiele - oświadczyła Penelope.

- Co takiego? - zapytał ze zmarszczonymi brwiami, nie rozumiejąc ni słowa z tego, co dziewczynka powiedziała, opędzając się z trudem od myśli o Lily.

- Będziemy mogli...

- Słyszałem. Ale chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Cassie przestała już interesować się ogniskiem, przynajmniej na chwilę. Podeszła do Morgana i przypatrywała mu się pilnie, jakby po raz pierwszy widziała mężczyznę bez koszuli. Niewątpliwie tak było, pomyślał, gdy dziewczynka ostrożnie pogłaskała kępkę ciemnych włosów na jego klatce piersiowej, jak gdyby dotykała piór jakiegoś egzotycznego zwierzęcia.

- Och, panie Elliott - rzekła ze zdziwieniem. - Jaki pan owłosiony.

Robert wydał z siebie jęk, Penelope zachichotała, a twarz Lily znowu spłonęła rumieńcem.

Morgan mruknął coś pod nosem, cofnął się i przesłał małej Cassie zdawkowy uśmiech.

- Zapomniałem z tego wszystkiego o koszuli, wyskoczyłem z łóżka i przybiegłem czym prędzej, myślałem, że

dom się pali - powiedział, spoglądając znacząco na Lily. -
Cassie, mogłabyś pójść do mnie i przynieść mi koszulę?

- Oczywiście.

- Jesteś za mała, ja to zrobię - oznajmiła Penelope.

- Nie, Morgan m n i e o to prosił.

Obie dziewczynki zbiegły po stopniach ganku, ale Penelope pośliznęła się i ledwo chwyciła równowagę.

- Nie pieczcie placków beze mnie - rzuciła na odchodnym i obie ruszyły w stronę wysokiego żywopłotu.

Elliott obrócił się powoli i całą uwagę skupił na Lily, jego czarne oczy błyszczały jak rozżarzone węgielki.

- Rozpaliłaś ognisko, by piec placki na popiele? - zapytał z niedowierzaniem, starając się panować nad sobą.

- Nie rozpaliłam ogniska dla zabawy.

- Postradałaś zmysły! - wrzasnęła, znów dając się ponieść wzburzeniu.

Uśmiechnęła się ironicznie i wzruszyła ramionami.

- Na szczęście nie.

Ledwo się powstrzymał, by własnymi rękami jej nie udusić. Wróciły złość i niepokój, jakie poczuł, gdy tylko otworzył oczy, a na widok tego, co zastał na podwórzu, jego oburzenie sięgnęło zenitu. Jedyne, co przychodziło mu na myśl, to to, że ta szalona kobieta go opętała.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, co tu się wydarzyło? - zapytał, siląc się na spokój.

Spojrzała na niego, uniósłszy głowę.

- No, pali się. - W głosie jej wyczuwało się nutę sarkazmu.

- Przecież widzę - rzekł ostro. - Pytanie moje brzmi: dlaczego?

Wsunęła ręce do kieszeni zagranicznego szlafroka i nagle wydała mu się taka młoda i niewinna. Stopą w rannym pantoflu zataczała kółka na podłodze.

- Zrobiłam w domu małe sprzątanie - mówiła z umyślną nonszalancją - i znalazłam trochę rzeczy zupełnie mi niepotrzebnych. Wspominałam ci już o tym strasznym rozgardiaszu, jaki panuje w domu.

Znowu popatrzył na ogień i zauważył dziwne przedmioty, prawie niewidoczne wśród płomieni. Kolejny wybuch sprawił, że Lily aż podskoczyła.

- Co to było, do diabła?!

- Chyba terpentyna - odrzekła, przygryzając dolną wargę

- Terpentyna? - Teraz rozpoznał te dziwne przedmioty. Sztalugi z jej pracowni na poddaszu. Skrzynia z przyborami. Wysoki stołek. Pali rzeczy ze swojej pracowni malarskiej!

Obrócił się ku niej z pytającym spojrzeniem.

- Dlaczego nie kazałaś mi, bym się tym zajął?

- Chciałam się sama ich pozbyć.

I udało jej się. Pozbyła się farb, pędzli, sztalug - za jednym zamachem. Nie za tydzień, nie jutro, nawet nie tego dnia, od razu. Puszczając wszystko z dymem.

Zawróciła, by wejść do domu. Lecz Morgan wskoczył na schodki i chwycił ją za ramię, chciał, aby spojrziała mu prosto w twarz.

Popatrzyła na jego dłoń na swym ramieniu, tylko popatrzyła. A on czuł jeszcze, jak drżała mu w objęciach, czuł powiew jej oddechu. Po chwili uniosła głowę, w oczach jej dostrzegł niepokój.

- Lily - szepnął, przyciągając ją ku sobie, opuszkami palców głaskał jej ramiona.

Nie myślał o stojącym na ganku Robercie, o dziewczynkach, które lada chwila mogą się pojawić. Myślał tylko o tym, że czuje pod palcami jej ciało.

- Morgan! Przyniosłam ci koszulę.

- Nie, to ja mu przyniosłam! Morgan, włóż tę, którą ja przyniosłam!

Oboje, Lily i Morgan, obserwowali ze zdziwieniem, jak dziewczynki biegną koło ogniska, każda z koszulą w dłoni.

Z niehumanicznym wysiłkiem Elliott oderwał się od Lily i wziął obie koszule, jakie Cassie i Penelope, jedna przez drugą, mu podawały.

- Dziękuję - powiedział.

- Którą włożysz? - zapytała Penelope ostrym tonem.

Dziewczynki patrzyły nań wyczekująco. W końcu rzekł:

- Obie.

- Obie?

- Obie - powtórzył, wkładając najpierw koszulę od Penelope, potem tę od Cassie.

- Woli moją - oznajmiła Cassie.

- Nie, moją, bo będzie bliżej jego serca.

- Nieprawda!

- Prawda!

- Dziewczynki - powiedział Morgan, potrząsając głową. Sprzeczka ucichła momentalnie.

- Idźcie do domu - rzekł. Był już u kresu cierpliwości.

- Nie chcę iść do domu - oświadczyła Penelope. Jej oczy zaszkliły się podejrzenie.

- Powiedziałem, do domu! W tej chwili!

Cassie weszła po schodkach, Penelope za nią, obrzucając pełnym niechęci spojrzeniem nie majstra, lecz ciotkę.

Lily odwróciła się bez słowa, zamierzając za nimi po-
dażyć.

- Poczekaj - powiedział Morgan ponurym głosem. -
Powiedz mi, dlaczego spaliłaś te rzeczy?

- Tyle mam roboty. Połamane meble, spleśniałe łąchy. Muszę doprowadzić ten dom do porządku, nawet jeśli to będzie ostatni mój wyczyn.

- Będzie faktycznie ostatni, jeśli płomień go ogarną. Obejrzała się.

- Jesteś także dozorcą. Dopilnuj, żeby tak się nie stało. Z tymi słowy weszła do domu.

- Ona jest pomyłona, mówiłem ci - powiedział Robert ze wzrokiem utkwionym w płomieniach. - Lily Blakemore jest pomyłona. - Co rzekłszy, chłopiec również zniknął za drzwiami.

Elliott odprowadzał go spojrzeniem. Potem zapatrzył się w ogień, jak nikną w nim przybory malarskie i Bóg wie co jeszcze.

„Doprowadzić ten dom do porządku.”

Pokiwał głową. Był przekonany, jakby sama mu to powiedziała, że jej celem było całkiem co innego niż wysprzątanie domu. Dlaczego paliła te rzeczy, zamiast zacząć je wyrzucić lub zreperować? Co jeszcze spali, chcąc wymazać w ten sposób własną przeszłość? Powiedział jej ubiegłego wieczoru, że usiłuje zapomnieć o tym, co zrobiła. Czy istotnie zapomni, niszcząc wszystko dokoła, nawet własne obrazy? Czy naprawdę sądzi, że dzięki temu zapomni o portrecie, który przyniósł jej hańbę?

Rozmyślał o tym, patrząc w płomień. Rozpaliła ogień na własnym podwórzu. Ta kobieta nigdy nie przestanie go zadziwiać.

Prawdę mówiąc, pożar nie zagrażał domowi. Porałek był bezwietrzny i ogień spokojnie się dopalał. Od dawna nikt się tym dziedzińcem nie zajmował, nie rosła tu ani trawa, ani żaden krzew, na który ogień mógłby się przetrząsnąć. Lecz Morgan postanowił zaczekać i wszystkiego dopilnować.

Wsunął w spodnie obie koszule. Na szczęście nie było jeszcze gorąco, jednak dzień zapowiadał się upalny.

Z rozmyślań o pogodzie wyrwał go szcęk otwieranych drzwi. Obejrzał się - Lily schodziła po stopniach, ciągnąc za sobą byle jak zwinięty dywan. Morgan patrzył na nią w milczeniu.

- Zamierzasz stać tak jak kołek? - zapytała oschle. - Nie pomożesz mi?

Wykrzywił się.

- Nie pochwalam sposobu... w jaki doprowadzasz dom do porządku.

- Rozumiem, że odmawiasz mi pomocy. No to zejdź mi z drogi. - Przeszła przez ganek, ciągnąc za sobą dywan wśród kurzu.

Chwycił ciężką bełę.

- Przestań, Lily. Przestań palić własną przeszłość.

Błękit jej oczu pociemniał.

- Ponosi cię fantazja, panie Elliott. Chyba ostatnio za dużo czytasz marnych powieści. Nic dziwnego, że robota leży i dom jest wciąż w takim stanie.

Zacisnął szczęki, złość go ogarnęła.

- Masz rację. Co ja sobie w ogóle wyobrażam? To jest twój dom, twoja sprawa. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. - Chrząknął głośno, sięgnął po wełniany dywan i jednym ruchem wrzucił go do ognia. - No! Jesteś zadowolona?

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak - rzekła po chwili. - Bardzo ci dziękuję.

- Następne do spalenia będą kanapy i fotele?

- Skoro o tym wspomniałeś...

Z jego ust wydobył się dźwięk przypominający warknięcie, wzbierała w nim wściekłość. Wzrok jego mijał błyskawice.

- Do diabła, rozpalasz ogień na podwórzu, palisz cenne dywany i sprzęty, i w dodatku wciągasz dzieci w to szaleństwo, opowiadając im o plackach. Na litość boską, co z ciebie za niewiasta?!

Cofnęła się o krok, widział, że drży, ale nie panował już nad sobą i mówił dalej:

- Nie masz zielonego pojęcia o opiece nad tą trójką dzieci. Jeśli ktokolwiek miałby wgląd w to, jak zajmujesz się Robertem, Penelope i Cassie, odebrano by ci je, zanim zdążyłabyś mrugnąć okiem. Kiedy wreszcie dotrze do twojej świadomości, że jesteś tu po to, by tym sierotom zastąpić rodziców? Oni potrzebują twojej pomocy, nie tych dziwactw, jakie im serwujesz na każdym kroku. Masz zapewnić im bezpieczeństwo, Lily, bo odbiorą ci je.

Stała bez ruchu, jak posąg. Dostrzegł jednak, że twarz jej się zmieniła, była wzburzona, oczy rzucały złe błyski. I raptem jakby powściągnęła gniew, uspokoiła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Zapewnić im bezpieczeństwo, powiadasz, panie Eliott? - Wyrzekła te słowa lodowatym tonem i równie lodowate miała spojrzenie. Nie była już słabą, wrażliwą kobietą. - Zaryzykowałabym twierdzenie - ciągnęła - że pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. O ile sobie przypominam, ty też nie zapewniłeś Jenny bezpieczeństwa, nie uchroniłeś jej.

Poczuł bolesny ucisk w piersi, jakby uszło mu z płuc całe powietrze i krew przestała krążyć mu w żyłach. Jakby ktoś żelazo utopił mu w piersi.

Nie uchronił Jenny. I żeby nie wiedzieć jak się o to starał, żeby nie wiedzieć jakich czynów dokonał w życiu, nigdy nie znajdzie dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

- To prawda, panno Blakemore - rzekł w końcu. - Nie uchroniłem jej.

Z tymi słowy obrócił się na pięcie i ruszył w stronę swego domku - nie zdołał więc dostrzec rozpaczy, jaka przesłoniła wzrok Lily.

14

Lily przeklęła w duchu swój niewyparzony język.

„Nie zapewniłeś Jenny bezpieczeństwa, nie uchroniłeś jej.”

Jak mogła coś takiego powiedzieć?

Oczy jej przodków spoglądały na nią z wiszących na ścianie portretów, ganiły ją, gdy tam i z powrotem chodziła po pokoju. Ona również ostro siebie ganiła. Morgan opowiedział jej tę historię, podzielił się z nią swoim cierpieniem. A ona w grubiański sposób rzuciła mu oskarżycielskie słowa prosto w twarz. Zaciśnęła powieki, dławił ją wstyd.

Przez długie lata ludzie ranili ją bezdusznie okrutnymi słowy. Nienawidziła ich za to. A teraz sama tak postąpiła. Była zła, urażona, i zadała mu cios na oślep. Skrzywdziła go.

Jakby tego było mało, pojawił się jeszcze problem dzieci. Śmieszne, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogą jej dzieci odebrać. Testament Claude'a brzmiał przecież jednoznacznie.

A jeżeli Morgan miał rację? Czy to możliwe, że ktoś miałby do tego prawo?

Aż zamarła na tę myśl. Nie liczyła już na to, że Nowy Jork ją zaakceptuje. Ale kochała Cassie i Cassie kochała ją. I nagle zdała sobie sprawę, że nie wyobraża so-

bie bez niej życia. A co dziwniejsze, nie wyobraża sobie również życia bez Roberta i Penelope.

Niesamowite, że tak się do nich przywiązała. Ale taka była prawda, i gdyby odebrano jej te dzieci, tęskniłaby tak samo do pogardliwych słów Roberta, do ironicznych min Penelope, jak i do pełnych ciepła uśmiechów Cassie. No, prawie tak samo, przyznała z westchnieniem.

Istniał jeszcze Morgan.

Przymknęła oczy i westchnęła głęboko.

- Och, Morgan - szepnęła w pustkę salonu. - Jak to się stało, że tyle dla mnie znaczysz?

Chodziła po domu, mając nadzieję, że majster się pojawi. W ciągu ubiegłych tygodni zawsze był w pobliżu. Zawsze czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie, jakby czegoś od niej oczekiwał. Gdzie on może się podziewać? - zastanawiała się. A jak już przyjdzie, to co powinna mu powiedzieć? Nic nie przychodziło jej do głowy. Zwykle „przepraszam” to stanowczo za mało.

Zabrała się w końcu do sprzątania pokoju, sporządziła ponadto listę różnych czynności, które jej zdaniem należało wykonać bezzwłocznie, nie oglądając się na tok reperacji. Niebawem pokój był już wysprzątanym, lista zajmowała całą stronę, słońce chyliło się ku zachodowi, a Elliotta jak nie było, tak nie było.

Usiadła na starym fotelu w salonie, przyodziana w strój, jaki nabyła podczas swej eskapady do Indii. Miękki, oryginalny materiał. Luźna, udrapowana wokół bioder bluza i wąska spódnica - takie spódnice lubiła najbardziej.

Na odgłos kroków wstała. Pragnęła z całego serca, żeby to był Morgan. Robert siedział w swoim pokoju, mało prawdopodobne, żeby zszedł na dół. Cassie spała.

Lecz w progu stanęła Penelope, nie majster. Lily westchnęła ledwie słyszalnie - tylko to było jej potrzebne, jakaś sarkastyczna uwaga bratanicy.

- Co jest, kochanie? - zapytała.

Dziewczynka wpatrywała się w ciotkę, na jej buzi malowało się wzburzenie.

- Słucham, Penelope? - spytała Lily łagodnym głosem, unosząc się z miejsca.

Twarz dziewczynki momentalnie zmieniła wyraz, Penelope odwróciła się i uciekła, słychać było jej szybkie kroki na schodach, cichnące w miarę oddalania się.

Lily ogarnął niepokój. Jak powinna się teraz zachować? Zastępuje jej przecież matkę, jest jej opiekunką. Instynkt, o który się nie posądzała, podpowiadał jej, że należy za nią pójść. Najwyraźniej Penelope chciała jej coś powiedzieć. Tak czy owak postanowiła zapytać ją o to.

Weszła na górę i skierowała się do sypialni bratanicy.

- Penelope! - zawołała, pukając do jej drzwi.

- Odejdź stąd!

Lily o niczym więcej nie marzyła. Ale dźwięczały jej w uszach słowa Morgana, że musi się zdobyć na to, aby być dobrą matką. Zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę.

Bratanica siedziała przy toalecie i czesała swoje piękne długie włosy. Spojrzały na siebie w lustrze.

- Penelope?

- O co chodzi?

Siedziała na ładnym, miękkim pufie, spokojna, opanowana, w niczym nie przypominająca dziewczynki, która przed paroma minutami stała w drzwiach salonu.

- O nic. - Lily nagle poczuła się nieswojo. - Dobranoc.

Odwróciła się i poszła do siebie, masywne drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaśnięciem. Pragnęłaby

znaleźć jakiś sposób na przełamanie dzielącej je bariery. I choć stosunek bratanicy do ciotki daleki był od entuzjastycznego, Lily czuła, że z każdym dniem mur, którym Penelope się odgradziła, zaczyna powoli się kruszyć. Albo może tylko tak jej się czasem wydawało. Innym znów razem, na przykład przed chwilą, gdy weszła do jej pokoju, miała wrażenie, że zrobiła z siebie idiotkę. Tak, Penelope niewątpliwie traktowała ją tak jak Robert. Oboje jej nie akceptowali.

Przemierzała pokój od ściany do ściany, gładząc dłonią boa z piór i szal szydełkowej roboty. Stanęła przed swoją cenną porcelanową filiżanką. Przypominała jej zawsze lata szczęścia i nadziei, które minęły i nigdy już nie wróca.

Minęły.

Wszystko straciła.

Co oznaczało jednak, pomyślała i aż ręce zwilgotniały jej z emocji, że nic już nie ma do stracenia.

Wyprostowała się, naprężyła ramiona, a umysł jej pracował na najwyższych obrotach. Nie ma nic do stracenia. Wiedziała już, co zrobi.

W pośpiechu przemyla wodą twarz i spojrzała w lustro.

- Zrobisz to, Lily Blakemore - szepnęła.

Pospieszyła w stronę drzwi, lecz w ostatniej chwili zatrzymała się. Przerzuciwszy zawartość szuflad i szaf, znalazła odpowiednią suknię, jedwabny szal, piękne rękawiczki, pantofle, kapelusz. Tak właściwie i stosownie ubrana dokona właściwych i stosownych przeprosin.

Zamierzała udać się do domku Morgana Elliotta. Przeprosić go. Powiedzieć, jak bardzo jest jej przykro. Jest mu to winna.

Ubrała się, a gdy spojrzała w lustro, musiała przyznać, że wygląda jak prawdziwa dama, w każdym calu.

Roześmiała się, bo aż zakręciło się jej w głowie z wra-

żenia. Szła ku tylnym drzwiom, a serce łomotało jej w piersi. Panował już mrok, tylko na zachodzie skrawek nieba lśnił purpurą. Koniec lata, dni stawały się coraz krótsze. Okrążając spopieliałe ognisko, czuła się w najwyższym stopniu zakłopotana i wiedziała, że odbija się to na jej twarzy.

Co też ona wyrabia?

Ale nie pora teraz na takie rozważania, stwierdziła. Idzie przeprosić Morgana.

Gdy zbliżała się do granicy swojej posiadłości, zwolniła kroku. Ostatnio była w tym domku za dziecinnych lat. Opadły ją wspomnienia. Cudowne "wspomnienia, zanim świat się jej zawalił.

Zawalił się, i nie ma co rozczulać się nad sobą.

Uświadomiła sobie nagle, że nie wie, co ma powiedzieć.

- Bardzo mi przykro - szepnęła w mrok.

- Proszę, wybacz mi. - Kolejna wersja.

Nie, nie tak. Nie będzie go prosić. A może powinna?

- Panie Elliott - zaczęła od nowa. - Wyrażam szczerzy żal z powodu mego niewybaczalnego zachowania się.

Lecz jeśli tak powie, myślała, to będzie oznaczało, że zrozumie go, jeśli on jej nie wybaczy. A on musi jej wybaczyć. Musi.

Była już blisko domku, a wciąż rozmyślała o odpowiednim doborze słów. Szła wolno, coraz wolniej. Serce jej biło z trwogi, jaka ją ogarnęła. Mimo to uniosła głowę i pomaszerowała prosto w stronę małej werandy znajdującej się od frontu. W domku było ciemno. Przeraziła się.

Zrobiła głęboki wdech, podniosła dłoń w rękawiczce i zapukała. Serce w niej zamarło. Żaden dźwięk nie dochodził z wnętrza.

Zapukała ponownie.

Cisza.

A jeśli on odjechał? Odjechał na zawsze?

Nie namyślając się, pełna obaw, że tak się stało, naciśnęła klamkę. Drzwi otworzyły się.

Wewnątrz było ciemno. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, stwierdziła, że nikogo tu nie ma. Pokój był pusty, stało w nim tylko parę mebli.

Morgan odjechał.

Poczuła gorycz rozczarowania. Odjechał. Nigdy nie będzie mogła go przeprosić.

2 ciężkim westchnieniem przemierzyła pokój, powstrzymując cisnące się do oczu łzy. Pomyślała po chwili, że może dobrze się stało. Przeprosiny niczego by nie zmieniły. W gruncie rzeczy nie chodziło o wypowiedziane w gniewie słowa. Nie mogła go przeprosić za rzecz najważniejszą, że była Karmazynową Lily, tak jak nie mogła przestać nią być.

Światło księżycy wpadało przez otwarte drzwi i małe okienko. W domku mało było sprzętów. Krzesło, stół, biurko. Szafa na ubranie. I łóżko. Wąskie, sklecone byle jak. Uśmiechnęła się, zastanawiając się, jak Elliott się na nim mieści. I wtedy dostrzegła parę jego rzeczy - buty, koszulę, którą nosił, odkąd tu przybył, zawsze była czysta, od częstego prania zmiękła jak pieluszka. Mógł ją zostawić, lecz gdy podeszła do stołu, zauważyła zegarek, którego nigdy u majstra nie widziała. Piękny, w srebrnej kopercie.

Wzięła go do ręki, poczuła chłód metalu. Myślała o Morganie.

- Przepraszam. - Ten szept wyrwał jej się z głębi serca.

Srebro rozgrzało się od jej dłoni. Coś ją korciło. I choć wiedziała, że tego robić nie powinna, otworzyła wieczko zegarka: „Mojemu synowi, ojciec”.

Ogarnęła ją dziwna tęsknota. Taki piękny podarunek.

A z tego, co wiedziała o Morganie, dla jego ojca musiał to być ogromny wydatek. Dowód wielkiej miłości.

- Dlaczego - zapytała cicho - dlaczego tak mi się w życiu ułożyło?

Tak jej się właśnie ułożyło. Jak powiedziała wczoraj wieczorem, przeszłości nie da się zmienić.

Zamknęła wieczko zegarka i odłożyła go na miejsce. Przeszłość jest za nią, przed nią jest przyszłość, na którą może mieć wpływ. Przeprosi Morgana. Zegarek świadczy o tym, że nie wyjechał, przynajmniej nie na stałe. W najgorszym razie wróci kiedyś po zegarek.

Pozostaje jej zatem czekać.

W takiej sytuacji postanowiła wyjść przed dom. Może nadejdzie. Nie chciała, aby ją zastał na szperaniu w jego rzeczach.

Na werandzie nie było krzeseł, wobec tego usiadła na schodkach, zdecydowana czekać aż do skutku. Wciąż jednak istniała możliwość, że majster odjechał bez słowa pożegnania i wróci tylko po swoje rzeczy.

Mimo późnej godziny było ciepło. „Stosowne i właściwe” pantofle cisnęły ją i uwierały. Marzyła o tym, by zdjąć rękawiczki, zrzucić z ramion szal. Ale nie zrobi tego za nic w świecie. Kapelusz to co innego. Wygląd prawdziwej damy nie ucierpi na tym, jeśli go zdejmie.

Wyjęła szpilkę i z westchnieniem ulgi zdjęła kapelusz - położyła go obok, na stopniu. Bywały momenty, tak jak ten właśnie, kiedy przyznawała w duchu, że bycie kobietą upadłą ma swoje zalety. Gdy nosiła rękawiczki, nikt na to nie zwracał uwagi. Ale kiedy nie nosiła, miało to oczywisty związek z jej dekadencją naturą. I nikt na to nie zwracał uwagi. Jasna sprawa.

Dopiero Morgan.

On zwracał uwagę. Jego to obchodziło. Włożyła więc

te idiotyczne rękawiczki i pantofle, a kapelusz trzymała pod ręką, by od razu móc go włożyć. Musi przedsięwziąć wszelkie środki, które pomogą jej przeprosić Eliotta, bo taką właśnie podjęła decyzję.

Robiło się coraz później. Z łokciami wspartymi o kolana, obiema dłońmi ująwszy podbródek, wpatrywała się w wiodącą do domostwa drogę, płyty chodnika odbijały światło księżyca niczym czarne perły. Wzrok jej spoczął na krzywiznach starej zaprawy łączącej skalne płyty. W momencie gdy powędrowała oczami w stronę wysokiego żywopłotu, ujrzała Morgana.

Wysoki, najprzystojniejszy ze wszystkich mężczyzn. Srebrny blask księżyca oświetlał jego postać.

Poczuła ucisk w okolicach serca. Płatały jej się słowa, które miała wypowiedzieć, myśli kłębiły się w głowie.

Był piękny. Bardzo piękny. Sylwetka wyrzeźbionego w marmurze posągu. Poruszał się z gracją dzikiego zwierzęcia, odmierzającego oszczędnie kroki. Szedł powoli, niespiesznie. Odprężony, spokojny.

Tymczasem ona była spięta, bała się jego ostrej reakcji. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby chłodnym tonem kazał jej odejść. Ale zniesie wszystko, przeczeka jego gniew i nie ruszy się z miejsca, jeśli każe jej wracać do domu. A potem go przeprosi.

Zauważyła, kiedy ją dostrzegł. Zwolnił kroku. Gdy był już blisko, stwierdziła, że wcale nie był odprężony ani spokojny. Miał wyraźnie zmęczoną twarz.

Przed werandą zatrzymał się. Pod spojrzeniem jego czarnych oczu cała odwaga ją opuściła. Poczuła przeżywaną chęć ucieczki. Lecz byłoby to zwykłe tchórzstwo z jej strony.

- Witam - odezwała się niepewnym głosem, szarpiąc nerwowo pióra leżącego obok kapelusza.

Nic nie odrzekł ani nie skinął głową w odpowiedzi, tylko przyglądał się jej chłodnym wzrokiem.

Zrobiła głęboki wdech, chciała wyartykułować to, co ułożyła sobie w głowie, zanim zupełnie przestanie panować nad nerwami.

- Chciałam ci powiedzieć, że postąpiłam bardzo nieuprzejmie, wypowiadając te słowa o Jenny. Sprawiałam ci przykrość.

Świdrował ją wzrokiem. Jego przenikliwe spojrzenie onieśmielało ją, zbijało z tropu. Ale nie cofnie się. Tym razem nie. Wytrzymała jego wzrok, niech dotrze do niego, że ona zna wagę tego, co rzekła.

Po długiej, jakże męczącej chwili ciszy Morgan wszedł po schodkach, jego oczy groźnie na nią spoglądały, a w niej serce zamarło. Nie uwierzył w jej szczerść, a jeśli uwierzył, to mało go to widocznie obchodziło. Zostawi ją tu - nie przyjął przeprosin. Schylił się i podniósł jej kapelusz, po czym wszedł do domku.

A ona siedziała bez ruchu, serce jej waliło, w głowie miała mętlik. Postawa Elliotta była jednoznaczna. Przyzwyczajona nakazywała jej wstać i uciec, nie oglądając się za siebie. Zamiast tak właśnie postąpić, weszła za nim do środka.

On w tym czasie zapalił lampkę gazową. Złote światło zalało pokój. Otworzywszy okno na oścież, wsparł się o parapet. Patrzył w ciemność nocy, nie odwracając głowy, a ona stała bez ruchu nie wiedząc, co począć.

Trwało to chyba całą wieczność. A gdy nie mogąc już dłużej znieść tej sytuacji, Lily chciała wypowiedzieć jego imię, on rzekł:

- To ja powinienem cię przeprosić. - Mówił tonem spokojnym, w którym wyczuwało się cierpienie. - Miałaś rację. Nie uchroniłem Jenny.

Była do głębi poruszona.

- Czułam się okropnie, ubolewałam, że nie mogę wycofać tych słów. Najmocniej cię przepraszam.

- Za prawdę się nie przeprasza. Obiecywałam jej, że będę się nią opiekował.

- Musiałeś ją bardzo kochać.

- Tak, kochałam ją. - Westchnął i milczał chwilę, jakby się wahając. - Nasze rodziny łączyła przyjaźń. Nasi ojcowie chodzili razem do szkoły. Matki wychowywały się razem. Jenny była jedynaczką, ja - jedynakiem. Byliśmy rówieśnikami, tydzień różnicy, i już od urodzenia rodzice chcieli, żebyśmy pobrali się w przyszłości.

- Ty też chciałeś tego małżeństwa?

- Nie przyszło mi nawet na myśl, że mógłbym się z nią nie ożenić. - Opuścił głowę, znowu westchnął i wyprostował się. - Gdy Jenny miała dziesięć lat, jej rodzice zginęli w wypadku drogowym. Jenny była zrozpaczona, tak jak i my wszyscy. Po paru dniach wprowadziła się do nas. W nocy zakradała się do mojego pokoju i kładła się przy mnie w łóżku. Przez parę miesięcy chyba w ogóle nie zmrużyłem oka, tylko tuliłem ją, a ona płakała; aż nie do wiary, ile łez można wylać. Bała się, co się z nią stanie.

Lily już, już wyciągała rękę, by dotknąć Morgana, lecz coś ją przed tym powstrzymało.

- I wtedy właśnie obiecałeś, że będziesz ją chronić?

- Tak. - Słowo to wypełniło cały pokój.

Jakiś dreszcz - czyżby dreszcz zazdrości - przeszył jej ciało. Jakże wiele musiała znaczyć dla Jenny świadomość, że ma kogoś, kto zapewni jej opiekę.

- Nie mogę przestać myśleć o tym - ciągnął - że gdybym kochał ją prawdziwie, nie dopuściłbym do tego, co się stało, uratowałbym dziewczynę.

- Zbyt surowo siebie osądzasz.

- Obiecałem przecież.

- Jak ty to sobie wyobrażasz, Morgan? Ze dobiegł-
byś do niej w porę? Że powinienes być stać obok? Bo-
że, skąd mogłeś wiedzieć, że ona upadnie?

- Ona nie upadła - powiedział przez zaciśnięte zęby. -
Ona skoczyła.

- Jezu Chryste!

- Przyszła do mnie po pomoc. - Oddychał ciężko.
Pamiętał ten dzień, jakby to było wczoraj. - Zdziwiłem
się, że przyszła właśnie tam, na tę skalistą skarpe. Nie
lubiła tego miejsca, gdzie ja często przebywałem. Mia-
ła lęk wysokości. - Cień uśmiechu przemknął po jego
twarzy. - Powiedziała, że mnie kocha. Ponad wszystko
na świecie. Chciałem ją przytulić, ale ona odsunęła się
i szepnęła, żebym nic nie mówił, jeszcze nie. I wtedy
oznajmiła mi, że jest w ciąży.

- Z tobą?

Elliott spojrzał na Lily błyszczącymi z emocji ocz-
mi.

- Nie, nie ze mną! Z Treyem! Moim przyjacielem.
I jej przyjacielem.

- Jenny oddała się mu? Kochała go?

- Nie wiem, czy go kochała. Nie sędzę. Powiedziała,
że zdarzyło się to tylko raz. Jakby to była jakaś różni-
ca! - Głos jego brzmiał teraz ostro, nieprzyjemnie. - Po-
wiedziała, że to był błąd. Tak wypadło. Wypadło! -
krzyknął, uderzając pięścią w parapet. - A przecież mia-
ła zostać moją żoną!

Odwrócił się od okna i spojrzał na Lily.

- Przed przyjściem do mnie była u Treya i powiada-
ła go o tym. Ale ten łajdak oświadczył, że się z nią
nie ożeni. Nie wiedziała, co począć, więc poprosiła, że-
bym ją poślubił i dał dziecku nazwisko.

- Mimo tego, co się stało - szepnęła - powinieneś być zgodzić się na to małżeństwo.

Morgan był wyraźnie poruszony. Dowiedziawszy się prawdy o nim, Lily nie odwróciła się od niego, tak, potępiła go, ale zarazem starała się go zrozumieć. Wzruszenie ścisnęło go za gardło, wdzięczny był losowi, że oto znalazł się ktoś, komu mógł wyjawić swój dramat.

- Tak, masz rację. Powiniennem być ją poślubić. Lecz kiedy powiedziała mi o tym, doznałem szoku. Byłem wściekły. Odszedłem parę kroków, żeby się uspokoić, zebrać myśli. To wszystko. Ożeniłbym się z nią. Ale zanim zdołałem wyrzec słowo, ona skoczyła. Gdybym nie odszedł, ocaliłbym jej życie.

Cóż ona, Lily, mogła powiedzieć? Jak okazać, że podziela jego ból?

- Mówiłam ci już, Morgan, że nic i nikt nie może człowieka uratować.

- Ja mogłem. Uroczu Jenny. Potem przez całe życie starałem się naprawiać ludzkie krzywdy, zwalczać zło.

Na te słowa serce jej się ścisnęło, wzruszenie zatakowało oddech. Od początku zdawała sobie sprawę, że między nią a Morganem do niczego nie może dojść. Nie chodzi o to, że kochał kiedyś dziewczynę o imieniu Jenny. Nie chodzi o nią. Chodzi o pamięć o niej. Jeśli wobec niej, Lily, Morgan żywił jakieś uczucia, to było to uczucie gniewu, zniecierpliwienia... i zwykłe pożądanie, jakie budziła w wielu mężczyznach.

Cała była obolała. Oto jeszcze jeden dowód, czym było jej życie. Odwróciła się, przygryzła dolną wargę, starając się nie okazać po sobie tego, co ją nęka. Chciałaby uciec stąd, znaleźć się jak najdalej od tego domku. By móc się rozpłakać, dać upust swojemu cierpieniu. Elliott położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie potrafiłem uwolnić się od myśli o tamtym dniu. Do chwili gdy cię spotkałem.

Dopiero po jakimś czasie dotarły do niej te słowa. Lecz gdy pojęła ich sens, aż zamarła z wrażenia. Nie dowierzała własnym uszom.

- Odmieniłaś mnie, Lily. W moim świecie nie ma dla ciebie miejsca, lecz mimo to nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Wstrzymała oddech, niezdolna zebrać myśli.

- Morgan - szepnęła.

- Nie spotkałem dotąd równie szalonej kobiety. O równie skandalicznym sposobie bycia. Palenie ogniska, łamanie krzesel, Jezu Chryste! - Potrząsnął głową. - Często się zastanawiam, jak można samemu się wpędzać w takie tarapaty. - Dotknął ustami jej włosów. - Lecz mimo to nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Nie wiem, czy to, co mówisz, ma mnie smucić czy cieszyć - rzekła, nie odrywając wzroku od jego ust.

- Ta kwestia dotyczy nas obojga - powiedział, przytulając ją do siebie z bezmierną tkliwością; pod cienką materią koszuli czuła jego napięte mięśnie. Pocałował ją w usta.

Było to jak iskra, żar ogarnął jej ciało.

Chciała tego żaru, lękała się jednak, do czego to może doprowadzić.

Elliott całował jej twarz.

Próbowała nie dać się ponieść uczuciom. Próbowała zachować obojętność wobec jego pieścizot.

- Morgan...

- Mam dość mówienia. Mam dość myślenia - wyszeptał tuż przy jej uchu.

Poczuła dreszcz pożądania. Chciała mu się oprzeć, zapanować nad nim, ale nie wiedziała jak. Gdyby Morgan jej nie trzymał, upadłaby.

- Tak, Lily, dotykaj mnie.

Przytulił ją mocno do piersi, wyczuwała go przez ten swój odpowiedni strój, jaki przywdziała z okazji tej wizyty, a ciało jej aż płonęło.

Usiłowała cofnąć się o krok, zmusić umysł do panowania nad zmysłami. Lecz Elliott trzymał ją mocno.

- Nie, Lily, chcę się z tobą kochać, pozwól mi.

Pragnęła czuć jego bliskość, dotykać jego ciała. Przez chwilę zastanowiła się, czy od początku nie wiedziała, jak ta noc przebiegnie, czy przeprosiny nie były tylko zwykłym pretekstem. Rumieniec wstydu zabarwił jej policzki.

- Co ci jest? - zapytał Morgan szorstkim, nie swoim głosem.

- Nie powinnam była tu przyjść.

Całując ją, uniósł dłońią jej podbródek.

- Od dawna tego pragnąłem. Chcę się z tobą kochać, Lily. Teraz, tej nocy. Nie zamierzam cię wypuścić.

Klamka zapadła.

Pożądanie obezwładniło ją, nie panowała już nad sobą. Pieściła barki, ramiona Elliotta, czuła pod palcami jego napięte mięśnie, chłonęła jego nierówny oddech.

- Pragnę cię - szeptał jej do ucha - tak bardzo jak jeszcze żadnej kobiety.

Wiedziała o tym. Bicie jego serca dawało temu świadectwo. Wielu mężczyzn pożałowało jej. Lecz tym razem ona odwzajemniała owo pożądanie. Pragnęła Morgana, choć nie powinna dawać się ponieść temu uczuciu.

W tym momencie żadne względy przyzwoitości nie odgrywały roli, żaden zdrowy rozsądek, którym zawsze do tej pory się kierowała, nie wchodził w grę. W tym właśnie momencie chciała Morgana mieć, bez względu na taką bądź inną ocenę jej postępków.

Rozchylił jej wargi. Poczowała smak brandy i cygara,

ale także słońca i bujnej trawy, którą tak lubiła. Jęknęła z rozkoszy, a on przytulił ją jeszcze mocniej, sięgnął pod stanik i ujął jej pełną pierś. Pieścił ją dłońmi.

- Lily - szepnął i delikatnie chwycił zębami jej dolną wargę.

Jego palce odnalazły guziki jej sukni, rozpiął je. Odchylił fałdy materiału i odsłonił jej piersi. Patrzył na nie jak urzeczony, w jego oczach dawało się dostrzec coś, co graniczyło z uwielbieniem.

- Jesteś taka piękna.

Zawstydzona chciała je przykryć.

- Nie - powiedział ledwo słyszalnie.

I zanim padło z jej ust jakieś słowo, wziął ją na ręce i zaniósł na swoje wąskie łóżko. Położył ją ostrożnie, jakby była kruchą lalką z porcelany, która może się stłuc, i powoli ją rozebrał.

- Myślałem o tej chwili, odkąd po raz pierwszy cię ujrzałem. Wyobrażałem sobie ciebie, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie byłaś aż tak piękna - rzekł, dotykając jej piersi.

Leżała oto przed nim bezwstydnie naga i napawało ją to ogromną radością. Chciała, żeby ją kochał. A gdy położył dłoń na jej brzuchu, zapragnęła przykryć tę dłoń swoją ręką. I nie puszczać. Niech to trwa. Niech on z nią będzie. Na zawsze.

Pochylił się nad nią i powoli całował jej ciało, a ona drżała z podniecenia. Szarpnęła jego ubranie, zrzucił je z siebie szybko i położył się obok niej. Czuła pod powiekami gorące łzy i dziwny, dojmujący ból przeszył ją o stóp do głów.

- Morgan - szepnęła, tylko to słowo zdolna była wymówić. Czy to możliwe, by on czuł się podobnie jak ona? A może tylko jej pragnął, pragnął jej ciała, tak jak inni mężczyźni?

Lecz gdy otworzyła oczy i spojrzała na jego twarz, przekonała się dobitnie o tym, że ich odczucia były zbieżne. Tak samo to przeżywał. Tak samo intensywnie.

Nie zdążyła go o to zapytać, bo pocałował ją z taką pasją, że aż zabrakło jej powietrza. Dotykał jej ciała, a ona drżała, wiała się z pożądania. Legł na niej, rozłożył jej uda, zgiął nogi w kolanach i wsunął język głęboko w jej usta. Przycisnął dłonią jej intymne miejsce, pieścił je, jego palce czyniły cuda, a potem z całej mocy wszedł w nią.

Ból przeszył ją na wskroś. Krzyknęła. Morgan spojrział na nią, zmarszczywszy brwi.

- Lily... - zaczął, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

Milczała, cóż miała powiedzieć? Przytuliła się tylko do niego.

- Kochaj mnie - szepnęła, uniosła biodra, a on aż jęknął, i teraz już powoli, miarowo wykonywał miłosne zabiegi. Oboje dali się porwać namiętności.

Morgan kochał ją tak, jakby dążył do całkowitego z nią zespolenia. Lily nawet nie przypuszczała, że można doznawać aż takiej rozkoszy. Poddała się więc bez reszty władzy ciała.

A kiedy osiągnęła szczyt, była przekonana, że nigdy już nie będzie tą samą Lily.

15

Budziła się powoli. I znowu zasypiała. Śnił jej się Morgan. Trzymał ją w objęciach. Całował.

Kochał się z nią.

Ów dziwny stan, ni to snu, ni jawy składał się z tysiąca drobnych fragmentów. Oczy miała otwarte, ale trwała w bezruchu. Jakby nie oddychała. Ale i nie spała. Morgan leżał przy niej.

Boże drogi, pomyślała, co ja zrobiłam?

Bała się poruszyć. Morgan spał, jednym ramieniem obejmował ją, drugie trzymał nad głową. We śnie jego jak wyrzeźbiona twarz złagodniała, włosy miał potargane i wyglądał bardziej na uczniaka niż na srogięgo mężczyznę, jakim w istocie był.

Po chwili spostrzegła z niejaką grozą, że tylko cienkie prześcieradło przesłania jego nagość. I spłonęła rumieńcem, gdy zauważyła, że jej właściwa i stosowna suknia, pantofle i rękawiczki poniewierają się bezładnie to tu, to tam. Wraz z koszulą i spodniami Morgana. Jak na ironię.

Boże drogi, co ja zrobiłam?

Odpowiedź niestety była jednoznaczna. Uprawiała miłość. Z tym mężczyzną. Który przecież jasno dawał jej do zrozumienia, że mu na niej nie zależy.

Aż do tej nocy.

Serce jej zaczęło walić na wspomnienie jego słów. „Opętałaś mnie, Lily.” Tej nocy pożądał jej ponad wszelkie wyobrażenia. Nagle jej serce zwolniło rytm. Elliott nie zająknął się nawet o miłości.

Nie mogła już dłużej myśleć o tym, co zrobiła. Musi teraz jak najszybciej stąd wyjść i wrócić do domu, zanim dzieci się obudzą. I zanim Morgan się obudzi.

Wbrew temu, co on sądził, Lily naprawdę starała się dbać o dzieci. Problem tkwił w tym, że najczęściej nie wiedziała, jak to się robi. A co teraz on o niej pomyśli? Jak ona spojrzy mu w oczy po tym, co się stało? Jakim wzrokiem on na nią spojrzy? Z ubolewaniem? Z pożądaniem? A może z odrazą?

Poruszyła się, zamierzając wstać, i ogarnęło ją zdumienie. Po nocy miłości jej ciało domagało się Morgana. Tak jak przez te wszystkie minione godziny. Jak gdyby mu czegoś zabrakło. Jak gdyby za mało jej było jego bliskości.

Odsunęła się od niego rada, że ma swój koc. Morgan spał przykryty kawałkiem swego. Lecz na widok zaścielającego łóżko prześcieradła zamarła z wrażenia. Nosiła ślady krwi.

Jeszcze jeden dowód na to, co wydarzyło się tej nocy.

Zacisnęła mocno powieki i bardzo powoli wysuwała się z łóżka. Stała wreszcie obok, owijając się szczelnie kocem. Morgan wciąż spał.

Albo tak jej się tylko wydawało.

- Lily?

Jego gardłowy głos sprawił, że zadrżała, tak jak drżała pod dotknięciem jego dłoni.

Ciekawa, co dojrzy w jego oczach, przemogła zażenowanie i obróciła się ku niemu. To, co dojrzała, zaparło jej dech w piersi.

Miłość?

I pomyślała nagle o tej nocy, kiedy Morgan zastał ją na zamazywaniu liter na ścianie. Tamta noc też pełna była emocji. On na pewno coś do niej czuł, od tamtej pory. Lecz owo uczucie tak się splatało z innymi, jakie wobec niej żywił, że trudno było się rozeznąć.

- Chodź do mnie, Lily.

Głos miał jeszcze zaspany, ale brzmiała w nim namiętność. Serce podeszło jej do gardła.

- Nie mogę - wyjąkała. - Muszę iść.

- Jeszcze jest wczesna pora.

- Dla mnie na pewno - zaczęła z lekką kpina, przeklinając w duchu własne ciało, które, o zgrozo, gotowe było poddać się jego woli - ale nie dla innych domowników.

- Chodź! - zażądał słowo stanowczo.

Usiadł na łóżku, spuścił nogi. I po raz wtóry stwierdziła, że jest tak samo nagi jak ona - skraj koca przykrywał jego lędźwie. Widać było wyraźnie jego gotowość. Patrzyła jak urzeczona i myślała o tym, jak dotykała jego ciała, jak pragnęła go, gdy uczył ją dawania rozkoszy.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Elliott chwycił koc, jakim była owinięta. Trzymała materiał mocno, lecz on nie dawał za wygraną.

Ręce jej drżały, ale nie miało to nic wspólnego z lękiem.

- Nie, Morgan.

- Masz do wyboru: albo zerwę z ciebie koc, albo przyjdiesz do mnie - powiedział z błyskiem w oczach.

Albo jedno, albo drugie. Trudny wybór, przynajmniej dla niej. Jeśli zerwie z niej koc, ona stanie przed nim zupełnie naga, bez żadnej osłony. Z kolei na samą myśl o tym drugim serce jej bije żywszym rytmem. Lecz Morgan nie przejmował się jej rozterką i przyciągnął Lily do siebie.

- Ja naprawdę muszę już iść do domu. - Była tak blisko Morgana, że czuła bijący od niego żar, oddychała z trudem. - Sam przecież mówiłeś, że muszę dbać o dzieci.

- Wytrzymają bez ciebie jeszcze parę minut. A ja nie wytrzymam.

- Wytrzymasz, musisz. - Ledwo wykrztusiła te słowa. - A teraz zamknij oczy, pozbieram swoją garderobę.

- Na to już za późno - oznajmił niskim, szorstkim głosem, jak gdyby mówienie kosztowało go wiele wysiłku.

Koc spowijał ją aż po szyję. Elliott ujął dłoń Lily.

- Dokonałaś wyboru - dodał i delikatnie uwolnił sukno z jej rąk.

Legło wokół jej stóp. Stała całkiem naga. Z piersi

Morgana wydobył się jęk, a gdy próbowała sięgnąć po koc, chwycił ją za rękę.

- Nie!

Przytulił ją. Powinna go była odepchnąć, bez względu na wszystko, pozbierać odzież i uciec. Lecz on wodził dłońmi po jej ramionach, rękach, aż dreszcz ją przeszył. Z niewiarygodną wręcz czułością unióśł jej dłonie do ust.

- Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty - wyszeptał.

Oczy jej rozbłysły. Wyczytała szczerość w jego spojrzeniu, szacunek. A gdy dotykał jej brzucha, piersi, stać ją już było tylko na westchnienie.

Przejechała dłonią jego włosy i jęknęła, gdy chwycił ustami jej brodawkę. Wessał głęboko, pieścił językiem, aż stwardniała. Chwycił drugą, ssał, obracał ją w ustach, a Lily czuła, jak krew się gotuje w jej żyłach.

Wyczuwając jej podniecenie, powędrował palcami niżej i jął pieścić jej kobiecość.

- Morgan! - krzyknęła, gdy wcisnął swe silne udo między jej nogi.

- Ciii, skarbie. Kochaj się ze mną!

- Nie mogę - zaprotestowała, choć ciało jej płonęło.

- Możesz. No, Lily...

Całował jej biodra, uda, aż rozluźniła się.

- O, tak, księżniczko - mruknął, nie przerywając pieszczot.

Krzyk Lily przemienił się w westchnienie, które uwięzło jej w gardle, a uczucie zakłopotania ustąpiło miejsca gwałtownemu pożądaniu - pragnęła dotyku rąk Elliotta.

- Tak, Lily. - Wypowiedziawszy te słowa, wsunął palec w jej intymne miejsce. Sprężyła się cała, a on dalej ją pieścił. Poruszał palcem w jej wnętrzu, delikatnie, ale zdecydowanie, aż poczuła swą własną wilgoć.

- Boże, ale jesteś namiętna - szepnął, wsuwając w nią drugi palec, tulił ją, gdy drżała z podniecenia.

Sięgał głęboko, coraz głębiej, oddychał coraz szybciej... a potem czule ją całował. Ujął ją za ramię i nie puścił, póki nie usiadła okrakiem na jego udzie. Położył się na łóżku, przyciągnął ją do siebie, ciała ich się zwarły. Całując ją w usta, chwycił obiema dłońmi jej pośladki, jego palce błędziły po jej plecach. Posadził ją na sobie. Chciała go całować, nie wiedziała jak. Silnymi ramionami przytulił ją do piersi, czuła już jego język w ustach i ruchy jego ciała.

- Cudowna Lily - wyszeptał ochrypłym głosem. - Chcę być w tobie.

Obrócił się na bok, legł na niej, wsparłszy łokcie o materac.

- Już dłużej nie mogę - jęknął, rozchylając jej uda.

Wykrzykując jej imię, posiadł ją. Wyczuwała jego napięcie, gdy czekał na zespolenie się ich ciał. I zaczął, najpierw powoli, potem coraz szybciej, oboje dyszeli ciężko, sycąc się sobą. Uniósł do góry jej biodra, by spotęgować siłę doznań.

Chwycił ją za ramiona, przywarł twarzą do jej szyi, dyszał, jęczał, napierał na nią coraz mocniej, póki nie wyczuł drgań jej ciała zwiastujących orgazm. Wykrzyknął jej imię i Lily poczuła, jak przez jej ciało przebiega gwałtowny dreszcz, gdy wypełniał ją swoim nasieniem.

Leżał na niej bezwładnie. Czuła jego ciężar i rada była temu ciężarowi, po chwili osunął się na bok, wraz z nią. Słyszała bicie jego serca, szybkie. Leżeli wtuleni w siebie, milczeli, otaczała ich cisza. Lily pomyślała, że chciałaby tak leżeć bez końca.

I wtedy Morgan zapytał:

- Kochałaś go?

Zbierała rozproszone myśli, starając się zrozumieć sens jego pytania, nie dopuszczała do siebie tego, co najgorsze.

- O czym ty mówisz?

Ukrył twarz w jej włosach.

- Czy bardzo kochałaś Raine Hawthorne'a?

Z trudem chwytała powietrze, zrobiło jej się gorąco, serce waliło jej jak młotem. Nie mogła już niczemu zaprzeczyć. Raine, o którym sądziła, że ją kocha. Ale nieporównanie bardziej kochał sławę.

Już wtedy powinna była to zrozumieć. Lecz nie przyjmowała tego do wiadomości. Zgodziła się mu pozować. Siedziała godzinami i opowiadała mu o swoich marzeniach i nadziejach na przyszłość, a on słuchał i mówił jej, żeby uwierzyła w siebie, żeby nie pozwoliła nikomu wygasić w sobie owego płomienia.

Śmieli się, rozmawiali. I zaufała mu. A on zawiódł ją, wystawił na pośmiewisko.

- Czy go kochałam? Nie - odparła zdecydowanym tonem.

Elliott wsparł się na łokciu.

- To dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego zgodziłaś się mu pozować?

Piekące łzy napłynęły Lily do oczu. Miała ochotę krzyczeć, wyć. To pytanie uświadomiło jej, że choć nie obdarzyła sobą innego poza nim mężczyzny, Morgan nie potrafi zapomnieć o jej przeszłości.

W tym momencie jej nienawiść do Raine sięgnęła szczytu. I tak jak nigdy nie wybaczy Hawthorne'owi, tak chyba nie zdoła wybaczyć Morganowi, iż zawiódł jej nadzieje, iż wciąż ją uważa za kobietę upadłą.

Próbowała odsunąć się od niego, ale ramię Elliotta niczym żelazna obręcz uniemożliwiało jej wszelkie ruchy.

- Niech wreszcie dowiem się, Lily. Dlaczego mu pozowałaś?

Widząc zatroskanie w jego oczach, uspokoiła się.

- Może dlatego, że chciałam.

Znowu usiłowała odwrócić się. I tym razem tak mocno ją do siebie przytulił, że przez sekundę nie mogła złapać tchu.

- Lily - szepnął - W jego czarnych oczach dostrzegła cień wyrzutu.

- Puść mnie, Morgan.

- Przepraszam.

- Za co? Że zadałeś mi to pytanie? A może moja odpowiedź sprawiła ci zawód?

Patrzył na nią coraz bardziej ponurym wzrokiem.

- Chciałbym, żeby to wszystko było takie proste. Mam nadzieję, że pewnego dnia... przypomnisz sobie moje słowa. Przepraszam cię, Lily.

Popatrzyli sobie w oczy; tyle niewypowiedzianych słów zawisło między nimi. Domagałaby się od niego jasnej odpowiedzi, ale on puścił jej ramię. Była wolna. Po chwili wstała. Zaczęła zbierać porozrzucane części swojej garderoby, nie zważając na jego spojrzenia. Mocowała się z suknią, zła, że te diabelne guziki zapinają się trudniej, niż się odpinały.

- Pozwól...

- Nie! - krzyknęła. Wyrwała mu się, gdy próbował jej pomóc. - Nie! - powtórzyła. - Nie, nie, nie! - Ręce jej się trzęsły.

- Do diabła, Lily!

Wciągnął spodnie, przecesał palcami włosy. Ten mały pokój wydał mu się nagle jeszcze mniejszy. Przeszedł kilka dzielących ich kroków i odsunął na bok jej niezdarne dłonie.

- Zostaw. Dam sobie radę - rzekła łamiącym się głosem.
- Nie, nie dasz.

Nerwowymi ruchami zapinał jej suknię. Gdy uporał się z ostatnim guzikiem, odwróciła się od niego i ruszyła ku drzwiom. W ostatniej chwili zatrzymała się. Korciło ją, by wrócić i spróbować wytłumaczyć, jak do tego doszło. Wytłumaczyć mu, że była młoda i głupia i zaufała takiemu człowiekowi jak Raine Hawthorne.

Morgan stał nieruchomo jak grecki bóg, silny, aczkolwiek jego twarz zdradzała udrękę. Był w nim jednak jakiś spokój, jakiego nigdy przedtem nie dostrzegała, spokój po gniewie, który wybuchł w nim płomieniem, jak owego dnia na podwórzu, płomieniem, który łatwo może wymknąć się spod kontroli. Ale podobnie jak wcześniej Morgan skutecznie nad sobą zapanował.

Minęła jej ochota na wszelkie wyjaśnienia. Pomyślała sobie, że jeśli po tym, co razem przeżyli, on jeszcze chce zadawać jej pytania, to odpowiedzi na nie już się nie liczą. Za późno na wszelkie wyjaśnienia. Prawdę mówiąc, za późno było już przed paroma laty, gdy zgodziła się pozować Hawthorne'owi.

Po tej chwili wahania - wyszła. Ale toku myśli nie potrafiła odmienić. Morgan pożądał jej, to prawda. Lecz jej nie kochał - i położyła się z nim do łóżka bez sakramentu małżeństwa.

Jeśli do tej pory nie zasługiwała na miano, jakim obwołał ją cały Nowy Jork, to teraz - tak. Postąpiła haniebnie.

Po latach udowadniania sobie samej, że nie była tą, za jaką uważało ją jej środowisko, teraz właśnie dowiodła, że jej prześladowcy mieli rację.

Jęknęła głośno w pustkę jaśniejącego szybko nieba. Postąpiła tak, jak zarzekała się, że nigdy nie postąpi. Przyszła do domu Elliotta i nie wycofała się, gdy dał jej

do zrozumienia, czego od niej chce. Wręcz przeciwnie, prosiła, żeby się z nią kochał.

O Boże, ona jest Karmazynową Lily!

16

Lily. Dziewica.

Morgan stał na ganku wsparty o framugę, palił cygaro i wpatrywał się z ponurą twarzą w niebo wczesnego poranka.

Lily była dziewczicą.

Co to wszystko znaczy? - zapytywał się po raz setny i wciąż nie znajdował odpowiedzi. Ale jedno było pewne: temperatura jego uczuć znacznie wzrosła. Tak, pozowała nago Hawthorne'owi, lecz nie oddała mu się.

Nie była też kochanką Johna Crandalla.

Wprawdzie nie rozumiał, co Lily z nim łączy, wiedział jednak, że nie łóżko.

I choć nie powinno to aż tyle dla niego znaczyć, jednak znaczyło. Tylko z nim - z nikim innym - przeżywała intymne chwile. Nieoczekiwany dar losu.

W owo radosne zdumienie wdzierał się jednak niepokój. Dlaczego pozowała nago, skoro nic ją z tym artystą nie łączyło? Dla pieniędzy? Czy sądziła, że ujdzie jej to płazem, że środowisko jej nie odtrąci?

Potrząsnął głową. Nie wyobrażał sobie, by pieniądze aż tyle dla Lily znaczyły.

Więc dlaczego?

Dni mijały, a w jego myślach panował chaos, od poszukiwań odpowiedzi na dręczące go pytania mąciło mu

się w głowie - i trwał tak w stanie ciągłej niepewności.

Po tej nocy w domku Lily ignorowała Elliotta. Ilekroć udało mu się ją odszukać, to albo gdzieś się wymykała, albo przywoływała dzieci. Było oczywiste, że nie chciała mieć z nim do czynienia.

Pomyślał, że już dawno powinien był opuścić Blake-more House. Ale jakoś wciąż nie mógł się na to zdobyć.

Powiedział jej prawdę. Ze nigdy dotąd nie pragnął tak jak jej żadnej kobiety. Cokolwiek robił, czuł się jak w pułapce, z której nie mógł się uwolnić. Nie spał po nocach, chciał iść do Lily. Ale zanim doszedłby do drzwi, wymyślałby sobie od ostatnich.

Właściwie to nic się nie zmieniło, myślał. Absolutnie nic. Przeżyli oboje chwile, których on nigdy nie zapomni, lecz w niczym to nie zmienia faktu, że wciąż ma zadanie do wykonania. Obiecał sobie jednak, iż w tym celu nie posłuży się osobą Lily.

Odejdź stąd, nakazywał sobie. Ona cię tu nie chce. Lecz póki żyje, nie zapomni tej nocy z nią spędzonej. I, o Boże w niebiosach, również tego ranka nazajutrz. Tak więc dni płynęły jeden za drugim, a on nie odchodził.

Na domiar złego coraz bardziej niepokoił się o Lily. Jeśli do tej pory w domu panował bałagan, teraz dom znalazł się w stanie kompletnego rozpadu. Lily spaliła prawie wszystkie rzeczy z pokoju na poddaszu - wszystko, co dało się z niego znieść. Pozostała tam tylko szafa.

Stwierdziwszy, że najlepszym sposobem na pozbycie się niechcianych rzeczy jest spalenie ich, Lily chodziła z pokoju do pokoju, zaznaczając kolejne, przeznaczone na zagładę sprzęty.

Coraz częściej słychać było dzwony wozu straży pożarnej jadącego do Blakemore House. I za każdym razem Morgan musiał składać wyjaśnienia. Jeśli to się nie

skończy, niewątpliwie wsadzą go do aresztu za łamanie obowiązującego w mieście prawa.

A choć wymyślał sobie od idiotów, nie mógł zdobyć się na to, by powiedzieć naczelnikowi straży pożarnej, że to panna Blakemore podkłada ogień. Skutek tego będzie taki, że to on właśnie trafi za kratki.

Lily nie doceniała jego szlachetności. Prawie się do niego nie odzywała, a jeśli już, to tylko by zadać pytanie: „Czy to wozy strażackie?”

Elliott wyszedł z kuchni i skierował się ku schodom. Nie zauważył tego ranka, by dzieci czy Lily opuszczały dom, ale wszędzie panowała cisza. Groźna, jak wiedział z doświadczenia.

Co się dzieje, u diabła - mruknął.

Chodził z pokoju do pokoju - nie było nikogo. Przemierzał właśnie korytarz, gdy nagle zatrzymał się. Usłyszał podniesione głosy. Uświadomił sobie po chwili, że dobiegały z buduaru Lily.

- Zostaw to!

- Nie bądź dzieckiem. Ja się po prostu jej przyglądam.

- Zejdz stamtąd, Penelope!

Wymianę zdań znaczyła coraz większa irytacja, to też przyspieszył kroku. Ale i tak przybył za późno. Gdy dopadł drzwi, usłyszał trzask tłukącego się szkła. I pełen przerażenia krzyk dwóch dziewczynek.

- Coś ty zrobiła?!

Otworzył drzwi sypialni Lily. Na środku pokoju stały Penelope i Cassie, na podłodze obok nich leżały kawałki potłuczonej porcelany. W mig się zorientował, że była to cenna porcelanowa filiżanka Lily. Spodeczek ocalał.

Obrzucił obie dziewczynki surowym spojrzeniem. Milczały przestraszone w tym podejrzanym dziś cichym domu.

- Co wy tu robicie? - zapytał ostrym, gniewnym tonem.

Nie słyszał kroków Lily, gdy weszła, dopiero gdy stanęła obok niego.

- Co się stało? - zapytała, patrząc na szczątki porcelany.

Odczytał z jej oczu, jakie targały nią uczucia. Była bardzo przywiązana do tej filiżanki. Wiedział o tym. Dzieci też o tym wiedziały. Do niewielu rzeczy przywiązywała wagę, ale ta filiżanka wiele dla niej znaczyła.

Penelope stała bez ruchu, w oczach miała lęk. Było to zadziwiające u dziewczynki, która nigdy nic sobie z niczego nie robiła i nie była skłonna do przejawiania emocji. Łzy zamgliły jej wzrok, choć starała się je ukryć.

Morgan współczuł jej, bardziej niż współczuł Lily. Aczkolwiek fakt pozostawał faktem, filiżanka została stłuczona. I bratanica zasłużyła sobie na gniew ciotki.

Penelope popatrzyła na Lily, usta jej drżały, po czym bez słowa uklękła i zaczęła zbierać skorupy, a łzy spływały jej po policzkach.

- Uważaj - powiedział Morgan. - Możesz się pokaleczyć.

- Mówiłam jej, żeby nie ruszała filiżanki - rzuciła Cassie urywanym głosem.

Choć Penelope głowę miała opuszczoną, Elliott dostrzegł, że dziewczynka, walcząc ze łzami, zaciskała co chwila powieki.

Lily nie ruszała się z miejsca.

Cassie podbiegła do niej, objęła ją czule.

- Och, Lily, ja mówiłam jej, naprawdę. Tak się boję, że nas znienawidzisz. - Głos jej się załamał. - Nie opuszczaj nas.

Morgan nie miał wątpliwości. Cassie bała się tego. I Penelope bała się tego, tylko nie wiedziała, jak to wyrazić. Cassie wszystko dałaby za to, żeby móc cofnąć

czas. Nim stłukła się filiżanka, nim zmarł jej ojciec, zostawiając ich samych na tym świecie.

Nie odrywając wzroku od kawałków porcelany na podłodze, Lily położyła machinalnie rękę na główce bratanicy.

Obserwując tę dziwną scenę, Morgan doszedł do wniosku, że musi coś zrobić. Ale co? Jak ma sprawić, by Lily zrozumiała obawy dziewczynek?

Penelope podniosła ostrożnie jeden kawałek porcelany, potem drugi. Mając już dość tej ciszy, Elliott zamierzał właśnie ją przerwać, gdy Lily go uprzedziła:

- To tylko zwykła stara filiżanka, Penelope.

Dziewczynka spojrzała na ciotkę, ta wzruszyła ramionami.

Zrozumiała, pomyślał Morgan.

- Naprawdę - ciągnęła Lily, bruzdy na jej czole wygładziły się. - Wszyscy wokół wiedzą, że gdziekolwiek się ruszę, zaraz coś leci na podłogę. Wystarczy, że spojrzę na szkło i już jest stłuczone. - Podeszła do Penelope i pochyliła się nad nią. - Naprawdę, to tylko zwykła stara filiżanka - rzekła ciepło.

Dziewczynka skuliła się, była przerażona, nie dowierzała własnym uszom.

I wtedy Lily zrobiła coś, czego Morgan nigdy nie zapomni. Wzięła porcelanową figurkę, która zdobiła mały stolik. Zanim się spostrzegł, upuściła ją na podłogę.

- Bęc - powiedziała tylko.

Penelope i Cassie patrzyły na nią w osłupieniu, z szeroko otwartymi ustami. Po czym nagle, z impetem, który niemal zbił Lily z nóg, Penelope chwyciła ciotkę w objęcia.

- Przepraszam, tak mi przykro! - krzyczała, a łzy ciurkiem płynęły jej z oczu.

Twarz Lily wyrażała zaskoczenie, a może lęk.

- Tak mi przykro - powtarzała dziewczynka, nie zwalniając uścisku.

Lily opuściła bezradnie ramiona i widać było, że nie wie, co ma robić. I nagle jakby się odprężyła, radość rozświetliła jej twarz, uniosła ramiona i mocno przytuliła do piersi bratanicę.

- Wybacz, że cię wyśmiewałam - mówiła Penelope wśród szlochów.

- Dobrze, już dobrze - szeptała Lily, gładząc ją po głowie.

- Przepraszam, że byłam taka podła. Musiałaś mnie nienawidzić.

Głaszcząc policzki Penelope, Lily spojrzała jej prosto w oczy.

- O jakiej nienawiści ty opowiadasz? Jakżebym mogła?

- Naprawdę?

Lily uśmiechnęła się tak szczerze, że aż cały pokój pojaśniał.

- Naprawdę. Jesteśmy przecież rodziną. A rodzina trzyma się razem. No przestań już - powiedziała. - Coś mi mówi, że w kuchni czeka na nas lemoniada.

Cassie i Penelope wymienili spojrzenia.

Lily roześmiała się.

- Dobra, daję słowo. Ze sklepu, nie własnej roboty.

Dziewczynki wyszły z pokoju, ich kroki w korytarzu tłumił miękki dywan. Lily stała nad kawałkami porcelany, lekko pochylona, tak że Elliott nie widział jej twarzy.

- Postąpiłaś bardzo szlachetnie - powiedział.

Wyprostowała się nagle, jakby zapomniała o jego obecności.

- To tylko filizanka - rzekła.

Zbierała ostrożnie kawałki porcelany, obracała je w dłoniach.

- Wiele dla ciebie znaczyła. Prawdziwa matka nie zachowywałaby się lepiej.

Wrzuciła skorupki do kosza na śmieci i spojrzała Morganowi w oczy.

- Jak już powiedziałam, to tylko filiżanka. Stłuczona, cała, nieważne. A teraz wybacz, mam sporo roboty.

Ruszyła ku drzwiom, ale Elliott zastąpił jej drogę. To było coś więcej niż filiżanka i wszyscy w domu o tym wiedzieli. Chciał zapytać ją, dlaczego temu zaprzeczyła. Chciał ją zapytać, dlaczego przez cały tydzień ignorowała go.

- Dajmy temu spokój, Morgan... - Zawahała się, spojrzęła na jego dłoń na jej ramieniu.

Czuł, że krew się w nim burzy. Tak dawno jej nie dotykał. Nie mógł się powstrzymać i przyciągnął ją do siebie, ciała ich niemal się stykały.

- Pójdę już - powiedziała. - Nic dobrego z tego nie wyniknie.

I poszła.

Był już późny wieczór, gdy przemęczony do cna Elliott opadł na łóżko. Nie mógł jednak zasnąć. Przewracał się z boku na bok, aż wreszcie wstał i wyszedł w ciemność nocy.

Miał już niemal we zwyczaju przemierzanie terenu posiadłości późnym wieczorem, sprawdzanie, czy w domu wygasły wszystkie światła. Tym razem w kuchni światło się paliło. Podszedł bliżej i zobaczył, że Lily siedzi przy kuchennym stole. Sama. Wpatrzona w coś przed sobą.

Wyprostowała się na krześle i wtedy ujrzał, że tym czymś są kawałki porcelany ze stłuczonej filiżanki. Usiłowała dopasować je do siebie. Serce mu się ścisnęło,

gdy patrzył, jak niezdarnie usiłowała przywrócić filiżance jej dawny kształt.

Walnęła w końcu pięścią w stół, zebrała skorupy, zwinęła w papier i wrzuciła do szafki. Poprawiła suknię, wytarła oczy i zgasiła lampkę gazową. Morgana otoczyła ciemność.

Postanowił, że zgodnie z wolą Lily, tylekroć przez nią wyrażaną, nie będzie jej już niepokoił. Tłumaczył sobie, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jak powiedziała, nic dobrego z tego nie wyniknie. Przyznał jej rację. Lecz postanowiwszy raz na zawsze przestać myśleć o Lily, zamiast wrócić do swego domku, skierował kroki do kuchni.

17

Nazajutrz rano Lily pomyślała od razu o Penelope i filiżance. Swojej porcelanowej filiżance. Poczowała pod powiekami piekące łzy. Ale przecież naprawdę to była tylko filiżanka. Nic ważnego. Najważniejsza była Penelope.

Zastanawiała się, jak tego ranka bratanica odniesie się do niej. Czy wróci do swojej dawnej wobec niej wrogości? A może osiągnęły już stadium pokojowych rozmów? Jeszcze co do Penelope można było żywić taką nadzieję, lecz z Robertem sprawa się miała znacznie gorzej.

Lily potrząsnęła głową. Wątpiła, czy Robert kiedykolwiek ją pokocha. Gniew i nienawiść do ciotki głęboko się w nim zakorzeniły, jak gdyby przekazał mu je jego ojciec.

Odpędziła od siebie tę myśl.

W kuchni, gdy tam weszła, nie było nikogo. Pustka i cisza. Spokój. Lubiła to pomieszczenie od dzieciństwa. Było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie mogła się znaleźć wśród ludzi. Serdecznych i życzliwych. Służba była jej bliższa niż rodzice. Claude odnosił się z pogardą do służących, ona natomiast wdzięczna im była za okazywaną jej dobroć.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Panno Lily Blakemore - beształa się szeptem - tylko się nad sobą nie roztkliwiał.

Ale żeby nawet z całej mocy panowała nad sobą, to widok, jaki ukazał się jej oczom, i tak wstrząsnąłby nią do głębi.

Jej filiżanka. Na środku kuchennego stołu; stłuczone kawałki porcelany tworzyły całość, zespoliły się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. I choć ślady po pęknięciach były widoczne, filiżanka była filiżanką.

Zamknęła oczy na chwilę. Poczowała przypływ tak ogromnego wzruszenia, że aż nogi się pod nią ugięły.

Po wiadomym skandalu Lily rzuciła się w wir nowego życia, chciała zapomnieć o wszystkim. Jeśli nawet jej się to nie udało, to przynajmniej nabrała sił do walki. Ciężko przeżyła ostatni artykuł w prasie, ale jakoś się pozbierała. Po nocy spędzonej z Morganem doszła do wniosku, że musi postępować bardzo ostrożnie, albowiem kolejny zakręt w jej życiu mógłby ją kompletnie wytrącić z równowagi. Tak się na szczęście nie stało. Jednak na widok filiżanki, pozlepianej tak starannie, całej, uświadomiła sobie, że dziesięć lat walki z własną słabością poszły na marne.

Nie była już silna. Chwyciła się stołu, ledwo powstrzymując łzy. Głupie łzy, skarciła się w duchu. Nie wolno jej tak sobie folgować, nie wolno dawać się ponieść uczuciom. Po tylu latach walki.

Najbardziej roztkliwiało ją to, że Morgan zrobił to dla niej. Wiedziała, że to jego dzieło, to on odszukał te kawałki porcelany i siedział tu, przy tym stole, i dopasowywał je do siebie, sklejał.

Tak jakby mógł skleić i doprowadzić do ładu całe jej życie.

Niestety nie było to możliwe. Może by i chciał, choćby dlatego, by ta noc się powtórzyła. Choćby na krótko. Może i pragnął Lily Blakemore, ale Karmazynowej Lily nienawidził

- Co o tym sądzisz?

Odwróciła się momentalnie na dźwięk tego głosu. Głosu Morgana.

Był w domu. Winna się tego spodziewać, skoro filiżanka stała na stole.

Stał w drzwiach. Włosy miał mokre od porannego deszczu. Jak to możliwe, żeby mężczyzna odznaczał się taką urodą? Uśmiechał się chłopięcym niemal uśmiechem, ukazując rząd białych, równych zębów. Taki przystojny, niebywale przystojny. Taki bliski jej okaleczonej duszy.

Chciała przebyć odległość ich dzielącą, chciała znaleźć się w jego ramionach. Poczuć jego siłę - choć na chwilę.

Uniosła głowę czupurnie, broniąc się przed tym jego uśmiechem - i przed własną słabością.

- Co o tym sądzisz? - ponowił pytanie, podchodząc do stołu. - Udało się. Nie możesz z niej pić, ale moim zdaniem wygląda całkiem nieźle.

Chciało jej się krzyżeć. Chwyciła się pod boki, jak gdyby bała się, że nie utrzyma równowagi. A on wyglądał jak uczeń domagający się pochwały.

Westchnęła głęboko.

- Jesteś człowiekiem, który wszystko chce naprawiać. Ścianę zamazaną literami, od dawna zaniedbany

dom, stłuczoną filiżankę, która nadawała się tylko do wyrzucenia. Ale niestety nie wszystko da się naprawić na tym świecie. Są szczyrby, jakich nie da się usunąć, i musimy je zaakceptować.

To powiedziawszy, odwróciła się od Morgana. Nie czekała na jego reakcję, nie chciała ciągnąć tej rozmowy, wyszła pospiesznie z kuchni, zatrząskując za sobą drzwi.

Elliott postanowił, że nie pozwoli jej odejść. Tym razem nie da się zbyć, wymusi na niej odpowiedź na dręczące go pytania.

Wchodziła szybko po schodach, gdy wypadł z kuchni. Lecz jej ucieczkę i jego pościg przerwało głośne stukanie do frontowych drzwi.

Oboje skierowali spojrzenia na drzwi, po czym Morgan poszedł je otworzyć. W progu stał policjant w niebieskim mundurze. Obok niego - Robert.

- Pan Blakemore?

- Nie, panie posterunkowy - odparł Morgan, spoglądając to na niego, to na chłopca.

Zbliżyła się do nich Lily.

- Jestem ciotką Roberta.

Policjant obrzucił Lily i Morgana badawczym spojrzeniem.

Elliott uniósł brwi i zapytał z ostrą nutą w głosie:

- Jakiś problem, panie posterunkowy?

Ton Morgana poskromił butę policjanta.

- Przyprowdziłem pani bratanka - powiedziała, zwracając się do Lily. - Uznałem, że lepiej odstawić go do domu niż do więzienia.

- Do więzienia?! - wykrzyknęła Lily.

Morgan ujął jej łokieć.

- Co się stało? - zapytał.

- Ten młody człowiek wpakował się w tarapaty. Wdał się w bójkę. Mam rację, synu?

Robert wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Czy to prawda? - zapytała Lily, a głos ledwo się z niej wydobywał. Domyślała się wprawdzie, że policjant chciał tylko nastraszyć Roberta, by chłopak nigdy więcej w żadną bójkę się nie wdawał, lecz nie zmniejszyło to jej niepokoju.

Elliott chwycił Roberta za ramię. Ten spojrzał na ciotkę i Lily dopiero teraz zauważyła, że chłopiec ma podpuchnięte i podbite oczy.

- O Boże! - zawołała. - Kto cię tak urządził?

- Niech go pani lepiej zapyta, jak wyglądają inni - rzekł policjant, kiwając głową. - No, chłopcy jak to chłopcy. Więc przyprowadziłem Roberta do domu. - Zwrócił się teraz do niego: - Uważaj, bo jak jeszcze raz przyłapię cię na bójce, nie będziesz już miał tyle szczęścia.

Policjant odszedł, a oni wciąż stali w progu. Lily patrzyła przed siebie tępym wzrokiem, pełna obaw i lęku.

Miała zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, by nikt ich jej nie odebrał. Jak ona da sobie radę z tym wszystkim?

- Robercie - szepnęła - dlaczego wdałeś się w bójkę? Chłopak spuścił oczy, ręce wcisnął do kieszeni.

- Powiedz nam, Robercie, co się wydarzyło? - poprosił Morgan.

- Nie mogę - odparł cicho.

- Możesz i powiesz.

Chłopak spojrzał na majstra, potem na ciotkę. Patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. I zaczerwienił się.

Pod Lily ugięły się kolana, bo nagle zrozumiała. Chciałaby uciec albo zatkać sobie uszy.

- Mów, Robercie - rzekła, przemagając wstyd. - Opowiedz nam, jak do tego doszło.

- Powiedziałem już: nie mogę.

- Możesz, mój drogi. Musisz.

Chłopiec przestępował z nogi na nogę.

- Herbie Nylander mówił okropne rzeczy - wymamrotał.

Elliott zmarszczył czoło.

- O kim? - zapytała Lily lodowatym tonem.

Odwrócił wzrok.

- No powiedz - domagała się.

- No dobrze, powiem, o tobie. Opowiadał różne rzeczy o tobie.

Lily wyczuwała zdenerwowanie Morgana. Nie wiedział chyba, co powiedzieć.

- Później o tym porozmawiamy - rzekł wreszcie.

- Nie, Morgan, teraz. - Spojrzała na Roberta. - Co on o mnie opowiadał?

- Że jesteś Karmazynową Lily. - Mówił coraz ciszej. - No i że jesteś... złą kobietą.

- Niech to cholera! - zaklął Elliott, nie zważając na konwenanse.

W przeciwieństwie do Morgana słowa Roberta nie były dla niej zaskoczeniem, choć nie zmniejszało to wcale bólu, jaki odczuwała.

- Przykro mi, Robercie.

- Dlaczego jest ci przykro? - zapytał chłopak podniesionym tonem i aż zaczerwienił się ze złości. - Gdyby nie napatoczył się ten policjant, *tybym* porządnie Herbie'ego wygrzmocił.

Lily milczała, nie mogła wymówić słowa.

Brawura chłopca znikła równie szybko, jak się pojawiła. Zaszurał nogami.

- Czasami się wygłupiasz, ale nie jesteś zła, w żadnym razie.

Ze łzami w oczach Lily uściskała Roberta z całych sił.

- Tak mi przykro - mówiła. - Bardzo, bardzo mi przykro.

Trzymała go mocno i ku swemu zdziwieniu poczuła, że on ją obejmuje. Dostrzegła, że Morgan przygląda się im bacznie, a w jego oczach gniew miesza się z dumą. Chciała wyciągnąć do niego dłoń, ale odgłos kroków na stopniach przed wejściem odwrócił jej uwagę. Cała trójka obróciła się momentalnie. Lily była przekonana, że to wraca policjant.

Nie był to jednak policjant, tylko jakiś niskiego wzrostu człowiek, który wyraźnie czuł się nieswojo w czarnym garniturze. Patrzyli na niego bez słowa. W jednej ręce trzymał teczkę, w drugiej pismo wyglądające na urzędowy dokument.

- Czy panna Lily Blakemore? - zapytał.

Lily skinęła głową.

- Proszę tu podpisać.

- Co to takiego? - zapytał Elliott.

- Pismo z sądu.

Morgan sięgnął po nie, ale urzędnik cofnął rękę.

- To dla panny Blakemore - oznajmił.

Lily drżącymi dłońmi wzięła dokument, po czym mężczyzna odszedł pospiesznie. Patrzyła bezmyślnie na gruby arkusz papieru, czując na sobie pytający wzrok Morgana i Roberta.

- Pozwól, że ja przeczytam - rzekł Morgan.

- Nie - odparła szybko. - Nie.

Zrobiła głęboki wdech i złamała pieczęć. Przeczytała raz, drugi.

Opuściła bezradnie ramiona. Elliott wziął od niej do-

kument i tym razem nie protestowała. Spojrzała na drogę, którą odszedł urzędnik.

- Nie - warknął Morgan. - Nie mogą tak postąpić.

Robert zerknął na dokument.

- Co tam jest napisane?

Lily spojrzała na Morgana z udręką w oczach. Potem na Roberta, chłopca, który stanął w jej obronie. Który wcale jej nie nienawidził, tak jak przypuszczała. Wzruszenie zaparło jej dech w piersi. Zdobyła już sobie miłość Cassie. I udało jej się zyskać uczucia Penelope i Roberta. Mało brakowało, a roześmiałyby się na cały głos, z goryczą.

Bo właśnie teraz sąd chce jej odebrać dzieci.

18

Nie upłynęło wiele minut od momentu, w którym Lily przekonała się, że dzieci ją kochają, gdy otrzymała wiadomość, iż pojawili się jacyś krewni, którzy zamierzają podważyć ostatnią wolę jej brata.

Co to za ludzie? Skąd się wzięli? W jaki sposób dowiedzieli się o śmierci Claude'a?

- Lily! - Robert niemal wykrzyknął jej imię.

Obróciła się ku bratankowi, chciała go pogłaskać po jedwabistych włosach, ale nie uczyniła tego. Poczuła się w tej sytuacji niezręcznie, nieswojo.

- Wygląda na to, że macie więcej krewnych, niż myśleliśmy - rzekła z wymuszonym uśmiechem.

- O czym ty mówisz? - zapytał chłopiec.

Popatrzyła na Elliotta, potem na bratanka.

- Wynika z tego, że kuzyni waszej matki chcą przejąć opiekę nad tobą i twoimi siostrami.

-Nie!

Nie - wypowiedziane z taką emfazą. Lily pomyślała, że do końca życia zapamięta ten okrzyk Roberta.

- Niech się nie ważą! - oświadczył stanowczo. - I musisz im to powiedzieć.

- Obawiam się, że nie będzie to takie proste.

- Jak to nie będzie proste?! Przecież nasz ojciec tobie powierzył opiekę nad nami. Napisał to w testamencie. Sam czytałem.

Oczywiście wyobraźni Lily widziało, jak Robert domaga się kopii testamentu po jego ogłoszeniu i jak czyta słowo po słowie, nie mogąc dać wiary temu, że to ona ma się nimi opiekować. Ale z tej niewiary zrodziła się miłość, i Robert nie chciał się z nią rozstać. Byłaby szczęśliwa, gdyby nie to pismo, które pognębiło ją całkowicie.

Westchnęła głęboko.

- Tak, tak brzmiał jego testament, ale testament można obalić. W ciągu dwóch tygodni zjawi się u nas sędzia, żeby zobaczyć was, jak żyjecie, jak mieszkacie. - Głos jej się załamał. - Krótko mówiąc, będzie chciał się przekonać, czy jestem dla was dobrą matką.

Nie czekając na ich reakcję, wbiegła po schodach na górę, bojąc się, że lada chwila wybuchnie płaczem.

Gdy Morgan odprowadzał ją wzrokiem, owładnęło nim uczucie lęku. Widział wyraz oczu Lily, gdy Robert powiedział jej, że dzieci nie zgodzą się, by ktoś inny zajął jej miejsce. Wyczytał w nich przerażenie. Szybko jednak zniknęło, tak że Morgan pomyślał nawet, iż się pomylił, tak jak mylił się wielokrotnie w ocenie jej uczuć.

Nie, strach i niepewność zawsze jej towarzyszyły, teraz był głęboko o tym przekonany. Tylko że on nie za-

dał sobie trudu, by lepiej ją zrozumieć, uwierzyć w jej wrażliwość, w nią.

- Morgan!

- Słucham, Robercie.

- Będzie o nas walczyć, prawda?

Na twarzy chłopca malowało się zatroskanie. Elliott poklepał go pocieszająco po ramieniu.

- Oczywiście, że tak.

- Ale może nie mieć ochoty. - Spuścił oczy. - Nie byłem dla niej za dobry.

- Przestań, Lily cię kocha.

Robert wsunął ręce do kieszeni, przestąpił z nogi na nogę.

- Nie zależy mi na jej miłości... Myślę o Penelope i Cassie.

- Nie martw się o siostry - rzekł Morgan. - Lily będzie walczyć o całą waszą trójkę.

- Skąd wiesz?

Rzeczywiście, skąd to przeświadczenie? - zastanowił się. Nie wiedział. Przypomniał sobie rozmowę z Beaufordem Tisdale'em w Union League Club. Był wtedy taki pewny, taki przekonany, że rozumie Lily. Tymczasem okazało się, że to Beauford miał rację, a nie on. Lily nigdy nie postąpiła tak, jak tego oczekiwał, zawsze go zaskakiwała.

Od początku uważał, że nie ma ona pojęcia o wychowaniu dzieci, to była prawda. Ale teraz jakaś inna prawda do niego dotarła, jak w kalejdoskopie zmieniały mu się przed oczami obrazy. Lily odważna, zuchwała. Lily po mistrzowsku ukrywająca swe uczucia.

Może i popełniła błąd w przeszłości, lecz odtąd każdego dnia odkupywała swą winę.

Kochała dzieci swego brata i prawdopodobnie będzie chciała zatrzymać je przy sobie. A choć zapewnił Rober-

ta, że ciotka będzie o nich walczyć, tak do końca nie był o tym przekonany. A jeśli będzie walczyć, to czy wygra?

- Wiem, Robercie. Zobaczysz.

Z tymi słowy Morgan udał się na poszukiwanie Lily. Odnalezienie jej nie nastęczało żadnego problemu. Doszedł do wąskiego korytarza wiodącego do pokoju na poddaszu.

Oświetlające pracownię promienie słoneczne jakby kpiły sobie ze smutku, który dziś zagościł w tym domu. Na poddaszu panował spokój i cisza, nie docierały tu żadne odgłosy ruchu ulicznego.

Lily, jak to jej się często zdarzało, stała przy oknie - opierała się o framugę, czoło przycisnęła do szyby.

- Już wystarczająco długo mnie unikałaś - powiedział Elliott, przerywając ciszę. - Najwyższy czas na rozmowę.

- Wyjdź. Nie mamy o czym rozmawiać.

- Jest mnóstwo spraw do omówienia, Lily.

- Nie z tobą.

- Nie masz niestety wielkiego wyboru w tej kwestii, przynajmniej teraz.

Liczył, że zaprzeczy, że może powie coś o Johnie Crandallu. Ale nadal milczała, nie wymieniła nazwiska człowieka, który porzucił ją po ukazaniu się artykułu w gazecie.

Ogarnął go gniew, tym razem całkiem umotywowany. *Zły był na Crandalla, że nie pomógł Lily.* Odrzucił myśl, że również on, Morgan, jej nie pomógł, wręcz przeciwnie. Lecz może teraz to zrobić, i uczyni to.

- Masz tylko mnie, a ja mogę ci pomóc - powiedział.

- Ty? - zapytała drwiąco. Ale w jej głosie nie wyczuwało się wrogości, raczej rezygnację. - Nie możesz, Morgan. Nikt nie może mi pomóc.

- Przestań, Lily, nie bądź niemądra.

- Nie jestem niemądra, tylko realnie patrzę na świat.

Gdy wyjeżdżałam z Nowego Jorku, sądziłam, że wszystko, co złe, zostawiam za sobą, że mogę na nowo rozpocząć życie. Zaczęłam podróżować po dalekich krajach. Ale dokądkolwiek bym pojechała, ciągnęła się za mną zła sława. Więc zaniechałam podróży. I zaniechano gadania o mnie. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Łudziłam się, wierzyłam, że ludzie o mnie zapomnieli. Niestety nie. Nie odczepię się już od Karmazynowej Lily. Chodzi za mną krok w krok. - Pochyliła głowę. - Nie wytrzymam tego dłużej. Jestem zmęczona tym, że muszę być silna.

- Sądziłem do tej pory, że przegrywasz z ludźmi, którzy obwołali cię Karmazynową Lily. I chyba się myliłem. Ty przegrywasz z samą sobą.

Spiorunowała go spojrzeniem, ale on mówił dalej:

- Moim zdaniem poddajesz się bez stoczenia decydującej bitwy. Grasz rolę, jaką twoje środowisko ci wyznaczyło, a powinnaś mu udowodnić, że z przeszłością nie masz już nic wspólnego.

- Mam. A łączą mnie z nią te dwa słowa.

- Bo na to pozwalasz. Walcz, Lily. Przekonaj świat, że jesteś inna. Kochasz dzieci, one cię kochają. Walcz dla nich.

- Nie mogę! - rzuciła z desperacją.

- Oczywiście, że możesz.

Podszedł do niej i obrócił ją ku sobie. Zawahał się, widząc wyraz jej oczu, rysy nagle odmienione. Nie było już w nich śladu wyniosłości. Tylko paniczny strach żłobił bruzdy na jej porcelanowej twarzy.

- Lily - szepnął, przytulając ją do piersi.

Tym razem nie odepchnęła go, poczuł przez koszulę dotyk jej palców. Mocno do niego przywarła. Ale wciąż na jej twarzy malował się lęk, cierpienie. Zaczęła powoli odsuwać się od Elliotta. Jakby nie potrafiła ani go odtrącić, ani mu się oprzeć.

- Dlaczego mnie nie chcesz, Lily?

- Bo boję się, że gdybym teraz cię zechciała, to już nigdy nie potrafiłabym cię zostawić. - Cofnęła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Jak zwykle poraziła go jej piękność. I właśnie wtedy, gdy patrzyła na niego wzrokiem pełnym bólu i udręki, wtedy zrozumiał, że ją kocha. Był w Lily zakochany - tak jak przed paroma tygodniami orzekła to Trudy Spencer.

Nie chciał się wówczas do tego przyznać - ani przed Trudy, ani przed samym sobą. Owszem, przyznawał, że pożąda Lily, a nawet że w pewnym sensie rozumieją się wzajemnie.

Nie mógł już dłużej przeczyć prawdzie. Uczucie, jakie żywił do niej, było tak silne, namiętne. Nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczył. Ta dziwna kobieta-dziecko stała się spoiwem jego życia - gdyby nagle znikła, rozpadłoby się na kawałki.

I dlatego właśnie nie był w stanie odejść z Blakemore House.

Lecz ta miłość miała wysoką cenę. A ową ceną był John Crandall. Czy mógł sobie na nią pozwolić?

Myślał o tym z bólem, przytulając Lily do siebie.

- Kocham cię - szepnął z ustami przy jej ustach.

Spodziewał się, że to wyznanie znajdzie u niej odzew. Podda się jego uczuciom. Ostre „nie”, które odbiło się echem od ścian, zaskoczyło go kompletnie.

Odepchnęła go, zdziwienie malowało się na jej twarzy.

- Nie! - powtórzyła, a jej oczy rzucały złe błyski. - To jest absolutnie niemożliwe!

- Możliwe. Kocham cię, Lily Blakemore. Kocham cię już od dawna, ale zbyt wiele byłem pochłonięty własnymi sprawami, by przyznać to przed samym sobą.

Patrzył na nią - była wyraźnie poruszona. Chciała mu uwierzyć, widział to.

- Jak możesz mnie kochać, wiedząc o mnie to, co wiesz?

- Nie jesteś dla mnie żadną Karmazynową Lily. Już ci mówiłem, że każdy człowiek popełnia błędy.

- Błędy? - Przymknęła oczy, cofnęła się, gdy położył dłoń na jej ramieniu.

- Oświadczam ci, Lily, że twoja przeszłość nic mnie nie obchodzi. Wierzę w taką Lily, jaką jesteś teraz. - Zmusił ją, by spojrzała mu w twarz. - I wierzę również w to, że podejmiesz walkę o dzieci i odniesiesz zwycięstwo. - Odwróciła głowę. Ruchem palca obrócił ją ku sobie. - Wierzę ponadto, że będziesz najlepszą matką na świecie.

Wpatrywała się w niego długo, i kiedy był już niemal przekonany, że zażąda, by ją puścił, rzekła:

- Musisz zatem wierzyć w czary.

Uśmiechnął się na wspomnienie ich dawnej rozmowy.

- Żadne czary nie wchodzi w grę. Ta moc jest w tobie, taka jesteś i taka zawsze byłaś. Więc nie odtrącaj mnie, Lily. Bądź przy mnie. Nie każ mi odejść.

Westchnęła, potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiesz, Morgan. Wszystko mija. Bo każdy w końcu odchodzi. I zdradza - nawet jeśli nie ma tego zamiaru.

- Nieprawda.

Przyłożyła palce do jego ust.

- Będę się starała wygrać walkę o dzieci. Będę się starała wypełniać należycie swoje obowiązki. - • Zawahała się. - Ale nie podołam temu, gdy ty tu będziesz.

Morgan milczał, nie potrafił słowa z siebie wydusić. Usiłował zebrać myśli.

- Nie mogę dopuścić do tego, byś wkroczył w moje życie - oświadczyła.

- Dlaczego?

- Powiedziałeś, że kochasz mnie, bo nie jestem dla ciebie żadną Karmazynową Lily.

- Bo to prawda.

- I w tym właśnie sęk. Bo nie raczyłeś zauważyć, że ja w o g ó l e nie jestem Karmazynową Lily.

- Sama przecież przyznałaś, że pozowałam temu artyście.

- Twoim zdaniem pozowanie uczyniło ze mnie kobietę upadłą? Nie jestem taka, jak myślisz. Nigdy nie byłam... a przynajmniej do chwili, gdy przekroczyłam próg twego domku.

- Nie mów tak.

- Posłuchaj mnie! - Zrobiła głęboki wdech. - Jedyne, co ratowało mnie przez te długie lata - przyłożyła rękę do serca - to świadomość, że ci wszyscy ludzie nie mają racji. Ale po tym, co zrobiłam, jak prosiłam cię, żebyś się ze mną kochał, podejrzewam, że już na tę nazwę zasługuję.

- Do diabła, Lily! To czyste szaleństwo!

- Nie. Mówiłeś mi, że przegrywam z samą sobą. Nie. Zawsze z Karmazynową Lily. I kiedy powiedziałam ci już przedtem, żebyś wyszedł, to naprawdę tego chciałam. Nie z pokoju, ale z tego domu. W moim życiu, Morgan, nie ma dla ciebie miejsca. Nalegam, żebyś opuścił mój dom.

Od nadmiaru wrażeń w głowie mu się mąciło, jakby rozszalał się w niej lodowaty wiatr. Jego czarne oczy rozbłysły gniewnie.

- Nie! - oświadczył. - Nie, Lily. Nigdzie się nie wyniosę!

Patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami, a on nie przestawał mówić:

- Kocham cię, nikogo w życiu tak nie kochałem. - Odwróciła się, ale on znowu obrócił jej głowę w swoją stronę. - Zatrudniłaś mnie i muszę dokończyć to, co

zacząłem. Niebawem doprowadzę dom do porządku. A poza tym chcę ci pomóc w walce o dzieci.

Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale on był pierwszy.

- Ilekroć cię widzę, ilekroć myślę o tobie, pragnę cię aż do bólu. Lecz mimo to daję ci słowo, że cię nie tknę. Kocham cię, Lily, i nie opuszczę cię, tak jak inni to uczynili. Nie każdy mężczyzna porzuca kobietę.

Odwrocił się od niej raptownie i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się w progu.

- Kocham cię, Lily Blakemore. I zamierzam ci to udowodnić.

Z rozmachem zamknął za sobą drzwi, aż cały dom się zatrzęsł.

19

„Kocham cię, Lily Blakemore.”

Tak powiedział. Stanowczo i dobitnie. Czy naprawdę ją kocha? - zastanawiała się i z emocji aż drżały jej ręce. Czy to w ogóle możliwe?

Był ranek następnego dnia. Leżała z zamkniętymi oczami, nie mogąc nadziwić się temu, co usłyszała. Morgan ją kocha i nie zamierza rezygnować. Przenikała ją radość, acz nie w pełni zdawała sobie z tego sprawę. Wkrótce jednak radość tę zmaćcił niepokój nękający ją od wczoraj.

Walka o dzieci - czy ją wygra?

Uśmiechnęła się sarkastycznie. Nie mogła sobie wprost wyobrazić, by ktoś był na tyle naiwny i dał wia-

rę jej zapewnieniom. Na pewno żaden sędzia na to się nie nabierze.

Ubrała się niezwykle starannie i po półgodzinie scho-
dziła już na dół.

Czy zastanie w kuchni Morgana? - myślała. Po tylu latach bolesnych doświadczeń trudno jej było uwierzyć w jego słowa. Czy rzeczywiście, tak jak obiecał, pomo-
że jej w walce o dzieci, wskaże właściwą drogę? A mo-
że przez noc przemyślał całą sprawę i doszedł do wnios-
ku, iż jest to zadanie przekraczające jego możliwości?

Uśmiech pojawił się na jej ustach. Wszak jeśli idzie
o Morgana Elliotta, wszelkie niemożliwe sprawy za-
grzewają go tylko do czynu, stanowią dlań wyzwanie.
Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który nie przyj-
muje do wiadomości słowa „nie”.

Ta myśl wzbudziła nadzieję w jej sercu i z niemal
promiennym uśmiechem weszła do kuchni.

To, co zobaczyła, zdziwiło ją niepomieranie: oprócz
Morgana przy kuchennym stole ujrzała Roberta, Pene-
lope i Cassie, rozprawiających o czymś z wielką powa-
gą. Zauważyli ją dopiero wtedy, gdy po raz drugi
chrząknęła znacząco.

Obrócili się ku niej z uśmiechem, lecz na jej widok
uśmiech zniknął z ich twarzy.

- O co chodzi? - zapytała speszona. Spojrzała po so-
bie. - Coś wam się nie podoba?

Elliott jęknął, Robert i Penelope wykrzywili się, Cas-
sie zaś wstała i podeszła do niej.

- Ja uważam, że wyglądasz pięknie, absolutnie dosko-
nale.

- Absolutnie doskonale na bal maskowy - powiedział
Morgan. - To boa z piór mogłoby jeszcze ujść, ale te
pozał się Boże buty bez pięt...

Lily zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Sądziłam, że ten strój będzie odpowiedni. Mamy przecież sprzątać.

Morgan spuścił głowę, wstał i obszedł stół dokoła, mrużąc coś pod nosem. Wyglądało to bardzo podejrzanie. Patrzyła na niego z przerażeniem, a gdy wziął ją za rękę i wyprowadził z kuchni, aż dech w piersi jej zaparło.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytała, starając się nadać głosowi gniewne brzmienie, *co* nie bardzo jej się udało, bo myślała tylko o jego dłoni trzymającej ją za nadgarstek.

- Musisz się przebrać.

- Jak to?

- Włożyć na siebie coś innego.

Serce jej waliło. On każe jej się przebrać, kołatało jej w mózgu. Tupnęła nogą, ale bez efektu. To przez te pantofle, pomyślała. Niełatwo nimi operować.

- Morgan, doprawdy... - Usiłowała się uwolnić.

Ale on nie ustępował, ciągnął ją za rękę.

Zatrzymał się dopiero w jej sypialni. Znow spłonęła rumieńcem. Choć tym razem nie z powodu bliskości majstra.

- Ale tu bałagan! - krzyknął.

Skuliła się. Nie uprzątnęła swoich rzeczy przed zejściem na dół - a on zupełnie nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć, ile ona czasu poświęciła na to, grzebiąc we wszystkich szufladach, by znaleźć jakąś odpowiednią odzież.

- Zanotowałam sobie, co należy zamieścić w ogłoszeniu - rzekła, starając się odwrócić jego uwagę od wyglądu pokoju. - „Zatrudnię kamerdynera, kucharza i pokojówkę”. - Dopisała adres. - Wciąż nie mogę się na dziwić, dlaczego Marky i Jojo odeszli bez słowa.

Rozeźlony Elliot, burczał cały czas - jej wysiłki, by

skierować jego uwagę na inne tory, spełzły na niczym. Dała więc sobie z tym spokój.

- Aby doprowadzić ten pokój do ładu, potrzebna by była nie jedna pokojówka.

Podszedł do szafy, w której znajdowała się większość jej ubrań. Przeglądał garderobę jedną sztukę po drugiej i nic nie przypadło mu do gustu.

- Gdzie ty, na Boga, kupujesz te rzeczy? W sklepach z używaną przez cyrkowców odzieżą?

- Otóż podaję ci do wiadomości, że nabywałam te suknie w sklepach całego świata. - Uniosła dumnie głowę. - I byłabym wdzięczna, gdybyś przestał udzielać mi w tej kwestii rad.

- Nie przestanę, po to tu przyszedłem.

- No to dlaczego się złościysz? To był twój pomysł, nie mój.

Przymknął powieki, jakby błagał Boga o cierpliwość.

- Ja się nie złościę, Lily. - Zrobił krok do przodu, zatrzymał się.

- Złościysz się na mnie, i to od momentu, gdy weszłam do kuchni.

Unióś wzrok. I dostrzegła. Namietność. Pożądanie. Pragnął jej. Bardzo pragnął. Ale obiecał. A był mężczyzną, który dotrzymuje słowa. Nie weźmie jej w ramiona, choć drogo go to kosztowało.

Lily nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy martwić.

Chcąc położyć kres tej sytuacji, ominęła go pospiesznie i podeszła do komody. Zaczęła wyciągać z niej różne rzeczy, rzucając je gdzie popadło, aż wreszcie znalazła to, o co jej chodziło.

- Co powiesz na to?

Morgan rzucił okiem na spodnie do jazdy konnej i męską koszulę, dopasowaną do jej figury.

- Nie masz jakichś starych sukienek?

Wskazała na stopy strojów, już mu znanych.

- Oto one - rzekła.

Po paru minutach wróciła do kuchni, spodnie jeździeckie efektownie opinały się na jej szczupłych biodrach, koszula ładnie się układała na piersiach. Morgan siedział przy stole. Oczekiwała, że skinie głową z aprobatą, tymczasem, gdy zmierzył ją od stóp do głów, oczy pociemniały mu jeszcze bardziej.

- Robert wysłał twoje ogłoszenie do „The Evening Sun” i do „The Timesa” - oznajmiła Penelope.

- Moim zdaniem postąpił słusznie - powiedziała Cassie z ważną miną. - Powinniśmy otrzymać wiele propozycji.

- Ale nie możemy czekać beczynn timer, aż ktoś się zgłosi - oświadczył Robert.

Cassie podała ciotce kartkę.

- Sporządziliśmy listę. Jest tu napisane, co trzeba zrobić.

Lily już z daleka zauważyła, jak długa jest ta lista. Przeczytała ją zdjeta trwogą.

- I to wszystko mamy zrobić w ciągu dwóch tygodni? - zapytała płacząco.

- Tak, w ciągu dwóch tygodni - potwierdził Robert.

Jęknęła głośno. Aby w tak krótkim czasie wykonać tę robotę, potrzebna była cała armia służących, a ona nawet dwóch nie zdołała zatrzymać. Czy w ogóle ktoś odpowie na jej ogłoszenie?

- Jak ja sobie z tym poradzę, na litość boską? - zapytała zrozpaczona, miała wrażenie, jakby ziemia usuwała się jej spod stóp.

- Pomożemy ci! - wykrzyknęły dzieci jednogłośnie.

Uniosła głowę, mierząc je spojrzeniem.

- Chcecie mi pomóc?
- Oczywiście. Każde z nas otrzyma zadanie do wykonania - odparła z dumą Penelope.
- Razem wszystko zrobimy - dodała Cassie.
- Bo jesteśmy rodziną - rzekł Robert, szorstkością głosu pokrywając wzruszenie.

Lily patrzyła na te jakże drogie jej twarze i przepełniało ją uczucie bezmiernego szczęścia. I nagle trzy pary dziecięcych rąk objęły ją mocno. Spojrzała w oczy Morganowi nad głowami bratanków. Uśmiechnął się, i jakby słyszała jego słowa: A nie mówiłem, że zwyciężysz?

- Uwaga - powiedział, odstawiając filiżankę z kawą. - Zegar bije. Nie mamy ani sekundy do stracenia.

Zabrali się do dzieła. Penelope przyniosła wiadro, mnóstwo szmat i szczotek. Cassie - fartuchy. Lily uśmiechała się radośnie, przekonana, że nie napracują się tak wiele, bo niebawem zjawia się kandydaci na służących, którzy ich wyręcą.

Zaczęli sprzątać, gdy zegar wybił godzinę. Dziewiątą. Piętnaście po dziewiątej Lily doszła do wniosku, że podłogi w tym domu nie były myte od lat. A o wpół do dziesiątej uznała, że w ogóle nie warto ich myć. Lecz Morgan i dzieci, jak stwierdziła z kwaśną miną, myli i szorowali każdy kawałek, każdy cal podłogowej deski i wcale nie mieli zamiaru rezygnować. Potem zajęli się tapetami, porozrywanymi w wielu miejscach, potem brudnymi oknami, kominami pełnymi popiołu, kaflami pokrytymi pleśnią.

Pod koniec dnia Lily odkryła ze zdziwieniem, że ilekroć Morgan Elliott jest w pobliżu, serce w niej trzepocze. Od pierwszej chwili wiedziała, że to despota, ale teraz stał się wręcz tyranem. Mruczała coś pod nosem, trzymając się za obolały kręgosłup po wylaniu z wiadra brudnej wody.

Przyszło jej na myśl, że chyba już nigdy nie będzie taka jak dawniej. I tylko jedno miała marzenie - wyrzucić na śmietnik szczotki i napić się do syta dobrej lemoniady. Miała właśnie zamiar to uczynić i szła w kierunku spiżarni, gdy Morgan zastąpił jej drogę.

- Dokąd idziesz? - zapytał władcym tonem, a ona poczuła się jak pensjonarka, która coś nabroiła.

- Zrobiłam już swoje na dziś.

- Nie, nie zrobiłaś.

Spojrzała na niego ostro.

- Z jakiej racji mi rozkazujeś?

- Prawdopodobnie z tej, że mam odrobinę rozsądku.

- No tak - rzekła, a że cała była obolała, zniecierpliwienie doszło do głosu. - Ty zawsze wszystko wiesz najlepiej! Chyba wpadłeś w obłąd, oszalałeś na punkcie tej roboty! Nie damy sobie z tym rady. Musimy znaleźć służbę! Słyszysz, co mówię?!

- Słyszę, jak i reszta mieszkańców Manhattanu. Możesz wrzeszczeć, ile ci się żywnie podoba. Ale, i to już ci Robert powiedział, nie wolno ci czekać, aż znajdziesz odpowiednich służących. Musisz pracować. I będziesz, bo nie zamierzam pozwolić ci na porażkę.

- Jaką porażkę?! - krzyknęła. - Przepracowałam w pocie czoła cały ten cholerny dzień!

Elliott zmrużył gniewnie powieki.

- I będziesz pracować przez całą cholerną noc, póki w tym domu nie zapanuje jaki taki ład. Od tej chwili na moje „start” odpowiadasz „gotowa”.

- Gotowa? - Złość i zdenerwowanie minęły im obojgu. - Gotowa! - zawołała i wybuchła śmiechem.

Przyglądał się jej, w jego oczach pojawił się znowu gniewny błysk.

- To wcale nie miało być zabawne - oznajmił.

- Wiem - powiedziała wśród śmiechu. - I dlatego właśnie jest zabawne. Gotowa! - wykrzyknęła, i znowu salwa śmiechu.

Łzy rozbawienia spływały jej po policzkach, lecz szybko opanowała się. Morgan patrzył teraz na nią innym wzrokiem. Zbliżał się do niej niczym drapieżnik osaczający swą zdobycz.

- Czego chcesz, Morgan? - zapytała i nagle zabrakło jej tchu, cofnęła się odruchowo parę kroków.

- A jak sądzisz, Lily?

Cofnęła się jeszcze o krok, ale dalej już nie mogła - uderzyła biodrem o kant stołu. Próbowwała uporządkować myśli. Morgan wpatrywał się w jej usta. Całkiem odruchowo oblizwała wargi.

- Wygląda na to - rzekła - że chcesz złamać dane mi słowo.

Skrzyżowali spojrzenia.

Wyciągnęła ramiona, jakby zamierzała odeprzeć atak.

- Obiecałeś, Morgan. Obiecałeś, że mnie nie tkniesz.

Był cały spięty, czuła to. Odszedł parę kroków i mało brakowało, a z jej ust wyrwałoby się westchnienie.

- Do diabła! - mruknął, wicherząc czuprynę. - Miałeś szczęście, że złożyłem ci tę obietnicę.

Jakie szczęście? - pomyślała, zanim zdołała powstrzymać tę myśl. Lecz nim skarciła się w duchu, delikatnym ruchem Elliott uniósł jej podbródek i zajrzał jej w oczy.

- No, koniec pracy na dzisiaj. Jutro zaczynamy o świącie. - Popatrzył na nią przenikliwie. - Tylko się nie spóźnij.

Gdy Lily obudziła się następnego ranka, wcale jej nie było do śmiechu. Aż jęknęła, nieprzywykła do doznań, jakie towarzyszyły każdemu jej ruchowi - nieprzyjem-

nych doznań. Wszystko ją bolało, *każdy* miesiąc. Nim Elliott wcisnął jej szczotkę do rąk, nie wiedziała nawet o ich istnieniu.

Krzywiąc się z bólu, zwinęła się w kłębek w miękkiej pościeli. Morgan powiedział, że zaczną pracę o świcie. Wtuliła się w poduszki. O świcie. Co on sobie myśli? Ze jesteśmy na froncie?

W eleganckiej dzielnicy Nowego Jorku świt wcale się nie kojarzy z porą wstawania z łóżka, wręcz przeciwnie, najsmaczniej się wtedy śpi. Ona też zamierzała jeszcze pospać. Choć trochę, pomyślała, przypomniawszy sobie, ile czeka ją roboty.

Przymknęła oczy, rozkoszując się miękkością pościeli. I wtedy właśnie rozległo się głośne stukanie do drzwi, które wyrwało ją ze stanu ukojenia.

- Daj mi spokój! - warknęła w poduszkę.

Drzwi aż się zatrzęsły w zawiasach, aż drgnęły obrazy na ścianach.

- Mówiłem ci, żebyś się nie spóźniła! Dzieci już wstały i są gotowe do pracy!

- Wynoś się!

Nie dane jej było przysnąć choć na chwilę dłużej. Walenie do drzwi ledwo docierało do jej świadomości, mimo iż rozlegało się echem w pokoju, dotarło do niej natomiast to, że ktoś ściągnął z niej kołdrę. Zerwała się na jak rażona piorunem, jej drobne stopy grzęzły w miękkim materacu.

- Jak śmiesz?! - wrzasnęła.

- Jesteś już spóźniona.

- Spóźniona? Spóźniona? Oszalałeś! Istny potwór z ciebie! Dłużej tego nie zniosę! Nie będziesz mi rozkazywał! Koniec z tym! Ja tu rządzę! Zapomniałeś chyba, że u mnie pracujesz!

Chciała wyrwać Elliottowi kołdrę, ale on zrobił unik i odrzucił ją poza zasięg jej rąk.

- Możesz mnie wyzywać od ostatnich, lecz nie zważając na to, że mnie zatrudniasz, powiem ci jedno: jesteś patentowanym leniem.

Zmrużyła powieki.

- Święci nie mają łatwego życia - rzuciła.

Dostrzegła wyraz jego oczu. Znów stał się czyhającym na swą zdobycz drapieżnikiem. Pożądanie. Namietność. Pasja. Wczoraj zdołał zapanować nad sobą.

Tego ranka był już chyba u kresu wytrzymałości. Wczoraj udało jej się. A dziś?

Przez chwilę była pewna, że złamie słowo i nagłym ruchem chwyci ją w ramiona. Zadrżała na tę myśl. Jego usta na jej ustach. Poczucie smaku jego warg. Poddać się temu uczuciu.

Ale tak się nie stanie. Otworzyła szeroko oczy. Przysięgła sobie. Dała sobie słowo. Nie jest Karmazynową Lily.

- Wynoś się! - rzekła stanowczym tonem.

Usiłował protestować, lecz przerwała mu, mając świadomość, że lada chwila się załamie, poniesie klęskę.

- Już wstaję. Pozwól mi się spokojnie ubrać.

Wiedziała, że ją obserwuje - nie będąc pewnym, czy może jej zaufać.

- Obiecuję - rzekła ze zniecierpliwieniem.

- Pięć minut. Ani sekundy dłużej. Bo w przeciwnym razie sam cię ubiorę.

Obrzucił ją płomiennym spojrzeniem i zrobił krok do przodu.

- Morgan - ostrzegła go, patrząc mu prosto w oczy - wyjdź, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował.

- Jedyne, czego żałuję, to danej ci obietnicy, że nie tknę cię, dopóki nie nauczysz się właściwego prowadzenia domu.

- Dopóki? - zapytała. - Myślałam...

- To źle myślałaś. Będziemy się kochać, Lily. I nie sądz, że będzie inaczej. Ale dopiero wtedy, gdy doprowadzisz do ładu ten dom. A teraz ubieraj się.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Lily wciąż stała na uginającym się pod jej stopami materacu. Dopóki, powiedział, dopóki. I choć powinno ją to rozgniewać, urazić, sprawiło jej to ogromną ulgę - a więc zazna jeszcze rozkoszy, jaką dawała jej jego bliskość.

Minął jeden dzień, drugi, trzeci tego „domowego szaleństwa”, jak określała to Lily, i końca nie było widać, a ona sprzątała i gotowała jak nieprzytomna, bo żaden odpowiedni służący jej się nie trafiał.

Co nie znaczy, że nikt się nie zgłaszał. Owszem, zgłaszali się. Lecz Lily w życiu nie widziała równie podejrzanych typów. O żadnym kandydacie na kamerdynera, kucharza, o żadnej kandydatce na pokojówkę nie było wiadomo, co robili do tej pory. A ponadto już sam wygląd kandydatów podawał w wątpliwość ich kompetencje - oczy mieli przekrwione, załatywało od nich alkoholem, jakby idąc na rozmowę w sprawie pracy, wstąpili do knajpy. W porównaniu z nimi Jojo i Marky wydawali się fachowcami pierwszej klasy.

W efekcie Morgan, Lily i dzieci pracowali sami. Lily bolały wszystkie mięśnie, ale nawał różnorodnych zajęć sprawił, że nie przejmowała się już niczym. Uprana przez nią bielizna była sztywna jak ubita z białek piana, natomiast bite przez nią białko było wodniste niczym bulion, choć z takim samozaparciem trzepała w nie widelcem. Koszule były jaskrawym dowodem na to, że nie radziła sobie z żelazkiem. Każda nosiła widome ślady prasowania.

Czwartego dnia rano, siedząc przy kuchennym stole, Lily wtuliła głowę w ramiona. Jakim cudem, na litość boską, uporają się z uporządkowaniem domu w tak krótkim czasie? A jak powiedział Morgan, zegar bije.

Gdy tego dnia Morgan zarządził, by każdy wziął swoje przybory i przystąpił do pracy, co też uczyniono, Lily pobiegła w stronę drzwi frontowych. Przed Central Parkiem przywołała dorożkę i po półgodzinie była już w śródmieściu, przed biurem Johna Crandalla. Miała nadzieję, że już wrócił.

Zdawała sobie sprawę, że kiedy Elliott zorientuje się, iż wyszła z domu, zamiast zabrać się do przydzielonej pracy, wpadnie w szal. Ale ona wie, co robi. Skoro John już przedtem załatwił jej służących, to na pewno uczyni to i teraz.

Wchodząc do recepcji biura, usłyszała podniesione gniewnie głosy:

- Kobieto, do diabła, nie zapłaciłaś nam!

- Ale ja nie mam pieniędzy!

- Powinien był je dla nas zostawić. Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Lily była pewna, że to głos Marky'ego.

- Niczego nie znaleźliście. - Ten głos należał do kobiety.

- Nie miał nam zapłacić za znalezienie czy nieznanie. Najął nas po to, żebyśmy szukali.

- Przykro mi, ale nic nie mogę dla was zrobić.

Lily weszła do środka niepewnym krokiem.

- Marky? Jojo?

Obejrzeli się jednocześnie.

- Panienska Blakemore! - zawołał Marky. - Skąd się pani tu wzięła?

- Chciałabym, żebyście wrócili do pracy u mnie. -

Zmarszczyła brwi. - Czy pan Crandall wie, że odeszliście bez słowa? I co mieliście znaleźć w moim domu?

Marky wyprostował się, Jojo przestąpił z nogi na nogę.

- Odeszliśmy od pani, bo... pan Crandall znalazł nam inną pracę - oświadczył Marky.

- Faktycznie - wtrącił Jojo, kiwając głową. - Dostaliśmy inną robotę. Pan Crandall kazał od razu tam iść. Uprzedzilibyśmy, ale nie było czasu.

Lily patrzyła na nich z niedowierzaniem. Za kogo oni ją mają? Za idiotkę?

- A pani w jakiej sprawie? - zapytała recepcjonistka.

- Chciałabym mówić z panem Crandallem.

- Jak już powiedziałam tamtym dwóm, pan Crandall jeszcze nie wrócił.

- Nie wrócił? - Lily spojrzała na Marky'ego. - Jak zatem mógł wam kazać iść do innej pracy, skoro nie było go w mieście?

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Kazał nam przez posłańca - odparł Marky, kiwając głową.

- Faktycznie - potwierdził Jojo. - Przez posłańca.

Wiedziała, że to bujdy na resorach. Ale potrzebni jej byli kucharz i kamerdyner.

- Zdaje się, że nie macie pieniędzy - powiedziała. - A ja nie mam kucharza ani kamerdynera. Moglibyście od razu podjąć u mnie pracę.

Wymienili spojrzenia.

- Niestety, panienko Blakemore. Nie możemy.

- Dlaczego? Ja i dzieci doprowadzamy dom do porządku i potrzebujemy pomocy. - Zniżyła się do prośby, ale co miała począć. - Muszę udowodnić przed sądem, że mogę zapewnić dzieciom właściwą opiekę.

Marky westchnął, Jojo jęknął.

- Jak powiedziałem, panienko Blakemore - rzekł w końcu Marky - nie możemy. - Zawahał się. - I pani też lepiej na tym wyjdzie.

Po czym obaj, jak na dane hasło, oddalili się w wielkim pośpiechu.

Lily odprowadzała ich wzrokiem. Co też Marky miał na myśli, mówiąc, że ona lepiej na tym wyjdzie?

- Przepraszam, *madam*. Pan Crandall wróci zapewne w przyszłym tygodniu. Czy zostawi pani dla niego wiadomość?

Lily spojrzała z roztargnieniem na recepcjonistkę.

- Nie, to nic ważnego - odparła i wyszła z gmachu biura.

- Gdzie byłaś?

Lily zatrzymała się z ręką na klamce drzwi frontowych - Morgan stał w hallu, pocierając twarz zniecierpliwionym gestem.

- Musiałam coś załatwić.

Nie zadała sobie trudu powiadomienia go, że rozmawiała z Markym i Jojo. Zdobyłby się tylko na złośliwą uwagę, że uchyła się od pracy. Pobiegła na górę, by przebrać się w roboczy strój. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że przed przybyciem sędziego nie znajdą ludzi, którzy uporządkują dom. Na samą tę myśl krew zastygła jej w żyłach. Była zrozpaczona, ale nie minęło wiele minut, a rozpacz jej sięgnęła zenitu.

- Ktoś puka do drzwi!

Lily była już na dole. Zmierzała ku drzwiom, lecz Robert ją uprzedził. Zwolniła kroku. Oboje milczeli.

- Czy to Blakemore House? - zapytał mężczyzna w średnim wieku.

Robert i Lily patrzyli na niego, nic nie mówiąc.

Starannie ubrany mężczyzna stał obok będącej w tym samym mniej więcej wieku kobiety, na rękach mieli eleganckie rękawiczki, na głowach - skromne słomkowe kapelusze.

- Atticusie, mój drogi - powiedziała przyciszonym głosem kobieta - chyba zaszła pomyłka.

- Nie, nie - zaprzeczyła Lily, stojąc już przy drzwiach. - To jest właśnie Blakemore House.

- Aha, świetnie. Jestem Atticus Wesford.

Dłonie Lily zwilgotniały z wrażenia.

- A to moja żona Adeline.

Kobieta uśmiechnęła się, a Lily świat zawirował przed oczami.

Wesford zwrócił się do Roberta:

- A ty chyba jesteś Robert?

Chłopiec skinął głową, w jego oczach czaiła się podejrzliwość.

- Kto to przyszedł?

Penelope schodziła po schodach, za nią Cassie.

- A te dwie urocze młode damy to pewnie Penelope i Cassie? Jestem Atticus Wesford, kuzyn waszej ukochanej matki.

Lily zrobiło się słabo. Oto ci krewni, którzy chcą przejąć opiekę nad dziećmi.

Weszli do salonu. Atticus mówił bez przerwy, usta mu się nie zamykały. Opowiadał dzieciom o Pensylwanii, o ich świetnie prosperującej farmie, licznych przyjaciołach, aż wreszcie oświadczył, że już pora się pożegnać.

Trwało to ponad dwadzieścia minut. Dla Lily były to najdłuższe w życiu minuty. Gdy drzwi się za gośćmi zamknęły, spojrzała na dzieci - miny miały równie skwaszone jak ona. Powłócząc nogami, poszły na górę,

Lily skierowała się do kuchni - szła jak automat, bez udziału świadomości, dokąd idzie.

Boże, zmiłuj się, co ona teraz zrobi?

Małżeństwu, które chciało przejąć opiekę nad dziećmi, nic nie można było zarzucić. Byli uprzejmi, serdeczni, dobrze sytuowani, pragnęli widocznie mieć dzieci. Każdy rozsądny człowiek musiałby przyznać, że będą wspaniałymi rodzicami.

Lily zatrzymała się pośrodku kuchni, przed nią na stole leżała przypalona żelazkiem koszula, obok stał kosz upranej na sztywno bielizny. Zdawała sobie sprawę, że powinna oddać Wesfordom dzieci. Komuż ona chciała wmówić, że jest dobrą matką? Przybraną w tym wypadku. Dzieci zasługują na lepszą opiekę, niż ona może im zapewnić.

Bez względu jednak na to, jak spełniała swoje obowiązki, ona kochała te dzieci. A dzieci kochały ją. Ich miejsce było tutaj, przy niej. A nie na jakiejś farmie w Pensylwanii.

Jeśli zatem chciała zatrzymać je przy sobie, musiała udowodnić, że równie dobrze nadaje się na opiekuna, jak Wesfordowie, a nawet lepiej niż oni.

Walcz, Lily. Choć raz w życiu podejmij walkę. To były słowa Morgana.

Zwątpienie wkradło się do jej serca. Walczyła przeciw, i oto, co z tego wynikło.

I nagle poczuła przypływ energii, której wcale się już po sobie nie spodziewała. Będzie pracować, jeszcze więcej i jeszcze ciężiej. Kochała dzieci. Chciała je zatrzymać. I miała świadomość, że one też tego pragną.

Z tą myślą zabrała się do roboty. Czy znajdzie służących, czy nie znajdzie, musi nauczyć się gotować i robić te wszystkie rzeczy, które większość kobiet ma w małym palcu.

Będzie walczyć. I zamierza wygrać tę walkę.

Morgan poderwał głowę do góry i mało brakowało, a piła ucięłaby mu dłoń..

- Do diabła, Lily! Nie zaskakuj człowieka, który ma piłę w ręku.

Lily uśmiechnęła się, twarz jej promieniała dumą.

- Powiedziałam: gotowa!

Westchnął, odłożył piłę i obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- O czym ty mówisz?

- Od dziś na twoje słowo „start” odpowiem „gotowa”. Obiecuję.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Co przeszkrobałaś? - zapytał, idąc ku drzwiom; chciał się przekonać, w jakiej części domu dokonała rujnacji.

- To nie fair z twojej strony. Nic nie przeszkrobałam. - Powstrzymała się, by nie dodać „na razie”. - Chciałam cię poinformować, że odtąd będę robić wszystko, co mi każesz. I nie usłyszysz ode mnie słowa narzekania. Muszę się nauczyć, jak się prowadzi dom, choćbym miała paść trupem.

Przebiegło mu przez myśl, że i on może paść trupem przy tej okazji. Trudno mu się było bowiem skoncentrować, ponieważ ciągle myślał o tej szalonej kobiecie. A zwłaszcza na to, jak często miał do czynienia z narzędziami, które w równej mierze mogły coś zepsuć, jak naprawić, owa dekoncentracja mogła się okazać w skutkach dość

groźna. Podobnie groźna była Lily. Potrząsnął głową. Nie znał dotąd istoty ludzkiej, która, tak jak ona, nie potrafiłaby wykonywać najprostszych domowych czynności.

- Wiem, o czym myślisz, Morganie Elliotcie. Ale ja dam radę. Naprawdę.

Obserwował ją, w jego spojrzeniu pojawiła się czułość.

- Przykro mi, że ci krewni się objawili.

- Skąd wiesz?

- Od Roberta.

- Zmartwiło cię to?

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Moim zdaniem Robert byłby rad, gdybyś podwoiła wysiłki i zabrała się od razu do roboty.

- Tak też uczynię. Obiecuję.

- Świetnie. Zaczynij od kosza z bielizną, który stoi w kuchni na stole. Upierz ją jeszcze raz.

- Jeszcze raz? Mam to wszystko znowu uprać?

- Przecież powiedziałaś „gotowa”.

Burknęła coś, ale zaraz roześmiała się głośno.

- Masz rację, masz rację, już się do tego biorę.

I poszła.

Poszła do pralni, gdzie pod wielką wanną, pełną wody, paliły się gazowe latarnie. Nie zwracała sobie głowy mydłem. Po prostu płucała i płucała wszystkie znajdujące się w wannie rzeczy, aż pot jej spływał po plecach.

Pracowała z takim zapałem, jak jeszcze nigdy w życiu. Elliott wraz dziećmi obserwowali ją i nie mogli się nadziwić.

- Wygląda na to - rzekł Robert - że wreszcie nasze słowa do niej dotarły.

Pod koniec dnia Lily ściągnęła ze sznurka suchą, miękką bieliznę.

Po tygodniu nikt, łącznie z Lily, nie mógł wręcz dać wiary temu, jak wielkiego dokonała postępu.

- Oto moje dzieło - oznajmiła, demonstrując wszem wobec nieskazitelnie upraną koszulę. - Ani śladu przypalenia.

Penelope i Cassie gromko wiwatowały, Robert bil brawo, Lily zaś skłaniała głowę i dygała.

Morgan wpatrywał się w nią z takim wyrazem twarzy, że nietrudno było odgadnąć, iż jest z niej dumny. Radość ją rozpierała. Osiągnęła sukces, i to w tak krótkim czasie. Jeszcze tylko jedno, to najważniejsze. Jutro przyjeżdża sędzia. I Lily musi go przekonać, że jest dobrą matką.

Podkscytowana, ale zarazem nękana niepokojem wyszła na tylny ganek, stabilny teraz, pomalowany na biało. Wsparta o poręcz patrzyła w dal. Westchnęła głęboko. Dzieci leżały już w łózkach. Na środku nieba zawisł księżyc. Wykąpała się i włożyła lśniąca, cienką indiańską spódnicę, którą tak lubiła. Opadała na nią luźna bluza z tego samego materiału. Gorset zostawiła bezwstydnie w garderobie, więc gdy tak stała pochylona nad poręczą, czuła na ciele przyjemny powiew wiatru.

- Jestem z ciebie dumny.

Głos Morgana jej nie zaskoczył, jak gdyby wiedziała, że majster jest gdzieś w pobliżu. Czeka na nią. Jego słowa przebiły się przez noc i otuliły ją swym ciepłem.

Unosząc głowę, uśmiechnęła się.

- Muszę przyznać, że też jestem z siebie dumna.

Noc była chłodna, ale jakaś dziwnie rozświetlona. Od wielu dni przebywali razem, a przypadkowe dotknięcia jego rąk, przypadkowe ocieranie się o siebie zapierały jej dech w piersi.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziała zapatrzona w niebo.

- Ty wykonałaś całą pracę.

- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz.

Milczał, stał za nią, opierając się o ścianę. Czuła dym cygara i utkwiony w nią jego wzrok.

- Pójdę już do domu - rzekła. Obawiała się, że Morgan zechce się do niej zbliżyć.

Nie zareagował, przynajmniej słowami. Serce podeszło jej do gardła, gdy usłyszała jego kroki na drewnianej podłodze ganku. Był teraz tuż za nią, czuła jego gorący oddech, niemal dotykał jej pleców. Wystarczy, że ona odrobinę się odchyli, a ich ciała się zetkną.

Przełknęła ślinę.

- O Boże, cała jestem obolała - wykrztusiła, próbując nadać rozmowie neutralny charakter. - W życiu tak się nie napracowałam.

Zadrzała pod dotknięciem jego silnych dłoni. Zaczął masować mięśnie jej ramion. Powoli, delikatnie, coraz mocniej. Potem ręce jego sięgnęły niżej, ślizgały się po cienkim materiale, aż dotarły do bioder.

Wstrzymała oddech, gdy poczuła jego dłonie, ale już pod bluzą. Obejmowały jej kibić, dotykały ciała, i dreszcz ją przeszył, gdy ujął jej piersi i przytulił ją mocno do siebie.

- Lily - wyszeptał.

Oparła głowę na jego ramieniu, a on pieścił jej piersi. Jedną ręką sięgnął niżej, tuż nad jej łonem, i wyczuła na pośladkach jego twardą męskość.

Oddech miał przyspieszony, nierówny.

- Jezu Chryste, Lily, przy tobie tracę nad sobą wszelką kontrolę.

Obrócił ją ku sobie i spojrzał jej w oczy.

- Już późno, a jutro mam ciężki dzień. Naaaprawdę muszę iść spać - wyjąkała, wysliznęła się spod jego ramienia i ruszyła w stronę drzwi.

Nie wiedziała, że za nią podaża, toteż wzdrygnęła się, gdy położył dłoń na klamce, odcinając jej drogę.

- Obiecałeś - powiedziała.

Pochylił się i pocałował ją w ucho, a ona zadrżała od tego muśnięcia.

- Morgan - rzekła z naganą w głosie.

- Dom jest już gotów, wszystko jest jak należy. Chcę się z tobą kochać, Lily. Teraz.

Szarpnęła się rozgniewana.

- Nie wszystko! - zaprotestowała. - Jutro mam spotkanie z sędzią. - Obróciła się dokoła. - Morgan, nie mogę!

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Możesz, Lily. Możesz robić wszystko, co zechcesz. Teraz tylko lęk jest twoim wrogiem.

Tego właśnie bała się najbardziej. Lęku - i porażki.

- Nie martw się - mruknął uspokajająco, z ustami przy jej włosach. - Wszystko będzie dobrze. - Skrzyżowali spojrzenia. - Wszystko będzie dobrze - powtórzył w tej samej tonacji. Nie odrywając od niej wzroku, objął ją.

Serce jej zaczęło walić, gdy drugą ręką dotknął jej bioder. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale jej słowa nie były dlań ważne, przywarł ustami do jej ust.

Przytulił ją do siebie, gwałtownie, zachłannie, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Domagał się, by była mu powolna, a gdy języki ich się spotkały, jęknął z rozkoszy.

Objął ją obydwoma ramionami, tak że ich ciała niemal stopiły się w jedno. Odsunął jej ręce broniące mu dostępu, palcami pieścił jej piersi.

- Dotknij mnie, Lily - prosił niskim, szorstkim głosem.

Przesuwała dłonie po jego plecach, radując się jego

ciałem, jego siłą, jego niepohamowaną namiętnością. Pragnął jej. I napawało ją to szczęściem.

Czekał długo. I dłużej nie mógł już czekać.

Obwiodł językiem kontur jej warg i znowu ją całował. Jego pocałunki były czułe i zarazem brutalne, upajała się nimi. A gdy dłonie jego prześliznęły się po jej plecach i ujęły pośladki, poddała mu się.

- Czekałem tak długo - mówił głosem ochrypłym - jak to sobie nakazałem. Kocham cię. I wbrew wszystkiemu jesteśmy sobie przeznaczeni. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Będziemy razem, Lily.

Wziął ją za rękę i sprowadził po stopniach ganku. Serce łomotało jej w piersi, gdy szli ścieżką wzdłuż żywopłotu w stronę jego domku. Przy ganku obrócił się ku niej, po czym bez słowa wziął ją na ręce i wniósł do środka.

Mówiła sobie, że powinna wyjść, że nie może zachowywać się jak Karmazynowa Lily. Ale nie miało to już większego znaczenia. Morgan ją kochał.

Tak jak ona kochała jego.

A kochała, nie wątpiła w to ani przez chwilę. Kochała go z całego serca i z całej duszy. Gdy była z nim - istniała w pełni. Przez te dziesięć lat, a właściwie przez całe życie, trwała jakby w zawieszeniu. Nigdy nie czuła, że należy do kogoś - czy to do rodziców, czy do Claude'a.

Morgan mógł się na nią złościć, mógł się denerwować tym, co robiła, ale zależało mu na niej, ale ją kochał, powiedział jej to przecież. Chciało jej się krzyczeć Z radości.

Światło księżycy wpadało do domku, zalewało pokój srebrzystym blaskiem. Elliott cofnął ramię spod jej kolan - stanęła, przywierając doń całym ciałem. Oparł się o biurko, a jej drobna postać znalazła się między jego udami.

- Czujesz, Lily? - zapytał zmysłowym szeptem. - Czujesz, jak bardzo cię pragnę?

Krew uderzyła jej do głowy. Czuła, jak jego członek wpija się w jej ciało.

- Jesteś taka niewinna - szeptał, i gdy wypowiadał te słowa, poraziła go prawda w nich zawarta. Niewinna, a przed paroma tygodniami on odebrał jej dziewictwo. Niewinność duszy, w którą wątpił na początku. Wiedział, ale wątpił.

Karmazynowa Lily i Lily Blakemore - zestawienie tych dwóch postaci irytowało go teraz bardziej niż zwykle. Dlaczego? - zapytywał się w duchu. Jego analityczny umysł pracował na najwyższych obrotach. Wówczas Lily poruszyła się, nieświadoma tego, co się w nim dzieje, i wszystkie jego myśli pierzchły, znikły jak śnieg pod promieniami słońca.

Odszedł od biurka, zapalił lampę naftową. Gdy wrócił, Lily pochylała się nad blatem. Przyglądała się leżącemu na biurku zegarkowi.

- Dostałem go od ojca - rzekł.

- Tak. Przeczytałam napis. Wzięłam go do ręki tego wieczoru... gdy przyszedł cię przeprosić.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Wiem.

Obróciła się ku niemu.

- Skąd wiesz?

- Zawsze wiem, gdy ktoś rusza moje rzeczy.

- Niczego innego nie tknęłam.

I była to prawda. Też o tym wiedział. Od wielu lat musiał być czujny. Niemal odruchowo sprawdzał zawsze swój pokój, swoje rzeczy. Jak automat.

- Nieważne - mruknął. - Czułem się tak, jakbyś mnie dotknęła.

Słowa te były sygnałem, który dotarł do jej świadomości, przeniknął do głębi jej duszy. A gdy Elliott pozwoli obracać ją tyłem do siebie, poczuła, że drży.

- Morgan?

Milczał, pochylał się nad nią, aż wsparła się o blat biurka.

- Chcę cię dotknąć - powiedział.

Dotykał jej. Ale jego ręce, które aż parzyły jej ciało, pełzły po błyszczącej indiańskiej tkaninie. Tym razem materiał stanowił dlań barierę, której jakby nie chciał pokonać.

Szeptał Lily do ucha i choć jego dłonie nie dotykały jej ciała bezpośrednio, mówił jej o tym, co się będzie działo. Od jego słów robiło jej się gorąco, pragnęła go coraz bardziej, myślała, że oszaleje z pożądania. Miała się już ku niemu obrócić, gdy sięgnął dłonią pod jej bluzę, dotknął jej żeber. Druga dłoń powędrowała ku pierśsiom, pieścił je, wtulał jej ciało w swoje.

- Pragnąłem cię w dzień i w nocy - powiedział, głos miał gardłowy, niski.

Jednym wprawnym ruchem zerwał z niej spódnicę, potem bluzę, ale nie pozwolił, by odwróciła się twarzą do niego.

- Marzyłem o twojej bliskości - szeptał, jego ręka pieściła jej brzuch, przesuwała się niżej. - Chcę wiedzieć, że mnie pragniesz.

Lily wstrzymała oddech, gdy poczuła jego dłoń między udami, sięgał po nią delikatnie, ale władczo. Pragnęła go i stojąc w tej pozycji, nie mogła tego ukryć. Jęknęła, gdy wsunął palec w jej wilgotną kobiecość.

Poruszała się w rytm ruchów jego palca. I dopiero wtedy obrócił ją twarzą ku sobie, a namiętność, jaką dostrzegł w jej oczach, napełniła go szczęściem.

Wzrok jego pałał, gdy Lily rozpiniała mu koszulę. Czyniła to niezdarnie, ręce jej drżały.

Roześmiał się.

- Pomogę ci - rzekł i koszula wylądowała obok jej rzeczy.

Przytulił ją i Lily aż zamarła, czując jego nagie ciało przy swoim nagim ciele. Ten intymny kontakt wręcz ją oszołomił. A kiedy Morgan pozbył się spodni, nie czuła wstydu. Chciała tylko, by przykrył ją sobą.

Gdy jednak chciała przyciągnąć do siebie tę jego jak wyrzeźbioną pierś, odsunął jej ręce.

Poczuła falę piekącego wstydu, lecz trwało to tylko sekundę.

- Nie - zaprotestował Morgan. - Nie wolno ci się wstydzić. - I dalej mówił już łagodnym, pełnym uwielbienia tonem. - Ja chcę na ciebie patrzeć.

Zażenowanie pozostało, ale doznawała zarazem innego uczucia. Narastała w niej świadomość zdumiewającej siły Morgana, przed którą ona, Lily, winna czuć respekt. Pożądał jej. I to pożądanie już nigdy więcej nie wywoła w niej wstydu.

- Twoja piękność wprawia mnie w osłupienie - powiedział. Wpatrywał się w każdy fragment jej ciała, a jego dłoń podążała za wzrokiem. Uśmiechnął się.

- Z czego się śmiejesz? - zapytała, spoglądając po sobie.

- Z tego - odparł. Ukląkł na jedno kolano. Pochylając się ku niej, trzymał ją mocno za biodra. Pocałował ją w brzuch.

- Nie, Morgan! - Próbowała go odepchnąć. Nie cierpiała tego swojego czerwonego znamienia z boku brzucha. Matka powtarzała jej często, że jak dorosnie, będzie musiała zawsze zasłaniać to miejsce. Zapomniała potem o nim. Aż do dziś.

- Morgan - poprosiła pokornie.
- Jesteś taka piękna - szepnął, ponownie całując znamie. - Nieprawdopodobnie piękna.

- Ojej!

Puścił ją.

- Nie wiesz, że takie znamiona doprowadzają mężczyzn do szaleństwa?

Patrzyła na niego tak, jakby postradał zmysły.

Roześmiał się, lecz zaraz spoważniał. Patrząc na jej kształty, rzekł:

- Tak jak ty doprowadzałaś mnie do szaleństwa przez całe ubiegłe dwa tygodnie.

Całował jej znamie, a ją przenikały dreszcze, pragnęła go. Przestało ją obchodzić, czy ów czerwony ślad jest ładny czy brzydki. Chciała być tylko blisko Morgana, czuć go w sobie.

Trywialność tej myśli zaszokowała ją. I wtedy chwycił w usta jej brodawkę, krzyknęła, przeczesywała palcami jego gęstą czuprynę i jeszcze mocniej przytulała się do niego.

- Lily, pozwól mi kochać cię tak, jak na to zasługujesz.

Ten mężczyzna, uczucie, jakim ją darzył, słowa, jakie wypowiedział, wszystko to razem wyzwoliło w niej ogromną radość. Zasłużyła na to, by być kochana.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Legł na niej, wspierając się na łokciach - widziała tylko jego twarz i ramiona.

- Dom jest gotowy - szepnęła urywanym głosem, nadając tym zwykłym słowom całkiem inny sens.

Zrozumiał, co miała na myśli. Szalona, nieokiełznana namiętność zasnuła mu wzrok. Niemal zwierzęcy ryk wydobył się z jego piersi:

- Kocham cię. Bez...

Urwał i spojrział na nią z takim napięciem i tak przejmująco, że aż się przeraziła.

- Co „bez”, Morgan?

Nie spuszczał z niej wzroku, wreszcie powiedział:

- Bez względu na wszystko kocham cię. I nigdy w życiu nikogo tak nie kochałem.

Chciała zadać mu pytanie, ale zamknął jej usta pocałunkiem, powstrzymał słowa, które miały paść.

Kochał ją i ona odpłacała mu tym samym. Zanurzał się w niej powoli, z czułością, i czekał na jej spełnienie. Dopiero wtedy przestał się kontrolować. Wykrzykując jej imię, trzymając ją za biodra, przyspieszał rytm miłosnego rytuału, aż osiągnął pełnię rozkoszy.

Wreszcie ich serca zaczęły bić wolniej, Elliott nie potrafił określić, jak długo leżeli - upłynęły minuty, godziny? Trzymał Lily w objęciach, niepewny, co jutro im przyniesie. Czy ona wygra tę walkę? Czy poniesie porażkę? Nie wiedział. Wiedział tylko to, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Ale najpierw musi powiedzieć Lily, kim on jest.

21

Nastał ten dzień. O siódmej wieczorem miał przybyć do Blakemore House czcigodny sędzia Hayward Hartwell. Pozostała jeszcze do tego czasu niecała godzina.

Lily z bijącym sercem spojrzała na swe odbicie w lustrze, świadoma wagi tego spotkania. Nawet nowa jedwabna, stosowna i odpowiednia suknia nie poprawiła jej nastroju.

Udały się do krawcowej we trzy: Lily, Penelope i Cassie. Dziewczynki wespół ze szwaczką zaplanowały dla

ciotki skromną suknię. Lily zależało tylko na delikatnej roboty stroiku z koronki, zdobiącym obecnie jej ramiona, spiętym pośrodku piękną broszką, którą miała po matce. Gdy jednak teraz przyglądała się sobie, nie potrafiła wyrzesać z siebie nawet odrobiny entuzjazmu, mimo iż koronkowy stroik wyglądał bardzo efektownie.

Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do policzków, zastanawiając się, jak przeżyje tę mękę. I co jej przyszło do głowy, myślała z niechęcią, żeby zaprosić tego sędziego na kolację? Chciała się przed nim pochwalić swoimi kulinarnymi umiejętnościami, jakich nabyła? To był jej pomysł, oczywiście. I wydawał jej się świetny. A teraz lęk mroził jej krew w żyłach.

Jak mogła być na tyle głupia, żeby chcieć pokazać sędziemu, jaka to z niej idealna matka, która bez trudu przeprowadzi dzieci przez labirynt życia, skoro to właśnie dzieci ją prowadziły? Dzieci i Morgan.

Kochany, najdroższy Morgan.

Roześmiała się. Kto by to pomyślał, że nastanie dzień, w którym nie nazwie go już zadufanym w sobie, beczelnym typem, przysparzającym jej tylko trosk? Ironiczny uśmiech przemienił się w ciepły uśmiech i ogarnęło ją wzruszenie. Owszem, Elliott był taki, jak myślała, ale również był kimś całkiem innym.

Zadrżała na wspomnienie intymnych chwil, jakie razem przeżyli. Swymi pieszczotami tchnął życie w jej ciało, a uczynił to w sposób niewyobrażalny dla niej do tej pory. Nigdy nie zaznała takiego szczęścia. Pieścił ją czule, tkliwie i choć nie zawsze słowa padały z jego ust, to wyrażał swoje uczucia każdym gestem, każdym pocałunkiem.

Jak mogłaby nawet pomyśleć o wykreśleniu go ze swego życia? Tylko dlatego, że był zwykłym wynaję-

tym pracownikiem... nie, nie zwykłym, poprawiła się, ale jakie to w końcu miało znaczenie? Środowisko, w jakim wzrastała, odcięło się od niej. A Morgan był tym, który przyszedł jej z pomocą.

A teraz ona ma udowodnić, że jego pomoc dała rezultaty.

Jęknęła w duchu na myśl o sędzie i sędzim. Ale tylko w duchu. Z determinacją uniosła się z miejsca. Nie dopuści do tego, by sąd zyskał nad nią przewagę.

Nie dopuści do tego, by sąd odebrał jej dzieci.

Uczucie dumy przepełniało ją, gdy schodziła na dół w swej eleganckiej sukni, wspierając dłoń o gładką poręcz. Czystą i wypolerowaną. Dotykała w życiu wielu wypolerowanych, błyszczących poręczy, ale żadnej nie wypolerowała ona! Roześmiała się na myśl, że ta poręcz, przez nią własnoręcznie wypolerowana, wydała się jej najpiękniejsza, jakiej w życiu jeszcze nie widziała.

Cały dom zresztą napawał ją dumą. Odnowione meble, pokoje świeżo odmalowane. Tapety, które nie zwiślały już w strzępach. Nigdy by nie przypuszczała, że zapach najdroższych francuskich perfum nie może się nawet równać z delikatną wonią świeżej polityry. I również nie uwierzyłaby nigdy w to, że w ciągu zaledwie dwóch tygodni można osiągnąć takie rezultaty. Okazało się, że można. Razem. Wspólny rodzinny wysiłek.

Rozejrzała się dokoła - przecież sędzia niczego złego w tym domu nie będzie mógł się dopatrzeć. Coś ją ścisnęło w dołku. Zwycięży. Musi.

W kuchni zastała Morgana.

Na jego widok i na widok jego uśmiechu doznała uczucia bezmiernej radości.

- Pięknie wyglądasz - rzeki, i zabrzmiało to szczerze.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem, nieprzywykła do

emocji, jakich ostatnio doświadczała, po czym wyciągnęła swoją listę spraw do załatwienia.

- Zdaje się, że jesteśmy na bieżąco - powiedziała.

Elliott stanął za nią i objął ją ramieniem, przytulił do piersi. Tak, pomyślała, póki żyje, zawsze będzie pragnęła jego bliskości, jego siły.

- Wszystko będzie dobrze, Lily - wyszeptał jej do ucha.

- Chciałabym ci uwierzyć, ale denerwuję się.

- Uda ci się, zobaczysz - rzekł, obracając ją twarzą ku sobie. - Kolacja jest już gotowa. Najbardziej wyrafinowany francuski kucharz nie zrobiłby lepszej.

- Nie przesadzajmy.

Morgan zachichotał.

- Doskonałe potrawy. I tak jak planowaliśmy, pojawią się na stole o wpół do ósmej. Do ciebie należy tylko wprowadzenie sędziego do jadalni.

- On na pewno zauważy, że nie mam służby.

- Powiedz mu, że sama to wszystko przyrządziłaś.

Chyba skona z nadmiaru wrażeń.

- Mam naprawdę tak powiedzieć?

- Oczywiście.

- A jeśli coś się nie udało?

- Wszystko się udało. W razie potrzeby postaram się być w pobliżu.

- Musisz być zawsze w pobliżu! - wykrzyknęła.

Nie dotarło do niej jakoś, że Morgan nie zasiądzie przy stole, nie będzie przy niej cały czas. Poziom jej lęku podnosił się gwałtownie, jak słupek rtęci w upalny dzień.

- Proszę cię Morgan, musisz być przy mnie.

Zacisnęła dłonie na jej ramionach.

- Wiesz przecież, Lily, że to niemożliwe. Jak wytłumaczysz sędziemu obecność majstra przy stole w jadalni? - Uśmiechnął się Z lekka i pocałował ją w czoło. -

Padnie przed tobą na kolana, księżniczko. Będziesz wspaniała. Wierzę w ciebie.

Gdybyż ona mogła w siebie uwierzyć!

Czcigodny sędzia Hayward Hartwell przybył w momencie, gdy zegar wybijał godzinę siódmą. Minę miał naburmuszoną, zaciśnięte usta, nos opuszczony na kwintę. Gdyby wygląd zewnętrzny dawał podstawę do wyciągania wniosków, nie rokowałyby dobrze. A gdyby Lily martwiła się, czy dzieci potrafią się wobec gościa zachować, martwiłaby się zupełnie niepotrzebnie.

- Dobry wieczór, sir - powiedział uprzejmie Robert, podając sędziemu rękę, a uczynił to z klasą młodego dżentelmena.

Również Penelope i Cassie dały przykład doskonałych manier, wykonując przed napuszonym sędzią szereg dygnień.

Lily promieniała dumą, dopóki nie poraziła ją myśl, że ona sama może nie wypaść tak dobrze.

Siedzieli w salonie, dzieci zachowywały się wzorowo, opowiadając na przemian, jaką to wspaniałą niewiastą jest ich ciotka. Około godziny wpół do ósmej sędzia przerwał im i spod przymrużonych powiek spojrział na Lily.

- W związku z tą sprawą - zaczął - spora grupa osób nie daje mi spokoju. I to ważnych osób. Którzy mnie obarczyli tym zadaniem. Po raz pierwszy znalazłem się w tak kłopotliwej sytuacji. Trzeba przyznać, panno Blakemore, że nie cieszy się tu pani dobrą sławą.

Serce w Lily zamarło. W głowie jej się mąciło od natłoku myśli.

Uświadomiła sobie w tym momencie, że ona wcale nie walczy z sądem, skądże! Ona toczy walkę ze swo-

im środowiskiem, z elitą Nowego Jorku. Jak mogła na to nie wpaść, gdy otrzymała ten dokument?

Zegar wybił pół godziny, a ona prawie go nie słyszała.

- Ciociu Lily - rzekł Robert z naciskiem - pora na kolację.

Spojrzała na chłopca, starając się uspokoić. Musi szczerze porozmawiać z sędzią, powiedzieć mu o swoich odczuciach. Lecz gość nie znał toku jej myśli, toteż ruszył za wskazującymi mu drogę dziećmi.

W progu jadalni Lily oniemiała z wrażenia.

- Ciocia uznała, panie sędzio, że ten posiłek winien mieć mniej oficjalny charakter. Zatem proszę usiąść wygodnie, a my posłuchamy, co ma pan nam do powiedzenia.

- Dobrze - odparł krótko sędzia.

Lily wciąż była przerażona. Aczkolwiek to, co ujrzała na stole, poprawiło jej trochę nastrój. Wspaniałe widok, potrawy czekały zgodnie z daną jej obietnicą. Szkło, srebro, porcelana - niczym żołnierze ustawieni w szyku.

Poprosiła w duchu Boga, by pomógł jej przetrwać ten wieczór - i przynajmniej niech sędzia uwierzy w jej możliwości. Dziś na nic więcej nie będzie jej stać. Jeśli przeżyje ten wieczór, poradzi sobie z resztą jej przeciwników. Nie „jeśli przeżyje”, poprawiła się w myślach, tylko po tym wieczorze.

Zaczęli od zupy - misternej roboty srebrna waza stała na wysokiej paterze, zdobnej w kwiaty z porcelany. Nie czekając na Lily, sędzia Hartwell sięgnął po łyżkę wazową. Najwyraźniej miał już dość ogólnej rozmowy i przeszedł do rzeczy. Z miną wielce poważną przystąpił do zadawania dzieciom pytań.

- Dobrze znasz swoją ciotkę, Robercie?

Dłoń Lily z łyżką zatrzymała się w pół drogi.

- Bardzo dobrze, sir. I powiem panu w imieniu swoim i moich sióstr, że ogromnie kochamy ciocię.

Coś ścisnęło Lily za gardło, i robiła, co mogła, żeby nie zerwać się z miejsca i nie chwycić w objęcia swego bratanka.

Sędzia chrząknął i nabrał sobie jeszcze zupy, pełną łyżkę wazową. Po chwili rzekł:

- Aż nie do wiary, że takie żywe dzieci jak wy mieszka-
ją tu jak w klatce. Ja widzę was na pięknej, rozległej farmie.

- Mamy pod bokiem Central Park - powiedziała Penelope. - Wszędzie tu jest dużo przestrzeni, są nawet pola uprawne.

Sędzia Hartwell utkwiał wzrok w Penelope. Inna dziewczynka może by i zamrugała, ale ona wytrzymała jego ostre spojrzenie, póki znowu nie zajął się zupą.

Następne pytania brzmiały mniej więcej w tym samym tonie. Lecz wszelkie negatywy wysuwane przez sędziego dzieci kontrowały pozytywami. Lily była prawie przekonana, że wywarło to na gościu silne wrażenie.

Jej podekscytowanie wzrosło, gdy zaczęła podawać talerze ze znakomicie upieczoną wołowiną. Wszystko wskazywało na to, że los im sprzyja i sprawy toczą się w dobrym kierunku. Czuła to i domyślała się, że dzieci mają podobne wrażenia.

Z nadzieją zatem na pomyślne zakończenie wieczoru Lily pochyliła się nad stołem, sięgając po sosjerkę. Zapomniała wziąć ściereczkę, by przez nią chwycić gorącą metalową rączkę.

- Ojej! - krzyknęła, puszczając sosjerkę, wskutek czego sos wylał się jej na kolana.

Nie zauważyła, że paciorki, którymi obszyty był jej koronkowy stroik, zahaczyły o obrus. Toteż gdy zerwała się z miejsca, pociągnęła obrus za sobą i cała rodowa zastawa

zaczęła się zsuwać na podłogę. Wydarzenia miały tak szybki przebieg, że wszystkich замуrowało. Tłukło się szkło, tłukły się talerze, a dzieci siedziały jak przykute do miejsca - oczy miały wybałuszone, buzie otwarte.

I wtedy właśnie stało się to najgorsze.

- Uwaga!

Rozpaczliwy krzyk Roberta, a także jego gwałtowne ruchy, mające na celu zapobieżenie katastrofie, na nic się jednak zdały, bo waza z zupą już toczyła się po obrusie niczym okręt po wzburzonym morzu i w okamgnieniu jej zawartość wylądowała na kolanach czcigodnego sędziego Haywarda Hartwella.

- Wielki Boże! - wykrztusiła Lily, a obrus zwiisał z jej piersi jak olbrzymia serwetka pod brodą kowboja zabierającego się do spożycia żeberek w sosie barbecue.

Po chwili martwej ciszy Lily jednym pociągnięciem ręki uwolniła się od obrusa, chwyciła serwetkę i podbiegła do sędziego.

Tenże na jej widok wytrzeszczył oczy. Były wielkości srebrnego dolara, gdy pani domu pochyliła się nad nim z serwetką w dłoni. Wystraszony sędzia przesunął się z rozmachem do tyłu. Lily zdążyła wypowiedzieć: - Przepra... - gdy krzesło, którego tylne nogi napotkały jakąś przeszkodę, przewróciło się z trzaskiem.

Robert opuścił głowę na stół. Penelope wydawała dzikie jęki, Cassie rozpłakała się. Lily, zgięta w pół, wpaływała się w sędziego, który wciąż trwał w pozycji siedzącej na przewróconym krześle.

- Czy to będzie dowód przeciwko mnie? - zapytała zrozpaczonym głosem.

W sędziego Hartwella jakby diabeł wstąpił, prychał, szamotał się, dokonując nadludzkich wysiłków, by wydobyć się z tej pułapki. Udało mu się wreszcie stanąć na

nogach, chwycił serwetkę i zaczął nią wycierać swą kompletnie zniszczoną odzież. Nie przerywając tej czynności, obrzucił Lily pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Powiadomię panią o swej decyzji - powiedziała. - Do zobaczenia w sądzie, panno Blakemore. Dobranoc.

Wyszedł z domu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, pozostawiając jego mieszkańców jak skamieniałych, niezdolnych wymówić słowa.

Wtedy właśnie wszedł do jadalni Morgan. Na widok pobojuwiska zbladł jak płótno.

- Co się stało? - zapytał.

- Podejrzewam - zaczęła Lily zdławionym głosem - że kiedy powiedziałaś, iż sędzia padnie przede mną na kolana, to jednak miałaś na myśli coś całkiem innego.

Trzęsa się, miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Wielki Boże, co ja narobiłam? - czyniła sobie w duchu wyrzuty.

Spojrzała na zrozpaczone miny dzieci i to już ją kompletnie załamało.

- Zabiorą nas stąd - mówiła Cassie wśród szlochów, a łzy spływały jej po policzkach.

Lily milczała - nie wiedziała, co powiedzieć.

Penelope chwyciła się stołu, jakby nie mogła utrzymać równowagi.

- Oddadzą nas jakimś strasznym potworom - rzekła, a oczy błyszczały jej nienaturalnie. - Oddadzą nas temu Artemisowi i tej Audry.

- Atticusowi i Adeline - poprawił ją machinalnie Robert, gładząc rączkę siostry. - Nie martw się. Będę się tobą opiekował.

Lily czuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

- Jeszcze klamka nie zapadła, moi kochani - powiedziała, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gard-

ło. - Odbiorą mi was tylko dlatego, że wylałam zupę?

Wiedziała jednak, że nie o zupę chodzi. Zaatakowała ją nowojorska elita, która tak czy owak chce dopiąć swego. Ona, Lily, jest kobietą upadłą. Jakże może pełnić rolę matki? Sędzia to tylko zwiastun losu, jaki przypadł jej w udziale.

Dzieci poszeptały coś między sobą i wyszły z pokoju. Morgan i Lily zostali sami.

Lily czuła na sobie jego badawczy, pełen zatroskania wzrok. Nie mogąc dłużej tego znieść, chcąc rozładować jakoś sytuację, umoczyła palec w kałuży sosu na swojej nowej sukni i polizała go.

- Znakomity - rzekła, choć żartobliwy ton nie przyśledł jej łątwo. - Chcesz spróbować?

- Lily, porozmawiajmy!

- Nie! - odpaliła. Tym razem nie chciało jej się udawać, że jest spokojna i opanowana. - Nie ma o czym rozmawiać!

Wybiegła z pokoju, pognała schodami na górę, udrezczona świadomością klęski, nie mogąc sobie poradzić z paskudnym uczuciem bezradności, które przenikało ją do głębi. Starając się uciec przed cierpieniem, skryła się w swojej dawnej pracowni.

Przez okna wpadało srebrzyste światło księżyca. Zatrzymała się dopiero koło szafy i przytuliła do tego jedynego ocalałego tu mebla, jak gdyby oczekiwała odeń pocieszenia i wsparcia, które tak bardzo było jej potrzebne.

Z oczu jej płynęły łzy, ciałem wstrząsało szlochanie, waliła w drzwi szafy, protestując w ten sposób przeciwko niesprawiedliwości tego świata. Sama doznała "wiele krzywd, ale żeby dzieci miały cierpieć z jej powodu - nie, z tym nie mogła się pogodzić.

Nie słyszała kroków Elliotta. Stanął tuż za nią.

- Lily.

To słowo było jak pieszczota, wypowiedział je z ogromną czułością. Ale Morgan niczego nie naprawi. W niczym jej teraz nie pomoże. Uczył ją w miarę swych sił, lecz efekty okazały się znikome.

- Przegrałam! - krzyczała, waląc w szafę pięścią. - Przegrałam!

I nagle rozległ się jakiś trzask, łomot, który sprawił, że cofnęła się przerażona.

- Co to? - zapytała, wycierając oczy pełne łez.

Morgan obszedł szafę ze wszystkich stron, zbliżył się do ściany. Lily rozglądała się po pokoju, usiłując dociec przyczyny hałasu. Zauważyła w końcu, że odpadł tył szafy. Lecz przy bliższych oględzinach stwierdziła, że to nie tył szafy odpadł, tylko coś innego. Patrzyła i własnym oczom nie mogła uwierzyć. Jaskrawy kolor, jakiś obraz, ale widziała zaledwie kawałek, bo szafa zasłaniała całość.

- Co to może być? - mruknął Elliott, wyciągając obraz z za szafy.

Umysł Lily przestał funkcjonować, wzrok nie przy-
swajał widoku kolorowego płótna i spoglądających na nią z portretu niebieskich oczu.

- Jezu Chryste! - szepnął Morgan, cofnąwszy się o krok.

Lily nie była pewna, jaka nuta zabrzmiała w jego głosie. Nuta odrazy, gniewu? A może podziwu?

Zamknęła powieki, łudząc się nadzieją, że się obudzi, obudzi się z koszmarne-
go snu. Lecz gdy otworzyła oczy, nic się nie zmieniło, nie leżała w łóżku w swej sypialni, nie zobaczyła słońca na niebie, była tu, w pokoju na poddaszu, i patrzyła na zdradzieckie dzieło Raine Hawthorne'a.

Obraz.

Był tutaj, bardziej zuchwały, niż miała go w pamięci - i nie sposób już dłużej zaprzeczać jego istnieniu, i nie sposób zaprzeczać, że jej brat go kupił, tak jak nie sposób zaprzeczać, że Morgan miał rację.

Gardło miała zaciśnięte, serce jej waliło. Na twarzy malował się wstyd, co Morgan łatwo zauważył. Zawsze dręczyła ją jej przeszłość, ale świadomość, że mężczyzna, z którym przeżyła tyle wspaniałych chwil, widzi ten obraz, była dla niej czymś nie do zniesienia. Rzecz jasna, on o nim wiedział, ale wiedzieć i widzieć to coś zupełnie innego. Teraz oto pojawił się niezbity dowód. Ma przed oczami ten obraz i ma przed oczami upadłą kobietę.

Kobietę, której nie można kochać.

Marzyła o tym, żeby uciec z tego pokoju, uciec z tego domu i nigdy nie oglądać się za siebie. Przegrała sprawę dzieci, a teraz człowiek, na którego szacunku najbardziej jej zależało, patrzy na jej hańbę.

- Jest piękny.

Obróciła się błyskawicznie i spojrzała na Elliotta. Wzrok miał utkwiony w obrazie, studiował go, jakby był koneserem sztuki. Lily poczuła, że kolana się pod nią uginają.

Wiele osób uznawało piękno tego portretu, ale podziwiając talent artysty, nie podziwiali kobiety, która pozwoliła sobie mu pozować.

- To nie ty.

W głowie jej się zakręciło. Osłupiała. Gdyby ten oto silny mężczyzna załamał się i zaczął płakać, nie byłaby bardziej zaskoczona. Nie dowierzała własnym uszom.

Chwyił ją za ramiona i obrócił ku sobie, nie zważając, że zachowuje się dość obcesowo. Wpatrywał się w nią pełnymi bólu oczami.

- To nie ty - powtórzył.

Powoli jego słowa zaczęły do niej docierać - ich sens

był jednoznaczny, oczywisty. Wiedział. Zrozumiał.

Otworzyła usta, chwytając nerwowo oddech.

- Boże w niebiosach! - krzyknął, a okrzyk ten wyrwał mu się z głębi serca. - On namalował twoją twarz, ale nie twoje ciało!

- Skąd wiesz? - zapytała cicho, pragnąc rozpaczliwie, żeby udowodnił jej, iż naprawdę tak uważa.

- Tu - wskazał palcem miejsce na płótnie. - I tu. To nie jest twoje ciało - mówił wzburzony - to nie są twoje biodra, to nie są twoje piersi. I nie twój brzuch! Gdzie jest znamię? Kochałem każdy cal twojego ciała, każdy jego skrawek. Znam cię. Nawet jeśli malował ten obraz przed dziesięcioma laty, to o niczym nie świadczy, to nie jesteś ty. - Znowu spojrział na nią. - Jezu Chryste, on nie malował ciebie! Ale nie masz dowodu. Nie możesz udowodnić światu, że to nie ty pozowałeś. Uwierzyli w twoją hańbę... - Był cały spięty, cierpienie wykrzywiało mu twarz. - Tak jak ja uwierzyłem.

Świat wokół niej wirował, podobnie jak myśli w jej głowie. Goniła myśli, za którymi nie mogła nadążyć. Morgan wiedział. Patrzył na jej największą hańbę i oto przekonał się, że ta hańba jej nie dotyczy. W tym momencie nieważne było to, że tak źle ją osądzał. - A czyż mógł być o niej innego zdania? Mimo to pokochał ją, dla niej samej.

- Lily - rzekł, ujmując jej dłonie - dlaczego mi nie powiedziałaś?

Uśmiechnęła się smętnie.

- A ty byś mi uwierzył?

Przymknął powieki na sekundę.

- Raczej nie - odparł.

- Na pewno nie. Ale to nie ma znaczenia. - Zacisnęła palce na jego rękach, uświadamiając sobie, że to naprawdę nie ma znaczenia. - Przepełnia mnie radość.

Wreszcie ktoś na tym świecie wie, iż to nie ja pozowałam. Nowy Jork nie wie o tym. Claude też nie wiedział. Lecz istnieje osoba, która widziała obraz i przekonała się, że ja nie jestem Karmazynową Lily.

- Musisz powiedzieć o tym sędziemu. W tej sytuacji nie odbierze ci dzieci. Musisz powiedzieć całemu miastu, że nie jesteś Karmazynową Lily, za jaką cię uważano.

- Nie mogę powiedzieć ani sędziemu, ani nikomu innemu. Nikt mi nie uwierzy.

- To ja im powiem.

Roześmiała się, pokrywając tym zażenowanie.

- I co im powiesz? Że to nie ja, bo widziałeś mnie w określonych okolicznościach i wiesz, iż naga kobieta na obrazie nie jest tą nagą kobietą, którą miałeś w swoim łóżku? - Poczwała ból upokorzenia. - Powiadomienie o tym sądu jeszcze bardziej mnie pograży.

Elliott skulił ramiona, odwrócił się. I nagle się wyprostował. Lily podążyła za jego wzrokiem i zauważyła niewielki pakiet, który widocznie spadł na podłogę wraz z portretem. Morgan pochylił się i stwierdził, że jest to teka rysunków. Odwiązał ostrożnie tasiemkę. Szybko przejrzał zawartość teczki, po czym popatrzył na Lily z kamiennym wyrazem twarzy.

Podając jej teczkę, rzekł:

- Oto dowód twojej niewinności.

Była wyraźnie speszona. Podejrzewała, co się tam znajduje, i chyba wolałaby się z tym nie zapoznawać. Drżącymi palcami przerzucała kartki strona po stronie. Szkice. Mnóstwo szkiców. Ona w sukni popołudniowej, ona w sukni wieczorowej. W różnych pozycjach, pod różnym kątem. Ale zawsze ubrana. Potem inne szkice. Innej kobiety. Też w różnych pozycjach. Ale zawsze bez ubrania.

Po pobieżnej analizie domyślała się już, jakimi szki-

cami Raine Hawthorne się posłużył. Ją rysował w tym właśnie pokoju, gdy wyglądała przez okno.

Dobrze pamiętała ten dzień. Pamiętała wściekłość brata, że pozwoliła Raine Hawthorne'owi przekroczyć próg ich domu.

- Wiesz, że go nienawidzę! - krzyczał, gdy tamten już wyszedł. - Zapraszasz go specjalnie, żeby mi dokuczyć!

Czyżby to była prawda? - zastanawiała się potem wielokrotnie, czy rzeczywiście chciała dokuczyć swemu bratu? Stanowczo odrzucała taką możliwość, wołała też nie myśleć o tym, jak tenże brat ją skrzywdził. Ale teraz, oglądając te szkice, pomyślała, że nie będzie się dłużej oszukiwać: Claude do jej dramatu walnie się przychylił. Wiedział przecież, że nie pozowała Raine. A mimo to przepędził ją z domu.

- Nienawidził mnie - powiedziała ledwo słyszalnie. Morgan tylko westchnął.

- Po wyjeździe z Manhattanu codziennie do niego pisałam. Przez długie miesiące pisałam do niego listy, prosiłam, żeby mi uwierzył, że nie pozowałam do tego portretu. Nie cierpiałam życia z dala od domu. Chciałam wrócić. W tych listach przekonywałam go, prosiłam, błagałam - i nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Była zima, gdy nadeszła do mnie paczka. Zawierała wszystkie moje listy, nieodpieczętowane, oraz krótką notatkę: „Przestań pisać. Tak będzie lepiej”. - Westchnęła głęboko. - Lepiej? Lepiej? Dla kogo? Dla mnie? Kobiety, która odtąd musiała sama radzić sobie w życiu? Lepiej dla Claude'a. Przepędził mnie. Zerwał wszystkie więzi. Umył ręce, zostawiając siostrę wraz z jej hańbą. Aż do chwili, gdy okazało się, że jestem mu potrzebna. - Spojrzała na widoczny w oknie księżyc. - Wierzyłam, musiałam wierzyć, że przepędził mnie z po-

wodu wstydu, jaki mu przyniosłam, a zakazał mi do siebie pisać, ponieważ moje listy sprawiają mu ból. W ten sposób podtrzymywałam w sobie wiarę w istnienie miłości, która kiedyś nas łączyła. Teraz nie mam już złudzeń. Mógł mnie uwolnić z tego koszmaru, ale nie w tym kierunku nie uczynił. - Poczwała bezbrzeżny, przygniatający smutek, który omroczył jej serce niczym kokon, bała się, że zaraz zemdleje. - Żywiłam nadzieję, że mnie kocha, lecz ta nadzieja była płonna.

- A może właśnie za bardzo cię kochał?

- Za bardzo? Czyż można kochać za bardzo? - zapytała matowym głosem.

- Być może kochał cię tak... jak nie powinien był cię kochać? - spytał Elliott przyciszonym tonem.

W Lily serce się rozszalało, uderzało w opinający je kokon. Ileż to razy w czasach wczesnej młodości zastanawiała ją spojrzenia i gesty jej brata? Ileż to razy, gdy jej ciało nabrało już kobiecych kształtów, czerwieniła się z zakłopotania pod wzrokiem Claude'a, kiedy na przykład weszła do pokoju, w którym on się znajdował? Tłumaczyła sobie, że Claude zachowywał się dziwnie nie tylko na jej widok. Lecz mimo to *zawsze* w takich sytuacjach czuła się nieswojo, wręcz fatalnie. Czy to możliwe, że właśnie to było powodem, iż wbrew protestom Claude'a przyjęła wizytę pewnego kawalera? Czyżby czuła podświadomie, że jeśli wówczas mu się nie przeciwstawi, to już nigdy się na to nie zdobędzie?

Te i temu podobne pytania cisnęły się jej do głowy, lecz nie znajdowała na nie odpowiedzi. Claude nie żył. I zabrał ze sobą do grobu tę tajemnicę.

Nie słyszała kroków Morgana, który stanął tuż za nią. Czuła tylko, gdy objął ją, promieniejące odeń ciepło. Chciałaby zamknąć oczy i odchylić się do tyłu, oprzeć

o niego. Ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Miała wrażenie, że jej znękana dusza popęka na drobne kawałki. Roztrzaska się. Jak jej ukochana porcelanowa filiżanka.

- Lily - powiedział Morgan, przytulając ją do siebie. - Bardzo mi przykro. Wolałbym, żebyś nie poznała owej okrutnej prawdy o swoim bracie. Chyba jednak rozumiesz, iż dzięki tym szkicom odzyskasz dobre imię.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- O czym ty mówisz?

- O szkicach. Wystarczy, że pokażesz je sądowi. Niech sędzia i krytycy twojej osoby przyjrzą się im. Udowodnisz, że nie jesteś kobietą upadłą. Ze zostałaś pomówiona, że stawiane ci zarzuty były niesłuszne. I sędzia nie będzie miał prawa odebrać ci dzieci.

Przeżyła w wyobraźni cudowną chwilę. Lecz zaraz uzmysłowiła sobie z przeraźliwą jasnością, że ona o tym znalezisku nie może nikomu powiedzieć.

- Posłuchaj mnie - szeptał Elliott z ustami przy jej włosach. - Przecież chcesz odnieść zwycięstwo w tej walce.

- Nie.

Krótkie słowo rozległo się echem w pokoju. Wiedziała, że Morgan nie pojmował, był wyraźnie poruszony, ale zapanował nad sobą. Puścił jej ramię i spojrzał na nią surowo.

- Co ty opowiadasz? Oczywiście, że pokażesz te szkice sądowi. I powiesz o nich tym, którzy wywarli nacisk na sędziego, by wystąpił przeciwko tobie.

- Nikomu nie powiem o tych szkicach ani ty nikomu o nich nie powiesz.

- Musisz!

- Nie, Morgan. Nie zrobię tego ze względu na dzieci.

- Lily, mówisz bez sensu. Właśnie ze względu na dzieci musisz je ujawnić.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Dzieci kochały swego ojca, świata poza nim nie widziały. Jak sądzisz, co przeżyją, kiedy dowiedzą się, że ich ojciec przyłożył rękę do mojej hańby? Jak będą się czuć, gdy stanie się jasne, że ojciec kupił gorszący portret swojej siostry wraz ze szkicami świadczącymi o jej niewinności? Jaki człowiek mógłby tak postąpić wobec kogokolwiek, szczególnie wobec własnej siostry?

- Taki człowiek nie zasługuje na miłość swoich dzieci.

- Być może. Lecz ani mnie, ani tobie nie wolno o tym decydować. Nawet sędzia nie ma takiego prawa. I nawet jeśli Claude nie zasługuje na ich miłość, to czy twoim zdaniem dzieci zasługują na to, by odebrać im wiarę w ich ojca? Dziecko musi wierzyć w dobroć swego ojca. Musi wierzyć, że był uczciwym człowiekiem. Jak ty byś się czuł, gdybyś w wieku młodzieńczym dowiedział się o podłości swego rodzica?

- Prędzej czy później dzieci dowiadują się o ułomnościach ojca, matki.

- I to boli. Potem dziecko dorasta, lepiej ich pozna, rozumie ich i nadal kocha, trochę już inną miłością. Ale Claude nie żyje. Jeśli teraz zniszczę jego wizerunek, nie będą mieli szansy na stworzenie sobie innego. I do końca życia nie przestaną się wstydzić za postępek ojca. Nie, nie zrobię dzieciom takiej krzywdy.

- Lily, do diabła...

- Nie, Morgan. Moja decyzja jest ostateczna. Poza tym jeszcze nie wszystko jest stracone. Stawię się na wezwanie sądu. Powiem nowojorczykom, że kocham Roberta, Penelope i Cassie, że jestem im bezgranicznie oddana. Potem przypomnę im, że bez względu na ich o mnie opinię Claude życzył sobie, bym to właśnie ja sprawowała pieczę nad dziećmi. - Ujęła dłoń Morgana. - Kazałeś mi walczyć. Są

dziłam, że walczę, ucząc się gotować, utrzymywać dom w porządku. Teraz wiem, że to wcale nie była walka. I najwyższy czas ją rozpocząć, pokonać ludzi, którzy mnie kiedyś przepędzili i chcą mnie przepędzić ponownie. Mój rzekomy brak powołania do bycia matką to tylko czcza wymówka. Muszę się więc przed nimi obronić, i to raz na zawsze. Stawić im czoło, pokazać tym ludziom, że nie jestem słaba, że pokrzyżuję ich zakusy. I wygram tę walkę.

Przez chwilę cisza zaległa w pokoju.

- A jeśli przegrasz? - zapytał.

Aż zadrżała na myśl o takiej ewentualności.

- No to przegram. Lecz tymi szkicami się nie posłużę. Jediną pociechą będzie dla mnie to, że Atticus i Adeline Wesfordowie to dobrzy ludzie i stworzą dzieciom prawdziwy rodzinny dom.

Elliott usiłował ją jeszcze przekonywać, przerwała mu jednak:

- Co według ciebie będzie lepsze dla dzieci? Przebywanie wraz ze mną, ze świadomością, że ich ojciec był nikkzemnikiem, czy też mieszkanie z rodziną matki i zachowanie wiary w nieskazitelny charakter ojca?

Długie minuty stali na środku pokoju oświetlonego blaskiem księżycy.

- Niewiele ludzi podziwiałem w życiu. Ale ty, Lily Blakemore, zajmujesz na tej liście pierwsze miejsce.

22

Nazajutrz rano z dziwnym, acz bolesnym uczuciem lęku Morgan wyszedł z Blakemore House. Zamierzał od-

wiedzieć Waltera. Wczoraj wieczorem, leżąc już w łóżku, rozmyślał o przeszłości Lily i jej dramacie. Nie pozowała do tego portretu, ale wszyscy ją potępiali, łącznie z nim.

Był jej sędzią i jej ławą przysięgłych, sądził ją i wydał wyrok, nie dając szans na obronę. Gdy przybył do Blakemore House, był już z góry do niej uprzedzony, wszystko było dlań jasne i oczywiste.

Jak to się stało, że zapomniał, iż nie wszystko w życiu jest jasne i oczywiste? Jak to się stało, że zapomniał, iż w życiu zdarzają się różne zawirowania i zakręty, sytuacje wręcz nieprawdopodobne, choć potwierdzone faktami? Wszak to właśnie on powinien wiedzieć, że często nie dzieje się tak, jak wskazują na to pozory.

W swojej ocenie Lily Blakemore zapomniał o tym.

Lily zapytała go kiedyś, czy człowiek jest kowalem własnego losu, czy ma możliwość sprawowania kontroli nad tym, co go w życiu spotyka. Przekonany o tym głęboko powiedział, że tak. Lecz teraz uświadomił sobie, że nie istnieje jednoznaczna odpowiedź na to pytanie. Nie ma w życiu tylko czerni i bieli. Są także różne odcienie szarości.

Człowiek może wprowadzić obrać drogę, jaką chce w życiu podążać, lecz istnieją pewne sprawy wymykające się spod kontroli. Lily nie zrobiła nic złego, a wyrok na nią zapadł. Inni uczynili to zło. Stała się marionetką, którą ktoś kręcił.

Gdy ubiegłego wieczoru wpadł im w ręce obraz i Morgan zapytał ją, dlaczego Raine Hawthorne dopuścił się tego czynu, zaprowadziła go do swojego pokoju i pokazała mu list, jaki malarz napisał przed śmiercią.

Marzec 1886

Najdroższa Lily!

Krew się we mnie burzy, gdy widzę, jak ludzie, którzy nie tolerują kobiet twego pokroju, rujnują ci życie.

Przekazuję ci zatem wszelkie moje dobra, abys mogła zyskać wolność... i ofiarowuję ci dar, który tę wolność przypieczętuje.

Hawthorne

Elliott przymknął oczy i z bólem serca pomyślał o tragedii, jaka z tego wynikła. Artysta podarował Lily pieniądze i obraz, by uczynić z niej kobietę wolną i wyzwoloną, a skutek był taki, iż stała się niewolnicą świata, który ją otaczał.

Rozumując dość nietypowo, doszedł do przekonania, że Hawthorne nie zamierzał skrzywdzić Lily. Usiłował jej pomóc. To ludzie dołożyli starań, by ją skrzywdzić, i skrzywdzili. Jęk wydobył się z jego piersi. Tak jak on ją skrzywdził.

Odkąd ją poznał, czuł, że jest niewinna. Odczytywał to z jej oczu, choć żadnych szkiców nie miał jeszcze w ręku. I zlekceważył własną intuicję.

Ogarnął go wstyd. Potępiął Lily, by potem stwierdzić, że ją kocha. Czy dlatego tak ją traktował, że bał się tej miłości? Ze zły był na siebie za to uczucie? Że ją obarczał winą za swój gniew?

Nie pojmował, co się z nim stało przez te kilka miesięcy pobytu w Blakemore House. Wiedział tylko, że obdarzał Lily tak wielką miłością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, uczuciem, którego skali z niczym nie dało się porównać.

Jednak rozważywszy to wszystko, doszedł do okrutnej prawdy. Nie zasługiwał na jej wzajemność.

Przywołał dorożkę, opadł na obite skórą siedzenie i przetaił dłońmi twarz. Jedno może jeszcze zrobić. Niezwłocznie i bez względu na konsekwencje. Wyjawić Lily powód swego pobytu w Blakemore House. Zdradzić, że nie był tym, za kogo go uważała, za kogo się podał. Na tę myśl aż się wstrząsnął, jakby ktoś przy-

tknął mu do ciała rozgrzane do białości żelazo. Lecz nic innego mu nie pozostało. Nic. Nie miał wyboru. Musi powiedzieć jej, kim jest naprawdę. I nie może oczekiwać od niej przebaczenia. Bo jedno wiedział o niej na pewno - zawsze mówiła prawdę. Była uosobieniem uczciwości, mimo iż sądził, że jest uosobieniem fałszu.

Uderzył pięścią w przegrodę dorożki, aż poczuł ból w całym ramieniu. Pójdzie do Waltera, powie mu, żeby na niego już nie liczył. Muszą znaleźć jakiś inny sposób, by dostać się do skóry Crandallowi. Potem wróci do Blakemore House i powie Lily całą prawdę, co do najdrobniejszego szczegółu, należy jej się to. Jeśli ona poinformuje o wszystkim Crandalla i jego kompanów, to trudno, prawda tak czy owak jej się należy.

Po trzydziestu minutach Morgan wchodził już do znanego sobie budynku w śródmieściu. Chciał dopaść Waltera, nim zaczną się zwykły w tym urzędzie gorączkowy dzień.

Owionął go znany mu dobrze zapach kawy. Walter siedział za biurkiem i z zaciśniętymi ustami czytał jakiś raport.

- Witam - rzekł Elliott od progu.

Walter uniósł głowę, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. Po chwili rozparł się w fotelu, mierząc Morgana wzrokiem.

- Dzień dobry, obcy przybyszu.

- Rzeczywiście, ostatnio stałem się trochę obcy. Byłem bardzo zajęty.

- Upiększaniem domu, jak doszły mnie wieści.

- Szpiegujesz mnie?

- Nie, nie szpieguję. Chciałem się tylko upewnić, czy mój najlepszy fachowiec nie naraził się zbyt mocno ściganej

przez niego ofierze i czy nie znalazł się przypadkiem po niewłaściwej stronie noża bądź czy nie pochłonęły go nurty East River. Nie sądziłem natomiast, że znajdziesz się po niewłaściwej stronie miotły, że tak rzeknę.

Morgan zachichotał, choć zabrzmiało to nieco sztucznie.

- Sam nie przypuszczałem, że przyjdzie mi zająć się taką robotą. - Uśmiech znikł z jego twarzy. - Chciałem pomóc.

- Kochasz ją, prawda?

Westchnął. Czyżby wszyscy oprócz niego wiedzieli o tym od dawna? Najpierw Trudy Spencer, teraz Walter. Wzruszył ramionami. Czy istotnie tak mało siebie znał?

- W porządku. Możesz nic nie mówić. Odpowiedź masz wypisaną na twarzy.

- Nieważne, kocham czy nie kocham - rzekł. - Zamierzam powiedzieć Lily Blakemore, kim jestem. Potem wyprowadzam się.

- Skąd?

- Z Blakemore House. - Odwrócił wzrok i nagle go olśniło, wiedział już, co ze sobą pocznie. - Wyjeżdżam z Nowego Jorku. Wracam do domu. Trudno by mi było to znieść, gdybym spotkał ją przypadkiem na mieście.

Walter walnął pięścią w stół, aż Elliott podskoczył.

- Co ty, człowieku, wygadujesz, do cholery?! Kochasz ją i chcesz ją zostawić? Co za głupoty chodzą ci po głowie?

- Ona myśli, że jestem majstrem.

- Ale nie jesteś. Masz więcej pieniędzy niż ona.

- Nie chodzi o pieniądze, Walterze. Jeśli choć jednej osobie na świecie nie zależy na pieniądzach, to właśnie jej.

- No to o co ci chodzi?

- Oszukałem ją.

- Nie oszukałeś. Wykonywałeś swoje obowiązki. Majster to twój kamuflaż. Taki uprawiasz zawód.

- A według ciebie, jak mam to jej wytłumaczyć? „Aha, przy okazji, ja nie jestem majstrem Morganem Elliottem.” I w porządku. Będzie mnie błagała, żebym został. „Nieważne, że jesteś kłamcą, ważne, że masz majątek.”

Walter rzucił przekleństwo.

- Przestań! Jeśli kochasz kobietę, to walcz o nią. Dobrze, powiedz jej prawdę, kim faktycznie jesteś, ale powiedz jej również, dlaczego podjąłeś się takiego właśnie zadania.

- Słuchaj...

- To ty mnie słuchaj, do cholery! Jesteś godnym podziwu mężczyzną, drugiego takiego ze świecą szukać. Całe swoje życie poświęciłeś naprawianiu zła. Nie rób z siebie safandudy. Idź do niej. Powiedz, co masz do powiedzenia. I bez względu na jej reakcję nie odchodź. - Zawahał się, zmarszczył brwi. - Właśnie teraz będziesz jej bardzo potrzebny.

- Co masz na myśli?

- To - odparł, podsuwając mu raport, który czytał przed jego przyjściem.

Morgan wziął pismo. Przeczytał raz, drugi, po czym uniósł wzrok.

- Otóż właśnie - ciągnął Walter. - Sędzia wnosi sprawę przeciwko panie Blakemore.

- Skąd ta informacja?

- Dobrze ci wiadomo, że nie mogę podać źródła, ale czy zdarzyło się kiedykolwiek, bym ci przekazał błędne dane?

Elliott skoncentrował się na treści raportu. Sąd zamierza wystąpić przeciwko Lily. Po tej nieszczęsnej wizycie sędziego w głębi duszy był przekonany, że do tego dojdzie. Jednak trudno mu było pogodzić się z tym. Boże drogi, jaka szkoda, że nie pomylił się w swych domniemaniach.

Czuł się kompletnie bezradny. Jak odparować atak? W jaki sposób pomóc Lily? Myśli kłębiły mu się w głowie. Może udałoby mu się zebrać parę osób, które świadczyłyby na jej rzecz? Od kogo zacząć? Każda znana mu osoba, która znała również Lily, mówiłaby tylko o jej nieokiełznanym charakterze bądź o jej żywołości - cechach, które w oczach sędziego nie kwalifikują jej na matkę.

- Nie zasłużyła sobie na takie traktowanie - powiedział. - Gdybyż mogła przekonać sąd i tych, którzy prześcigają się w jej krytykowaniu, że ona kocha te dzieci, że naprawdę jest dobrą matką. - Potrząsnął głową z uśmiechem. - Ona naprawdę nauczyła się prowadzić dom.

Walter chrząknął.

- Obaj dobrze wiemy, że nie chodzi tu o sprzątanie i gotowanie.

- Co masz na myśli?

- Zgodnie z moją wiedzą w tej kwestii rzecz dotyczy artykułu, jaki ukazał się w gazecie. O Karmazynowej Lily. To wzburzyło ludzi z jej sfery.

Elliott spojrział na Waltera skonfundowany.

- Powiadasz...

- Tak. „Wybryki Karmazynowej Lily.” Ludzi to rozwścieczyło. Żaden odpowiedzialny sędzia nie przyzna opieki nad dziećmi kobiecie, którą opisano w taki sposób.

Morgan zaklął siarczyście.

- Kobieta z pierwszej strony gazet, ukazana, łagodnie rzecz ujmując, w nie najlepszym świetle, nie może, zdaniem sędziego, rościć sobie prawa do pełnienia roli matki.

- Do diabła! - Morgan odwrócił głowę. Skoro tak, to jak on może jej pomóc?

- Gdybym mógł coś zrobić w tej materii... - Walter nie dokończył zdania. Obaj zdawali sobie sprawę, że ani on nic tu nie poradzi, ani nikt inny.

- Dziękuję ci - rzekł Elliott. Z rękami w kieszeniach wyszedł z pokoju.

W głowie miał chaos. Ledwo zauważał mknące jezdnię powozy i tramwaje konne. Co on ma począć?

Myśli kłębiły mu się w głowie, gdy zbliżał się do Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Nie obchodziło go już to, czy ktoś go widzi, czy nie. Szedł aleją od frontu, zdecydowany powiedzieć Lily o tym, kim jest w istocie, oraz o zamiarach sędziego. Po czym przedłoży jej plan ratunku. Nieodwołalnie.

Otworzył drzwi. Dzieci stały w gromadce, zapłakane.

- Co się stało? - zapytał.

- Przyszedł posłaniec. Sędzia podjął decyzję i wezwał Lily do stawienia się przed trybunałem - odparł Robert. Obiema dłońmi chwycił się za głowę. - Nie pozwoliła nam iść ze sobą. Mam jak najgorsze przeczucia. Dlatego nie zgodziła się nas wziąć.

Morgan stał bez ruchu na środku hallu. A czas mijał. Nie starczy go na snucie planów, obmyślanie strategii. Sędzia już działa.

Pomyślał o szkicach, jakie wpadły im w ręce. Bez chwili zastanowienia pobiegł na górę - i oto miał je już w dłoniach, dowód, że Lily nie jest kobietą, za jaką ją uważano. Lecz ona stanowczo odmówiła posłużenia się nimi. Jak on może zatem postąpić wbrew jej woli?

Tym bardziej że, jak sobie uświadomił, jest jeszcze jedno wyjście. Skany Anula43, przerobienie pona.

Niebawem zszedł na dół, bez szkiców.

- Idziemy, dzieci - powiedziała.

Dotarli do gmachu sądu w rekordowym czasie. Z ponurą twarzą Morgan wbiegał po schodach po dwa stopnie na raz. Dzieci dzielnie za nim nadażały. Podjął de-

cyzję i przekonany był o jej słuszności. To jedyne wyjście. Nieważne, że wprowadzając ten plan w życie, naraża się na niebezpieczeństwo.

Liczyła się tylko Lily.

Wszedł do sali rozpraw. Uwaga wszystkich skupiona była na osobie sędziego, więc nikt jego wejścia nie zauważył. Sędzia siedział na wysokim podium, przemawiał, publiczność nie odrywała odeń wzroku. Lily stała przy stole poniżej ławy sędziowskiej. Słuchała.

Morgan zatrzymał się tuż za drzwiami.

- ... Działając wbrew testamentowi i pani deklaracjom o miłości, jaką obdarza pani, panno Blakemore, swego bratanka i bratanice - głosił sędzia - sąd, mając na względzie dobro dzieci, postanawia pozbawić panią prawa do opieki nad nimi.

Sala rozbrzmiała gwarem, ludzie kiwali głowami z satysfakcją. Morgan patrzył na Lily, na jej bezradnie opuszczone ramiona, i serce w nim się krajało. Klęska. I wtedy uznał, że nadszedł właśnie odpowiedni moment.

- Pan się myli.

Cisza zaległa wśród publiczności, po czym głosy zdumienia wypełniły wysoką salę i głowy widzów obróciły się ku Elliottowi. Wśród gapiów poznał Edith Mayhew, także Winifredę Headly, i zaklął w duchu. Niewątpliwie to sprawka tych kobiet, pomyślał.

Wytrzymał pałające gniewem spojrzenia gapiów i ruszył przez salę.

- Co pan powiedział? - zapytał sędzia, zmrużywszy ze złości oczy.

- To mianowicie, że myli się pan w ocenie Lily Blakemore i niesprawiedliwie ją osądza. - Szmer głosów wzmógł się, ale Morgana to nie speszyło. - W postępowaniu sądowym odwołuje się pan do artykułu, który nie zawierał prawdy.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? - zapytał roz-wścieczony sędzia.

Morgan przeniósł wzrok z sędziego na Lily - ich spoj-rzenia spotkały się. Wolałby nie mówić, wolałby nie za-dawać tego miazdzącego ciosu. Ale chciał wymazać przeszłość, zacząć wszystko od nowa. Nigdy nie uchy-lał się od odpowiedzialności. Teraz też tego nie uczyni.

- Na takiej mianowicie, że ja sam go napisałem.

Do końca życia nie zapomni reakcji Lily. W jej oczach pojawiło się najpierw niedowierzanie, potem coś w rodzaju olśnienia, jak gdyby wszystkie rozsypane ele-menty utworzyły raptem spójną całość. I ból. Prze-ogromny ból, który powoli zamienił się w rezygnację.

Przypomniał sobie wówczas jej słowa, że w końcu wszyscy dopuszczają się zdrady. Zaprzeczył wtedy, by teraz prawdą tych słów boleśnie ją ugodzić.

Chwyciła się oparcia krzesła, ale nie usiadła, stała. Wyprostowana. Dzielna. Na nic nie zważająca. Sama wobec wrogięgo jej świata. Nie okaże słabości, mówiła sobie. Nie wolno jej. Wiedziała przecież zawsze, że na nikim prócz siebie polegać nie może.

Morgan chciałby podejść do niej, wziąć ją w ramio-na, błagać o przebaczenie. Był jednak świadom, że prze-baczenia nie uzyska, nie będzie nawet o nie prosił.

Nie zasługiwał na przebaczenie.

- Zwracam się do pana, sir.

Elliott zmusił się do skupienia uwagi na sędzim.

- Chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy!

- Jestem reporterem dochodzeniowym „The New York Timesa”. Przed paroma miesiącami zatrudniłem się jako majster w rezydencji panny Blakemore, a ce-lem moim było... poznanie prawdy o pewnych osobach uważanych przez nią za przyjaciół.

- „The New York Times” powiada pan? - upewnił się sędzia.

- Tak sir.

- Czy to pan doprowadził do uwięzienia Bowtie Scotty'ego?

Na twarzy Morgana odmalowało się zdziwienie.

-Ja, sir.

- To jest pan, synu, diabelnie dobrym reporterem.

- Dziękuję, ale...

- Żadnych ale. Jest pan znany z prawdomówności i uczciwości. Z rzetelnego prowadzenia czynności śledczych. Czy zatem stanie pan przede mną i opowie o pomylce, jaką pan popełnił? - zapytał sędzia srogim tonem.

- Tak, sir. Pomyliłem się. Przybyłem do Blakemore House pewny własnych racji. I lekceważyłem wszystkie fakty, które by te racje podważały.

- Dobry Boże, człowieku. Po raz pierwszy zdarza mi się słyszeć tak obłądną historię. Co panem kieruje?

- Miłość, panie sędzio. Pokochałem tę kobietę od pierwszego wejrzenia. Lecz byłem zbyt dumny, by przyznać się do tego przed samym sobą. Znałem plotki o niej, tak jak wszyscy. Jakże więc mogłem - mówił, szyszając z samego siebie - ja, tropiciel prawdy i bojownik o sprawiedliwość, zakochać się w kobiecie o wątpliwej reputacji? - Potrząsnął głową z rozpaczą. - Sądziłem wtedy, że Lily Blakemore zachowuje się skandalicznie, na nic nie zważa, nie potrafi zapanować nad sobą. - Przymknął oczy, rysy twarzy zniekształciło mu cierpienie. - Teraz już wiem, w jakim byłem błędzie. Nie panowała nad sobą, bo nie mogła, bo oplotła ją sieć, z której nie wiedziała, jak się wydostać. - Rozejrzał się po sali. - Takie panie, jak Edith Mayhew i Winifreda Headly wydały wyrok na Lily Blakemore, nie zadając sobie nawet trudu dowiedzenia się o niej prawdy.

Edith i Winifreda ledwo dyszały z oburzenia, policzki im pały, gdy wszyscy w sali obrócili się ku nim.

Morgan mówił dalej, ponownie skupiając na sobie uwagę publiczności:

- Muszę wyznać, że byłem ślepy na prawdę. Tak jak i inni z jej środowiska. Lecz obserwując ją codziennie, musiałem zrewidować swój pogląd. I stwierdziłem, że jest dobra i życzliwa. Uczciwa i opiekuńcza. - Spojrzał sędziemu prosto w oczy. - Środowisko określiło ją mianem „karmazynowa”, a w gruncie rzeczy jest niczym biała lilia.

I tu wtrącił się Robert:

- Pan Elliott ma rację. Nasza ciotka Lily to dobra kobieta. Odpowiedzialna i godna szacunku. Lepsza niż inne damy.

- Kocha nas - dorzuciła Penelope. - Tak jak my ją kochamy.

- Nie chcemy innej mamy - dodała drżącym głosem Cassie i mimo onieśmielenia tupnęła z lekka nóżką. - Chcemy ciocię Lily.

Sędzia był równie zdumiony, jak wszyscy obecni w sali sądowej. Nagle Atticus Wesford zerwał się z miejsca, twarz miał w czerwone cętki.

- To wprost niedorzeczne! Nie można brać pod uwagę słów tego... tego... niewydarzonego reportera! - wykrzyczał ochryple. - A tym bardziej dzieci! Skąd one mogą wiedzieć, co jest dla nich dobre?!

Sędzia zmierzył Atticusa groźnym spojrzeniem.

- Moim zdaniem, panie Wesford, dzieci wiedzą to lepiej, niż się panu wydaje. A jako ojciec nie powinien pan mieć w tej kwestii żadnych wątpliwości. - Uderzył młotkiem w stół. - Ogłaszam przerwę, podczas której rozpatrzę nowe fakty. A pana, panie Elliott, zapraszam do swego gabinetu.

- Proszę wstać! - padło rutynowe zawołanie. I sędzia opuścił salę.

Morgan nie zamierzał za nim iść, przynajmniej nie teraz. Chciał podejść do Lily, przemówić do niej. Nadal stała bez ruchu, patrzyła na swe dłonie zaciśnięte na poręczy krzesła. Morgan czuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Ruszył ku niej.

- Panie Elliott!

Odwrócił się, za nim stał urzędnik sądowy.

- Proszę za mną, jeśli łaska.

Morgan zawahał się. Kątem oka dostrzegł coś, co zwróciło jego uwagę: jakiś ubrany na czarno mężczyzna wcisnął kapelusz aż na uszy i wyszedł pośpiesznie tylnymi drzwiami. Przez sekundę wydawało się Morganowi, że skądś go zna.

- Panie Elliott - powtórzył urzędnik. - Sędzia oczekuje pana.

Rozmowa Z sędzią trwała przeszło godzinę, po czym Morgan wrócił do opustoszałej już sali sądowej. Lily przyznano opiekę nad dziećmi.

Czul ogromną ulgę, ale tylko przez chwilę, bo uczucie ulgi zamieniło się w czarną rozpacz.

Wyszedł z gmachu sądu i po raz drugi tego dnia skierował swe kroki na północ, w stronę Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Wszedł na posesję wejściem od frontu, ale progu domu nie przekroczył. Okrążył Blakemore House i ruszył prosto do swego domku. Wchodzenie do rezydencji nie miało sensu. Powiedział prawdę, przyznał się do ciężkiego wobec Lily przewinienia. I widział wyraz jej oczu. Była zdruzgotana.

Jedyne, co mu pozostało, to spakować swoje rzeczy.

Każdego innego dnia zachowałyby czujność, tak jak

zawsze zwykł był to czynić. Ale to nie był zwykły dzień. Dziś myśli o Lily wyparty zawodową przezorność. Toteż gdy wszedł do domku, to, co się potem wydarzyło, zaskoczyło go kompletnie. Ktoś zadał mu cios w głowę i powalił na ziemię.

23

- Lily! Lily! Chodź szybko!

Lily stała na środku pokoju, a przeraźliwe krzyki dzieci ledwie docierały do jej świadomości.

- Lily!

Obejrzała się powoli: uprzytomniła sobie w końcu, że coś jest nie tak. W progu stał Robert, zadyszany, z trudem chwytając oddech. Włosy, zwykle starannie zaczesane, miał w nieładzie, w oczach - przerażenie. Mimo to Lily w dalszym ciągu niezdolna była do żadnej reakcji. Bała się własnych myśli, własnych uczuć.

Była jak sparaliżowana. To najłatwiejsza metoda obrony przed światem - życie ją tego nauczyło. Jak mogła o tym zapomnieć?

- Lily! Napadli na Morgana!

Na dźwięk tego imienia coś w niej drgnęło. Ale trwało to tylko chwilę, przypomniała sobie to, o czym się niedawno dowiedziała, i stłumiła w sobie niepokój, którego cień zaledwie się pojawił.

- Lily! - nie ustępował Robert. - Słuchaj, co do ciebie mówię! Poszedłem do domku Morgana i zastałem tam jakichś ludzi. Bili go.

- Bili? - powtórzyła machinalnie.

- Tak - potwierdził jednym tchem. - Wielkie, silne draby. Zabrali go. Musisz coś zrobić. On był cały we krwi.

Zamknęła oczy, chcąc przepędzić obraz napadniętego Morgana. Nie udało jej się. Obojętnie, jaką krzywdę jej wyrządził, teraz cierpi i ona powinna pospieszyć mu z pomocą. Nie mogła jednak ruszyć się z miejsca. Siły odmówiły jej posłuszeństwa.

„Wybryki Karmazynowej Lily.”

I on to napisał.

Teraz cierpi, pomyślała z zadziwiającą bezdusznością. Ktoś zrobił mu krzywdę, tak jak on jej.

Załamana się, i być może nigdy się już nie podźwignie.

Wiedziała, kto wymierzył mu karę, a przynajmniej domyślała się, taki wniosek sam się nasuwał. Podczas procesu dostrzegła na sali sądowej jednego z ludzi Johna, pozdrowiła go, gdy tam weszła, kiedy jeszcze miała nadzieję, że na świecie panuje sprawiedliwość i dzieci zostaną przy niej, bo ona je kocha i one kochają swoją ciotkę.

Jakaż była naiwna!

Nie ma sprawiedliwości na świecie. Dzieci nie zostałyby przy niej, gdyby nie Morgan.

Oświadczając, że to on był autorem artykułu, który zranił ją tak boleśnie, doprowadził do tego, że sędzia zrewidował zajęte uprzednio stanowisko i przyznał jej prawo do opieki nad dziećmi. Oficjalne pismo w tej kwestii otrzymała właśnie przed paroma minutami.

Tak, Morgan przyszedł jej z pomocą, ale to on również sprawił, że poczuła się zagrożona, zdana na własne siły. Nie musi zatem odczuwać wobec niego żadnej wdzięczności, myślała. Niech więc John robi, co uważa za stosowne. Morgan Elliott nic już w jej życiu nie znaczy.

Przemogła żal, który nagle ją ogarnął.

- Lily, czy nic cię to nie obchodzi? - zapytał Robert

ze zdziwieniem. - Nie obchodzi cię, że oni mogą zabić Morgana?

Z wypracowanym przez lata spokojem usiadła na krześle. Jej bratanek spozryzał na nią, własnym oczom nie dowierając.

- Morgan Elliott potrafi sam się o siebie zatroszczyć - rzekła.

Robert patrzył na nią teraz surowo, krytycznie.

- Każdy człowiek potrzebuje czasem pomocy - oświadczył ostrym tonem i raptem w jego oczach zabłyśły łzy.

Nie ruszyła się z miejsca, więc chłopiec odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju. Słyszała jego kroki na schodach. Może znajdzie kogoś, kto pomoże Morganowi, skoro ona odmówiła.

Zadrżała na myśl o Elliotcie, kolejny dreszcz ją przeszył na wspomnienie wyrazu oczu Roberta. Rozczarowanie. Zawiodła go. Nie była już osobą, w którą uwierzył.

Próbowała nie przejmować się tym, bezskutecznie. Robert zawiódł się na niej. Jej obojętność zaszokowała go, zraniła, był zdumiony jej postawą. Jakże inaczej wyobrażał sobie życie, które przysporzyło mu już tyle bólu. Śmierć ojca, jej przybycie, a teraz to.

Rozumiała go. Otrzymał już lekcję, świat nie był taki, w jaki nauczono go wierzyć. Szczęście i miłość. Puste teraz dlań słowa. Został sam, nieprzygotowany do radzenia sobie z okrucieństwem otaczającego go świata.

Tak długo okazywał jej niechęć i tak krótko cieszył się uczuciem, jakim ją w końcu obdarzył. Czy skoro odmówiła pomocy Morganowi, to już nigdy nie odzyska serca swego bratanka?

Morgan, dlaczego to zrobiłeś? - zapytywała go w duchu. Jak mogłeś napisać taki oszczerczy artykuł?

Podeszła do okna, spragniona widoku słońca, i wzrok jej spoczął na porcelanowej filiżance. Stłukła się przecież, a mimo to stała przed nią, pozlepiana jakimś cudem.

Dlaczego tyle dla mnie zrobiłeś, by potem wszystko zniszczyć?

I wtedy nagle zdała sobie sprawę, że Elliott chwycił za pióro na samym początku, zanim z takim zapałem zajął się domem. Czy ów zapal wynikał właśnie z tego faktu? Czy dlatego Morgan zagrzewał ją do działania, czy dlatego chciał jej sukcesu?

A może dlatego że ją kochał?

Albo z poczucia winy?

Nie miała pojęcia. Nie wiedziała już, co sama czuje, nic już nie wiedziała.

I nie mogła przestać myśleć o rozczarowaniu, jakie dostrzegła w oczach Roberta.

Właśnie to - bardziej niż niepokój o Morgana, który w niej się tlił i nie potrafiła go wygasic - właśnie to sprawiło, że zbiegła ze schodów i wyszła z domu.

Dorożka zatrzymała się przed tylnymi drzwiami budynku, i Lily odniosła wrażenie, że nikogo w nim nie ma. John opowiadał jej o tym magazynie, o tym, jak trudno zabezpieczyć w nim cenne towary sprowadzane z całego świata.

Rozejrzawszy się dokoła, Lily utwierdziła się w przekonaniu, że nie jest to bezpieczne miejsce. Nigdy nie zetknęła się z tak rażącym niedbalstwem. Brud i kurz. Szczury. Straszliwa nędza, niewyobrażalna wręcz w tak bliskim sąsiedztwie bogatych rezydencji.

- Proszę zaczekać - powiedziała dorożkarzowi. Serce jej waliło, bała się, co zastanie w środku.

Otworzyła ciężkie drzwi i weszła. Panowały tu niemal

egipskie ciemności. Szła wolno mrocznym korytarzem, przez jakieś pomieszczenia wiodące w głąb budynku.

Dobrze znała Crandalla i nie wątpiła, że był wściekły na Elliotta za to, iż ten tak ją potraktował. I nie wątpiła też, że chciał się na nim zemścić. Uderzył go. Poczęstował paroma kuksańcami. Dał mu nauczkę. Była jednak pewna, że gdy tylko ona się pojawi, John da Morganowi spokój. Był przecież jej przyjacielem, tylekroć pomagał jej w różnych sytuacjach. I teraz też jej nie zawiedzie, nie zrobi krzywdy Morganowi, wiedząc, że ona, Lily, miałaby do końca życia wyrzuty sumienia z tego powodu. Zależy jej jedynie na tym, by Elliott bezpiecznie wrócił do swego domku, reszta ją nie obchodzi.

Zignorowała głos wewnętrzny, który jej mówił, że oszukuje samą siebie. Przyszło jej na myśl, że właściwie nie wie, gdzie Morgan naprawdę mieszka. W Lower East Side? W jakimś pensjonacie na Brooklynie?

Przypomniała sobie, że mówił kiedyś o Południu.

Może wróci do swoich rodzinnych stron? W głowie jej się zakręciło, za co zbeształa się w duchu. I przyszedł jej na myśl zegarek Piękny, srebrny, kunsztownej roboty. Drogi.

Nie był zatem człowiekiem biednym, stwierdziła w duchu.

Gdzie jest koniec tych wszystkich kłamstw?

Minęła zakręt korytarza i na widok tego, co ujrzała, serce w niej zamarło.

Oparła się o ścianę i gdyby mogła wydobyć z siebie głos, krzyknęłaby na całe gardło.

Jakże się myliła!

John Crandall nie dał Elliottowi paru kuksańców, tylko pobił go tak, że Morgan był prawie nie do poznania.

Zrobiła kilka kroków, ale na dźwięk słów, jakie ją dobiegły, stanęła jak wryta.

- Odłóżcie broń! - John roześmiał się tak jakoś dziwnie, zwracając się do trzech drabów w podkutych butach, ludzi, których Lily nigdy przedtem nie widziała. To nie byli jego wspólnicy. Wyglądali groźnie, budzili lęk.

John wskazał na skrzynię.

- Tu ją zostawcie - polecił. - Przed nastaniem świtu będzie mi potrzebna. Ale najpierw - dodał, podchodząc do Morgana, który leżał plackiem na ziemi - porozmawiam sobie z panem Elliottem.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - wymamrotał Morgan. Najwyraźniej każde słowo przychodziło mu z trudem. - Z takim łotrem jak ty nie będę rozmawiał.

Lily omal nie jęknęła, ale gdyby nawet, to rozwścieczone sapanie Johna stłumiłoby ten jęk.

Obrócił się ku budzącym grozę drabom.

- Czekaście na zewnątrz! - ryknął.

Lily cofnęła się szybko, ukryła w mroku, lecz serce podeszło jej do gardła, gdy te typy, wychodząc, omal się o nią nie otarły.

Obserwowała Johna, który przeobraził się w mgnieniu oka. Znowu stał się łagodnym, czarującym mężczyzną, takim, jakiego od tylu lat darzyła zaufaniem. Nie trwało to jednak długo - jego usta wykrzywił paskudny uśmiech.

- Powinieneś być wobec mnie bardziej uprzejmy - rzekł. - A nawet odnosić się do mnie z szacunkiem. Jestem ważną osobistością, jak ci wiadomo.

- Jesteś oszustem, Crandall.

- A ty chciałbyś oznajmić to światu! Czyżbyś miał choćby cień dowodu, który by ludzi przekonał? Nie - odpowiedział sam sobie. - Nie masz i nigdy go nie zdobędziesz!

- Grubo się mylisz. Znajdę dowód. Choćbym miał resztę życia na to poświęcić.

- Oj, Morgan, Morgan, niewiele ci już tego życia zostało.

- Co zamierzasz zrobić? Zabić mnie? Tak jak zabiłeś Jenny?

Wściekłość odmalowała się na twarzy Johna.

- Ja jej nie zabiłem!

- Jesteś kłamcą, Trey.

Trey. Lily przypomniała sobie. Trey. Przyjaciół Morgana. Zatem John to właśnie Trey?

I wtedy coś zaświtało w jej mózgu. John Crandall Trzeci. Słyszała kiedyś, że na Południu ludzie mówią „trey”, od trójki. A więc to jest ten Trey, o którym Morgan opowiadał jej swego czasu.

- Zabiłeś ją - rzekł Elliott dobitnie, a jego głos aż 'wibrował od wściekłości.

- To ty ją zabiłeś! - wrzasnął John. - Ty byłeś z nią wtedy, nie ja!

Morgan zacisnął powieki, jego zakrwawiona twarz zastygła w bólu.

John przyglądał mu się z uwagą, po czym uśmiechnął się chytrze, przebiegle.

- Teraz rozumiem - powiedział. - Ścigasz mnie, bo czujesz się winny, właśnie ty. - Roześmiał się głośno, aż echo odbiło się od ścian. - Oczywiście, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? - Nie śmiał się już, tylko uśmiechał drwiąco. - Święty Morgan, który nigdy nikogo nie skrzywdził! Co takiego powiedziałeś Jenny, że skoczyła w przepaść?

- Nic. Siedziałem i słuchałem jej. Oznajmiła mi, że jest w ciąży.

Twą Johna wyrażała pełnię satysfakcji.

- A nie powiedziała ci, jaki byłem wspaniały? I co ty na to, że ja, John Crandall, biedny chłopaczyna, wbi-

łem się w nią, w uroczą, małą Jenny Moore? Nie ty! Nie wielki Morgan Elliott! Ty, niech cię szlag trafi, nigdy o nic nie musiałeś się martwić! - Twarz Johna pałała wściekłością. - Wszystko przychodziło ci łatwo. Miałeś pieniądze, urodę. Ludzie cię kochali. A kochaliby również mnie, gdyby mój ojciec nie stracił fortuny. Twój też mógłby stracić. Ale nie stracił. Tylko mój. Tylko mój! A ja żyły z siebie wypruwałem, żeby utrzymać matkę. Podczas gdy ty i Jenny pyszniliście się jak wybrańcy losu! Ale to ja miałem Jenny! - Znów uśmiechnął się szyderczo. - Jak się wtedy czułeś? Jak się czułeś, gdy ktoś sprzątnął ci ją sprzed nosa?

Elliott milczał, był wyraźnie zaskoczony tym, co usłyszał.

- Byliśmy przyjaciółmi, Trey. Ty, ja i Jenny. To, że nie miałeś pieniędzy, nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

- Nieprawda, do cholery! Miało! Widziałem to na każdym kroku, wyczuwałem w każdym twoim słowie. I postanowiłem, że dłużej biedny nie będę. Matka umarła, byłem wolny. Postanowiłem zrobić majątek. A nie mógłbym, gdybym miał na karku Jenny, tak jak przedtem matkę. Byłem wolny, powtarzam! I do diabła ciężkiego, nie zamierzałem dłużej cierpieć biedy.

Łzy gniewu rozbłysły w oczach Crandalla, przetarł twarz rękawem eleganckiego surduta.

- Przypatrz mi się teraz! Jestem kimś! Jestem bogaty. Mam wpływy. Słyszysz, co mówię?! Zaczął chodzić tam i z powrotem. - I zamierzam zostać gubernatorem. Wszystko poszłoby mi jak z płatka... - urwał, jakby sam chciał się utwierdzić w tym mniemaniu - ...gdyby nie ten cholerny Claude Blakemore. A tak dobrze się zapowiadało. Doskonale. Aż do momentu, kiedy ten typ zarządził powrót Lily do domu.

Lily wstrzymała oddech. Cała zdrętwiała z przerażenia.

- Niewdzięczny bękart - wyszczał John. - Przez tyle lat go wspierałem! Gdyby nie ja, nie miałyby centa przy duszy. - Z jego piersi wydobył się diabelski chichot. - Już dawno temu sprowadziłby siostrzyczkę, gdybym nie był na tyle sprytny, by mu ją zohydzić. Nie było to takie trudne. Bóg mi świadkiem. Wystarczyło, że naopowiadałem mu o niej różnych niestworzonych historii. O jej szaleńczym trybie życia. - Nagle spoważniał. - Nie mogłem dopuścić do jej powrotu. Bo zapytałyby mnie, co się stało z jej pieniędzmi.

- A więc od tego zaczęłeś - powiedział Morgan ochrypłym głosem. - Od korzystania z jej pieniędzy. Ciekawe.

- Sprytne, nie uważasz? - Crandall uśmiechnął się nieznacznie. - Poznałem Lily, jak tylko Claude przepędził ją z domu. Potrzebny jej był ktoś bliski, przyjaciel. - Zachichotał. - Ktoś, kto zająłby się jej fortuną, jaką obdarował ją ten artysta.

- Obracałeś pieniędzmi Lily?

- Tak. Naiwna dziewczyna. Ani razu mnie o nic nie zapytała. Ani ten jej głupi brat, który nigdy się nie dowiedział, że utrzymuję go na powierzchni dzięki pieniądzom jego własnej siostry. I wszystko toczyło się jak należy. Dopóki nie postanowił sprowadzić Lily do domu.

- I wtedy pozbyłeś się go.

John wzruszył ramionami.

- Też łatwo mi to poszło. Atak serca. Dobra robota, mówię ci. Nikt nic nie podejrzewał. - Zmarszczył czoło.

- Gdybym wiedział o tym jego testamencie! Wszystko przez ten cholerny testament! - Potrząsnął głową. - Na domiar złego ty pojawiłeś się na horyzoncie. Majster od siedmiu boleści! - rzucił z ironią.

- Wiedziałaś o tym? - zapytał Morgan, usiłując podnieść się, pojękując przy każdym ruchu.

- Oczywiście, że wiedziałem. A jak myślisz, dlaczego tu przyjechałem? Dostałem wiadomość od Marcusa, jednego z moich ludzi. Gdybym przyjechał dzień wcześniej, dopadłbym cię, zanim zniweczyłaś moje plany, opowiadając w sądzie o tym artykule. Pozbyłbym się ciebie, dzieciaki odesłałbym do tych cholernych krewnych, których odnalezienie kosztowało mnie fortunę, a Lily, jako kobieta upadła, wróciłaby do Tarrytown, posłuszna jak dawniej mojej woli.

Lily czuła się tak, jakby ktoś ją znienacka uderzył. Ból przeniknął ją od stóp do głów. Już, już miała wyjść z ukrycia, stawić czoło podłości Johna, ale jego następne słowa powstrzymały ją:

- Zakochałeś się w niej, tak?

Choć odpowiedź Morgana obchodzić jej nie powinna, rozpaczliwie pragnęła ją usłyszeć. Lecz odpowiedź nie padła, i John mówił dalej:

- Chcesz czy nie chcesz, musisz przyjąć to do wiadomości. Ona należy do mnie. Tak jak Jenny. - Roześmiał się. - Ja sprawiłem, że jej nie miałaś. Tak samo będzie z Lily. Zajmę się tobą, tak jak zająłem się Claude'em. Raz na zawsze.

Lily wyszła ze swej kryjówki.

- Dość tego, John!

Crandall obrócił się w jednej sekundzie.

- Lily?! Co ty tu robisz?

- Przyszłam po Morgana - powiedziała najzwyczajniej w świecie i opanowując drżenie głosu, dodała: - Puść go.

John wytrzeszczył na nią oczy, wściekłość wykrzywiła mu twarz.

- Wybrałaś Morgana?! - wrzasnął. - Nic z tego, Lily!

Nic z tego! Należysz do mnie, zrozumiałaś?! Tylko do mnie! Przez te dziesięć lat ja opiekowałem się tobą, troszczyłem się o ciebie, nie on ani nikt inny!

- Nie troszczyłeś się o mnie, John. Oszukałeś mnie. I wykorzystywałeś moją naiwność.

- Ty niegodziwa suko!

W tym momencie Lily zdała sobie sprawę, że John to nie tylko człowiek niebezpieczny, ale także chory na umyśle, co powoduje, że jest nieprzewidywalny, a zatem groźniejszy, niż można by sądzić.

—Nie, John, ja nie należę do ciebie.

- Trochę za późno na takie stwierdzenia. Jesteś tutaj. I ja tu jestem. I nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby przyjść ci z pomocą. A już na pewno nie Morgan Elliott. - Uśmiechnął się drwiąco. - Tak jak nie przyszedł z pomocą Jenny.

Wtedy padł strzał, którego huk rozniósł się po pomieszczeniu. Jedyne strzał. Tylko jeden. Ale wystarczył.

Lily stała nieruchomo, patrząc na leżącego na ziemi Johna. Na człowieka, którego przez tyle lat uważała za przyjaciela. Jedyne, o którym sądziła, że może mu zaufać.

Uniosła wzrok. Morgan, opierając się o skrzynię, trzymał w ręku pistolet, który uprzednio John na niej położył. Trwał bez ruchu, oczy miał zamknięte. Wyglądał jak trup.

Niewiele myśląc, Lily podbiegła do niego, uklękła obok.

- Morgan! - Chwyciła go w ramiona, przytuliła do siebie. - Morgan, błagam...

Uchylił powieki, ale ciało wciąż miał zeszywniałe.

- Nie żyje? - zapytał.

- Nie żyje - odrzekła z westchnieniem ulgi.

Przytulił do niej twarz, na której cierpienie odcisnęło swe piętno.

- Był moim przyjacielem. Znałem go od dzieciństwa. Nigdy bym nie pomyślał, że żywił do mnie taką nienawiść. - Spojrzał jej w oczy. - I przez tę jego nienawiść oraz przez to, że go ścigałem, ucierpieli niewinni ludzie. Och, Lily, tyle czasu zmarnowałem, skrzywdziłem tych, których kochałem i Kocham, pragnąc zarazem, nade wszystko na świecie, pokonać przestrzeń nie do pokonania i chwycić dłoń ku mnie wyciągniętą. - Westchnął głęboko. - Przepraszam cię, Lily - szepnął. - Bardzo przepraszam.

- Za co? Ze uratowałeś mnie?

- Dobrze wiesz, że nie to mam na myśli.

- Może i wiem. Ale wiem również, dlaczego to zrobiłeś. - Uśmiechnęła się, w oczach jej zaszklity się łzy. - Tym artykułem zbryzgałeś mnie błotem, lecz w efekcie ocaliłeś mnie. Nie mogłeś chwycić Jenny za rękę. - Dotknęła jego policzka. - A moją chwyciłeś. Pchnąłeś mnie do walki i dzięki temu poznałam siebie samą. Jestem. Potrafię walczyć. Nie podejrzewałabym siebie o tę umiejętność, gdybyś ty nie wkroczył w moje życie.

Wtedy właśnie drzwi magazynu otworzyły się z hałasem. W oczach Elliotta zapaliły się złe błyski i mimo opłakanego stanu, w jakim się znajdował, pchnął Lily do tyłu, zasłaniając ją własnym ciałem. Gdy uniósł broń i wycelował ją w stronę wejścia, oczom ich ukazał się Marky, potem Jojo, a za nimi policjanci w skórzanych hełmach.

Na widok broni, a właściwie głównie na widok wciąż żywych Lily i Morgana byli służący wydali okrzyk ulgi.

- Całe szczęście! - wykrzyknął Jojo.

- Przyszliśmy w samą porę! - dodał Marky.

Policjanci pochylili się nad zwłokami.

- Nie żyje - powiedział któryś.

Kilku innych pilnowało drabów Johna.

Lily spojrzała na Marky'ego, który postąpił do przodu parę kroków.

- Przepraszam, że przybyliśmy do Blakemore House, żeby panią szpiegować - powiedział. - Wypełnialiśmy nasze obowiązki. I po pewnym czasie przekonaliśmy się, że pani wcale nie jest taka, jak ludzie mówili. Więc odeszliśmy. A jak dotarły do nas słuchy o tym, co się stało w sądzie, i o tym, że Crandall złapał Morgana, to od razuśmy wiedzieli, że przyda się tu nasza pomoc.

Wzruszenie ścisnęło Lily z gardła. Jakże odmieniło się jej życie!

- Dziękuję ci, Marky. Dziękuję ci, Jojo - powiedziała tylko, nie znajdując innych słów.

Policjanci podeszli do Elliotta, obejrzeni jego rany.

- Wygląda to gorzej, niż jest w istocie - powiedział jeden z nich. - Rany i potłuczenia, przez jakiś czas będzie pan miał trudności z chodzeniem. Ale wszystko dobrze się skończy. Zawieziemy pana do lekarza.

Morgan skinął głową na znak zgody, lecz Lily rzekła:

- Ja się nim zajmę.

Spojrzał na nią badawczo, jak gdyby szukając w jej oczach szczerości, jaką zawsze w nich odczytywał.

- Tak, Morgan. Zabieram cię do Blakemore House, do dzieci... póki nie dojdiesz do siebie.

Zachmurzył się, wyraz rezygnacji pojawił się na jego twarzy.

Lily domyśliła się przyczyny: sądzi, że jak wyzdrowieje, będzie musiał opuścić jej dom. Uśmiechnęła się i dotknęła jego zakrwawionego policzka.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Morganie Eliotcie - rzekła, z żartobliwą nutą w głosie.

Uniósł na nią pytający wzrok.

- Chciałabym podróżować - rzekła już całkiem po-

ważnie. - Podobno wiosna na Południu jest przepiękna. Dzieciom też by się spodobała. - Zamilkła na chwilę. - Może pokazałbyś nam miejsce swego urodzenia?

Widziała, jak przełknął ślinę, jak oczy mu rozbłysły. Z zapartym tchem czekała na jego odpowiedź. Mógł powiedzieć „nie”, mógł nie chcieć zabrać ją tam, gdzie przeżył miłość z Jenny, tak dramatycznie zakończoną.

W końcu ujął jej dłoń. Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Nie zasługuję na ciebie. Lecz jeśli jesteś skłonna darować mi pewne drobne przewinienie - uśmiechnął się i zaraz potem ból wykrzywił mu twarz - to zabiorę cię na Południe. I tobie, i dzieciom stworzę tam dom rodzinny. Kocham cię, Lily Blakemore, jak nikogo na świecie. Chcesz dzielić ze mną życie, moje marzenia?

I wtedy doznała dziwnego uczucia, i wiedziała, że on również poczuł to samo. Uświadomiła sobie bowiem, że oto ich drogi nareszcie się spotkały. Nie będą już podróżnikami przemierzającymi odległe od siebie krainy. Zostanie żoną tego mężczyzny, jedyne go człowieka, którego kochała. Wyjedzie na zawsze z Manhattanu, a on wróci do swojej ojcowizny. Rozpoczną nowe życie. Co było, to minęło, i ulegnie zapomnieniu. Nowe życie, z dziećmi.

I miłość.

- Tak - szepnęła. - Wyjdę za ciebie.

Epilog

- Wujku Morganie! Jak tu pięknie!

Morgan spojrział na Cassie z uśmiechem.

- Cieszę się, że ci się podoba, kochanie.

- Mnie też - oświadczyła stanowczo Penelope, schodząc po stopniach powozu.

W uśmiechu Morgana wyczuwało się radość i czułość.

- Cieszę się podwójnie - dodał.

- Czy naprawdę będziemy tu mieszkać? - zapytała Cassie, patrząc nań szeroko otwartymi oczami.

Wzrok Elliotta spoczął na domu z białymi kolumnami, przed którym stali, i wzruszenie niemal odebrało mu mowę.

- Tak, Cassie - rzekł po chwili. - Naprawdę.

Wtedy właśnie wyskoczył z powozu Robert, w rękę trzymał książkę, w której zaznaczał coś palcem.

- Czy wiedzieliście o tym, że stolicą stanu Wirginia jest Richmond? - zapytał z ważną miną.

Penelope mruknęła coś, Cassie przewróciła oczami.

W czasie ich podróży na Południe Robert czytał informacje o każdym stanie, przez który przejeżdżali, rząc swoich słuchaczy każdym szczegółem, godnym, jego zdaniem, uwagi.

- Jeszcze jedna ciekawa historia - zaczął, ale urwał nagle, gdy obróciwszy się, ujrzał dom. - Jaki wielki! - wykrzyknął.

Morgan roześmiał się. Dom b y ł wielki, rozległy,

bardzo ładny i, co najważniejsze, tyle wspomnień się z nim łączyło. Westchnął z głębi serca. Dobrych wspomnień, bo złe wyrzucił z pamięci.

Dzięki Lily.

Jakby odczytując jego myśli, Lily zatrzymała się w progu powozu i spojrzała na Morgana. Potem przeniosła wzrok na długi podjazd wiodący do domostwa zbudowanego w stylu kolonialnym, z wysokimi białymi kolumnami i drewnianą werandą, ciągnącą się wzdłuż całej jego szerokości.

- Kto pierwszy do domu! - zawołała Penelope.

Robert najwyraźniej nie był tym pomysłem zachwycony, ale siostra uśmiechnęła się doń radośnie, więc pośpieszył za nią.

- Poczekajcie na mnie! - krzyknęła Cassie.

Lily patrzyła za nimi i serce w niej rosło.

Wciąż milczała i Elliott dłużej już nie mógł powstrzymać się od zadania pytania:

- No, jakie jest twoje zdanie? - Jego niski głos zabrzmiał doniośle w rześkim wiosennym powietrzu.

Lily spojrzała na Morgana, a w jej oczach odbił się cały ogrom miłości do niego.

- Moje zdanie jest takie, że cię kocham - odparła.

Roześmiał się.

- Ale co sądzisz o domu?

Również się roześmiała.

- Twój dom jest piękny.

Skarcił ją wzrokiem.

- Nasz dom, pani Elliott.

Westchnęła głęboko, z radością. Pani Elliott, pomyślała. Nawet po ośmiu miesiącach wciąż nie mogła się nadziwić, że jest żoną Morgana, że wraz z nimi są dzieci i że on obdarza ją miłością i szacunkiem. Co dzień

i co noc okazywał jej swoją miłość. I była przekonana, że do końca życia nie będzie miała dość wspólnych z nim porannych spacerów.

Patrzyła nań teraz z uczuciem szczęścia, radości, że wszystko potoczyło się tak, jak potoczyć się powinno. Nieistotny był wygląd rezydencji. Lily wiedziała jedno - przyjechała do domu, razem z Morganem.

- Tak - szepnęła. - Nasz dom.

Podszedł do powozu i pomógł jej zejść, opiekuńczo podtrzymując ją za ramię. Następnie uniósł jej twarz i złożył na jej ustach czuły pocałunek. Nie miał już cienia wątpliwości, że jego żona nie jest i nigdy nie była Karmazynową Lily.

- Kocham cię - rzekł.

A ona wiedziała, że to prawda.